

JESIENNA REWOLUCJA  
FALL REVOLUTION  
TOM 4

DROGA DO GWIAZD  
THE SKY ROAD  
KEN MACLEOD

Na podstawie wydania TOR, Nowy Jork, 2009  
przetłumaczył i opracował:  
Jacek Hummel

*Tłumaczenie jest dostępne na licencji  
Creative Commons Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowe*



Warszawa, 2021



ken  
macleod

a fall revolution novel

the sky road

'If there is a last great Brit SF novel of  
the millennium, this is it'

GUARDIAN

*Dla Mic'a*

## Rozdział 1

# Światło i Jarmark

*Zatem stało się tak, że Merrial odnalazła go na placu w Carron Town.*

Szła przez Jarmark w wieczornym świetle północnego lata, szukając mnie. Z setek osób wokół niej, tysiacy w mieście i tysiacy przy projekcie, tylko ja mógłby posłużyć jej celom. Mój głos i oblicze, umysł i ciało były zawarte w parametrach pozyskania celu.

Siedziałem na cokole pomnika Wyzwolicielki, wysuszyłem butelkę piwa i odstawiłem ją ostrożnie na ziemię, rozejrzałem się, mrużąc oczy w zachodzącym słońcu. Muzyka na chwilę przycichła, potem weszła kolejna grupa, coś hucznego i głośnego, co odbijało się echem od wysokich budynków dookoła trzech stron placu i huczało w otwartej przestrzeni nad brzegiem i nad wodą. Cichy fiord<sup>1</sup> był kilometrami złota, odległe wzgórza i wyspy stosami czerni. Powietrze było ciepłe, drżące od muzyki i ciężkie od zapachu i potu, oddechów z alkoholu i dymu zioła. Ludzie już tańczyli, kołysząc się i obracając dookoła straganów pozostałych po dziennym targu. Zauważyłem spojrzzenia i ukłony od moich różnych współpracowni-

---

<sup>1</sup> oryg. sea-loch, loch oznacza przestrzeń wodną, która może być jeziorem lub formacją morską zwaną też „sea lochs” taką jak fiord, estuarium lub zatoka, por. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Loch\\_\(geografia\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Loch_(geografia)) – przyp.tłum.

ków, Jondo, Druin, Machard, i reszty, gdy wirowali obok w tłumie z kimś, kto mógłby być ich partnerem na godzinę, noc lub dłużej.

Przez chwilę, czułem się bardzo samotny i miałem już się zerwać, zanurzyć się i poszukać kogoś, kogokolwiek, kto przyjąłby mnie nawet na jeden taniec. Nie było to normalne, przez całe lato zwykle przy takich okazjach miałem szczęście. Jak większość moich współpracowników, byłem młody i – z konieczności – silny, a moja próżność nie potrzebowała pochlebstw. W większości byliśmy hojnymi obcymi, a zatem mile widzianymi. Jednak byłem w poważnym i abstrakcyjnym nastroju, nadchodzące jesienne studia już kładły swój długi cień, a przy całej radości wieczoru, nie rozśmieszyłem ani razu kobiety i moje powodzenie uciekło.

Ona szła przez ten gęsty tłum, jakby go tam nie było. Zobaczyłem ją, zanim mnie ujrzała. Jej długie czarne włosy były zaplecione na skroniach w dwa wąskie warkocze, a unoszące się fale niezaplecionych pokazywały ślady kasztanów w późnym słońcu. To złote światło i rumiany cień określały jej opaloną i zarumienioną twarz: wielkie jasne oczy, wysokie kości policzkowe, krzywiznę policzka i brody, czerwone usta. Była ubrana w suknię z zielonego aksamitu, która wydawała się, i prawdopodobnie była, tak skrojona, żeby ukazać jej silną i dobrze ufundowaną postać. Jej wzrok napotkał mój i zastygł. Jej oczy były duże i lekko skośne, i chwyciły moje spojrzenie jak pułapka.

Bez wątpienia istnieje jakiś cielesny odpowiednik takich momentów „strzały w serce”, przedstawianych w kreskówkach. Może nagle zapotrzebowanie na zapasy cukru w komórkach. To było bardziej jak kolec niż strzała i minęło w mniej niż sekundę, ale istnieje, to ostre, słodkie pchnięcie.

Chwilę później stanęła przede mną, patrząc na mnie z góry zagadkowo, zaciekawiona, potem podjęła jakąś decyzję i usiadła koło

mnie na zimnym czarnym marmurze. Kopyta konia Wyzwolicielki unosiły się ponad nami. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Serce mi waliło. Wydawała się młodsza, bardziej niezdecydowana, niż wydawałoby się z pierwszego, śmiałego spojrzenia. Jej tęczówki były złotobrazowe, otoczone na zielono-niebiesko. Mogłem dojrzeć delikatne rozpryskane piegi pod opalenizną. Drobnny złoty łańcuszek dookoła jej szyi podtrzymywał prostą siateczkę zawierającą kryształ widzenia wielkości gołębiego jaja. Wisiał pomiędzy jej pierśiami, jego mały świat błyskający losowo od delikatnego tarcia. Jeszcze delikatniejszy srebrny łańcuch wskazywał na jakąś inną ozdobę, ale wisiała niżej, niż mogłem dojrzeć. Sztylet, derringer i torebka na jej wąskim pasku biodrowym były tak eleganckie i delikatne, że niemal tylko z nazwy. W jej zapachu był jakiś mocny pólton, nie wiedziałem, czy naturalny, czy sztuczny.

– Cóż, oto i jesteś – powiedziała, jakbyśmy umówili się spotkać w tym dokładnie miejscu. Przez kilka uderzeń serca, bawiłem się myślą, że to mogła być prawda, że była kimś, kogo naprawdę znałem i niewytłumaczalnie, niewybaczalnie zapomniałem, ale nie, nie przypominałem sobie, żebym kiedykolwiek ją spotkał wcześniej. W tym samym czasie nie mogłem się pozbyć przekonania, że już ją znałem, i zawsze znałem.

– Cześć – powiedziałem z braku niczego mniej banalnego. – Jak się nazywasz?

– Merrial – odpowiedziała. – A Ty jesteś...?

– Clovis – powiedziałem. – Clovis colha Gree.

Kiwnęła do siebie, jak gdyby pewne dane zostały potwierdzone, i uśmiechnęła się do mnie.

– Więc, colha Gree, czy zamierzasz mnie zaprosić do tańca?

Zerwałem się na stopy, zdumiony.

– Tak, oczywiście. Czy uczynisz mi ten honor?

– Oczywiście – powiedziała. Wzięła moją dłoń w ciepły, suchy chwyt i wstała wdzięcznie, łącząc ten ruch z pierwszym krokiem. To był szybki taniec do tradycyjnej pieśni „Taktyczni chłopcy”. Rozmawianie było niemożliwe, ale mimo wszystko bardzo dużo się komunikowaliśmy. Kolejny taniec nastąpił, a potem wolniejszy.

Skończyliśmy daleko od miejsca, gdzie zaczęliśmy, przeniesieni blisko do zewnętrznych stołów największego pubu na placu, Karonady. Niektórzy z chłopaków z pracy już byli przy jednym ze stołów, z lokalnymi dziewczynami. Moi kumple spojrzeli się na mnie dziwnie, z zazdrością i ukrytym rozbawieniem. Ich kobiece partnerki patrzyły laserami na Merrial, z powodu, którego nie mogłem pojąć. Oczywiście była atrakcyjna i wyglądała piękniej w moich oczach z każdą mijającą sekundą, ale inne dziewczyny nie były oczywiście mniej pobłogosławione. Nie była nierządnicą, chyba że była nierozsądna (nierząd był szanowanym, ale regulowanym rzemiosłem w tym mieście, jego wykonywanie było niedozwolone na placu).

Przedstawienia się były dziwne.

– Co chciałaś, Merrial? – spytałem.

Uśmiechnęła się do mnie. Była, w rzeczywistości, tak wysoka jak ja, ale moje buty miały wysokie obcasy.

– Piwo proszę.

– Dobrze. Poczekaś tutaj?

Wskazałem puste miejsce na najbliższej ławce, koło Jondo i jego obecnej dziewczyny.

– Tak zrobię – powiedziała Merrial.

Jondo rzucił mi kolejne dziwne spojrzenie, uśmiech z opuszczonym kącikiem ust, i wzniesionymi brwiami. Wzruszyłem ramionami, poszedłem do baru, wracając kilka minut później z trzylitrowym dzbankiem i kilkoma wysokimi szklankami. Merrial sie-

działa tam, gdzie ją zostawiłem, ignorując fakt, że była ignorowana. Złożyłem tę niezwykłą niegrzeczność na karb jakiejś lokalnej kłótni, których Carron Town – i Stocznia, w rzeczy samej, oraz Projekt – miał wiele. Jeżeli jeden z przodków Merrial obraził jednego z przodków Jondo (lub kogokolwiek), na razie nie był to mój problem.

Stół był zbyt szeroki, żeby prowadzić jakąkolwiek intymną konwersację w poprzek, więc usiadłem koło niej, uruchamiając newtonowską kolizję bioder na całej ławie, gdy moi przyjaciele i ich dziewczyny przesuwali swoje zadki od nas. Napełniłem szklanki i wzniosłem moją.

– *Slàinte*<sup>2</sup> – powiedziałem.

– *Slàinte, mo chridhe*<sup>3</sup> – powiedziała, cicho, ale pewnie, jej oczy nad przechyloną krawędzią.

I Twoje zdrowie, moja droga, pomyślałem. Znowu jej cała postawa nie była wstydliva ani bezczelna, ale jakbyśmy byli ze sobą od miesiący lub lat. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc to powiedziałem.

– Czuję, jakbyśmy się już znali – powiedziałem. – Ale się nie znamy. – Roześmiałem się. – Chyba że kiedy byliśmy dziećmi?

Merrial potrząsnęła głową.

– Nie mieszkałam tutaj jako dziecko – powiedziała niejasnym tonem. – Może widziałeś mnie przy projekcie.

– Myślę, że bym zapamiętał – powiedziałem. Uśmiechnęła się, przyjmując komplement, więc dodałem: – Pracujesz przy *Projekcie*? – Brzmiałem bardziej zaskoczony, niż powinienem był, w końcu wiele kobiet przy nim pracowało w kantynie i w administracji.

– Aye – powiedziała – tak. – Bawiła się naszymi, rozgrze-

---

<sup>2</sup> gael. zdrowie – przyp.tłum.

<sup>3</sup> gael. zdrowie, moje serce – przyp.tłum.



wając ogień w jego obrębie, i nie tylko tam. – Przy systemie naprowadzania.

– Och – powiedział, nagle zrozumiałem. – Jesteś *inżynierką*.

– Jestem majsterką<sup>4</sup> – powiedziała równym tonem, używając słowa, którego tak niezdarnie unikałem. Wypowiedziała je z dumą tak oczywistą i dostatecznie głośną, żeby być usłyszana. Chichoty okrążyły stół. Spojrzałem nad ramieniem Merrial na Jondo i Marcharda. Potrzęsnęli lekko głową, niepewnie, potem wrócili do swoich rozmów.

Sprawiedliwość ich osądzi. Jako człowiek z miasta, czułem się wyżej ponad takimi wiejskimi bzdurami, jednak uświadamiając sobie, że jej zawód nawet mną lekko wstrząsnął. Cokolwiek się działo pomiędzy nami, byłoby mniej lub bardziej poważne niż jakakolwiek zabawa z lokalną dziewczyną. Pochyliłem się do przodu tak, że ramiona moje i Merrial zdefiniowały nasz własny krąg społeczny.

– Brzmi jak interesująca praca – powiedziałem.

Skinęła głową.

– Dużo matematyki, dużo – i tym razem zniżyła głos – programowania.

– Ach – powiedziałem, próbując wymyślić jakąś odpowiedź, która nie ujawniłaby mnie jako tak uprzedzonego jak koledzy. – Czy to bardzo niebezpieczne? – Powstrzymałem impuls, by spojrzeć nad ramieniem, ale nagle, ostro byłem świadom masywnej obecności

---

<sup>4</sup> oryg. tinker – m.in. dawniej, osoba, która, wędrując, trudniła się naprawą metalowych garnków, w Polsce kotlarz, jednocześnie sam źródłosłów oznacza wprowadzanie drobnych zmian, majsterkowanie, stąd majsterek jako nazwa zawodu (nie używam słowa „majster”, bo oznacza to bezpośrednio mistrza w danym rzemiośle, gdzie „tinker” ma, zdaje się, znaczenie bardziej partacza), por. <https://dictionary.cambridge.org/dictionary/english/tinker> – przyp.tłum.

wzgórz dookoła Miasta, ich zalesionych stoków jak najeżone plecy wielkich bestii Lasów Kaledonu.

– *Biała* logika – wyjaśniła Merrial. – Prawa droga, wiesz? Ścieżka światła. – Nie brzmiała, jakby to rozróżnienie wiele dla niej znaczyło.

– Rozum nas prowadzi – odpowiedziałem z odruchową pobożnością. – Ale, to musi być kuszące. Skróty, tak?

– Ścieżka mocy zawsze jest pokusą – powiedziała, ze zwykłą zażyłością. – Szczególnie gdy pracujesz nad systemem naprowadzania! – Roześmiała się, przyznając, że wzdrygnąłem. Wskazała na swój talizman. – Dość o tym. Wiem, co robię, więc to nie jest niebezpieczne. Przynajmniej, nie tak niebezpieczne jak to wygląda z zewnątrz.

– Dobra. – Pomimo elektrycznego dreszczyku, które jej słowa wzbudziły, byłem skłonny tak jak ona, zmienić temat. – Mogłabyś powiedzieć to samo o tym, czym ja się zajmuję.

– A czym się zajmujesz? – spytała przez uprzejmość. Już wiedziała. Byłem tego pewien, nie do końca wiedząc dlaczego.

– Pracuję w Stoczni – powiedziałem.

– Na Statku?

– Och, nie na Statku! – Samokrytyczny śmiech, niezbyt szczery.

– Na Platformie. Przez lato, jestem spawaczem.

Przełknęła trochę piwa.

– A resztę czasu?

– Jestem uczonym – powiedziałem. – Historii. W Glaschu<sup>5</sup>

Było to lekkie wyolbrzymienie. Właśnie osiągnąłem stopień Mistra Sztuk<sup>6</sup>, a moja letnia praca była szalonym, skromnym wy-

---

<sup>5</sup> gael. Glasgow – przyp.tłum.

<sup>6</sup> oryg. master of arts – zapewne mowa o tytule magistra nauk humanistycznych – przyp.tłum.

siłkiem, żeby zarobić dostatecznie dużo na utrzymanie siebie przy próbie doktoratu. Studia wyższe były moją ambicją, nie moim zawodem. Jednak odmawiałem nazywania siebie studentem. Merrial popatrzyła na mnie ze swego rodzaju wymuszoną empatią podobną do tej, którą ja obdarzyłem jej ujawnienie.

– To brzmi... interesująco – powiedziała. – Jaką *częścią* historii?

Wskazałem na plac, na czarną sylwetkę posągu. Za nią, na wschodzie pojawiały się na niebie pierwsze widzialne gwiazdy wieczoru.

– Życie Wyzwolicielki – powiedziałem.

– I czego się dowiedziałeś? – Pochyliła się bliżej, widocznie bardziej zainteresowana. Jej czarne brwi uniosły się odrobinę, jej ciemne oczy się rozszerzyły. Bez myślenia, zapaliłem papierosa. Pamiętałem o manierach i zaoferowałem jej jednego. Wzięła go, uśmiechając się, i obsłużyła się dzbankiem piwa, potem napełniła moją szklanę.

– Nie myślałam, że jest tam dużo nowego do poznania – dodała, patrząc na mnie spode brwi.

Złapałem przynętę.

– Ach, ale jest! – odpowiedziałem jej. – Wyzwolicielka żyła w Glasgow, wiesz. Przez jakiś czas.

– W wielu miejscach powiedzą ci, że tam żyła, przez jakiś czas! – Merrial się roześmiała.

– Aye, ale mamy dowody – powiedziałem. – Widziałem dokumenty pisane jej własną dłonią i podpisane. Nie ma dyskusji, że to ona je napisała. Co one znaczą, cóż, to zupełnie inna kwestia. A wielka część innych pism, druków to jest, i materiałów, jest ciągle w... wiesz.

– W Mrocznym Magazynie?

– Tak – powiedziałem. – Mroczny Magazyn. Chciałbym... –

Nawet tutaj, nawet teraz, było niemożliwością powiedzenie, co chciałbym. Jednak Merrial zrozumiała.

– Proszę bardzo, colha Gree – powiedziała. – Ścieżka mocy zawsze jest pokusą!

– Tak, tak właśnie jest – przyznałem ponuro. – Możesz na nie spojrzeć, opisane jej własną dłonią, zastanawiasz się, co w nich jest, i . . . cóż.

– Prawdopodobnie skażone – powiedziała energicznie. – Nie-warte zajmowania się.

– Oczywiście, że skażone. . .

Potrząsnęła głową, z lekkim, krótkim zmarszczeniem brwi.

– W znaczeniu technicznym – wytłumaczyła. – Śmieciowe dane, nieczytelne.

Śmieciowe dane? Co to znaczyło?

– Rozumiem – powiedziałem, rozumiejąc tylko tyle, że próbowała wyjaśnić część gwary jej profesji, kolejna nierozsądna intymność.

– Mimo wszystko – kontynuowała – to musi być dziwna praca, historia. Nie wiem, jak możesz to znieść, przekopywanie się przez martwą przeszłość.

Słyszałem wariacje tej samej opinii od tak wielu osób, zaczynając od mojej matki tak, że irytacja wezbrała się we mnie i jestem pewien, że pokazała się to na mojej twarzy. Uśmiechnęła się, jakby zapewniając mnie, że nie miała tego przeciwko mnie osobiście, i dodała:

– Wiesz, Posiadacze działają nie tylko przez czarną logikę. Mogą się dostać do Twojego umysłu również przez słowa na papierze.

– Mówisz bardzo swobodnie – powiedziałem. Jak na kobietę, nie dodałem.

Potraktowała to jako komplement, a tym samym odpląciła się,

nie rozpoznając arogancji na sztywnych nogach, którą przedstawiała moja uwaga.

– To sposób majsterków. – powiedziała, wzbudzając we mnie kolejny szok. – Mówimy, jak chcemy.

Nie mogłem na to odpowiedzieć, więc ciągnąłem dalej.

– Musimy zrozumieć Posiadanie – wyjaśniłem świętoszkowato – żeby zrozumieć Wyzwolenie.

– Ale czy rozumiemy Wyzwolenie? – spytała, dokuczając mi nieubłaganie. – Czy Ty rozumiesz, Clovis colha Gree?

– Nie mogą powiedzieć – powiedziałem, co było wystarczającą prawdą, choć dość ekologicznie z prawdą.

– Dobrze – powiedziała Merrial. – *My* nie twierdzilibyśmy, że je rozumiemy, a znaleźmy Wyzwolicielkę lepiej niż wielu. – Chytry uśmiech. – Jak wiesz.

Skinąłem powoli głową. Wiedziałem dobrze. Pogardzani i prze-rażający, jak czasem są, nie na darmo Majsterkowie są znani jako Dzieci Wyzwolicielki. Dawno temu pracowali nad jej testamentem, w czasach niepokoju, a błogosławieństwo tej pracy chroniło ich przez pokolenia. To i, bardziej cynicznie, ich niejasna i niezastępowalna wiedza.

Słyszałem plotki – zawsze dyskredytowane przez historyków Uniwersytetu – o silnej ciągłości, mrocznych arkanach, które łączyły dzisiejszych majsterków i Wyzwolicielkę, i które sięgały do czasów jeszcze bardziej odległych, kiedy Posiadanie było tylko drzewkiem, jego cień jeszcze nie zasłaniał Ziemi.

Jej dłoń przykryła moją, na krótko.

– Nie rozmawiajmy o tym – powiedziała.

Zatem rozmawialiśmy o innych rzeczach, jej pracy, mojej pracy, dzieciństwie. Szklanki zostały uzupełnione dwa razy. Wstała, ważąc teraz pusty dzbanek.

– To samo jeszcze raz?

Wstałem, mówiąc:

– Załatwię ...

– Nalegam – powiedziała i poszła. Patrzyłem na kołysanie jej bioder, sposób jak się przenosiło na kołysanie jej ciężkiej sukni i kręcenie potoku jej włosów na plecach, gdy przechodziła przez tłum i znikwała w szerokich drzwiach Karonady. Moi przyjaciele obserwowali tę uwagę, ironicznie się uśmiechając.

– Nadeszły dla Ciebie ciekawe czasy, Clovis – zauważył Jondo. Potarł sugestywnie swój długi, czerwony kucyk, sprawiając, że jego dziewczyna się zaśmiała. – Mi to wygląda na urok.

Machard uśmiechnął się drwiąco.

– Poważnie, człowieku – powiedział mi – uważaj. Nie znasz majsterków tak jak my. Są niewierni, bezbożni, klanowi i się nie osiedlają. W najlepszym przypadku złamie ci serce, w najgorszym. . .

– O co wam chodzi? – syknąłem, pochylając się bokiem, żeby trzymać dziewczyny z dala od mojego gniewu. – No weźcie, dajcie jej szansę.

Miny moich dwóch przyjaciół wyrażały beczelną niewinność.

– Spokojnie, Clovis – powiedział Machard. – Tylko rada. Zignoruj ją, jeżeli chcesz, to Twoja sprawa.

– Cholerna racja, że moja – powiedziałem. – Więc pilnujcie swoich. – Powiedziałem lekko ostre słowa, nie kłótlive, ale stanowcze. Obaj chłopaki wruszyli ramionami i wrócili do rozmowy z ich dziewczynami. Zostałem zignorowany tak jak Merrial.

Ostatni pociąg z Inverness zsunął się w dolinę<sup>7</sup>, iskry z kabla nad nim jaskrawe w zmierzchu, i zniknął za pierwszymi domami.

---

<sup>7</sup> oryng. glen – rodzaj doliny, która jest długa i ograniczona łagodnie nachylonymi stokami, zob. <https://en.wikipedia.org/wiki/Glen-przyp.tlum>.

Minutę później mogłem usłyszeć krótkie zamieszanie, gdy zatrzymał się na stacji, kilka ulic dalej. Chmury i szczyty wzgórz były oświetlone na różowo, to samo światło odbijało się od samotnego sterowca, kierującego się na zachód. Kilka światła było włączonych w mieście – wpół do jedenastej wieczorem było znacznie za wcześnie na to – ale domy, które rozciągały się na zboczu doliny i wzdłuż brzegu zaczynały być tak ciemne, jak sosnowy las, który zaczynał się tam, gdzie kończyły się osady.

Wyżej na zboczu doliny, boczne i tylne światła pojazdów wyznaczały meandry drogi, a ciemna zieleń zalesionych wzgórz spotykała jasną zieleń niższych stoków, pole połączone z polem, pastwisko z pastwiskiem aż do miejsca gdzie stoki wzgórz ukrywały widok, a ziemia była ciemna. Gdzieś daleko, ale brzmiąc niesamowicie blisko, zawył wilk, jego przewlekła, złowieszcza nuta czysto słyszalna ponad dźwiękami miasta i hałasem Jarmarku.

Z każdą chwilą plac stawał się coraz bardziej zapełniony i głośniejszy. Picie i tańce miały trwać godzinami. Żonglerzy i akrobaci, połykacze ognia i muzycy współzawodniczyli o uwagę i drobne, ze sobą i kramarzami. Targi w letnie czwartki były lokalnie nazywane „Jarmarkami”, ale tylko raz w miesiącu wypełniały obietnicę, z bardziej imponującym kontyngentem artystów niż był dzisiaj tutaj, jak również z podróżującymi muzykami, wirującymi mechanicznym przejażdżkami i, oczywiście, majsterkami. Ci ostatni zajmujący się ich prawowitymi zajęciami inżynierii i ich mniej szanowanym, ale znacznie częściej dochodową, sztuką wróżenia.

Pociąg odjechał, ciągnąc iskry wzdłuż równiny ujścia rzeki Carron i dookoła południowego brzegu Loch Carron.

Merrial wróciła z pełnym dzbankiem, butelką whisky i tacą małych kieliszków. Bez słowa postawiła tacę i butelkę na środku stołu

i usiadła, tym razem naprzeciwko mnie. Napelniła nasze wysokie szklanki, odstawiła dzbanek i wskazał butelkę whisky.

– Częstujcie się – powiedziała.

Moi przyjaciele po tym stali się bardziej przyjaźni. Wszyscy rozmawialiśmy ze sobą, o pracy, nieuniknionych plotkach i sarkaniach Projektu, o tym skandalu i tamtym brygadziście i innych głupotach. Ironicznie, dziewczyny wydawały się wyłączone, i zaczęły rozmawiać pomiędzy sobą. Merrial, pokazując takt wystarczającą za nas oboje, zauważyła to i stopniowo, teraz, gdy lody zostały przełamane, wróciła do rozmowy ze mną. Jondo i Machard zabrali się do swoich porzuconych zadań uwodzenia i flirtu. Kiedy, kilka godzin później, zaprosiła mnie do swojego domu, ich grubiaństwo było relatywnie ograniczone.

Plac był głośniejszy niż kiedykolwiek. Jedynymi ludźmi idącymi do domu lub do łóżka, byli tacy jak my, robotnicy projektu, którzy, w odróżnieniu od tubylców, musieli pracować następnego dnia, w piątek. Szliśmy ciemną ulicą na północ od placu i przez most nad rzeką Carron ku przedmieściom New Kelso. Merrial zatrzymała się pośrodku mostu. Jednym ramieniem obejmowała moje biodra. Drugim, wskazała dookoła.

– Spójrz – powiedziała. – Co widzisz?

Po naszej prawej, maszynaria miejskiej elektrowni atomowej złowrogo mruczała w ciemnościach, po naszej lewej hodowle ryb, ogrzewane przez odpływ wody z reaktora, rozciągały się na brzegu. Spojrzałem się na lewo, na prawo, potem do tyłu na miasto, na wprost na New Kelso, przez fiord na inne miasteczka.

Uśmiechnęła się, widząc moją zdumioną ciszę.

– W górę.

Nad nami płonęła Droga Mleczna, mrugała zorza polarna, aerostat komunikacyjny świecił się na różowo w słońcu, które dla nas



dawno temu zaszło. Wielki Wóz wisiał nad wzgórzami na północy. Meteor zabłysł krótko, moje westchnienie efekt dźwiękowy dla jego cichego przejścia. Na zachodzie niebo ciągle było podświetlone, słońce wszędzie za cztery godziny.

– Widzę gwiazdy – powiedziałem.

– Dokładnie – powiedziała, zadowolona z mojej spostrzegawczości. – Możesz. Jesteśmy w środku miasta z dziesięcioma tysiącami mieszkańców i możesz zobaczyć Drogę Mleczną. Nie tak dobrze, jak zobaczyłbyś ją ze szczytu Glas Bhein, oczywiście, ale możesz ją zobaczyć. Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami, patrząc tam i z powrotem. Nigdy o tym nie myślałem.

– Nie ma chmur? – zasugerowałem bystrze.

Roześmiała się, złapała moją dłoń i pociągnęła mnie do przodu.

– I ty jesteś uczonym historii!

– Co to ma do rzeczy?

Wskazała na lampę uliczną na końcu balustrady mostu. Słup lampy miał jakieś trzy metry wysokości, wewnętrzna odbijająca powierzchnia jej stożkowej oprawy ostro blokowała prawie całą iluminację do góry.

– Czy kiedykolwiek widziałeś lampy jak ta na obrazach dawnych czasów? – spytała.

– Teraz gdy o tym myślę – odpowiedziałem – to nie.

– Miasto tej wielkości miałyby lampy wszędzie, świecące światłem w niebo. Od lamp ulicznych, okien i witryn sklepowych. Samo powietrze by świeciło. Mógłbyś zobaczyć garść gwiazd w najczystszej noc.

Myślałem o starych zdjęciach, na które patrzyłem przez szkło.

– Wiesz, masz rację – powiedziałem. – Tak to właśnie wyglądało.

– Niektórzy ludzie – kontynuowała Merrial, w nagłym przypiływie gniewu – żyli całe życie ani razu nie oglądając Drogi Mlecznej!

– Bardzo smutne – powiedziałem. W rzeczywistości ta myśl spowodowała ucisk w piersi, jakbym walczył o oddech. – Jak oni to znosili?

– Ta, cóż, to jest pytanie, które równie dobrze mógłbyś zadać. – Spojrzała na mnie. – Myślałam, że wiedziałeś.

– Szczerze mówiąc, nigdy nie zauważyłem.

– A dlaczego tak nie robimy? – Znowu wskazała na elektryczny półmrok otaczającego miasto.

– Ponieważ byłoby to marnotrawstwem – powiedziałem. Gdy tylko powiedziałem, zrozumiałem, że powiedziałem to bez myślenia i nie była to odpowiedź.

Merrial się roześmiała.

– Mamy niepotrzebną moc!

Teraz ja się nagle zatrzymałem. Skręciliśmy w prawo i szliśmy ścieżką koło elektrowni. Wiedziałem na pewno, że mogłaby, kiedy potrzeba w nagłym przypadku – gdy dodatkowe ogrzewanie było potrzebne, żeby usunąć śnieg po zamieci – wyprodukować dostatecznie dużo elektryczności, żeby kilka razy oświetlić Carron Town.

– Masz rację – powiedziałem. – Więc dlaczego tego nie robimy? Widziałem zdjęcia wielkich starożytnych miast i, masz rację, one się świeciły. Wyglądały... imponująco. Może było tak jasno, że nie potrzebowali gwiazd, w zamian mieli światła miast. Sami sobie stworzyli gwiazdy!

Merrial powoli kręciła głową.

– Może to byłoby dobre dla nich – powiedziała. – Ale nie byłoby dla nas. Wszyscy stajemy się... niespokojni, kiedy nie możemy zobaczyć nocnego nieba. A Ty nie, tylko o tym myśląc?

Wziąłem głęboki wdech i wypuściłem go z westchnieniem.

– Ta, masz rację! – Szliśmy, jej kroki nadawały tempo mojej wolniejszej przechadzce.

– Jesteś dziwną kobietą – powiedziałem.

Uśmiechnęła się, przytrzymała moje biodra bardziej stanowczo i oparła głowę o moje ramię. Zauważyłem, że patrzę na jej włosy, i niżej w wycięcie dekoltu jej sukni i jasny kamień pomiędzy jej piersiami.

– Pewnie, że jestem – powiedziała. – Ale wszyscy jesteśmy, to chcę powiedzieć. Jesteśmy inni od ludzi, którzy byli przed nami, lub przed czasami Wyzwolicielki, i nikt się nie zastanawia, jak i dlaczego. Uczucia wobec nieba są tylko tego częścią. Żyjemy dłużej i mniej się rozmnażamy, chorujemy mało, czasem myślę, że nawet nasz wzrok jest lepszy. Wszystkie te zmiany są wpisane na stałe w nasze geny odporne na promieniowanie. . .

– Nasze co?

Poczułem wzruszenie jej ramion.

– Tylko żargon majsterków, colha Gree. Nie martw się. Podłapiesz.

– Och, na pewno, co?

– Tak. Jeżeli ze mną zostaniesz.

Na to była tylko jedna odpowiedź. Odwróciłem ją i pocałowałem. Przycisnęła swoje usta do moich i wsunęła ręce pod mój rozpięty płaszcz i zaczęła wędrować nimi po bokach i plecach. Czułem je przez moją jedwabną koszulę jako małe gorące zwierzęta. Pocałunek trwał przez jakiś czas i skończył się z naszymi językami trzepoczącymi jak ryby na dnie głębokiego stawu. Potem odchyliła się, chwyciła moje ramiona, spojrzała na mnie i powiedziała:

– Zdaje się, że to oznacza, że zostajesz, colha Gree.

Nagle oboje się śmiałyśmy. Złapała moją dłoń, machnęła ją i zaczęliśmy znowu iść, rozmawiając nie wiadomo o czym. Na skraju

miasta skręciliśmy na rogu w małe osiedle około tuzina jednopiętrowych drewnianych domów z kominami. Niektóre domy były oddzielne, każdy z własną grządką ogrodu. Inne, mniejsze, były ustawione w nie do końca uporządkowanych rzędach. Nawet latem, nawet z kablami elektrycznymi wiszącymi wszędzie, zapach dymu drzewnego utrzymywał się w powietrzu. Żółte światła świeciły się zza słomianych żaluzji. Pies zaszczeakał i został ucieszony zirytowanym okrzykiem.

– Hej, no chodź – powiedziała Merrial z psotnym uśmiechem.

Nie zauważyłem, że moje stopy zawahały się, gdy ścieżka zmieniła się z bruku na udeptany żwir.

– Nigdy wcześniej nie byłem w obozie majsterków – przeprosiłem.

– Nie gryziemy. – Kolejny bezczelny uśmiech. – Cóż, to znaczy...

– Jesteś okropną kobietą.

– Och, jestem, naprawdę. Okrutną, tak mi powiedziano.

– Trzymam Cię za słowo.

– Trzymam Cię za więcej.

Trzymała mnie, gdy zatrzymała się przed jednym z tych małych domów w środku rzędu, i wygrzebała kluczyk długości pięciu centymetrów na rzemyku przyczepionym do jej pasa, ale schowanym w rozcięciu z boku jej sukni. Zamek też wydawał się niedorzecznie mały, mosiężna okrągła plama na białych drzwiach na poziomie oczu.

– Więc wchodzisz czy co?

Pożądanie i rozum walczyły ze strachem i przesądem, i wygrały. Wszedłem za nią nad progiem z polerowanego drewna, gdy włączyła elektryczne światło. Stałem przez chwilę, mrugając na nagłą, czterdziestowatową powódź. Główny pokój miał jakieś cztery

metry na sześć. Przy przeciwległej ścianie stał piecyk na drewno, pochylony nisko. Nad nim był szeroki gzyms, na którym głośno cykał wielki zegar. Było w pół do pierwszej. Po obu stronach piecyka stały rzędy półek z setkami książek. W rogu po lewej wystawał ze ściany stół warsztatowy, z mikroskopem, i piekielnym bałaganem lutownic, kabli i narzędzi. Szorstkie, niepolerowane kryształy widzenia różnych wielkości leżały pomiędzy nimi. Główny stół domu był wielkim, dębowym kwadratem około półtorametrowego boku na rzeźbionych nogach. Na nim był położony szydełkowany bawełniany obrus, przyciśnięty na środku przez półkulę kryształu widzenia przynajmniej średnicy trzydziestu centymetrów, tak delikatnie wykończony, że wyglądał jak kopała ze szkła. W środku, przesuwały się wzgórza i chmury.

Merial chwilę stała przy stole, sięgnęła za głowę i wyjęła zapinkę z włosów tak, że dwa wąskie warkocze opadły do przodu i obramowały jej twarz. Potem uniosła łańcuch z talizmanem oraz inny, delikatniejszy srebrny łańcuszek, z szyi i odłożyła je na stół.

Miejsce pachniało dymem z drewna, ziołami i kwitnącymi roślinami wciśniętymi w niedbale wybrane pojemniki w każdym możliwym kącie. Drewniane ściany były polakierowane, wisiąca na nich bezsensowna różnorodność starych druków i obrazów – krajobrazy, damy, lisy, koty, tego rodzaju rzeczy – i przypięte rysunki związane z projektem. Otwarte drzwi prowadziły do małej pomywalni, zasłonięta alkowa koło niej zabierała resztę tego końca pokoju. Domniemywałem, że zawierała łóżko.

Jednak poprowadziła mnie najpierw na starą, wielką skórzaną sofę przed kominkiem. Na w pół oparła, na w pół usiadła na niej i zaczęła rozpinać moją koszulę, potem zbadła moją pierś ustami i językiem – i zębami – gdy ja zająłem się rozpinaniem zapieć na plecach jej sukienki, i zdejmowaniem swoich butów. Gdy skopałem

prawy but, *sgean dhu*<sup>8</sup> zastukał na podłodze. Do tego czasu rozpięła mój pas i z poruszeniem i krokiem oboje zrzuciliśmy nasze ubrania, które upadły na podłogę we własnym pozamałżeńskim połączeniu. Merrial stała przez chwilę w niczym, prócz jej długiej jedwabnej halki. Chwyciłem ją w ramiona, jej sutki twarde, pierś miękka i ciepła o moją pierś, i znowu się pocałowaliśmy.

Poruszaliśmy się, tańczyliśmy, Merrial prowadziła, ku zasłoniętej alkwie. Odsunęła zasłonę, aby pokazać wielkie i uspokajająco solidnie wyglądające łóżko. Ukląknę przed nią i ściągnąłem jej halkę i majtki, pocałowałem ją pomiędzy nogami aż delikatnie podniosła mnie. Udało mi się zostawić moją bieliznę na podłodze.

Patrzyliśmy na siebie nadzy jak Mężczyzna i Kobieta w Ogrodzie z tamtej historii. Merrial na wpół odwrócona, odrzuciła narzutę i podniosła z łóżka długą, białą, bawełnianą koszulę nocną, którą strząsnęła i przez chwilę trzymała w dłoniach.

– *Tego* dzisiaj nie będę potrzebować. – Uśmiechnęła się i rzuciła ją na podłogę, a mnie na łóżko.

Obudziłem się w świetle dnia i leżałem kilka chwil, wygrzewając się w poświacie i gorących powidokach miłości i seksu. Przetaczając się i sięgając ramieniem, odkryłem, że byłem sam w łóżku. Było jeszcze ciepło, tam, gdzie spała Merrial. Powietrze było wypełnione zapachem kawy i stałym tykaniem zegara. . .

Czas! Usiadłem w pośpiechu i pochyliłem się, żeby zobaczyć tarczę zegara, odkryłem z ulgą, że była dopiero piąta. Dzięki Opatrzności spaliśmy tylko półtorej godziny. Tym samym ruchem odkryłem przyczynę małych dolegliwości: ugryzień na moich ramionach

---

<sup>8</sup> gael. sgian-dubh – mały nożyk noszony jako część tradycyjnego szkockiego ubioru, więcej <https://en.wikipedia.org/wiki/Sgian-dubh> – przyp.tłum.

i karku, zadrapaniach na plecach i pośladkach, bolących mięśni, otartej skóry...

Zwierzę, którego ataki spowodowały te rany, wyszło pomywalni.

– Dzień dobry – powiedziała.

Wydałem swego rodzaju skrzeczące odgłosy. Merrial się uśmiechnęła i podała mi jeden z dwóch parujących kubków, które niosła. Usiadła w nogach łóżka, podciągając kolana pod brodę, żeby schować się w koszuli, jej wysoki kołnierz, długie rękawy i zawity haft dawały jej absurdalny wygląd skromności.

Łyknałem z wdzięcznością kawy, nie mogąc oderwać od niej oczu. Patrzyła spokojnie na mnie, uśmiechając się jak zadowolony kot.

– Dzień dobry – powiedziałem, w końcu odnajdując słowa. – I dziękuję.

– Nie tylko za kawę, mam nadzieję – powiedziała Merrial.

Uśmiechałem się tak mocno, że moje policzki też bolały.

– Nie, nie tylko za kawę. Boże, Merrial, ja nigdy...

Nie wiedziałem jak to powiedzieć.

– Nie robiłeś tego wcześniej – zapytała niewinnie.

Kawa spadła mi do nosa, gdy prychnąłem ze śmiechu.

– W porównaniu z ostatnią nocą, równie dobrze mógłbym nigdy – przyznałem smutno. – Jesteś... jesteś niesamowita!

Jej spokojny wzrok mnie podtrzymywał. Nie okazywała najmniejszego zażenowania.

– Och, nie jesteś taki zły, colha Gree – powiedziała oceniającym tonem. – Ale musisz się jeszcze dużo nauczyć.

– Mam nadzieję, że mnie nauczysz.

– Jestem pewna, że tak – powiedziała. – Jeżeli będziesz chciał ze mną zostać, znaczy. – Machnęła dłonią, jakby tak kwestia nie była jeszcze ustalona.

– Zostać z Tobą? Och, Merrial! – Nie mogłem mówić.

– Co?

– Nic nie sprawi, żebym cię opuścił. Nigdy.

Byłem prawie przerażony tym, co mówiłem. Nie sądziłem, że usłyszę siebie mówiącego takie słowa, nie jeszcze przez długi czas.

– Jak miło, że to mówisz – powiedział, bardzo poważnie, ale z uśmiechem. – Ale...

– Ale nic! – Sięgnąłem w bok i położyłem kubek na podłodze, przesunąłem się wzdłuż łóżka do niej. Bez odwracania wzroku, też odłożyła swój kubek, na kufer na końcu łóżka, i przesunęła się do przodu na kolanach. Klęczeliśmy objęcia oboje.

– Kocham Cię – powiedziałem. Musiałem powiedzieć to wcześniej, powiedzieć to wiele razy przez tę noc, ale teraz za tymi słowami kryła się cała powaga na świecie.

– Ja też Ciebie kocham – powiedziała. Przyłgnęła do mnie z nagłą zawziętością i oparła twarz na moim ramieniu. Mokre, słone łzy ukąsiły tam w ślady po ugryzieniu. Pociągnęła nosem i podniosła głowę, mrugając teraz nawet jaśniejszymi oczami.

– Co się stało? – spytałem.

– Jestem szczęśliwa – powiedziała.

– To ja też.

Spojrzała na mnie poważnie.

– Muszę to powiedzieć – powiedziała, z kolejnym niekobiecym pociągnięciem nosem. – Kochanie mnie nie zawsze cię uszczęśliwi.

Nie mogłem sobie wyobrazić, co miała na myśli, i też nie chciałem.

– Dlaczego to mówisz?

– Ponieważ muszę – powiedziała. Jej głos był spięty. – Ponieważ muszę być z Tobą uczciwa.



– Ta, pewnie – powiedziałem. – Cóż, już mnie ostrzegłaś, czy mogę się zająć Kochaniem Ciebie?

Natychmiast się rozjaśniła, jakby jakiś ciężki obowiązek został zdjęty z jej ramion.

– Och tak! – powiedziała, znowu mnie przytulając. – Kochaj mnie, ile chcesz, Kochaj mnie na zawsze! – Odsunęła się lekko, spojrzała w dół, potem znowu spojrzała na mnie.

– Ale nie teraz – dodała z żalem. – Musisz iść.

– Teraz?! – Wypadliśmy z naszego wspólnego snu w codzienny świat, gdzie byliśmy dwoma osobami, które, tak naprawdę, nie znały się wcale tak dobrze.

– Tak – nalegała. – Musisz wrócić do miasta, wziąć . . . prysznic, przygotować się do pracy i złapać autobus o wpół do siódmej.

– Mogę go złapać stąd.

– Piekło, nie możesz. Ludzie będą gadać.

– I tak będą gadać.

– Mam na myśli, ludzie tutaj.

Zszedłem niechętnie z łóżka. Merrial wsunęła się zwinnie pod kołdrę i podciągnęła ją aż do brody.

– A co z Tobą? – spytałem, gdy szukałem i układałem ubrania.

– Jestem robotnikiem umysłowym – powiedziała zadowolona z siebie, gdy się opatulęła. – Zaczynamy o dziewiątej.

Patrzyła na mnie ubierającego się z rodzajem tkliwej ciekawości.

– Co masz przy swoim pasku?

Poklepałem twardą skórzaną sakiewkę i zapiąłem pas.

– Narzędzia rzemieślnika – odpowiedziałem jej – i broń dżentelmena.

– Rozumiem – powiedział z aprobatą.

– Zatem kiedy Cię znowu zobaczę? – spytałem, gdy odnalazłem *sgean dhu* i wsunąłem go z powrotem z boku buta.

– Wieczorem, ósma, przy pomniku? Pójdziemy coś zjeść?

Udawałem, że namyślałem się nad tym pomysłem, potem się roześmialiśmy, a ona usiadła i sięgnęła ku mnie. Przytuliliśmy się i pocałowaliśmy na pożegnanie. Gdy cofałem się do drzwi, niechętny każdej chwili bez niej na widoku, migotanie od dużego kryształu widzenia złapało moje oko. Zatrzymałem się przy stole i schyliłem się obejrzeć. Gdy to robiłem, zauważyłem oba naszyjniki Merrial: talizman – mały kryształ widzenia – teraz pokazywał niejasno organiczne ślady zieleni, a na srebrnym łańcuchu był srebrny element około centymetra w średnicy, gdzie ukazywał się monogram złożony z liter „G” i „T” i cyfry „4”.

Rzecz na środku stołu była cała czarna, prócz dwóch układu punktów światła, które mogły być pochodniami, miastami lub gwiazdami. Błyskały sporadycznie, a jasne kropki literowały jedno słowo: POMOC.

Spojrzałem na Merrial.

– To dotarło do końca swojego biegu – zauważyłem.

– Zresetuj więc – powiedział zaspana z poduszki.

Potałem chłodną powierzchnię kamienia o rękaw, przywracając jego chaos, i z ostatnim uśmiechem do Merrial, otworzyłem drzwi i wyszedłem na słońce o pierwszym pianiu koguta.

*i zarzuciła ramiona na niego tej samej nocy, gdy pociągnęła go w dół.*

## Rozdział 2

# Dawne Czasy

*Śmierć za mną podąży*, pomyślała, gdy jechała do obozu pracy. Było coś w tym nieubłaganego, niczym logika: podąży, podąży . . .

Pojawienie się myśli nie miało nic wspólnego z logiką, pojawiła się w tle na powierzchni jej umysłu, kiedykolwiek umysł był czysty. Trochę ją to męczyło, tak jak inna myśl, która dryfowała w takich chwilach: *gdzie jest chyża konnica?*

Brama zasunęła się za nią, piszcząc na zardzewiałych rowkach. Wiatr ze stepu szumiał na ogrodzeniu z drutu kolczastego i zamiatał wzbity kurz, gdy kierowała czarnym koniem. Strażnik pośpieszył. W jakiś sposób udało mu się ukazać energiczny żołnierski krok jako uniżony, nawet gdy jego mundur, zrobiony z ciemnoniebieskiej tkaniny, wyglądał na wojskowy. Uchylił czapki bejsbolówki z logo i literami „Ochrony Wzajemnej”.

– Dzień dobry, Obywatelko.

Ten tytuł był już grzecznościowy. Myra Godwin-Dawidowa uśmiechnęła się i podała mu wodze.

– Dzień dobry – odpowiedziała, zsiadając z konia. Mogłaby usłyszeć skrzypienie w kolanach. Uniosła sakwy przy siodle i zarzuciła je na ramię. Waga prawie nią zachwiała i ramię strażnika szarpnęło ku niej. Jednak nie zamierzała zaakceptować żadnej pomocy z tej strony. – To będzie wszystko, dziękuję.

– Jak sobie życzyście, Obywatelko. – Strażnik zasalutował i założył czapkę. Ciągłe patrzyła na niego z góry, jej buty jeździeckie dodawały siedem centymetrów do jej metra osiemdziesięciu.

Poklepała zad wielkiej klaczy i patrzyła, jak strażnik odprowadzał bestię, potem ruszyła w kierunku baraków noclegowych. Gdy szła, zdjęła skórzane rękawice, wepchnęła je niezręcznie w głębokich kieszeniach jej długiego futrzanego płaszcza i schowała dzikie pasmo pod uszankę<sup>1</sup>. Dłonie cętkowane, pokazujące się żyły, prążkowane paznokcie: twarde pazury starego ptaka, ciągle elastyczne, ale lepsza wskazówka co do jej prawdziwego wieku niż szorstko poryta, ale jędrna twarz, proste plecy i gibki krok. Jej kolana bolały, ale próbowała tego nie pokazywać, lub, żeby ją to zwolniło.

Obóz miał około jednego kilometra na dwa kilometry. Ponad odległym płotem mogła patrzeć aż do horyzontu, ponad którymi wyrastało wiele platform startowych i kilka pozostałych wysokich statków starego portu. Kiedyś była to dumna flota. Ile czasu minie, zanim będzie musiała powiedzieć, *wszystko moje statki odeszły, moi ludzie nie żyją?*.

Jakby drwiąc z jej myśli, mały statek przeleciał, rycząc. Dostrzegła fragment: kanciasty, wielościanowy, półprzezroczysty, widmowy niewykrywalny bombowiec wrzeszczał prosto w niebo z Bajkonuru na odrzucie z pary podgrzewanej laserowo. Ślady powidoków unosiły się irytująco przed nią, gdy zdecydowanie odwróciła wzrok na ziemię.

Jedna z fabryk obozu była kilkaset metrów dalej, kompleks aluminiowych rur i kabli światłowodowych w mdląco wyglądającej organicznej masie około pięćdziesięciu metrów szerokości i dwudziestu wysokości, w której kabiny sterowania i ludzkie chodniki

---

<sup>1</sup> oryg. sable hat – dosł. czapka sobolowa, prawdopodobnie uszanka tj. czapka futrzana – przyp.tlum.

były wybrzuszeniami i gwintowaniem jak jaja i wysięki jakiegoś gargantuicznego owada. Nazwa firmy, która była tego właścicielem, Kosmiczni Kupcy, była wypisana krętym neonem na dachu.

Gdy zbliżała się do najbliższego osiedla robotników, uderzyło Myrę, nie po raz pierwszy, że baraki były bardziej nowoczesne i komfortowe niż betonowy blok mieszkalny, w którym mieszkała. Każdy barak był półcyldryczny, jego zaokrąglone końce opływowo wobec dominujących wiatrów, pokrycie z smoło-czarnego poliwęglanu z rzędami okien oszklonych diamentowymi płytami.

Ta szczególna grupa baraków była dwoma rzędami po dzieśnięć, z wyjeżdżonymi resztkami wybrukowanej, szerokiej na dwadzieścia metrów, drogi pomiędzy nimi. Grupa kilkunastu mężczyzn była zaangażowana w naprawę drogi, bryza niosła podmuchy potu i smoły. Mężczyźni używali łopat, palnika gazowego w urządzeniu rozgarniająco-wysypywującym i kaszlącego walca dieslowego: prymitywny, ciężki sprzęt. Na poboczu wylegiwał się strażnik Ochrony Wzajemnej w niebieskim kombinezonie, grzebiąc w zębach i widocznie oglądając przedstawienie na siatkówkach oczu, słuchając muzyki lub komentarzy w uszach.

Wyłonienie się cienia Myry sprawiło, że podskoczył, mrugnął i potrząsnął głową z drobnym dreszczem. Zaczął się podnosić.

– Nie ma potrzeby wstawać – powiedziała niegrzecznie Myra. – Chciałam porozmawiać z kilkoma ludźmi.

– Są na przerwie, Obywatelko – powiedział, mrużąc na nią oczy. – Więc to zależy od nich, dobra?

– Dobra – powiedziała Myra. Praca fizyczna liczyła się jako wypoczynek. To umysłowa praca projektowania i monitorowania wyczerpywała nerwy skazanych.

Odwróciła się do mężczyzn, którzy jej pomachali, krzyknęli powitania i wyjaśnienia: musiała poczekać kilka minut, które zaję-

łoby im zakończenie układania i walcowania jakiegoś świeżo wylanego asfaltu. Nie oferując strażnikowi, zapaliła Marleya i pozwoliła mężczyznom zakończyć przerwę w swoim czasie. Zawsze nalegała, żeby jej przyjazdy i inspekcje liczyły się jako czas pracy dla pracowników.

Jej nastrój się polepszył, gdy zadziały Wirginia i Maroko. Pracownicy mieli swoje żółte kombinezony zwinięte do pasa i pocili się mimo tego, że temperatura była nieco powyżej punktu zamarzania. Większość z nich była młodsza – spójrzmy prawdzie w oczy, *znacznie* młodsza – niż ona. Ciemno-opaleni Koreańczycy i Japończycy, umięśnieni jak uczniowie sztuk walki, którym rzeczywiście niektórzy byli. Lubiła ich obserwować, efekt dymu wzmacniający podstawowy ton pożądania, szczęścia, radosny szum hormonów. . .

Jednak to przypomniało jej Georgiego i jej nastrój znowu się zepsuł. Georgi nie żył. Czasem wydawało się, że każdy mężczyzna, którego wyruchała, zmarł. To jakby przenosiła chorobę: Niall MacCallum zmarł w wypadku samochodowym, Jaime Gonzalez zmarł – kiedy? – *siedemdziesiąt* lat temu w wojnie z Contras<sup>2</sup>, Jon Wilde zmarł w jej ramionach na poboczu drogi do Karagandy (na śniegu, który stawał się czerwony, gdy on stawał się biały), a teraz Georgi Dawidow zmarł na atak serca w konsulacie w Ałma-Acie. (Uważali, że *ona* w *to* uwierzy?)

Byli też inni, przypomniała sobie. Całkiem niedawno inni. To nie tak, że każdy mężczyzna, którego ruchała, był skazany, to był każdy mężczyzna, którego kiedykolwiek *kochała*. Był tylko jeden wyjątek, o którym wiedziała. Wszyscy jej mężczyźni nie żyli, prócz jednego, a on był zabójcą.

---

<sup>2</sup> wojna w Nikaragui pomiędzy pravicową partyzantką Contras, a lewicowym Frontem Wyzwolenia Narodowego, zob. <https://pl.wikipedia.org/wiki/Contras> – przyp.tłum.

Nawet, prawdopodobnie, zabójcą Georgiego. *Pierdolony atak serca, blada dupa!* To był jeden z ich ruchów, musiał być, ruch w końcówce.

Drzwi gdzieś uderzyły i ulica nagle zaroiła się od dzieci gnających i wrzeszczących, ich języki i akcenty tak zróżnicowane jak kolory ich skóry. Kilka z przymusowych pracowników było kobietami, ale wielu mężczyzn zabrało kobiety. Zachęcano nawet więźniów, żeby sprowadzali swoje rodziny. Było to humanitarne, ale też polityczne: mężczyzna z kobietą i dziećmi raczej nie ryzykowałby ucieczki lub buntu.

Otoczona przez dzieci wołające ojców, wciskające palce w gorący asfalt, zbierające się wokół maszyn i głośno dociekające, grupa dorosłych w końcu skończyła, zostawiając strażnika, żeby uważał na świeżo zrobioną drogę. Myra rozkoszowała się jego niezadowolonym spojrzeniem, gdy zmiażdżyła niedopałek pod obcasem i wyszła na środek niewyasyfaltowanej części ulicy.

– Cześć, chłopaki.

Wszyscy wiedzieli kim była, ale jedynymi pośród nich, których rozpoznała, było członkami komitetu obozu, Kim Nok-Yung i Shin Se-Ha. Pierwszy był młodym koreańskim stoczniowcem, krępy i twardy. Drugi był japońskim matematykiem smukłej budowy i o czujnym obliczu. Kim złapał jej dłoń, uśmiechając się szeroko.

– Witaj, Myro.

– Dobrze Cię widzieć, Nok-Yung. I Ciebie, Se-Ha.

Japończyk pochylił głowę.

– Cześć. – Nalegał na zabranie jej sakw. Cała grupa ją otoczyła, błyskając oczami i zębami, rozmawiając ze sobą i z nią bez przykładania wagi do wzajemnego zrozumienia. Odpędzili dzieci i poprowadzili ją do najbliższego baraku. Błona wejściowa otarła się o nią, wybuchła prysznicem kropelek o zapachu antyseptyków i wróciła

do kształtu za nią. Mrugnęła szybko i zrzuciła jej ciężki płaszcz, zakładając go na jeden z rzędu haków, które wyrastały z zakrzywionej ściany.

Jej pierwszy głęboki oddech był wystarczającym dowodem jak efektywna była błona filtrująca we wstrzymywaniu pyłu. W tym samym czasie, zarumieniła się jej skóra, gdy jej system odpornościowy rzucił się badać to nano, którym oddychała, występujące właściwie tylko we wnętrzu tego budynku. Poszła za Kimem do jadalni, przewiewnej przestrzeni płaskich mebli, niektórych ostrzegawczo czerwonych, wskazujących, że są do podgrzewania, innych białych do jedzenia. Krzesła były wyłożone czarnym plastikiem z poliwęglanu. Dookoła na ścianach, ustawione na półkach, lub złożone na podłodze, były tysiące książek: wieki klasyki, bestsellerów, przebojów i podręczników, jak gdyby zdmuchnięte z czterech stron świata i zatrzymane na tej zaporze. Tak samo byłoby w każdym innym baraku. Kolejnym wspólnym elementem bałaganu były instrumenty muzyczne, sprzęt rzemieślniczy i wyniki: statki kosmiczne w butelkach, wyszukanie wyrzeźbione, drewniane zabawki.

Gdy usiedli dookoła stołu, Myra poczuła się nieswojo i na krawędzi. Wyjęła „opaskę na oczy”, półksiężyc szeroki na pół centymetra z półprzezroczystego plastiku z włosów i nasunęła je na skroń, przed oczy. Wiadomość dryfowała po jej siatkówce.

– Nanoprotect56 wykrył w pokoju następujące znane molekuly inwigilacyjne: Datafag, Hackendice, Reportback, Merkury, Mołdawskie. Czy chcesz usunąć?

Mrugnęła, gdy kursor zatrzymał się na opcji „Kontynuuj”, wzięła głęboki wdech i przytrzymała, aż zaczęły boleć jej płuca, potem wypuściła powietrze. Twarze dookoła stołu były niezaciekawione i rozbawione.

– Czyszczenie w trakcie – zaraportował wyświetlacz na siat-



kówce. Myra wzięła głęboki wdech. Tym razem czuła chłód, jak również gładkość.

– Więc mamy prywatność – powiedział jeden z Koreańczyków, z silną ironią.

– Och, jebać to – powiedziała Myra. – Zdarza się za każdym razem. Musisz założyć, że słuchają. – Musiało być coś jeszcze, co jej programy nie wyłapywały: wyobrażała sobie maleńkie maszyny Turinga<sup>3</sup> tykające, wszywające wibracje dźwięku w długie łańcuchy cząsteczek w kurzu. Wyjęła z kieszeni rejestrator, większy i mniej zaawansowany niż ten w jej wyobraźni, i położyła go na stole.

– I słucham. Zatem, co dla mnie macie?

Szybka wymiana spojrzeń dookoła stołu zakończyła się jak zwykle zaakceptowaniem Kim Nok-Yunga jako rzecznika. Zaszeleścił papierem z wewnętrznej kieszeni i przesunął palcem po protokole. Nowe Sprawy zaczynały się od rutynowych pierwszych pytań.

– Jakiś postęp w uznaniu jeńców wojennych?

Myra była dotknięta nutą nadziei, z którą zadawał to pytanie, setny raz, bez zmiany od pierwszego. Zaciśnęła usta i potrząsnęła głową.

– Przepraszam, chłopaki. Czerwony Krzyż i Półksiężyc pracują nad tym, oraz Amnesty. Nadal nic.

Nok-Yung wzruszył ramionami.

– Och, dobra. Proszę, standardowo zaprotestuj.

– Oczywiście.

Gdy przeszli przez listę skarg, warunków, przydziałów i wypłat, Myra zauważyła, że cały wzorzec produkcji w obozie się zmienił. Intensywność pracy i wielkość produkcji drastycznie wzrosły. Dwa-

---

<sup>3</sup> abstrakcyjny model urządzenia służącego do wykonywania algorytmów, zob [https://pl.wikipedia.org/wiki/Maszyna\\_Turinga](https://pl.wikipedia.org/wiki/Maszyna_Turinga) – przyp.tlum.

dzieścia silników i sto modułów habitatów ukończonych przez Kosmicznych Kupców w zeszłym miesiącu! Nok-Yung i S-Ha subtelnie podkreślali zmiany ostrożnymi spojrzeniami i zmianami w tonie, ale wyraźnie nie komentowali.

Myra rozejrzała się po stole, kiedy dotarli do końca agendy. Nikt nie skarżył się na przyśpieszenie. Nie wydawali się zmartwieni. W powietrzu była aura tłumionego podniecenia, prawie radości, gdy czekali na jej przemowę. Sprawdziła raz jeszcze liczby w głowie i zrozumiała wstrząśnięta, że przy tym tempie większość z tych mężczyzn odpracuje swoje grzywny – lub „długi” – w ciągu miesięcy zamiast lat.

Kolejny ruch w końcówce. Myra skinęła lekko głową i się uśmiechnęła.

– Cóż, to wszystko – powiedziała. – Nie przepracowujcie się, chłopaki. Naprawdę. Upewnijcie się, że macie dużo dróg do naprawienia, ok?

Więżniowie tylko się uśmiechnęli ze współdzielonej tajemnicy. Sięgnęła do sakw, jakby coś właśnie sobie przypominając.

– Przywiozłam trochę książek dla was.

Mężczyźni pochylili się z zapalem, gdy rozpakowywała. Nie mieli prawa do jakiegokolwiek interfejsu z siecią i nic nie mogłoby wykorzystane do zbudowania takiego: żadnych telewizorów, komputerów, czytników, czy sprzętu do VR, czy do muzyki. Nic nie mogło powstrzymać Myry od przyniesienia czegokolwiek, by chciała – sakwy były prawnie pocztą dyplomatyczną – ale każdy elektroniczny lub molekularny przemysł zostałby skonfiskowany tuż po jej wyjściu. Zatem musiały to być książki. Więżniowie i ich rodziny pragnęli ich nienasyconie. Każda wizyta Myry dodawała więcej do tej tendencji.

Tym razem miała tuziny książek w miękkiej oprawie z gustow-

nymi okładkami sztuki nowoczesnej i szarymi grzbietami, Klasyka 20 wieku – Harold Robbins, Stephen King, Dean Koontz i tak dalej – które przesunęła przez stół ku mężczyznom, których nazwisk nie znała. Dla jej przyjaciół Nok-Yunga i Se-Ha zachowała najlepsze na koniec: książki w twardej oprawie tak stare, że tylko zaawansowane środki ochrony zachowywały je od rozpadnięcia się w kurz. . .

Prawie tak jak ją, pomyślała, gdy książki przechodziły jedna po drugiej z jej sękatych dłoni: niesamowicie rzadka, prawdopodobnie unikalna, kopia Stirnera w redakcji Tuckera, *Przenośny Nietzsche* Vikinga i zniszczona edycja *Pierwszych Zasad* Spencera z Biblioteki Myślicieli.

Kim Nok-Yung spojrział na nie z szacunkiem, potem na nią. Shin Se-Ha był w jakimś transie. Nok-Yung pokręcił głową.

– To za wiele – powiedział, prawie gniewnie. – Myra, nie możesz. . .

– Och tak, mogę.

– Skąd je dostałaś? – spytał Se-Ha.

Myra wzruszyła ramionami.

– Od Reida, dość zabawne.

Wszyscy ludzie patrzyli teraz na nią, z kwaśnymi uśmiechami.

– Od *David*a Reid? Właściciela? – Kim machnął ręką, wskazując wszystko w zasięg wzroku.

– Ta – powiedziała Myra. – Tego samego.

Nastąpiła chwila trzeźwej ciszy.

– Dobra – powiedział w końcu Nok-Yung – mam nadzieję, że wykorzystamy je lepiej niż on, bękart.

Wszyscy się roześmiali, nawet Myra.

– Ja też – powiedziała.

Rozsiała się na krzesło, puściła wokół paczkę Marleyów i zaakceptowała ofertę kawy.

– Dobra, chłopaki – powiedziała. – Wiadomości. Wszystko ciągle zmierza do piekła. – Skrzywiła się. – Tak jak w zeszłym tygodniu. Kilka zmian na frontach, to wszystko. Zaufajcie mi, niedużo was mija.

– Kilka zmian na *których* frontach? – zapytał podejrzliwie Se-Ha.

– Och – powiedziała Myra. – Jeżeli musicie wiedzieć... front północno-wschodni jest... aktywny.

Kolejna cicha wymiana spojrzeń i uśmiechów. Myra nie dzieliła ich przyjemności, ale nie mogła ich za to winić. Dwa wkraczające wydarzenia, które ją przerażały najbardziej, były dla nich, każde w inny sposób, zadatkami ich wcześniejszego wyzwolenia.

Pożegnała się, zastanawiając się, czy nie po raz ostatni, zabrała teraz puste sakwy i wyszła przez ulice obozu rekompensaty, wsiadła na konia i wyjechała bramą, w kierunku miasta.

Myśląc o Reidzie, próbując pomyśleć spokojnie i destrukcyjnie o Reidzie, jej myśli zdryfowały. Nie zawsze był takim chujem. Był pierwszą osobą, która powiedziała jej, że nigdy nie będzie musiała umrzeć. To było osiemdziesiąt trzy lata temu, kiedy miała dwadzieścia lat. Nie uwierzyła mu...

*Śmierć za mną podąża...*

– Nie musisz umierać – powiedział jej.

Czarne włosy okalały jego twarz, czarne brwi jego intensywnego, brązowookiego spojrzenia. Dave Reid był ciemny i przystojny, ale nie, niestety, wysoki. Nosił dżinsową kurtkę z cynowym guzikiem – odznaką, jak je nazywali Brytole – przypiętą do wyłogu. Odznaka była czerwona z czarnym „młotem, sierpem i czwórka” Międzynarodówki.

– Co! – Myra się roześmiała. – Wiem, że tak to się czuje, wszy-

scy w naszym wieku czują się w ten sposób, prawda? Jednak do każdego to dotrze, człowieku, nie oszukujmy się.

Oparła się na łokciach w trawie i spojrzała w niebieskie, wiosenne niebo. Było zbyt cholernie zimno na to, ale słońce wyrzało zza chmur, ziemia była sucha i to w Szkocji wystarczało na kąpiele słoneczne. Trawiasty stok za budynkiem Boyd Orra był pokryty grupkami i parami studentów, pijących, palących, dyskutujących. Prawdopodobnie opuszczających wykłady, była już druga po południu.

– Poważnie – powiedział Dave, z tym akcentem z Highland, który niósł dźwięk wiatru w trawie, fal na brzegu – jeżeli uda ci się dożyć dwudziestego pierwszego wieku, masz bardzo dużą szansę żyć wiecznie.

– Kto tak mówi? L. Ron Hubbard<sup>4</sup>?

Dave parsknął.

– Właściwie Arthur C. Clarke<sup>5</sup>.

– Kto?

Zmarszczył brwi.

– Wiesz, naukowiec, futurolog. Człowiek, który wymyślił satelity komunikacyjne.

– Ach, *ten* – powiedziała pogardliwie Myra. – Science-fiction. 2001 i tak dalej. – Zobaczyła lekkie skrzywienie na twarzy Davida i kontynuowała: – Och, nie zrozum mnie źle. Nie mówię, że to nie możliwe. Może za sto lat od teraz, może w komunizmie. Jednak nie za naszego życia. Trudna sprawa.

---

<sup>4</sup> założyciel Kościoła Scjentologicznego i twórca dianetyki, autor opowiadań science fiction, więcej [https://pl.wikipedia.org/wiki/L.\\_Ron\\_Hubbard](https://pl.wikipedia.org/wiki/L._Ron_Hubbard) – przyp.tłum.

<sup>5</sup> brytyjski prozaik, pisarz fantastycznonaukowy, propagator kosmonautyki, m.in. na podstawie jego koncepcji powstały stacje orbitalne, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Arthur\\_C.\\_Clarke](https://pl.wikipedia.org/wiki/Arthur_C._Clarke) – przyp.tłum.

Dave wzruszył ramionami i skręcił kolejnego papierosa.

– Zobaczymy.

– Pewnie tak. A w tym tempie Twoje palenia tych rzeczy, będziesz miał farta, jeżeli dożyjesz dwudziestego pierwszego wieku. Nawet nie dotrzesz do pierwszej bazy.

– Och, wytrzymam kolejne dwadzieścia cztery lata. – Westchnął, wydmuchując dym na lekko ciepłą bryzę, potem uśmiechnął się złośliwie. – Chyba że zostanę męczennikiem rewolucji, oczywiście.

– „Ze Śmiercią mam dziś rendez-vous Na jakiejś spornej barykadzie,”<sup>6</sup> – zacytowała Myra. – Nie martw się. To kolejna rzecz, która się nie zdarzy w naszych czasach.

Cień wysokiego budynku wkraśl się na twarz Dave’a. Przesunął się zrećznie, znowu na słońce.

– Tak właśnie myślisz, co?

– Ta, tak właśnie myślę. – Uśmiechnęła się i dodała z ironicznym zapewnieniem – To jest w naszych *naturalnych* życiach.

Dave podniósł torbę wypchaną kopiami rewolucyjnych gazet i czasopism.

– To jaki jest sens tego wszystkiego? Dlaczego po prostu nie jemy, pijemy i nie bawimy się?

Myra łyknęła z puszki MacEwana, opuściła ją i spojrzała na niego znad jej krawędzi.

– To właśnie *robie*, kochany.

Zrozumiał, sięgnął i pogłaskał krzywiznę jej policzków.

– Ale jednak – nalegał. – Dlaczego przejmować się polityką, jeżeli nie sądzisz, że wygramy?

---

<sup>6</sup> Ze śmiercią mam dziś rendez-vous, Alan Seeger, tłum. Anna Bańkowska, Czytelnia, NowyNapis.eu, 2020, zob. <https://nowynapis.eu/czytelnia/artukul/ze-smiercia-mam-dzis-rendez-vous> – przyp.tłum.

– Dave – powiedziała – nie jestem socjalistką, ponieważ spodziewam się pewnego dnia kierować jakąś własną demokracją ludową. Robię to, co robię, ponieważ uważam, że to właściwe. Ok?

– Ok – powiedział Reid, uśmiechając się, ale jego uśmiech był rozbawiony, jak również czuły, jakby była naiwna. Zirytowana nie wiedząc do końca dlaczego, odwróciła się.

Miasto nazywało się Kapica<sup>7</sup> i było stolicą Międzynarodowej Republiki Robotników Naukowo -Technicznych, która nie miała innego miasta, a właściwie, oprócz obozów, żadnego innego ludzkiego osiedla. MRRNT była niezależną enklawą na krawędzi Poligonu<sup>8</sup>, nieużytków pomiędzy Karagandą a Semejem, odpad po dziedzictwie testów jądrowych w Kazachstanie. Dawno temu, Kapica wyglądała nowoczesnie, z centrum wysokich budynków biurowych, wewnętrznym pierścieniem automatycznych fabryk, peryferiami zakurzonych, ale zadrzewionych ulic i nieruchomościami niskich budynków mieszkalnych, ruchliwym portem lotniczym tuż za granicą i pracowitym kosmodromem na horyzoncie, z którego dzień za dniem wznosiły się potężne statki. Teraz to był Pas Rdzy<sup>9</sup>, osobliwie przestarzały jak japońskie fabryki samochodów, stocznie Szkocji lub równiny pszenicy na Ukrainie.

Myra, jednakże, jakoś się cieszyła, gdy klacz prowadziła ją w lek-

---

<sup>7</sup> od Piotr Kapica – fizyk radziecki, zajmował się m.in. fizyką plazmy i kontrolowaną fuzją jądrową. Odkrywcą zjawiska nadciekłości helu, za co otrzymał Nagrodę Nobla w 1978, więcej [https://pl.wikipedia.org/wiki/Piotr\\_Kapica](https://pl.wikipedia.org/wiki/Piotr_Kapica) – przyp.tłum.

<sup>8</sup> dosł. Teren Testowy w Semipałatyńsku, Semipałatyńsk-21 – pierwsze miejsce przeprowadzania testów w Związku Radzieckim, zob. [https://en.wikipedia.org/wiki/Semipalatinsk\\_Test\\_Site](https://en.wikipedia.org/wiki/Semipalatinsk_Test_Site) – przyp.tłum.

<sup>9</sup> potoczne określenie terenów w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, które uległy dezindustrializacji, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Pas\\_rdzy](https://pl.wikipedia.org/wiki/Pas_rdzy) – przyp.tłum.

kim ruchu ulicznym w środku dnia. Jabłonie kwitły, wszystkie ściany wyglądały świeżo, kolorowe murale kwiatów, gwiazd, statków, ludzi, dzieci, bohaterek lub bohaterów. Naprawdę starożytne rzeczy wieku kosmosu, efekt wzmocniony przez młodszych, naprawdę młodych, ludzi cieszących się chłodnym słońcem w modnych skąpych ubraniach, które przywoływały lata sześćdziesiąte dwudziestego wieku w ich wesołym futuryzmie. Patrzyła na dziewczyny w wąskich trykotach, błyszczących jaskrawych minispódnicach i zaczęła się zastanawiać czy było im zimno. . . prawdopodobnie nie, ubrania były tylko imitacją nylonu czy poliestrów oryginałów, nanoprodukowane tkaniny pożyczowane wymiennikami ciepła ze wplecionymi maszynami molekularnymi.

Jasne ubrania nadawały ludziom na ulicach wygląd pomyślności, ale Myra była zbyt świadoma, że było to sztuczne. Ubrania były tańsze niż papier, łatwo osiągalne nawet dla Opieki Społecznej. Przez ostatnie kilka lat, z nadejściem diamentowych statków, rynek ciężkich rakiet upadł, a bezrobocie wystrzeżiło. Zasiłek był wypłacany przez jej ministerstwo z czynszu Ochrony Wzajemnej i nie mógł trwać wiecznie. Turystyka nostalgiczna – stary kosmodrom był teraz na Liście Światowego Dziedzictwa, o ile to było warte – wyglądała jak jedyne obiecujące źródło zatrudnienia.

Zanim się zorientowała, koń się zatrzymał, z przyzwyczajenia, na zewnątrz skromnego dziesięciopiętrowego budynku biurowego z betonu należącego do rządu Republiki przy Placu Rewolucji. Myra przez chwilę siedziała nieruchomo, patrząc krzywo na wywieszony w tym tygodniu na billboardzie plakat podnoszący morale: wielkie czarno-białe zbliżenie na klasyczną fotografię Gagarina z TASS, kiedy uśmiechał się z hełmu kosmonauty. Pamiętała tamten czas, w klasie szkoły podstawowej na Lower East Side, kiedy pierwszy



raz zobaczyła tę ludzką twarz i utworzyła jakieś połączenie synaptyczne pomiędzy uśmiechem Gagarina i spojrzeniem Guevary.

Kosmos i socjalizm. Co to było za oszustwo. Potrząsnęła lejcami, wprowadziła klacz wolnym krokiem na tyły, rozjuczyła, wytarła gnój z butów i weszła po schodach. Korytarze do jej biura – z frontu budynku, jak przystało na Ludowego Komisarza do spraw Polityki Społecznej, p.o. Premiera i (gdy teraz o tym pomyślała) p.o. Prezydenta – były wypełnione szmerem pośpiesznych kroków i szybko zanikających szeptów. Myra spojrzała ostro na grupę, którą mijiała, ale niewielu było skłonnych odwzajemnić spojrzenie.

Zamknęła drzwi do biura z marnym, ale satysfakcjonującym uderzeniem. Niech aparatczycy<sup>10</sup> martwią się o nastrój, jakby ona miała się martwić o ich nastrój. Ostatnim razem, gdy czuła taką wymijającą atmosferę w korytarzach to było tuż przed pierwszym i ostatnim razem, kiedy straciła władzę, w 2046. Wtedy, podejrzewała nadchodzące działanie ze strony firmy Ochrony Wzajemnej i ich podopiecznych w obrębie aparatu państwa: *coup d'état*.<sup>11</sup> Teraz, podejrzewała, że Ochrona Wzajemna i sojusznicy rozpoczynali ostatnie działania w znacznie większym planie, tak wielkim, jak tylko mógłby być: *coup du monde*.<sup>12</sup> Lub *coup d'étoile*<sup>13</sup>.

Podeszła do okna, zrzucając płaszcz, czapkę i rękawiczki szybko, gwałtownymi ruchami, oparła się pięściami o parapet i rozejrzała się po otoczeniu w ataku poczucia terytorium w zagrożeniu. Żadne czołgi czy tupiące nogi nie rozbrzmiewały na ulicach jej

---

<sup>10</sup> etatowy, zawodowy funkcjonariusz Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego lub aparatu rządowego Związku Radzieckiego, ktokolwiek, kto sprawował jakąkolwiek funkcję biurokratyczną lub polityczną, więcej <https://pl.wikipedia.org/wiki/Aparatczyk> – przyp.tłum.

<sup>11</sup> fr. zamach stanu – przyp.tłum.

<sup>12</sup> fr. zamach na świat – przyp.tłum.

<sup>13</sup> fr. zamach na gwiazdy – przyp.tłum.

miasta, żadne czarne helikoptery nie łaskotały na niebie jej kraju. Czego oczekiwała? Były jeszcze dni na ucieczkę, zanim cokolwiek się wydarzy, i, kiedy to się stanie, otwierające uderzenie ujawniłoby się w większych stolicach niż jej, nowe dźwięki CNN ukąsiłyby ją w pierwszych sekundach nowego porządku.

Westchnęła i się odwróciła, podniosła upuszczone ubrania i odwiesiła je ostrożnie na właściwe wieszaki na chromowanym stojaku. Biuro było nieśmiało retromodernistyczne jak styl na ulicy, nieco bardziej wyrafinowane boazerie sosnowe i podłogi, skórzane warstwy na obu, ornamenty ze stali i srebra, hebanowe i plastikowe globy i pojazdy międzyplanetarne.

Opadła na fotel biurowy i odchyliła się, pozwalając mu wymasować jej ramiona i kark. Nasunęła „opaskę” na oczy, włączyła wyświetlacz i przesunęła oczy, żeby go przestudiować. Oprogramowanie antywirusowe migotało na jej siatkówce, ale nie było nic nie stosownego w powiadomieniach. Tutaj, jak we wszystkich biurach, ściany miały zęby. Jej własny software otoczył ją, jego lojalność tak intymna, i tak trudna do obalenia, jak wzmocniony system odpornościowy w jej krwi. Był to „personal”, był to *jej* „personal”, unikalna konfiguracja programów, która skanowała świat i odpowiedzi Myry na świat, i z tej interakcji budowała przebiegłą ocenę jej potrzeb i zainteresowań. Wyszukiwał informacje dla niej i pilnował jej inwestycji. Robiło to sieciom światowym to samo, co silnik wyszukiwarki Sterlinga robił dla jej Biblioteki, wyszukiwał i wyciągał to, co istotne z przepastnego i wzburzonego morza danych, w których większość ludzi pływała lub, znacznie częściej, tonęła.

Posiadanie dobrego zestawu osobistego oprogramowania było nieco ważniejsze dla nowoczesnego polityka niż tradycyjne sieci osobistego wpływu i wywiadu. W dekadzie od odzyskania władzy, Myra upewniła się, że jej sieci – obu typów, wirtualne i faktyczne

– były silne i splecione, wystarczająco silne, żeby ponieść ją, jeżeli struktura państwa kiedykolwiek znowu ją zawiedzie. Choć nawet było to mało prawdopodobne, jej czystki, choć bezkrwawe, były tak bezlitosne jak Tito. Żaden urzędnik MRRNT nigdy nie popełni najmniejszego błędu, gdzie leżą jego najlepsze interesy, i żaden pracodawca lub przedstawiciel Ochrony Wzajemnej nie będzie próbował tego zmienić.

Wkrótce będzie musiała się skonsultować z resztą SowNarKomu – spotkanie było zaplanowane na godzinę piętnastą – i zebrać biegających podwładnych z korytarzy, żeby je przygotowali, ale najpierw chciała samodzielnie uchwycić sytuację.

Personal Myry nie miał osobowości, o ile wiedziała, ale był osobą: rewolucjonistą, giełdowym spekulantem, handlarzem bronią, szpiegiem, wolnym, ważnym oszustem, konspiratorem, komunisto-kapitalistą prosto z koszmaru nazistów. Miał imię.

– Parvus<sup>14</sup> – wyszeptęła. Projektory siatkówkowe w jej „opasce” zbudowały obraz wielkiego mężczyzny w luźnym garniturze i koszuli rozciągniętej na jego brzuchu jak wypełniony żagiel, pędzący na wichurze informacji. Ruszył ku niej, uśmiechając się, jego kieszenie wypchane dokumentami, jego dłoń z papierosem machający, gdy przygotowywał się, żeby jej coś powiedzieć. Nigdy nie trafiła na nagranie prawdziwego Parvusa w działaniu, ale nadała temu obraz historycznego lidera trockistów i manieryzmy szalonego naukowca od innego, którego kiedyś całą mowę wysiedziała, dawno temu w Związku Studentów w Glasgow.

– Pokaż mi cały obraz.

Parvus skinął głową. Przebiegł palcami po kłakach białych włosów, zmarszczył czoło, maniakalnie się uśmiechnął.

---

<sup>14</sup> działacz rosyjskiego i niemieckiego ruchu socjalistycznego, zob. [https://en.wikipedia.org/wiki/Alexander\\_Parvus](https://en.wikipedia.org/wiki/Alexander_Parvus) – przyp.tłum.

– *Jane's*<sup>15</sup>, zdaje się. – Strzepał centymetr popiołu, wyczarował ekran. Jej wzrok skupił się na opcji, mrugnęła i pokój zniknął z jej widoku, znowu, a Ziemia się odsunęła.

Jej pierwszy wirtualny widok, kręcący się na orbicie, był z *Siły Rynkowe Jane* – jawnie dostępną, ale zaporowo drogą analizą ruchów wojskowych na całym świecie w czasie rzeczywistym. Pracowała na przedostatnim wydaniu, obecnie w fazie testów. Kosztowało to skromny budżet obronny Republiki niewiele więcej niż stypendium dla patriotycznego kazachskiego absolwenta do równie ubogiego wydziału informatycznego Sztokholmskiego International Peace Research Institute<sup>16</sup>. (To oraz niewykrywalna karta kredytowa do jej konta łącznościowego). Myra, dawno zaznajomiona z konwencjonalnymi symbolami i ideogramami, oglądała to wszystko na poziomie abstrakcyjnym: zakodowane kolorami, grafy ze strzałką w przestrzeni 3D, inne wymiary wskazywane subtelnymi cieniami i okresem pulsowania. Ten świetlny filigran wisiał jak skomplikowany system chmur ponad relatywnie nieruchomymi histogramami opisującymi sprzęt i zasoby ludzkie. Fizyczne lokalizacje i liczby personelu czy *materiel* były określane jedynie na podstawowym poziomie rozumienia bilansu światowych wojsk, tak jak pozycja fizycznej fabryki było jedynie zgrubną oceną stanu światowych rynków. Sekunda po sekundzie, rynek i siły wojskowe przesuwają się nieprzewidywalnie, ich wzajemne przenikanie bardziej złożone niż

---

<sup>15</sup> współcześnie międzynarodowe przedsiębiorstwo specjalizujące się w przetwarzaniu publicznie dostępnych informacji (biały wywiad) w zakresie militarnym, bezpieczeństwa narodowego czy transportu, zob. [https://en.wikipedia.org/wiki/Janes\\_Information\\_Services](https://en.wikipedia.org/wiki/Janes_Information_Services) – przyp.tłum.

<sup>16</sup> instytut założony w 1966 roku przez szwedzki parlament dla uczczenia 150. rocznicy nieprzerwanego pokoju w Szwecji, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Stockholm\\_International\\_Peace\\_Research\\_Institute](https://pl.wikipedia.org/wiki/Stockholm_International_Peace_Research_Institute) – przyp.tłum.

jakakolwiek ideologia kiedykolwiek przewidziała. Przy większości światowych oficjalnych armii będących rewolucyjnymi lub najemniczymi, lub oboma naraz, a większością konfliktów załatwianych, zanim się jeszcze zaczęły, przez bezdyskusyjne symulacje, wszyscy od bankierów przez generałów aż do szeregowych w polu wzruszyliby ramionami i zaakceptowali wirtualny werdykt i odpowiednio zmienili strony, wsparliby lub uciekli wraz z ich software'owym cieniem – wszyscy prócz Zielonych i Czerwonych. *Oni* naprawdę walczyli, brali to na poważnie.

To było jak w tej starej grze „Cywilizacja”<sup>17</sup>, czasem myślała Myra, z nowym scenariuszem: Barbarzyństwo II. Nikt nie zamierzał zejść z tablicy, nikt nie leciał na Alpha Centauri. Wszyscy zmierzali razem, w mrok... Gdy tylko wystarczająco wielu dużych graczy zdecyduje się zakwestionować bezsporne i uruchomi symulacje dla audytu wojny.

Niemniej jednak, teraz, mrok był pełen zakrzywianego światła. A w realnym świecie, mrugającym jako tło, jeden front był bardziej niż wirtualny i bliżej niż by chciała. Za północną granicą Kazachstanu, która była setki kilometrów na północ od MRRNT, poszarpana linia frontowa Związku Chińsko-Radzieckiego posuwała się w błyskach prawdziwego ognia: potyczki guerilli i sabotaże po jednej stronie, ostrzał artyleryjski dalekiego zasięgu bez przekonania i bezcelowe bombardowania dywanowe po drugiej.

Szinosowy – nazwa była subtelnie uwłaczająca, jak Wietkong dla Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu Południowego czy Jankesi dla Narodów Zjednoczonych – byli pierwszym autentycznym zagrożeniem komunistycznym w tym wieku, którzy naprawdę

---

<sup>17</sup> seria strategicznych gier turowych polegających na rozwijaniu wybranych cywilizacji, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Civilization\\_\(seria\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Civilization_(seria)) – przyp.tłum.

wierzyli w ich zaktualizowaną wersję ideologii, którą demoludy takie jak MRRNT parodiowały jako postfuturystyczny pastisz. Opierając się na zapomnianych prowincjach zbuntowanych kołchozów i fabrykach zajętych przez robotników, uparcie przeżywający dekady kontrrewolucji i wojny, uzbrojeni przez popierające ich oddziały dezertersów (nazywających samych siebie, nieuchronnie, „lojalistami”) z armii posowieckiego Wschodu i po-chińskiej Północy, utrzymywali większość Mongolii, Syberii i nawet części północno-zachodnich Chin od Jesiennej Rewolucji z 2045 roku, a w następnych latach rozprzestrzenili się po stepie jak porost. Myra zarówno nie cierpiała ich, jak i podziwiała.

Z bardziej bezpośrednich, i frustrujących, problemów: Szinosowiety byli poza wirtualnym światem, wyrwana czarna dziura w sieci. Ich komputery zawsze były offline. Ich aktyw nie handlował kontraktami terminowymi na walkę. Odrzucali wszystkie symulowane konfrontacje lub negocjacje. Jak margines Zielonych na Zachodzie i Zieloni Khmerzy na Południu, Czerwoni na Wschodzie poddawali wszystko praktycznej próbie, krytyce broni. Nawet w *Jane's* mogli tylko zgadywać ich obecny układ.

Jednak ich ząbkowana południowo-zachodnia krawędź była dostatecznie określona, jak zawsze wcinając się bliżej jej dziedziny niż ostatnim razem, gdy sprawdzała. Przykładowo, wczoraj o tej porze...

Westchnęła i odwróciła uwagę od komunistów do śledzenia mroczniejszych czynów prawdziwej, międzynarodowej konspiracji: Ruchu Kosmicznego. Gdzieś w tej punktowanej ciemności, czytając pomiędzy liniami światła, musiała odszukać ślady większej i bardziej obszarpanej armii, niecierplivej do zajęcia świata.

Jej pierwszy krok – przyjęty przez system z zaskoczoną wdzięcznością – była aktualizacją wyników obozów pracy Ochrony Wza-

jemnej. Kiedy były zintegrowane i wiarygodnie zmapowane na cały globalny archipelag przedsiębiorstw, pierwsze przybliżenie re-ewaluacji wagi zależności wojskowo-przemysłowych posłało fale przez całą sieć. Dobrze, że pracowała z osobistą kopią, pomyślała krzywo Myra. To była informacja, za którą można by zabić (choć jednocześnie, przypuszczalnie, przeceniona przez samą Ochronę Wzajemną, która musiała wiedzieć, że ona wiedziała).

Przesłała spekulacyjną aktualizację z tagowaniem błyskawicznym „ważne” do Ludowego Komisarza Finansów, oraz jako mniej ważne podsumowanie do towarzysza od Obrony. Potem uruchomiła akta „aktywności w toku ruchu” kosmicznego, połączyła je z nowymi liczbami wyjściowymi, i wysłała je wszystkie do komisarzy z jej własną interpretacją.

„Zamach Ruchu Kosmicznego” był omawiany, otwarcie, tak długo, że stawał się nierealny, tak nierealny jak Rewolucja, póki w końcu się nie wydarzyła. Myra sama wieszczyła kasandrycznie o zamachu, kiedyś. Jednak teraz czuła się zrehabilitowana. I, znowu, David Reid był zamieszany.

Jej były kochanek rozbudował Ochronę Wzajemną ze spółki usług ochrony pomocniczej dla firmy ubezpieczeniowej do globalnego biznesu, który działał w odszkodowaniach: kryminaliści pracowali, żeby zrekompensować straty, jakie wyrządzili. Oryginalnie, reklamowana jako ludzka, kierowana rynkiem, reforma i zastąpienie dawnego barbarzyńskiego systemu więziennego, jej rozszerzenie ze zwykłych kryminalistów do więźniów politycznych i jeńców wojskowych po Jesiennej Rewolucji nadało temu przerażającą, niepowstrzymaną logikę niekontrolowanej ekspansji, w podobny sposób co użycie pracy więziennej w Pierwszym Planie Pięcioletnim zrobiło dla oryginalnego GUŁag<sup>18</sup>.

---

<sup>18</sup> podmiot zarządzania obozami pracy przymusowej w ZSRR, w którym

Teraz przez ponad dekadę, ci po przegranej stronie małych wojen i narastająco drobnych przestępstw zapewniali siłę roboczą dla gigantycznego boomu osadnictwa kosmicznego, stosując dowolne umiejętności, które posiadali – lub mogli szybko się nauczyć – żeby spłacić swoje długie przestępcze tak szybko, jak to możliwe. W tym samym czasie, rozmnożenie enklaw ruchu kosmicznego, każda podżęgała hordy oblegających barbarzyńców lub roje wściekłych biurokratów, zapewniało niekończący się napływ nowych skazanych. Dość duży odsetek więźniów, po ukończeniu spłaty, łapał liczne możliwości zatrudnienia, które oferowały projekty kosmiczne.

Ochrona Wzajemna była teraz zwornikiem globalnej koalicji przedsiębiorstw obrony, agencji kosmicznych, programów osadnictwa w kosmosie, kampanii politycznych i gospodarzem mniejszych rządów, wiele z nich stworzonych przez te same firmy. Koalicja Ruchu Kosmicznego była w punkcie zebrania wystarczających sił, żeby odtworzyć stabilny światowy rząd i przywrócić kontrolę Narodów Zjednoczonych nad stacjami orbitalnymi byłej Obrony Kosmicznej. Ich celem, dawno dyskutowanym, było wycofanie opozycyjnych ruchów środowiskowych i antytechnologicznych i przesunięcie wystarczającej siły roboczej i kapitału na orbitę Ziemi, żeby stworzyć samopodtrzymującą się obecność w kosmosie, która mogłaby uciec dowolnej oczekiwanej katastrofie poniżej, z których, Bóg wie, było wiele do wyboru.

Sam zamach miał się odbyć na dwóch poziomach. Jeden był politycznym posunięciem, żeby przejąć kierowanie ReONZ, głosami licznych minipaństw, które mogłyby obalone, podporządkowane lub przekonane. Innym było posunięcie wojskowe, w ten spo-

---

wieżniami byli zarówno przestępcy kryminalni, jak i osoby uznawane za społecznie niepożądane lub politycznie podejrzane, zob. <https://pl.wikipedia.org/wiki/Gu%C5%82ag> – przyp.tłum.



sób usprawiedliwione, żeby zdobyć stare stacje orbitalne USA/ONZ. To, Myra liczyła, było przyczyną przyśpieszenia w obozach pracy. Bez wątpienia masowa detronizacja odbywała się pośród personelu wojskowego na orbicie, ale z powodu natury sprawy nie było wiele, o czym mogłaby się dowiedzieć.

Patrzyła na wirtualny ekran długo, póki zaciskanie jej pięści, drgające grymasy twarzy i mruganie od łez nie zmyliło programu na tyle, że się wyłączył i zostawił ją patrzącą na ścianę.

SowNarKom – Rada Ludowych Komisarzy lub, w bardziej konwencjonalnej terminologii, Rząd – był odpowiednio małym rządem dla prawie niemożliwego małego państwa (populacja 99 854, ostatnim razem, gdy komuś się chciało policzyć, i spadała z dnia na dzień). Struktury MRRNT były ćwiczeniem z obozu socjalistycznego, modelowanym na tych starych sowieckich republikach, ale bez kierującej roli Partii. Wynikiem tego strategicznego pominięcia była demokracja tak prawdziwa jak jej inspiracja była fałszywą. Lub tak się wydawało, w dostatniejszych dniach republiki.

Myra przybyła wcześniej i skorzystała z przywileju pierwszego przyjazdu, siedzenie przewodniczącego, na szczycie długiego, pustego stołu pokrytego bliznami z mahoniu, z niezgrabnym, odpornym na wybuch, urządzeniem sekretarskim w centrum. Obok stało kolejny tuzin siedzeń, po sześć po obu stronach stołu, każda z jej tradycyjną wodą mineralną i notatnikiem przed krzesłem. Pokój był goły, bez okien, ale oświetlony płytami pełnowidmowymi w suficie. Jedyną dekoracją białych ścian była oprawiona fotografia dawno zmarłego fizyka nuklearnego, po którym zostało nazwane miasto.

Walentyna Kozłowa weszła, jej wojskowy mundur jak zawsze elegancja, jej włosy niechlujne, jej ręce pełne wydruków. Była po pięćdziesiątce, ciągle młode dziecko wieku, wystarczająco młode i wystarczająco szczęśliwe, żeby otrzymać terapię przeciw starze-

niu, zanim stała się stara. Uśmiechnęła się spięta i usiadła. Potem Andriej Muchartow, krótko obcięty blondyn, około czterdziestki, tak wyglądający – prawdopodobnie umyślnie – trzeźwo konwencjonalny w trzyczęściowym garniturze z elektrycznie błękitnego surowego jedwabiu. Denis Gubanow, młodszy niż inni, ostentacyjnie nieformalny, nieogolony, wyglądał, jakby właśnie przyszedł z sondowania informatora w jakimś marnym barze kosmodromu. Aleksander Sherman przyszedł ostatni, sprawiając wrażenie, że został oderwany od ważniejszych spraw. Jego modny, pseudoplastikowy kombinezon był bez wątpienia tylko pracą dla stanowiska, ale Myra nie lubiła go nawet bardziej niż jego. Usiadł i się rozejrzał, jakby oczekując, że spotkanie natychmiast się rozpocznie, potem zacisnął usta i przesunął dwie kartki papieru do Myry.

– Obawiam się, że więcej rezygnacji – powiedział. – Tatiana i Michael właśnie...

– Odeszli na bogatsze pastwiska – powiedziała Myra. – Słyszałam. – Spojrzała na puste miejsca dookoła zubożonego stołu i wzruszyła ramionami. – Dobra, zgodnie z rewolucyjną konwencją nie ma czegoś takiego jak spotkanie bez większości, więc...

– Naprawdę musimy dokooptować nowych członków! – powiedział Sherman.

– Tak – powiedziała sucho Myra. – Naprawdę musimy.

Jej ton odrzucił Aleksandra.

– To hańba, nie mamy Komisarza do spraw prawa, spraw wewnętrznych czy...

– Tak, tak – przerwała Myra. – I połowa jebanych członków Rady Najwyższej spierdoliła, przypadkowo ta gorsza połowa. *Ja* nie mogłam znaleźć kompetentnego komisarza dla *czegokolwiek* pośród reszty. W tym tempie, nie będziemy mieć wystarczającego *elektoratu*, żeby uzupełnić ranki. Więc co sugerujesz?

Aleksander Sherman otworzył usta, zamknął je i wzruszył ramionami. Jego buntownicze spojrzenie przekonało Myrę, że będzie następny, jako Komisarz do spraw Przemysłu już miał właściwe powiązania.

– Ok, towarzysze – powiedziała Myra – rozpoczniemy spotkanie. – Zdjęła swoją opaskę i położyła ją formalnie na stole, a ci, którzy jeszcze tego nie zrobili, podążyli za jej przykładem. Nie była to do końca reguła, ale był to zwyczaj – gest uprzejmości jak również zapewnienie, że każdy będzie uważał – żeby odłożyć personale na bok na czas spotkania. Myra nigdy nie mogła się zdecydować, czy to było wzajemne zaufanie, czy wzajemne podejrzenie, które stało za zwyczajem nierobienia tego samego z bronią osobistą. Nikt nigdy nie wyciągnął broni na spotkaniu SowNarKomu, ale były precedensy...

– Nagrywanie: start. Zwyczajne spotkanie Rady, piątek, dziewiątego maja dwa tysiące pięćdziesiątego dziewiątego roku, Myra Godwin-Dawidowa przewodniczy, pięciu członków obecnych. – Rozejrzała się i spojrzała się na stalową siatkę rejestratora. – Wnoszę, żebyśmy odłożyli porządek obrad i przeszli prosto do posiedzenia nadzwyczajnego. Zaczynając od śmierci Obywatela Dawidowa.

Brak sprzeciwu. Minęły sekundy ciszy.

– Nie wszyscy naraz – powiedziała.

Walentyna Kozłowa (Obrona) przemówiła pierwsza.

– Dobra, Myra... Towarzysz Przewodnicząca, wszyscy rozmawialiśmy z Tobą o śmierci Georgiego. Było nam bardzo przykro usłyszeć o tym.

Myra skinęła głową.

– Dziękuję.

– To powiedziawszy, musimy zdecydować o naszej politycznej odpowiedzi. Teraz, oczywiście policja w Ałma-Acie prowadzi

śledztwo i jak na razie nie wykryto oznak przestępstwa. – Wzruszyła ramionami. – To, oczywiście, jest trudne do wykazania, w dzisiejszych czasach. Jednakże... Georgi Jefrimowicz odpowiadał za bardzo dużo – wskazała niejasno na Andrieja Muchartowa, Komisarza do spraw Międzynarodowych – ...i w tych okolicznościach, przyczyny naturalne wydają się prawdopodobne.

Myra westchnęła.

– Tak, doceniam to. I doceniam, co wszyscy mi powiedzieliście. Do protokołu powiem, że osobiście nie akceptuję, że śmierć Georgiego nie była zamachem.

Zmierzyła się z wynikiem zamieszaniem.

– *Jednak* – kontynuowała – nie proszę i nie oczekuję od żadnego z was, żebyście traktowali to więcej niż podejrzenie. W tej chwili, nawet pytanie, kto mógłby skorzystać z tego, jest bardzo niejasne, jeżeli Georgi był zamordowany, to mógł być przez jedną lub drugą stronę. Możliwe, że pewne elementy w Ruchu Kosmicznym widziały w nim przeszkodę w ich... dyplomacji. Możliwe, że pewne siły przeciwne Ruchowi Kosmicznemu myślały, że tak myślimy i zamordowały go jako prowokację. Lub może, tylko może, jego serce się poddało. Cokolwiek... stało się to w złym okresie.

Muchartow chrząknął w zgodzie.

Po chwili ponurej ciszy, Walentyna znowu przemówiła.

– Wszyscy zapoznaliśmy się z Twoją wiadomością – powiedziała. – Jaki jest Twój sugerowany kierunek działania?

– Próbujemy ich powstrzymać, oczywiście. Cholera, jeżeli chcę pierdolony ONZ z powrotem nad nami, nie mówiąc już o kontrolowaniu przez przekłęty ruch kosmiczny i jego pełnomocników.

Walentyna pochyliła się do przodu.

– Dla mojej części – powiedziała – zgadzam się z Twoją oceną. Musimy być gotowi na nową sytuację, w której Ruch Kosmiczny

kontroluje ReONZ, a z tym stacje orbitalne Obrony Ziemi. Jednak ... – zawahała się chwilę, westchnęła prawie niezauważalnie i kontynuowała – ... myślę, że śmierć Georgiego, zrozumiałe podejrzenia, które wzbudził i... hm... nieoczekiwany i nieautoryzowany wzrost produkcji obozów pracy mogły nadać Twojej odpowiedzi... subiektywny element. – Kozłowa rozejrzała się dookoła stołu. – Nadchodzące przesunięcie w równowadze sił nie może być zatrzymane przez nas lub przez kogokolwiek innego. Większość tego, co możemy zrobić, dzięki dyplomacji Georgiego, to pomóc Kazachstanowi pozostać neutralnym, z naciskami przeciwko wrogiemu przejściu. Nawet oni nie podjęliby bezpośredniego działania przeciwko temu, choć Bóg wie, że Georgi próbował ich przekonać. Zapewnili nas, że nie mieli siły politycznej, ja im wierzę. Teraz wydajesz się sugerować, że *my* rzucimy naszą wagę, taką, jaką jest, przeciwko im. Moje osobiste zdanie jest takie, że uzyskamy więcej, pozostając neutralnymi. To mogłoby działać na naszą korzyść, *jeżeli* dopasujemy się do nowej rzeczywistości we właściwym czasie.

Myra rozluźniła twarz.

– Dostać się na zwycięską stronę, to masz na myśli? – zasugerowała lekko.

– Tak, dokładnie – powiedziała Kozłowa. Wydawała się zachęcona odpowiedzią Myry, lub brakiem odpowiedzi. – W końcu – orala dalej – wszyscy jesteśmy częścią Ruchu Kosmicznego, współpracujemy z nimi od dawna, a Szynosowiety są takim samym zagrożeniem dla nas jak barbarzyńcy i jak wsteczne rządy są dla niektórych innych enklaw. Szczerze, myślę, że powinniśmy wysłać jakieś dyplomatyczne czujki na drugą stronę przed przełomem, który, jak poprawnie wskazujesz, jest kwestią dni lub tygodni. A my nie jesteśmy obecnie na pozycji siły w tej chwili. Więc nasza decyzja w istocie jest dość pilna.

– Interesujące – wymamrotała Myra. – Ktoś jeszcze?

Denis Gubanow (Bezpieczeństwo Wewnętrzne) ostro przerwał.

– Przewodnicząca mówiła w wiadomości o państwach podporządkowanych lub obalonych. Myślę, że nie powinniśmy pozwolić sobie na zostanie jednym z nich! Niezależnie od retoryki, i propagandy nieuchronności, jest oczywiste, co się dzieje. Imperializm otrzymał potężne uderzenie po upadku Jankesów, ale uderzenie nie było ostateczne, pechowo. Kapitał monopolistyczny zawsze znajdzie nowe polityczne narzędzia, a Ruch Kosmiczny, tak zwany, dowiódł, że jest wspianiałym narzędziem. – Krótco parsknął. – Dosłownie, pojazd startowy! Przez nie, bogaci opuszczają Ziemię. Dla czego mielibyśmy pomagać im na ich drodze?

– Bardziej do *rzeczy* – powiedział Sherman (Handel i Przemysł) okazując dobitnie jasno pogardę na retorykę Denisa – jest pytanie, z czego będziemy się utrzymywać, kiedy obozy się wyczerpią.

– Moglibyśmy zawsze. . . – zaczęła Kozłowa, jakby chciała coś powiedzieć żartem, potem spojrzała na Myrę i się zamknęła.

– Co?

– Nie. Zapomnij. Sprawa bieżąca to, co robimy teraz, w sprawie zamachu. – Myra pozwoliła biec dalej dyskusji. Racja była, przyznała samej sobie, po obu stronach. Niemniej jednak Walentyna miała rację, odpowiedź Myry była subiektywna. Głównym elementem Ruchu Kosmicznego była Ochrona Wzajemna, a głównym elementem Ochrony Wzajemnej był David Reid. Jeżeli Ruchowi Kosmicznemu się uda, byłby najpotężniejszym człowiekiem na świecie.

Nie ma mowy, żeby pozwoliła bękartowi wygrać.

## Rozdział 3

# Szif w Stoczni

Godzinę później, po biegu przez miasto, który był cholernie trudny w (i na) butach, szybkim prysznicu i przebraniu się w ubrania robocze, stałem na przystanku autobusowym z moim stalowym kaskiem ochronnym w jednej dłoni i aluminiowym pudełkiem z jedzeniem w drugiej. Pakowanie mojego lunchu było jedyną dodatkową usługą, którą właścicielka mieszkania zapewniała, ale mnie to wystarczało, żeby wybaczyć brak śniadań, kolacji, prania i solidnej gorącej wody.

Narastające ciepło słońca wypalało poranną mgłę nad loch i pomiędzy wzgórzami. Czułem się, jakbym mógł w każdej chwili unieść się i odpłynąć. W oczach miałem piasek, w mózgu czułem gorąc, ale te niewygody nie pomniejszały rodzaju blasku uniesienia gdzieś w mojej piersi i brzuchu. W dziwny sposób ledwo mogłem znieść myśli o Merrial, za każdym razem sprowadzało to taką eksplozję radości, że drżały mi kolana i prawie bałem się oddawać się temu w nadmiarze. Chciałem to zachować, zgromadzić, wydzielać to sobie, kiedy naprawdę potrzebowalbym, a nie połknąć to na raz. (Co oczywiście jest błędem, ta szczególna studnia, jak wiele innych, nie ma dna).

Zamiast tego myślałem o innej kobiecie, Wyzwolicielce, pod której pomnikiem poznałem Merrial, i pod której odległą i staro-

żytną ochroną ona i jej lud żyli. (Chronieni od prześladowań, w każdym razie, jeżeli nie uprzedzeń).

Przez ostatnie cztery lata, Historia była jedną ze sztuk, którą starałem się opanować. Nie było to łatwe, nawet w Glaschu, gdzie historia zalewa to miejsce, jak to mówią. Zdumiona awersja wyrażona przez Merrial była dostatecznie powszechną reakcją. W czasach tak wielu możliwości, w miejscu pulsującym innowacjami na tak wielu polach, które mogły być zastosowane do oczywistego ulepszenia ludzkości, wydawało się przewrotne (czasem nawet dla mnie), by energiczny, inteligentny młodzieniec odrzucił takie sztuki jak Literatura, Muzyka, Kinematografia lub nauki: Astronomię, Medycynę, wiele działów Naturalnej Teologii, odszedł od doskonalących zajęć Praktycznej Filozofii, Inżynierii Mechanicznej i Lądowej, odwrócił się od tych wszystkich użytecznych prac intelektu, nawet nie dla zrozumiałego, lub, w obrębie rozumu, chwalebne czaru biznesu i przyjemności, ale ku przeszukiwaniu butwiejących dokumentów i wałących się ruin, oraz wypełnianiu umysłu krwawymi obrazami i otepiającymi liczbami milionów śmierci w przeszłości.

Była to niesmaczna i lekko haniebna fascynacja, z odrobiną nekrofilii, nawet nekromancji. Niemniej, czy chcemy, czy nie, wszyscy jesteśmy historykami, każdy z własnym zarysem historii w głowie. To było zdanie, które często przedstawiałem sceptycznym słuchaczom, od rodziców i rodzeństwa przez komitety mecenatu aż do przyjaciół i kolegów w debatach napędzanych alkoholem. Podajemy zarys od rodziców, nauczycieli, kaznodziejów, z pieśni, pomników i historii.

Na początku, Bóg zrobił Wielki Wybuch i stało się światło. Po pierwszych czterech minutach, stała się materia. Po miliardach lat, pojawiły się gwiazdy, planety i Ziemia została uformowana. Wody ponad niebem rozdzieliły się od wód poniżej nieba, co wydało wszel-



kiego rodzaju pełzające stworzenia. Po milionach lat, zostały ukształtowane niewidzialną ręką Boga, Doborem Naturalnym, w wielkie potwory ziemi i morza. Ziemia wypełniona była przemocą i Bóg posłał asteroidę, Granicę KaTe <sup>1</sup>, żeby ją zniszczyła. Niebo było ciemne w południe przez czterdzieści dni i prawie wszystkie stworzenia zostały zniszczone. Pośród tych, które przetrwały były małe bestie jak myszy i uzupełniły Ziemię, zagrzebały się w niej i stały się królikami, wspięły na drzewa i stały się małpami, zeszły z drzew i stały się ludźmi ...

... małpoludami, jaskiniowcami, Egipcjanami, Babilończykami, Grekami, Rzymianami, Amerykanami, Chińczykami i Rosjanami. Amerykanie upadli, ale ich imperium przetrwało jako Posiadanie, aż Wyzwolicielka powstała na Wschodzie i je obaliła. Nastąpiły ciężkie czasy, a potem pokój.

*Więc dlaczego je zakłócać, odpowiedz mi na to chłopie!*

Ponieważ prawda jest bardziej interesująca i ostatecznie bardziej pouczająca niż mikstura bajek? Nabyłem apetytu nie tylko na prawdę, ale i na szczegół. Na szczególną przyjemność, która pojawia się w ujrzeniu prawdziwej relacji pomiędzy wydarzeniami w terminach przyczyny i skutku niż konwencji narracyjnej. To satysfakcja, którą będę bronił jako prawdziwie naukową.

*Ale jaki z tego pożytek, co?*

Na to nie miałem gotowej odpowiedzi, oprócz określenia wyniku jako sztuki, w ten sam sposób, jak metoda mogła być zdefiniowana jako nauka. Argument, że ci, którzy nie uczą się z historii, są skazani na jej powtarzanie, zawodził wobec większości ludzi,

---

<sup>1</sup> oryg. Katy Boundary – od K-T Boundary czyli Granica K-T – warstwa rozgraniczająca osady kredy od paleogenu, odznaczająca się skokowym spadkiem bioróżnorodności i anomalną zawartością irydu. Jest ona śladem wielkiego wymierania, które zakończyło erę mezozoiczną, ok. 66 milionów lat temu, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Granica\\_K-T](https://pl.wikipedia.org/wiki/Granica_K-T) – przyp.tłum.

przekonanych, że nie istnieje ryzyko powtórzenia żadnych bardziej niszczycielskich błędów historii. Więc musiałem sięgnąć do argumentu, że prawdziwa historia opowiadała lepsze historie, ponieważ były prawdziwsze, że rzeczywistość ma swoje własne piękno, surowsze i wyższe niż mit.

Szczególną historią, którą chciałem opowiedzieć, była ta o życiu Wyzwolicielki. Moja propozycja pracy dyplomowej o jej wczesnych latach jako studentki i akademiczki w Glasgow, długo, zanim stała się postacią znaną historii, było tylko początkiem mojej ambicji podbicia świata: by zrekonstruować, o ile ktoś może przez przepaść czasu, umysł, osobowość i okoliczności, które ukształtowały przyszłość, które były teraz naszą przeszłością.

To mogło zabrać dekady badań, lata pisania. Cokolwiek innego robiłem, ta biografia zdefiniowała moje: życie za Życie. Może to było nieświadome uchylanie się od tej ceny, może wymyślona, samo usprawiedliwiająca się próba opłacenia mojego długu wobec czegoś, co moi bardziej praktycznie nastawieni współcześni nazywali „prawdziwą pracą” lub coś bardziej pozytywnego, mętne uczucie przyciągania do świata materialnych dążeń i mierzalnych sukcesów, zwrócenie się ku przyszłości i od przeszłości, które doprowadziły mnie tego lata do Carron Town i Stoczni w Kishorn<sup>2</sup>.

– Dzięki Bogu już czwartek – powiedział wesoły głos za mną. Odwróciłem się i uśmiechnąłem do Jondo, który opierał się o znak przystanku i zajadał kanapkę z czarnym puddingiem i smażonym jajkiem. Za nim liczba pracowników teraz ustawiała się w kolejce. Sprzedawcy przegryzek, napojów i gazet pracowali wzdłuż tej linii.

– Jest piątek – wskazałem.

– To właśnie miałem na myśli – powiedział z pełnymi ustami,

---

<sup>2</sup> stocznia taka istnieje zob. [https://en.wikipedia.org/wiki/Loch\\_Kishorn](https://en.wikipedia.org/wiki/Loch_Kishorn) – przyp.tlum.

machając pozostałością swojego śniadania. – Siła przyzwyczajenia. – Przełknął. – W każdym razie, dzień wypłaty.

Skinąłem głową entuzjastycznie. Pół mojej wypłaty przesyłałem telegraficznie na moje konto w Kaledońskim Banku Spółdzielczym. Z reszty musiałem opłacić kwaterę, jedzenie i drinki, oraz odrobinę hulanki na cotygodniowym jarmarku. W piątkowe poranki miałem wystarczająco pieniędzy, żeby przetrwać dzień. Wypłata była wysoka, ale też koszty życia. Projekt podniósł ceny na kilometry dookoła.

Jondo był mężczyzną w moim wieku, jego brzuch piwny już tak samo imponujący jak jego mięśnie. Jego długie czerwone włosy, teraz jak zwykle w kucyku, i jego jasne oczy i brwi dawały mu wygląd paradoksalnie niewinnego pirata. Odziedziczone prawdopodobnie po jego przodkach wikingach, którzy przybyli na tę ziemię, żeby grabić i osiąść na farmie, a ku którym chrześcijaństwo przyszło jako w istocie dobra nowina, mile widziana ulga od pogańskich nieubłaganych kodeksów honoru i zemsty. Mówił z miękkim akcentem z Inverness, gdzie – była taka plotka – ciągle jeszcze żyli chrześcijanie.

Próbowałem sobie wyobrazić Jondo pijącego wino w jakiejś mrocznej ceremonii. Chwilowy absurdalny obraz musiał sprawdzić uśmiezek na moją twarz.

– Co jest takiego śmiesznego, Clovis? – warknął. Potem się uśmiechnął, zginiatając papier śniadaniowy i wyrzucając, wycierając tłuszcz z rąk w tłuste uda jego fartucha. – Ach, wiem. Dobra noc z Twoją dziewczyną majsterków, co?

– Można tak powiedzieć.

– Aye, dobra, każdemu wedle jego, zdaje się – powiedział, tonem wypowiedania ważnej i oryginalnej obserwacji. – Jest autobus.

Autobus, już w połowie pełny, zatrzymał się koło nas w chmu-

rze wydechu z gazu drzewnego, hamulce piszczące i jęczące koło zamachowe. Wszedłem, zapłaciłem szeląga<sup>3</sup> kierowcy i usiadłem na siedzeniu przy oknie. Jondo rzucił swoje ciało koło mnie, posłał mi kolejny sprośny uśmiech i mrugnięcie, wypuścił najwidoczniej satysfakcjonujące pierdnięcie i natychmiast zasnął.

Niektórzy pasażerowie zajęli się gazetami lub rozmową, ale większość drzemała jak Jondo, lub patrzyła zaczerwienionymi oczami jak ja. Rozbieżność pomiędzy tradycyjnym czterodniowym tygodniem i bardziej wymagającym harmonogramem Projektu zredukowała piątkową pracę do rozwiązywania problemów zostawionych przez cały tydzień i przygotowania się do następnego. Nawet zachęta podwójnej stawki nie mogła sprawić, żeby więcej niż garstka siły roboczej wkroczyła w świętość soboty i niedzieli, choć mogła sprawić, że większość z nas pracowała po godzinach przez cały tydzień. Żadna ilość cierpliwego nakłaniania przez kierowników z podkładkami i zbędnymi kaskami nie mogła nas przekonać do przyjęcia czegoś, co uważali za bardziej racjonalne tempo pracy.

Autobus szarpnął i ruszył. Zapaliłem papierosa, by rozwiać metan z kiszek Jondo i oparłem czoło o przyjazny pulsujący chłód okna. Gdy przekraczaliśmy Carron i mijaliśmy New Kelso, przyglądałem się poza schludne domki przedmieść, gdzie poranny dym wznosił się z obozu majsterków. Barwny obraz śpiącej Merrial – rozrzucone czarne włosy, ramię w białym rękawie na poduszce – rozpalili moją wyobraźnię. Zastanawiałem się, jakie są moje szanse na zobaczenie jej przez dzień. Nawet nie wiedziałem, w którym biurze pracuje i w beładnej fantazji znajdowałem jakieś fantastyczne wytłumaczenie, żeby odwiedzić je wszystkie: wypracowując drogę przez budynki administracyjne i biura projektowe, odrzucając flirty chichoczących dziewcząt i zamyślonych starszych kobiet z plaka-

---

<sup>3</sup> oryg. groat – archaiczna nazwa na monety w Szkocji i Anglii – przyp.tłum.

tami przystojniaków nad biurkami, aż w końcu wchodziłem do laboratorium inżynierii spotkać samą Merrial rozmarzoną o mnie, przy czym moje prawdziwe przyjście byłoby namiętnie przywitany spotkaniem. . .

Prawdopodobnie nie.

Moja głowa odsunęła się od okna, gdy autobus skręcił w lewo na główną drogę wzdłuż północnego brzegu. Wyprostowałem się, upewniając się, że moja głowa nie uderzy w taflę. Nawet o tej godzinie poranka droga była pełna ruchem dojeżdżających i ciężkimi ciężarówkami. Autobus sapał powoli, podejmując jeszcze więcej pasażerów w Jeantown, innej wiosce, którą Projekt rozbudował, jego napakowane budynki balansujące niebezpiecznie na stokach wzgórz. We fiordzie bawiło się stado delfinów, ich skoki powodowały westchnięcia i sapnięcia od mniej znużonych i sennych współpasażerów.

Potem, z większym ścieraniem się biegów i piskiem koła zamachowego, gdy dodatkowe silniki elektryczne były uruchamiane, autobus skręcił w prawo w drogę w górę wzgórz pomiędzy dwoma górami, An Sgurr i Glas Bhein, które dominowały na północnej panoramie miast na brzegu loch. Dla mnie to zapewniało niewyczerpalny fascynujący widok na dalsze pasma wzgórz i wody. Wszyscy inni w autobusie kompletnie to ignorowali. Ktoś otworzył okno, żeby wypuścić dym i wpuścić świeżego powietrza. Wpadła pszczoła, powodując falę podniecenia i wymachiwania zrolowaną gazetą, zanim wyleciała.

Ponad ostatnimi domami, ponad łąkami, zaczynały się drzewa: dwudziestometrowe buki, potem sosny, jarzębina i brzozy, na samą górę, aż do skał i piargów. Wieki temu te wzgórza były puste, prócz naturalnych pastwisk i wrzosowisk, przycinanych przez niesławne

owce o czarnym pysku<sup>4</sup>. Jednak te same nagie wzgórza w jakiś sposób podtrzymały rzadkie siły guerilli jakobitów, Ligi Ziemskiej i republikanów. Daleko poniżej mogłem zobaczyć skalisty półwysp znany jako Wyspa, ochronne ramię dookoła zatoki, ciągle z małym bunkrem na szczycie. W trakcie Pierwszej Światowej Rewolucji, trzynastolatka zapisała się w lokalnej legendzie, zestrzeliwując myśliwca stealth przy pomocy granatnika przeciwpancernego z ładunkiem nuklearnym. W ciasnym muzeum Jeantown można zobaczyć jej dawną fotografię: brudny, uśmiechnięty członek kadry Celtyckiego Wietkongu, w pozie z rurą rakiety wiszącą na jej ramieniu, koło nierozpoznawalnego wraku na porytym zboczu wzgórza, gdzie do dziś nic nie wyrasta.

Nad przełęczą i potem w dół w ciemną długą dolinę, gdzie Pretendent unikał żołnierzy Cumberlanda, gdzie Wolny Kościół nauczał wydziedziczonych, i gdzie, później, Armia Nowej Republiki przechowywała swoje komputery, hardware dla wojny softwarowej z ostatnim imperium. Ponura dolina otwierała się na kolejną płodną równinę lasów, pól i ostatnio wybudowanego miasta, Courthill. Za nim, na skraju fiordu, leżała wielka blizna Stoczni w Kishorn. Interpretacja widoku była sztuczką dla oka – wszystko tam, żurawie, platformy i Statek, były znacznie większe niż ich normalne równoważniki, jak plejstoceniscy kuzyni dla rodzimych ssaków.

Autobus zatrzymał się przy bramie zakładu. Palisada dookoła stoczni była skonstruowana bardziej, by chronić nieostrożnych lub lekkomyślnych od zabłądzenia niż by chronić cokolwiek, co otaczała. Trąciłem Jondo i wysiedliśmy na niebezpieczne, szybko poruszające się zbiegowisko autobusów, samochodów i rowerów. Prześliśmy przez bramę akurat, gdy syrena o siódmej zaryczała. Setki,

---

<sup>4</sup> rasa owcy rodzima dla Wysp Brytyjskich, zob. [https://en.wikipedia.org/wiki/Scottish\\_Blackface](https://en.wikipedia.org/wiki/Scottish_Blackface) – przyp.tłum.

potem tysiące, robotników płynęło przez bramę i roilo się w całej stoczni. Miejsce wyglądało jak łagodne pole bitwy, pokryte kraterami, usłane pojazdami, zaśmiecone żyjącymi. Założyłem ciężki kask na głowę i z Jondo sapiącym koło mnie, zanurzyłem się. Schylając i mijając na ścieżkach, nad wykopami, pod kablami, przeskakując ryzykowne tory kolejki wąskotorowej i ponad zalanymi wykopami i wyschniętymi przepustami (odwodnienie tutaj zawsze było na chybił trafił). Koło wywrotek i koparek, kompresorów powietrza i generatorów prądu, przenośnych kabin i toalet ustawionych jakby losowo w błocie, aż dotarliśmy do ogromnego suchego doku, który był ogniskiem całej tej chwalebnej awantury.

Suchy dok był wielkim okrągłym wyżłobieniem w stoku wzgórza, który schodził do morza, setki metrów wszcz, dziesiątki metrów wżwyż. Jego skaliste klify były stare i zwiertzałe. Wyglądały jak jakaś robota Natury lub Opatrzności, nawet Sprawiedliwości bijącej Ziemię przez gniewnego Boga, ale w rzeczywistości była to wiekowa praca Człowieka. (Największe wrażenie robią prace lądowe starożytnych, ale może to dlatego, że tak dużo przetrwało, wspanialsze prace niż ta rozpadły się w rdzy i zgniły). Żelazne śluzę, w odpowiednio gigantycznej skali<sup>5</sup>, wytrzymały morze, choć pompy pracowały dzień i noc, żeby zapobiec nieuniknionemu przesiąkaniu i zalewaniu.

W obrębie wznosiła się platforma, pewnego dnia wkrótce pływający bastion betonu i malowanej stali, a na niej wznosił się Statek. *Morski Orzeł (Iolair* – wymawianej jakoś „Joleire” w gaelickim) wyglądała jak granat od RPG zakopany nosem w platformie. Cztery kołnierze jak płetwy pochylały się z centralnej wieży, żeby

---

<sup>5</sup> w oryg. brobdingnagian, co jest odniesienie do Kraju Brobdingnag, Gigantów z powieści *Podróże Guliwera* Jonathana Swifta, por. <https://en.wikipedia.org/wiki/Brobdingnag> – przyp.tłum.

przeciąć jajowatą powierzchnię kadłuba reaktora i zbiornika masy reakcyjnej, który miał czterdzieści metrów średnicy w najszerszym miejscu. Część tego ukryta przez platformę zwiężała się od środka do silnika powietrznostožkowego<sup>6</sup> głównej rakiety, dookoła której rozszerzone dysze rakiet wysokości tworzyły zapiekły układ.

Do tej pory człapałem w środku mojej grupy roboczej, do mnie i Jondo dołączył Machard, Druin, chłopaki z Lewis – Murdo pierwszy i Murdo drugi – oraz Angelo i Trike. Zeszliśmy zygzakiem żelaznych schodów, w dół i znowu w dół, i poszliśmy przez dno doku, rozchlapując kałuże wody deszczowej i morskiej (niektóre były tutaj tak długie, że miały własne ekosystemy) do drzwi u podstawy południowo-zachodniej nogi Platformy. To było jak wchodzenie do latarni morskiej: w górę i dookoła wijących się schodów. Powietrze pachniało mokrym metalem, gorącym olejem, wilgotnym betonem. Każda powierzchnia ociekała, każdy dźwięk odbijał się echem.

Po dwóch minutach wspinania dotarliśmy na poziom wewnętrznego rusztowania, gdzie pracowaliśmy. Schyliłem się w drzwiach serwisowych wewnętrznej strony nogi i pojawiłem się na chodniku naprzeciwko turbiny Platformy, która była za dwudziestometrową przerwą. Na naszym obecnym miejscu pracy, dziesięć metrów wzdłuż chodnika, drabiny, więcej rusztowań i oszalowań zniknęło w – w istocie wydawało się scalać z – nieskończoną strukturą rozpór łączących nogę wsparcia z mocowaniem silnika Platformy.

Nasz kontrakt na ten miesiąc polegał na skończeniu tej konstrukcji. Kontrakt nie był elastyczny, został tylko miesiąc, zanim Platforma wypłynie. Angus Grizzlyback, brygadzysta, siedział na drewnianej palecie postawionej na skrzyniach, żeby stworzyć stół, na którym były rozłożone jakieś rozmontowane palniki spawalni-

---

<sup>6</sup> w oryg. aerospace, zob. <https://pl.wikipedia.org/wiki/Aerospike> – przyp.tłum.



cze, mała puszcza nafty i kilka teraz bardzo brudnych mewich piór. Wstał i spojrzął się na nas, odruchowo pochylając głowę, żeby nie uderzyć czubkiem głowy o kolejny poziom. Można było zobaczyć białe włosy na klatce piersiowej i przedramieniach, które zainspirowały jego przezwisko (lub, z tego, co wiem, nazwisko, lokalny zwyczaj będący tym, czym był). Miał prawie dwa metry wzrostu i sto pięćdziesiąt lat.

– Och, dobrego popołudnia, panowie – powiedział. – Ufam, że dobrze się bawiliśmy na długim wypoczynku? Zobaczmy, czy możemy wymyślić coś, żeby zająć nasz wolny czas przez resztę dnia.

Wyciągnął plik poplamionych dokumentów z kieszeni, gdy zbieraliśmy się dookoła palety. Jego jasne szare oczy, pod białymi brwiami, skupiły się na mnie.

– I możesz już zacząć od razu, colha Gree – dodał.

Skinąłem szybko głową, skrzywiłem się na efekt tego nagłego, brutalnego ruchu i poszedłem zrobić herbatę.

Poranne spotkanie – dwadzieścia minut siedzenia, picia herbaty i palenia – było zwykłym początkiem dnia. Praca w Projekcie była zorganizowana przez rodzaj ekologicznej piramidy wykonawców i podwykonawców, od wielkiego krakena Międzynarodowego Towarzystwa Naukowego aż do samego dołu do gorączkowo skrobącego krylu jak ja. Angus Grizzlyback łączył funkcje przedsiębiorcy i brygadzysty, które częściowo się nakładały, a częściowo uzupełniały, pracę przedstawiciela załogi (w naszym przypadku, Jondo), który zajmował równoważne stanowisko w równoległej piramidzie Związku.

Rozmowy na spotkaniach, według mojego dwumiesięcznego doświadczenia, obracały się wokół plotek, nowin dnia i sportu. Na koniec, każdy dopijał kubek, składał gazetę, gasił papierosa, patrzył na jakiś kawałek papieru lub malunek w rozlanej kawie, kiwał głową

do Angusa i szedł załatwić jakąś złożoną pracę, która była tylko wskazana przez niezrozumiałą aluzję. Wtedy miałem sprzątnąć bałagan, wymyć kubki, jeżeli bylibyśmy blisko kranu i wysłuchać Angusa literującego moje zadanie na dzień w pojęciach odpowiednich dla nieskomplikowanych umysłów.

Dzisiejszy program był zdominowany sprawą wniosku przed Radą Dystryktu Strathcarron, opisaną w *Wolnym Dzienniku West Highland*, że lokalni powinni oddelegować bicie monet do regionalnej rady w Inverfefforan. Ta niebezpieczna propozycja centralizacji nie została dobrze przyjęta wokół palety. Została detektywistycznie przeanalizowana przez Angusa, wulgarnie wyśmiana przez ludzi z Lewis, gniewnie odrzucona przez część z Carron. Sam podkreśliłem niedawną lekcję z historii. Kilka lat wcześniej, podobna propozycja przeszła w Strathclyde. Marka glasgowiańska utraciła zaufanie publiczne, a plan upadł, gdy roczna inflacja sięgnęła niszczących dwóch procent. Dyskusja przeniosła się na Narodową Ligę Piłki Nożnej, a moja uwaga się błąkała.

Możecie zgadnąć gdzie. Tym razem, jednak, moje myśli były bardziej racjonalne i niepokojące, niż moje wcześniejsze radosne wspomnienia, gorliwe przewidywania i słodkie fantazje. Choć moja opinia o mnie była wysoka, nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, że Merrial spodziewała się mnie znaleźć, że znała mnie lub wiedziała o mnie, że jej pierwsze spojrzenie wyrażało rozpoznanie. Miłość i pożądanie było w tym spojrzeniu, po obu stronach, byłem pewien, ale również byłem, choć bardziej niejasno, pewny, że nie było to pierwsze spojrzenie. Też ją rozpoznałem, ale nie miałem pojęcia skąd. Dla niej, było to jasne od początku, nieukrywane, ale niewyjaśnione.

Przez chwilę – przyznaję ze wstydem – rozważałem sytuację, że mogliśmy *znać się w poprzednim życiu*, cokolwiek to mogłoby zna-

czyć. Natychmiast odrzuciłem idee jako głupi, babski, orientalny przesąd. Metempsychoza (choć bez wątplenia w obrębie władzy Wszchemocy) nie miała miejsca w naturalnej i racjonalnej religii.

Zatem wylegiwałem się, łokcie na twardym drewnie surowego stołu, i piłem herbatę i paliłem liście, podczas gdy moi towarzysze kłócili się o finanse lub piłkę nożną, i próbowałem zastosować infinitezymalną część Rozumu do problemu, w który moje pasje były w pełni, i burzliwie, zaangażowane. Racjonalny wniosek był taki, że skoro się rozpoznaliśmy, musieliśmy się poznać wcześniej, nie w wyobrażonym wcześniejszym życiu, ale wcześniejszym w tym.

Istniała pewna liczba możliwości po mojej stronie tego równania. (Na bok odłożyłem Merrial – istniało wiele sposobów, na które ona, z jej uprzywilejowanego widoku, mogła mnie obserwować, nie będąc samą obserwowaną i śledzić mnie, bez wykrycia). Czy było to wyobrażalne, że jedna z setek twarzy, które prawie każdego dnia widziałem była jej, wówczas niezauważoną? Wydawało się to mało prawdopodobne, jej twarz była rodzaju, którego nie umiałbym nie zauważyć. Spojrzałbym drugi raz, i więcej, w tłumie tysięcy.

Czy widziałem ją, zatem, w innym kontekście, może nawet nie na żywo? Na, przykładowo, jakimś plakacie lub ruchomych obrazkach o projekcie (z których wszystkie, ze zrozumiałych powodów rekrutacji, kłamały na temat kompletu pięknych dziewczyn)? Zastosowane miały te same obiekcje, pamiętałbym film, *miąłbym* plakat.

W dalszych rozważaniach szybko wróciłem do pierwszego wytłumaczenia, które mnie uderzyło: że się poznaliśmy, lub przynajmniej widzieliśmy, w naszych wczesnych latach, w dzieciństwie. Merrial, jak teraz przypomiinałem sobie z powtórным zainteresowaniem, nie wyrzekła się wyraźnie tej możliwości, jedynie ją odrzuciła, mówiąc, że nie jest stąd.

Ani, oczywiście, i ja. Nie było powodu, dla którego nie mogłem

jej znać. Nie mógłbym zapamiętać takiego spotkania, ale już wiedziałem, że nasze dziecięce wspomnienia błędzą tak jak nasze dziecięce jaźnie i tak zawodne, i tak możliwe niewinnego, bezwstydniego podstęp.

Podejście siłowe<sup>7</sup> samo się narzucało: przesłuchać rodziców, braci i siostry, spłądować rodzinne fotografie...jeszcze nie. Już, świadoma myśl, że szukałem wspomnienia, uruchomiłaby nieczuła byt, o którym prywatnie myślałem jako o Bibliotekarzu. Ta część mnie zrobiłaby resztę i sprowadziła z powrotem zapisy, jeżeli miałyby być znalezione, bez wątpienia za jakiś czas tak niespodziewany, jak byłby nie na miejscu, ale mimo to mile widziany.

– ...części palników? – powiedział Angus.

Zrozumiałem, że coś mnie ominęło. Angus westchnął.

– Wiesz, jak je złożyć, przetestować i wyregulować?

– Pewnie – powiedziałem, kiwając się z większą pewnością niż czułem.

– Dobra, dobra – powiedział Angus, wstając i rażno pocierając dłonie razem. – Bierzmy się do tego, panowie.

Inni uśmiechali się do mnie.

– Jaka noc musiała to być – powiedział Murdo drugi, uruchamiając kolejną rundę rubasznego dokuczania. Przyjąłem to za dobrą monetę, ale poczułem ulgę, kiedy wspięli się w strukturę konstrukcji, zostawiając mnie do zajęcia się pracą bez korzyści nieusłyszanych instrukcji Angusa. Kilka godzin minęło całkiem przyjemnie, jeśli niebezpiecznie, i na porannej przerwie na herbatę, Angus był dostatecznie zadowolony z wyników, żeby przerzucić mnie na jakąś blachę, dziesięć metrów wgląd i dziesięć w górę. Siedziałem na wypełnionej hałasem otwartej przestrzeni konstrukcji z tylko widocz-

---

<sup>7</sup> w oryg. brute-force, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Wyszukiwanie\\_wyczerpuj%C4%85ce](https://pl.wikipedia.org/wiki/Wyszukiwanie_wyczerpuj%C4%85ce) – przyp.tłum.

nym, gdy pracowałem, tym, co oświetlił mój własny strumieniem z palnika i niczym innym na głowie.

Około dwunastej zdecydowałem się przerwać na lunch. Skręciłem palnik i podniosłem maskę. Gdy zbierałem elementy sprzętu, żeby je zanieść, usłyszałem głos Merrial. Mrugnąłem i spojrzałem w dół. Oto i była, patrząc na mnie spod kasku.

– Cześć Clovis! – krzyknęła, machając pudełkiem na obiad.

Odmachałem i wróciłem do rusztowania, rzuciłem narzędzia, złapałem moje pudełko i zbiegłem na poziom doku tak szybko, że schody dzwoniły od moich butów. Kiedy dotarłem na dno, Merrial podeszła bliżej i czekała na mnie. Miała na sobie standardowy kombinizon i buty, zestaw, w którym – z jej włosami związanymi z tyłu – wyglądała chłopięco. Jej uściski i pocałunki na powitanie były słodkie i ciepłe. Krawędzie naszych kasków uderzył i oderwaliśmy się, śmiejąc.

– To piękna niespodzianka – powiedziałem.

Złapała moją dłoń.

– Chodź – powiedziała. – Znam dobre miejsce.

Ruszyliśmy przez dok, przy przewidywalnych gwizdach i zaczepkach kumpli, wysoko nad nami. Poszliśmy dookoła szerokiej granicy platformy i na zewnątrz w światło od strony morskiej. Gdy tylko minęliśmy potężne drzwi śluzy, Merrial skręciła w kierunku klifu, gdzie szereg półek i stopni utworzył niebezpiecznie wyglądające naturalne schody, po których wskoczyła i zwinnie weszła. Szedłem za nią, nie patrząc w dół, aż zatrzymała się na szerszej, trawiastej i pełnej wrzosu półce dobre trzydzieści metrów w górę.

Usiedliśmy. Merrial oparła się o skałę, a ja, nie myśląc, zrobiłem to samo, potem szarpnąłem do przodu, gdy znowu odkryłem podrapania i siniaki na plecach. Z wyciągniętymi nogami, nasze stopy były prawie na krawędzi. Czułem się bardziej zaniepo-

kojony na tej solidnej skale niż kiedykolwiek na wielkich wysokościach Platformy. Po drugiej stronie bram, przez fiord, toridońskie<sup>8</sup> blanki Applecross rzucały wyzwanie niebu. Skala tych sędziwych gór przyćmiewała sam Statek niczym metalową rzeźbę jakiegoś ekscentrycznego artysty wykonaną w ogródku w wolnym czasie.

– Moje miejsce – powiedziała Merrial.

– Jakież miejsce – przyznałem. – To Ty powinnaś pracować na Platformie, z taką głową do wysokości jak to.

– Zostanę przy swoim wygodnym laboratorium i późnym wstawaniu, dzięki.

Otworzyliśmy pudełka, rozłożyliśmy i podzieliliśmy zawartość, potem zajeliśmy się jedzeniem, oboje głodni. Przez kilka minut jedliśmy, bez mówienia, potem Merrial dołała do kubków, zapaliła papierosa, podała mi i oparła się o skały.

– Clovis, jest coś, o co chcę się zapytać. . .

Przerwała. Patrzyła prosto przed siebie, jakby chciała rozmawiać bez patrzenia na mnie.

– Co to jest?

– Coś, co może możesz mi powiedzieć. Coś, co może nie powinienś. Ma to związek ze Statkiem.

To stawało się poważniejsze niż miłość.

– Chcesz nauczyć się spawania? – spytałem, próbując być nonszalancki.

Roześmiała się.

– Nie, o historii.

– Och. – Machnąłem dłonią. – W każdej chwili. Jednak musi

---

<sup>8</sup> geol. nieformalna nazwa grupy skał osadowych z okresu mezoproterozoiku, w większości koloru czerwonego i brązowego, więcej. [https://en.wikipedia.org/wiki/Torridon\\_Group](https://en.wikipedia.org/wiki/Torridon_Group) – przyp.tłum.

być wielu bardziej wykwalifikowanych niż ja, wszystko, co znam bardzo dobrze to. . .

Obserwowała mnie, gdy nagle do mnie dotarło.

– Życie Wyzwolicielki?

– Dokładnie to – zgodziła się radośnie.

– Jesteś pewna?

– Jestem pewna – powiedziała. Teraz nie odwróciła wzroku, patrzyła prosto na mnie spojrzeniem stałym i intensywnym, co wydało się alarmujące.

– Dobrze – powiedziałem, mój umysł przygotowany. – Naprawdę chcesz czegoś się dowiedzieć o Wyzwolicielce? Mogę Ci powiedzieć, co tylko chcesz wiedzieć. Niemniej co ma to wspólnego ze Statkiem, na litość boską?

Wzięła głęboki wdech, odwracając wzrok ode mnie i patrząc na wysoki statek.

– To dobry statek, colha Gree, i jestem dumna, że mogę przy nim pracować. Jednak rozważ to: to będzie pierwszy statek wyniesiony z Ziemi od wieluset lat. Pierwszy do czasu Wyzwolenia. Nie wiemy za dużo, co wtedy się wydarzyło, ale wiemy, że w kosmosie przed Wyzwoleniem byli ludzie i maszyny, oraz nie usłyszeliśmy od nich nic więcej od tego czasu. Bez wątpienia wszyscy nie żyją. Dlaczego sądzisz, że tak jest?

– Była wojna – powiedziałem cierpliwie – i rewolucja. Rewolucja Drugiego Świata, lub Wyzwolenie, jak je nazywamy. Ludzie poza Ziemią podążyli ścieżką władzy i upadli od Posiadania. Wyczerpali zapasy lub się wzajemnie pozabijali, najprawdopodobniej.

– Tak mówi opowieść – powiedziała, tonem zmęczonym od spierania. – Ale co, jeżeli jest błędna? A co, jeżeli to, co wyczyściło niebo ludzi, maszyn tak samo jak diabłów, *nadal tam* jest?

– Ach – powiedziałem, patrząc odruchowo na czyste błękitne

niebo. – Ale to ma Sens, ludzie kierujący projektem na pewno się tym zajmą. Dlaczego im tego nie przedstawiś?

– Zajęli się tym, racja – powiedziała – i odrzucili. Nie ma dowodów czegokolwiek tam gorze, co mogłoby wyrządzić krzywdę Statkowi. Nie ma dowodów, że utrata siedlisk w kosmosie była spowodowana czymś innym niż wspominałeś.

– Więc dlaczego myślisz, że mógłbym wiedzieć cokolwiek o tym ... – machnąłem lekceważąco dłonią – ... *domniemanym* niebezpieczeństwem?

– Ponieważ... – W tym momencie, przysięgam, rozejrzała się i pochyliła bliżej, prawie szepcząc mi do ucha. – Istnieje stara tradycja majsterków, lub plotka, lub wskazówka, wiesz, jak to jest ze starymi ludźmi, że cokolwiek, co *zniszczyło* w kosmosie osady i satelity i tak dalej ciągle tam może być, i że to była... sprawka samej Wyzwolicielki.

Moje usta musiały być otwarte. Mogłem poczuć, jak wysychają i poczułem przez chwilę mdłości i zawroty głowy. Moje palce wbiły się w twardą trawę, gdy świat niebezpiecznie zawirował. Spojrzałem na nią, zemdlony, a jednak zafascynowany wbrew sobie. Religia naturalna nie rozpoznawała grzechu bluźnierstwa, ale to było bluźnierstwo tak blisko jak cholera.

– To niebezpieczne wody, Merrial.

– Mów *mi* jeszcze! – parsknęła. – Miałam wystarczające problemy tylko za samą sugestię. Wszyscy myślą, że Wyzwolicielka była doskonałym żołnierzem Boga, jak Chomeini<sup>9</sup> czy ktoś. Och, wśród mojego ludu istnieje bardziej realistyczne nastawienie, przy-

---

<sup>9</sup> szyicki przywódca duchowny i polityczny, ajatollah, polityczny przywódca Iranu (jako Najwyższy Przywódca) w latach 1979–1989, więcej [https://pl.wikipedia.org/wiki/Ruhollah\\_Chomejni](https://pl.wikipedia.org/wiki/Ruhollah_Chomejni) – przyp.tłum.



znają, że popełniała błędy, ale to tylko pośród nas. Publicznie, nie spotkasz majsterka wypowiadającego się przeciwko niej.

Uśmiechnąłem się krzywo.

– Prócz Ciebie.

– To nie jest publiczne, colha Gree. – Przebiegła palcami po mojej twarzy i po ustach.

– Musisz być tego bardzo pewna – powiedziałem. – Żeby mi powiedzieć.

– Jestem dostatecznie pewna – powiedziała. – Jestem pewna Ciebie.

Żeby odwrócić uwagę od kotłowania mieszanych uczuć, które to zapewnienie wywołało, zapytałem:

– Więc co to jest to, co ci mogę powiedzieć?

– To, co wiesz – powiedziała. – Zawsze myślałam, że uczeni mogą wiedzieć więcej o Wyzwolicielce, niż nam mówią.

Roześmiałem się.

– Nie ma tajemnic wśród uczonych, nie są tacy jak majsterkowie. Wszystko, co odkrywamy, jest publikowane. Jeżeli nie zgadza się z tym, co większość ludzi wierzy, to ich sprawa. Ale tak czy siak, większość ludzi nie czyta uczonych prac. I, cóż, zdaje się, że są w tym podobni do majsterków, utrzymują własne realistyczne nastawienie pośród swoich. To prawda, Wyzwolicielka nie była doskonałą świętą. Jednak nie widziałem niczego, co sugerowałoby, że kiedykolwiek zrobiła coś tak strasznego . . . jak twierdzisz.

Skrzywiła się z rozczarowania.

– Och, dobra. Może to zbyt wiele nadziei, że coś takiego byłoby zapisane w papierze. – Zerwała różową koniczynę i zaczęła odrywać zwinięte płatki jeden po drugim i wysysać je, podała jeden mi. Wziąłem go pomiędzy zęby, uwalniając maleńką kroplę nektaru na język.

– Na papierze – powiedział zamyślony. – Mogły być inne informacje, do których nie możemy dotrzeć.

– W mrocznym magazynie?

– Tak, cóż, jak mówiłem ostatniej nocy, jest tam, ale nie możemy dotrzeć.

– Ja mogę się dostać – powiedziała Merrial od niechcienia.

– Och, mogłabyś, co?

– Tak – odparła. – Mogę załatwić ekwipunek, żeby wydostać dane z mrocznego magazynu i włożyć je do bezpiecznego magazynu.

– Bezpieczny magazyn? – spytałem, zbyt zdumiony, żeby pytać głębiej w tamtej chwili.

– Wiesz – powiedziała. – Kryształowy widzenia.

– I skąd o tym wiesz?

Kolejne oddalone spojrzenie.

– Widziałam, jak to jest robione. Przez... inżynierów idących skrótem.

– Istnieje dobry powód, dlaczego unikamy ścieżki lewej dłoni – powiedziałem.

– „Konieczność jest własnym prawem” – powiedziała, jakby cytując, ale wyrażenie pochodziło od mędrca, którego nigdy nie czytałem. – Tak czy inaczej, Clovis, to nie jest tak niebezpieczne, jak sądzisz.

Ciekawość napędzała mnie jak lubieżność.

– Jak robią to bezpiecznie? Rysują pentagramy solą, czy co?

– Nie – odparła, całkiem poważnie. – Przygotowują linie z izolowanych obwodów, wiesz? To właśnie ogranicza cokolwiek, co mogłoby czekać, żeby się wydostać. Dla wzroku istnieją inne proste zabezpieczenia... – zrobiła gest odcinania w odpowiedzi na moje zaskoczone spojrzenie – ... ale dziewięćdziesiąt dziewięć razy na

sto, nie ma niczego, czym należałoby się martwić. Tylko słowa i obrazy. – Roześmiała się mrocznie. – Czasem *obce* słowa i obrazy, muszę przyznać.

– A za setnym razem?

– Spotykasz demona – powiedziała, bardzo cicho, ale stanowczo. – W większości przypadków, możesz go wyłączyć, zanim narobi szkód.

– A w innych przypadkach? – naciskałem.

– Wydostaje się i zjada Twoją duszę.

Gapiłem się na nią.

– Znaczący, to rzeczywiście jest *prawda*?

Roześmiała się.

– Oczywiście, że nie. Chociaż sprawia, że sprzęt wybucha w płomieniach lub eksploduje.

– Rozumiem, w jaki sposób może to być ryzykowne.

Sięgnęła i dotknęła moich ust.

– Ciii, chłopie, nie przeżywaj tego jak stara kobieta. Większość rzeczy w mrocznym magazynie jest dla nas bezużyteczna lub zła na wiele innych sposobów od tych, o których myślisz. Diabelskie idee z dawnych czasów, możesz się rozchorować od nich, lub zechcieć się nimi podzielić, więc rozprzestrzeniają się jak choroba.

Odchyliła się znowu, zamknęła oczy i cieszyła się słońcem jak kot.

– Rozumiem, że Ty i ja jesteśmy dostatecznie silni i zdrowi na umyśle, żeby być bezpiecznie od tego rodzaju rzeczy. – Znowu otworzyła oczy i rzuciła mi wyzywające spojrzenie.

Ścieżka mocy zawsze jest pokusą, jak powiedziała Merrial tak lekko ostatniej nocy. Dotąd nigdy naprawdę mnie nie kusila. Znałem niebezpieczeństwa i wiedziałem, że nie ma sposobu dotarcia do niewątpliwych nagród. Teraz oferowano mi taki sposób. Mógłby

skrócić o lata czas wymagany na badania w mojej pracy doktor-skiej, mógłby nawet dać mi przewagę w Życiu. Pożądanie straconej wiedzy sprawiło, że głowa zaczęła mnie łupać.

Zadałem pytanie, zanim wiedziałem, o czym mówię.

– Czy chcesz, żebym ci z tym pomógł?

Jej oczy rozszerzyły się i rozjaśniły.

– *Mógłbys?* To byłoby po prostu... cudowne!

Patrzyła na mnie z takim podziwem i szacunkiem, że nie mógł-bym wyobrazić sobie niezrobienia tego, żeby na to zasłużyć. Jednak nawet w moim zakochanym zapale, żeby ją zadowolić, moje praw-dziwe wątpliwości o problemie, o którym ona myślała, że odkryła, i moje własne pragnienie wiedzy i przygody, żeby je pozyskać, na-wet z tym wszystkim, moja cała edukacja i naturalna ostrożność powróciła i się zawahałem.

– Och, Boże – powiedziałem. – Muszę o tym pomyśleć.

– Możesz zastanowić się nad tym do ósmej wieczorem? – spy-tała sucho Merrial.

– Może. A co jeżeli powiem nie?

Spojrzała na mnie zdeterminowana.

– Nie pomyślałabym o Tobie gorzej. To nic w tym nie zmieni.

– Naprawdę? – spytałem, nie z niepokojem, ale psotnie. Już się zdecydowałem. Zbałamuciła mnie do takiego stanu umysłu, który nie bał się ani Boga, ani ludzi ani diabłów. – Więc co zrobisz?

Potrząsnęła głową.

– Znajdę inny sposób lub, w najgorszym przypadku, złożę ofi-cjalny protest do dokumentacji i będę kontynuowała moją pracę, jak mi kazano.

– To przede wszystkim brzmi jak najrozsądniejszy kierunek dzia-łań.

– Prawda – powiedziała. – Ale wołałabym poczuć satysfakcję

z wiedzy, że Statek jest bezpieczny, w ten lub inny sposób, niż mówić „Mówiłam wam” po fakcie.

Nie mogłbym się z tym nie zgodzić i nie chciałem. To, co powiedziała, musiało mieć jakiś głębszy wpływ na mnie, ponieważ kiedy zesliśmy po niebezpiecznych schodach z wrzosowego gniazda, każde z nas jedno potknięcie od powitalnych ramion Darwina, w ogóle się nie bałem.

Mój pokój był wąski i długi, na strychu. Po gorącym dniu, pachniał mocno starym lakierem i ciepłą rdzą, słychać było dźwięki skrzypiącego drewna. Światlik skierowany na zachód wpuszczał wystarczająco światła do patrzenia i wystarczająco powietrza do oddychania.

Przyszedłem z pracy i zrzuciłem kombinezon i koszulę, rzucałem tymczasowo ciężką sakiewkę na łóżko i otworzyłem schłodzoną butelkę piwa, którą kupiłem na przystanku autobusowym. Otworzyłem światlik na maksimum i usiadłem pod nim na jedynym krześle w pokoju, oparłem łokieć o ramę okna, jakbym siedział przy barze. Przy moim przedramieniu małe czerwone pajęczaki poruszały się po szarym i żółtym poroście jak kropki przed moimi oczami.

Merial i ja mieliśmy się spotkać za dwie godziny. Dużo czasu na umycie się, ogolenie i ubranie, na myślenie i rozmyślanie. Prawie się skusiłem na drzemkę, ale zdecydowałem się na nie, pomimo atrakcyjności ledwo poślanego łóżka w tamtej chwili. Po wypiciu piwa, napiłbym się kawy. Zapaliłem mojego piątego papierosa tego dnia i wyjrzałem ponad dachami w kierunku loch, moje wysuszone ciało z wdzięcznością absorbujące napój, mój mózg jadący na podnieceniu z liści.

Niepokojąca, ale pociągająca propozycja Merial zajmowała mnie całe popołudnie i choć podjąłem decyzję, miałem mnóstwo wątpli-

wości i lęków. Nie byłbym pierwszym kopiującym w mrocznych archiwach w celach historycznych lub inżynierskich, jeżeli o to chodzi. Nie było to ani przestępstwo ani grzech, ale zawsze przedstawiano mi to jako niebezpieczny kaprys. Oraz, dla pewności, nie mogłem wymyślić dobrego powodu na zrobienie tego, innego niż te, które motywowały mnie i Merrial. Bez wątpienia, każdy, kto choć raz wszedł na tę ścieżkę, czuł się tak samo o *swoich* powodach. Racjonalnie, było oczywiste, dlaczego niebezpieczeństwa były częściej publikowane niż korzyści, ci, którzy odnaleźli jedynie szaleństwo i śmierć w czarnej logice nie mogli być niezauważeni, natomiast ci, którzy odkryli wiedzę, bogactwo lub przyjemność dyskretnie zachowywali złowieszcze źródło dla siebie.

Jaką obłudę, zastanawiałem się, praktykowali majsterkowie, jeżeli sami okazjni przykładali rękę do leworęcznej ścieżki? Póki Merrial o tym nie wspomniała, nie podejrzewałem takich rzeczy: ale wtedy, z wirtualnym monopolem majsterków rozumienia białej logiki, było w ich interesie publicznie deprecjonować czarną. Optyczne i mechaniczne przetwarzanie danych i szczególnie delikatny interfejs pomiędzy nimi – kryształowy widzenia jak klejnoty w błyszczącym mosiądzu maszyn obliczeniowych – były ich specjalnością i tajną umiejętnością. Co by się zdarzyło, gdyby ludzie spoza ich gildii zaczęli badać ścieżkę lewej ręki na serio, jako przedsięwzięcie publiczne niż prywatny występki, tylko niebiosy by wiedziały. Nowe Posiadanie, prawdopodobnie, w takim przypadku majsterkowie mogliby zaprojektować nowe Wyzwolenie. Nie była to uspokajająca myśl.

Zgasiłem papierosa i posłałem niedopałek wirujący po łupkowych dachówkach do suchej rynny. Dźwięki ludzi wracających do domu, silników, kopyt, stóp unosiły się z ulicy poniżej. Odwróciłem się do pokoju i skończyłem piwo, potem rozebrałem się i wszedłem

do kabiny prysznicowej i się umyłem. Woda stała się zimna tuż przed spłukaniem ostatnich mydlin. Zacisnąłem zęby i wytrzymałem, potem wyskoczyłem i wytarłem się, podczas gdy elektryczny czajnik gotował wodę. Napełniłem dzbanek mieszanką ciepłej i zimnej wody i ogoliłem się ostrożnie, potem nastawiłem kawę, podczas gdy się ubierałem. W te same spodnie i kamizelkę, jakie miałem poprzedniej nocy, ale pomyślałem, że okazja wymaga czystej koszuli.

Łóżko było dostatecznie blisko stołu, żeby te dwa meble tworzyły w pewien sposób nieergonomiczne biurko. Usiadłem z kawą i spojrzałem na stos książek i papierów, które przywiozłem ze sobą do czytania na lato. Sięgnąłem i wyciągnąłem tom ze stosu, przekłąłem, wstałem i znalazłem szmatkę do przetrarcia kurzu i pajęczyn z wszystkich książek, umyłem ręce i znowu zasiadłem. Sącząc stygnącą kawę, przewracałem strony, próbowałem się skupić na kwestiach, które zawierały.

Kiedy się obudziłem po raz trzeci od czoła uderzającego w stół, poddałem się, nalałem sobie kolejnej kawy i zwróciłem się do mojego prawdziwego zmartwienia, tego, o którym nie chciałem myśleć: co, jeżeli Merrial zwyczajnie mnie wykorzystuje? Że przede wszystkim znalazła mnie, ponieważ chciała, żebyśmy wykonał dla niej pracę?

Chodziłem tam i z powrotem po wąskim pokoju, obracając pytanie w głowie prawie tak często jak zawracałem. Po kilku powtórzeniach, zdecydowałem, że nie mógłbym być oszukany w sprawie jej uczuć, że jej namiętność była prawdziwa, i jeżeli chciała mną manipulować, zrobiłaby to bardziej subtelnie. . .

Jednak w tym przypadku, może to było dowodem jak subtelnie działa. W tym miejscu się zatrzymałem. Podejrzewać manipulację tak subtelną – najwidoczniej niezdarne i oczywiste podejście, które maskuje te bardziej przebiegłe i eleganckie – było podważaniem

wiary w mój osąd, na którym takie odróżnienia musiałyby z konieczności polegać.

Zatem zapomniałem o podejrzeniach i zjrzałem raz jeszcze do książek, a kwadrans przed ósmą wyszedłem w wieczór spotkać ją, i mój los.



## Rozdział 4

# Papierowe Tygrysy

Trzy flagi wisiały za trumną: sowiecka, czerwona ze złotym młotem i sierpem, kazachstańska, niebieska z żółtym słońcem i orłem, i MRRNT, żółta z czarną, trójlistną koniczyną.

Około dwustu osób stłoczyło się w sali krematorium. Pogrzeb był najbliższą uroczystościom państwowym, które republika odbyła od czasu stulecia Sputnika. Cały zubożony aparat był tutaj i dobry odsetek robotników, chłopów i inteligencji prawdopodobnie oglądał w telewizji. Wyróżnieni zagraniczni goście obejmowali konsula Kazachstanu, dyrektora Sekcji Interesów Zachodnich Stanów Zjednoczonych i Davida Reida, który był wciśnięty pomiędzy kilku agentów Ochrony Wzajemnej. Myra siedziała z resztą SowNarKomu w pierwszy rządzie, suche oczy, gdy jedna ze starych towarzyszek Georgiego – kolejna weteranka afgańska – wygłaszała eulogie<sup>1</sup>.

– Major Georgi Jefrimowicz Dawidow urodził się w Ałma-Acie w 1956 roku. W szkole, w Pionierach i Komsomole, szybko wyróżnił się jako wzorowa jednostka, pilna, obywatelska ze wspianą atletyczną sprawnością. Po otrzymaniu stopnia na Uniwersytecie Kazachstanu, gdzie dołączył do Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, ukończył służbę wojskową i wybrał karierę militarną. W 1979 roku zakwalifikował się jako pilot helikoptera i później tego

---

<sup>1</sup> mowa pogrzebowa – przyp.tłum.

samego roku był pierwszym wśród ograniczonego kontyngentu radzieckich sił zbrojnych, które wypełniły internacjonalistyczny obowiązek wobec ludu Afganistanu.

Fala różnicy w poglądach, wyrażona we wdechach lub westchnięciach lub przesuwaniu stóp, przebiegła przez pokój. Myra sama pociągnęła nosem, zacisnęła usta, spojrzała w dół. Wszystkie te noce, kiedy budził ją, chwytając ją, trzymając ją, gadając o koszmarach, wszystkie te poranki, kiedy nie mówił słowa, nie dawał znaku, że pamiętał jakąkolwiek przerwę we śnie swoim lub jej.

Mówczyni podniosła nieco głos i kontynuowała nieposkromiona.

– Jego służba zapewniła mu awans i honor Bohatera Związku Radzieckiego. W 1985 wniósł o przeniesienie do programu kosmicznego i po treningu w Bajkonurze otrzymał dumny tytuł Kosmonauty Związku Radzieckiego. Jednakże, wiele dziesięcioleci musiało minąć, zanim mógł spełnić tę część swojego przeznaczenia.

Kiedy to już była jebana rutyna i nie było już jebanego Związku Radzieckiego, więc do rzeczy...

– Podczas burzliwej drugiej połowy lat osiemdziesiątych, major Dawidow zajął pewne stanowiska polityczne, co do których jego przyjaciele i towarzysze mogli się uczciwie róż...

Dobre, był za jebanym Jelcynem, do rzeczy...

– ... ale które zaświadczają o jego prawdziwym radzieckim i kazachskim patriotyzmie i powadze, z jaką podejmował się obywatelskich obowiązków i leninowskich wartości sił zbrojnych, które według niego zakazywały użycia przemocy wobec Ludu.

Myra nie była jedyną, która musiała powstrzymać śmiech.

– Po uznaniu niepodległości Republiki Kazachstanu, doświadczenie majora Dawidowa w kwestiach broni jądrowej i rozbrojenia nuklearnego zapewniło mu nowe pole dla jego wspaniałych umiejętności politycznych i osobistego uroku...

Myra przygryzła wargę.

Był przed nią w kolejce do taksówki na zewnątrz lotniska w Ałma-Acie. Wysoki, nawet wyższy niż ona, bardzo ciemny. Odrzucone do tyłu czarne włosy, brwi prawie tak gęste jak jego czarny wąs. Zrelaksowany w sztywnym oliwkowozielonym mundurze. Pałac Marlboro i spoglądając co chwilę na sfalszowanego Rolexa.

Myra, właśnie przyjechała, zagubiona i niespokojna, nie mogła oderwać od niego oczu. Jednak to żółta plastikowa torba u jego stóp dodała jej odwagi do rozmowy. Wydrukowany na niej w czerwieni był obraz papugi i słowa:

THE PET SHOP

992 Pollockshaws Road

Glasgow G41 2HA

Pochyliła się, w jego pole widzenia.

– Przyleciałeś z Glasgow? – spytała po rosyjsku.

Odwrócił się, wytrącony z jakiegoś transu i spojrzał na nią z oszołomioną miną, która nagle zmieniła się w uśmiech.

– Ach, torba. – Dotknął ją stopą, odstawiając, że była wypchana kartonami papierosów i butelkami Johnny Walker Black. – Zatem jesteś tutaj obca.

– Och?

– Te plastikowe torby nie mają nic wspólnego z Glasgow. Są używane w każdym sklepie stąd do Chin, Bóg wie dlaczego. – Rozeźmiął się, pokazując mocne zęby poplamione nikotyną. – Byłaś w Glasgow?

– Tak – powiedziała Myra. – Mieszkałam tam przez kilka lat, w latach siedemdziesiątych.

Coś ostygło w jego spojrzeniu.

– Co tam robiłaś?

– Pisałam pracę dyplomową – powiedziała Myra – o ekonomii Związku Radzieckiego.

Zarechotał.

– Miałaś pozwolenia na *to*?

– To nie był problem. . . – zaczęła, potem przerwała. Zrozumiała, że wziął ją za obywatel byłego Związku Radzieckiego. Była *nomenklature*<sup>2</sup>, skoro miała pozwolenie na tak niebezpieczne badania.

– Nie jestem Rosjanką, jestem ze Stanów Zjednoczonych!

Uniósł brwi.

– Twój akcent jest bardzo dobry – powiedział, po angielsku. Jego akcent był bardzo dobry. Rozmawiali, póki nie doszli na początek kolejki, a potem dalej rozmawiali, ponieważ dzielili taksówkę do miasta, ciągle rozmawiali. . .

Czy kiedykolwiek zaczęłaby rozmowę, zastanawiała się Myra, gdy nie ta żółta torba? A gdyby nie zaczęła rozmowy, czy kiedykolwiek by go jeszcze zobaczyła? Może, ale może nie, lub nie w takiej chwili, kiedy oboje byli wolni, lub na odskoczni od kochanków, a w takim przypadku. . .

Nie byłyby tutaj, z jednej strony, a Georgi nie byłby w trumnie i. . . konsekwencje biegly i biegly, eskalując, póki nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Przez jeden gwóźdź upadło królestwo<sup>3</sup>, a wynik tego banału, tego fikcyjnego adresu sklepu zoologicznego na torbie dał jej republikę, i obłożył innych stratami, których nie

---

<sup>2</sup> system obsadzania stanowisk kierowniczych w ZSRR i krajach bloku wschodniego oparty na rekomendacji partii komunistycznej, więcej [https://pl.wikipedia.org/wiki/Nomenklatura\\_\(polityka\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Nomenklatura_(polityka)) – przyp.tłum.

<sup>3</sup> przysłowie, które nie występuje w Polsce, zob. [https://en.wikipedia.org/wiki/For\\_Want\\_of\\_a\\_Nail](https://en.wikipedia.org/wiki/For_Want_of_a_Nail) – przyp.tłum.

śmiała rozważać. Lub tak mogło się wydawać, jeżeli ktokolwiek kiedykolwiek dowiedział się wystarczająco o niej, żeby dostrzec jej wpływ na historię.

Jednak wtedy znowu, może nie, może stary Engels i Plechanow mieli w końcu rację na temat roli jednostki w historii: może to wszystko wychodziło w praniu, pod koniec Rewolucji Francuskiej *ktos*, ale oczywiście ha ha „niekoniecznie ten szczególnie Korsykańczyk” wszedłby w buty, które okoliczności, jak dobry lokaj, nałożyłyby na człowieka na koniu.

Nigdy nie uważała tej teorii za szczególnie przekonującą i rozważanie jej teraz dawało jej niewielkie pocieszenie. Nie, utknęła, jak wszyscy, w czynach i ich konsekwencjach.

– . . . w ostatnich latach Georgi Jefrymowicz odegrał główną rolę w służbie dyplomatycznej MRRNT, służbie, w której napotkał śmierć. – Mówczyni przerwała na chwilę, żeby skierować przeszywające spojrzenie na honorowych zagranicznych gości. – Pozostawił byłą żonę i lojalną przyjaciółkę, Myrę Godwin-Dawidową, ich dzieci i wnuki . . .

Zbyt wiele do wyczytania i żadne na miejscu, do rzeczy . . .

Jednak zostały odczytane na głos wiadomości od wszystkich nieobecnych potomków, innych kuzynów, starych przyjaciół. Mówczyni w końcu odłożyła wiązkę dokumentów i uniosła dłoń. Krematorium wypełniło się dziwnie cichym i skromnym dźwiękiem narodowego hymnu Kazachstanu. Trumna po cichu potoczyła się przez dyskretny właz. Wszyscy wstali i zaśpiewali, lub udawali, „Międzynarodówkę”. I to było wszystko. Kolejny dobry materialista zamienił się w popiół.

Myra odwróciła się i wyszła z krematorium, a rząd za rządem, od przodu, wszyscy ruszali i wychodzili za nią.

Jej dłonie się trzęsły, gdy grzebała przy czarnej futrzanej czapce

i próbowała zapalić papierosa na podjeździe. Na ulicy, samochody się przesuwaly na pozycje, by zabrac dygnitarzy na po-pogrzebowe spotkanie lunchowe. Ktos uspokoil jej dlon, pomogl z papierosem. Zapalil i spojrzala w gore, zobaczyla Davida Reida. Ciemne brwi, ciemne oczy, biale wlosy az do postawionego kołnierza futrzanego płaszcza. Wygladal na mniej niz polowe jego lat, tylko z bialymi wlosami – własnym upodobaniem – wskazujacym na cokolwiek innego. Bez jej ujawniajacych wiek wad. Byla całkiem pewna, ze jego stawy nie trzeszcza, jego kosci nie bolą. Mieli lepsze terapie na Zachodzie. Jego opiekunowie trzymali sie kilka kroków dalej, wzrokiem przeszukiwali otoczenie. Ludzi mieszali sie dookoła, dryfujac w kierunku czekajacych samochodów.

– Wszystko w porzadku? – spytal Reid.

– W porzadku, Dave.

Zaszural stopą na zwirze, podrapal sie po karku.

– Nie zrobilismy tego, Myra.

– Tak, cóz... – Wzruszyla ramionami. – Czytalam wyniki autopsji. Wierze w to.

*Bylbys martwy, gdybym nie uwierzyla*, wzgardzila dodac. Wierzyla autopsji, nie miala wyboru. Wierzyla Reidowi, tez. Ciagle miala swoje watpliwosci o orzeczeniu: przyczyny naturalne, to mogl byc jeden z tych mrocznych epizodów, gdzie nigdy nie mogla byc pewna prawdy, jak wkład Stalina w sprawie Kirowa<sup>4</sup> lub smierci Roberta Harte'a... Ale Reid zajal pozycje, ktora chciala, zeby zajal. Wydawal sie lekko uspokoic i zapalil papierosa. Jego wzrok przeskakival od palacego konca do komina krematorium, potem na nia.

---

<sup>4</sup> Siergiej Kirow – 1 grudnia 1934 zostal zastrzelony przez bolszewika Leonida Nikolajewa. Wielu historyków uważa, ze zabójstwo Kirowa bylo zlecone przez Stalina i zorganizowane przez NKWD. Zarzut uczestnictwa w spisku postawiono wielu dawnym działaczom podczas wielkiej czystki., zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Siergiej\\_Kirow-przyp.tlum](https://pl.wikipedia.org/wiki/Siergiej_Kirow-przyp.tlum).

– Och, cholera. Wydaje się taką stratą.

Myra skinęła głową. Wiedziała, co ma na myśli. Palenie zmarłych, grzebanie ich w *jebanej dziurze w ziemi*, już to zaczynało się wydawać barbarzyństwem.

– Nawet nie chciał krio – powiedziała. – Ani tym bardziej tego kalifornijskiego komputerowego skanu, oszukanego.

– Dlaczego nie? – spytał Reid. – Mógł sobie na to pozwolić.

– Och, pewnie – powiedziała Myra. – Po prostu w to nie wierzył, to wszystko.

Reid uśmiechnął się cienko.

– Tak jak ja.

– Och?

Rozłożył ręce.

– Ja tylko sprzedaję polisy.

– Czy są *jakieś* sprawy, w których nie maczasz palców?

Reid potarł nos palcem.

– Dywersyfikacja, Myro. Nazwa tej gry. Zmniejszanie ryzyka. Nauczyłem się tego w ubezpieczeniach, dawno temu. – Sięgnął, czekając na niewypowiedziane pozwolenie, żeby wziąć ją pod ramię. – Musimy porozmawiać o interesach.

– Samochód – powiedziała, chwytając stanowczo jego łokieć i kierując go na chrzęszczący żwir. Szli koło siebie do opancerzonej limuzyny. Myra, kątem oka, obserwowała obserwujących ludzi. Dobrze: niech będzie jasne, że już nie podejrzewa Reida. Nie publicznie, nie politycznie, nie nawet, na pewnym poziomie, prywatnie. Tylko osobiście, tylko w zazdrosnych starych kościołach. Jednak to było więcej niż przedstawienie dyplomatyczne. Ciągłe istniało pomiędzy nimi uczucie, choć osłabione przez lata, podirytowane ich wrogością. Reid nigdy nie był człowiekiem pozwalającym wrogości przeszkodzić przyjaźni.

Myra spojrzała na zegarek, gdy drzwi samochodu się zamknęły z dobrze zaprojektowanym trzaśnięciem. Mieli około pięciu minut prywatnej rozmowy, gdy wielki Ził toczył się ulicami centrum Kapicy do jedyne go wytwornego hotelu, Sheratona. Rozparła się na skórzanym siedzeniu i spojrzała ostrożnie na Reida.

– Ok – powiedziała. – Do rzeczy.

Reid sięgnął po wielką popielniczkę, zgasił jednego papierosa i zapalił kolejnego. Myra postąpiła tak samo. Ich wydychane dymy spotkały się w obliczu wzajemnych zakłóceń. Reid podrapał brew, spojrzął w bok, spojrzął na nią.

– Cóż – powiedział. – Chcę Ci złożyć ofertę. Wiemy, że ciągle posiadasz stare – zawahał się, nawet tutaj, były słowa, których nikt nie wypowiadał – strategiczne zasoby, i chcielibyśmy je od Ciebie odkupić.

Mógł blefować.

– Nie mam. . . – zaczęła. Reid odchylił głowę i dmuchnął małym strumieniem dymu, który po kilku centymetrach, zawinął się w sobie w miniaturowy obłok w kształcie grzyba.

– Nie marnuj czasu zaprzeczając temu – powiedział.

– Dobrze – powiedziała Myra. Przełknęła narastające mdłości, uspokoiła się wobec oszałamiającego, chłodnego zaciemnienia w oczach. To jakby była przyłapana ze wstydliwą tajemnicą, ale takiej, której nie wiedziała, że jest tajemnicą. Jednak, wiedziała zbyt dobrze, jeżeli nie wiedziała, to dlatego, że nigdy nie próbowała, i nie chciała, się dowiedzieć.

– Założmy, że mamy. Nie sprzedalibyśmy nikomu, tym bardziej Tobie. Jesteśmy przeciwko Twojemu zamachowi. . .

Teraz była kolej Reida na pozorowanie niewiedzy, a Myry na pokaz niecierpliwości.

– Nie *użylibyśmy* ich – powiedział. – Dobry Boże, za kogo nas



bierzesz? Chcielibyśmy je... zdjąć ze szachownicy, żeby tak powiedzieć. Z gry. I całkiem szczerze, jedynym sposobem, jakiego możemy być pewni, to posiadanie nad nimi kontroli.

Myra potrząsnęła głową.

– Nie ma mowy. Żadnej umowy.

Reid podniósł dłoń.

– Pozwól mi powiedzieć, co oferujemy, zanim odrzucisz. Możemy Cię wykupić, wolną i czystą. Dać każdemu w tym Państwie, każdemu z obywateli, wystarczająco pieniędzy, by osiąść gdziekolwiek i żyć bardziej komfortowo. Pomyśl o tym. Obozy będą zlikwidowane i *ktokolwiek* wygra kolejną rundę ruszy na Ciebie. Twoje zasoby nie będą miały znaczenia, kiedy Obrona Kosmiczna wróci do biznesu.

– To groźba, tak?

– Ani trochę. Stwierdzenie faktu. Sprzedaj je teraz lub strać je później, zależy to od Ciebie.

– Strać je... lub użyj ich!

Reid rzucił jej spojrzenie „to nie jest zabawne”.

– Nie oszukuję – powiedziała mu Myra. – Najlepsze, co mogę przewidzieć po Twoim zamachu, to więcej chaosu, w takim wypadku będziemy potrzebować wszystkich cholernych *zasobów*, jakie mamy!

Reid wziął głęboki wdech.

– Nie, Myro. Jeżeli będzie chaos, to dlatego, że nie wygraliśmy. Ten zamach, jak go nazywasz, jest ostatnią, najlepszą szansą na stabilność. Jeżeli zawiedziemy, świat pójdzie do piekła na swój sposób. Twój osobisty wkład do tego nie będzie wtedy moim problemem, będę martwy lub w kosmosie, ale Ty *możesz* móc zapewnić, że się nie *zdarzy* i odnieść korzyści, Ty i Twoi ludzie, z procesu. – Włożył

cały swój niezaprzeczalny urok w głos i wyrażenie, gdy kończył. – Przemysł to, Myro. To wszystko, o co proszę.

– Pomyślę o tym – powiedziała, przyznając mu przynajmniej to zwycięstwo, na tyle, o ile było warte. Rozejrzała się. – Dojechaliśmy.

Ozdobnie umeblowany apartament na specjalne okazje był wypełniony ludźmi w ciemnych ubraniach, stojących w grupkach i rozmawiających po cichu. Już zaczęli się relaksować po uroczystości pogrzebowej, uśmiechać się i lekko śmiać: życie toczy się dalej. Dobrze.

Myra i Reid podeszli razem do długich stołów, na których był rozłożony bufet i zdolali stracić się z oczu w losowych ruchach ludzi wybierających jedzenie i napoje. Z talerzem przysmaków w jednej dłoni i dużą szklanką whisky w drugiej, Myra się rozejrzała. Tam w jednym rogu Andriej Muchartow był zatopiony w rozmowie z damą w ciemnej sukni i dużym kapeluszu. Odpowiadała głośno na jego ciche pytania. Myra miała nadzieję, że ta reprezentantka poszarpanych zachodnich obrzeży byłych Stanów Zjednoczonych nie mówiła o niczym poufnym. Możliwe, że o to chodziło. Zauważyła, że Walentyna stoi sama, w oliwkowozielonym ubiorze, którego czarna opaska na ramieniu raczej została zakrzyczana z powodu zadziwiającej ilości złotych warkoczy. Myra skierowała się mało subtelnie prosto na nią.

– Och, tutaj jesteś – powiedziała, gdy Walentyna się odwróciła. Trąciła jej ministra obrony w kierunku najbliższego z wielu małych stołów stojących w obszernym pomieszczeniu. Usiadły.

– Nowy mundur? – spytała Myra.

Sztywne epolety Walentyny poruszyły się do góry i dołu.

– Nigdy nie miałam wcześniej okazji – powiedziała.

– Nie wiedziałam też, że zebrałaś tyle medali.

Walentyna musiała się roześmiać.

– Tak, jest trochę. . . brezniewowski, co?

– Wszystko jest zbyt właściwe, dla nas. Okres stagnacji.

Walentyna pożarła kanapeczkę, nie odwracając wzroku od Myry.

– Dokładnie. Widzę, że odbyłaś małą rozmowę z naszym głównym inwestorem wewnętrznym.

– Tak. Przedstawił mi interesującą ofertę. – Myra spojrzała na swój talerz, wybrała coś z nogami. – Mam nadzieję, że to jest syntetycznie. Nie zniósłabym myśli o poziomie promieniowania, gdyby nie było.

– Myślę, że powinniśmy polegać na kogoś etyce biznesowej w sprawie promieniowania – powiedziała Walentyna.

– Ach, racja. – Myra popatrzyła na skorupkę krewetki. Miała znak handlowy ICI<sup>5</sup>. Pełne sztucznej dobroci. Wyciągnęła jasnoróżowe mięso zębami. – Tak czy inaczej, Pani Towarzysz Komisarz Ludowa do spraw Obrony, moja droga, nasz wewnętrzny inwestor dał mi do zrozumienia, że wie, że zrobiliśmy nieco mniej . . . widocznego zrzeczenia, niż byłam skłonna uwierzyć.

Walentyna, raczej na jej korzyść, pomyślała Myra, wyglądała na zażenowaną.

– Odziedziczyłam zasoby od poprzedników . . . i nigdy nie wspominałam o nich, ponieważ myślałam, że już wiesz, lub nie wiesz, a potrzebujesz możliwości zaprzeczenia.

Zatem to była prawda. Potwierdzenie było mniejszym szokiem niż oryginalne twierdzenie Reida. Zajęłoby chwilę zaakceptowanie całej tego potworności.

Myra skinęła głową, jej usta pełne. Połknęła z łykiem whisky.

---

<sup>5</sup> ICI – prawdopodobnie Imperial Chemical Industries, brytyjska korporacja, jeden z największych chemicznych producentów na świecie, więcej [https://en.wikipedia.org/wiki/Imperial\\_Chemical\\_Industries](https://en.wikipedia.org/wiki/Imperial_Chemical_Industries) – przyp.tłum.

– To drugie, właściwie. Nie wiedziałam. Myślałam, że po wojnie wszystkie zostały zajęte przez Jankesów.

– Większość z nich. Jednak był jeden wyjątek. Duże portfolio zasobów przetrwało represje tak, że USA/ONZ nie mogło przejąć kontroli. Jedna umowa, która była ciągle odnawiana. Oczywiście aż do Jesiennej Rewolucji. Potem przedawniła się i zostałam z tymi maleństwami. Zostały wysłane do nas dużymi partiami w wielkich przesyłkach dyplomatycznych z różnych miejsc, wszystkich kontrolowanych przez...

– Rozumiem, że teraz możesz mi powiedzieć?

Walentyna się rozejrzała i wzruszyła ramionami.

– Pierwotne minipaństwo, z oryginalnymi, najemnymi siłami obronnymi.

Myra musiała pomyśleć przez chwilę, zanim zrozumiała, o którym państwie mówiła Walentyna.

– Płaczący Jezu!

– Całkiem możliwe – powiedziała Walentyna – całkiem możliwe, że płakał.

Były chwile, kiedy wszystko, co mogłeś zrobić to być cynicznym, przygotować się do ataku, nie pozwolić temu zdominować... Myra dołączyła do mrocznego śmiechu Walentyny.

– Więc co się stało z zasobami i dlaczego nasz inwestor jest nimi zainteresowany?

– Ach – powiedziała Walentyna. – Pamiętasz kilka lat temu stulecie Sputnika. Raczej ekstrawagancko wystrzeliliśmy niepotrzebny booster, żeby je uczić. W tym czasie wykorzystałam możliwość, by umieścić większość naszego zenującego dziedzictwa na orbicie.

– Na orbicie *Ziemi*? – Myra powstrzymała irracjonalną chęć, by skryć głowę pomiędzy ramionami.

– Część z nich – powiedziała Walentyna. – Te zaprojektowane

specjalnie do wykorzystania na orbicie, prawda? Są na wysokiej orbicie, całkiem bezpieczne. – Zmarszczyła brwi i wbrew jakiemuś wewnętrznemu oporowi dodała – Cóż, dość bezpieczne. Niemniej resztę wysłaliśmy do jeszcze bezpieczniejszego miejsca: Lagrange.

Myra wyobraziła sobie w głowie, żywo jak na wirtualnym ekranie, punkt Lagrange<sup>6</sup>: L5, jedno z tych miejsc, gdzie ziemską i księżycową grawitacja razem tworzyły region orbitalnej stabilności, i który, przez pół wieku, zgromadził zagrożoną grupę stacji badawczych, satelitów wojskowych, oficjalnych i nieoficjalnych habitatów, zapuszkowanych utopii, opuszczonych raket, zaskłotowanych modułów, losowych śmieci... Była to ziemia obiecana Ruchu Kosmicznego, a z nowo nanofabrykowanymi ultralekkimi raketami startowymi populacja wzrastała tam tak szybko, jak populacja Kapicy spadała.

– Och, kurwa – powiedziała Myra.

– Nie martw się – zapewniła ją Walentyna. – Są prawie niewykrywalne pomiędzy śmieciami.

Myra nie miała serca powiedzieć jej, jak bardzo nie rozumiała sytuacji.

– Dlaczego do cholery zostawiłaś je *tam*? – zażądała odpowiedzi. – Bezpiecznie, w pewny sensie, tak, to mogę zrozumieć, ale czy wpadło Ci na myśl, że jeżeli kiedykolwiek to wyjdzie na jaw, to nasze intencje mogą być... źle zrozumiane?

Walentyna wygląda jeszcze bardziej zażenowaną.

– To była... cóż, to sprawa Partii, Myro. Żądanie.

– Och, racja. A niech mnie. Ciągłe jesteś w jebanej Partii?

Walentyna zachichotała.

– Ja jestem Partią. Przynajmniej sekcją MRRNT.

---

<sup>6</sup> więcej [https://pl.wikipedia.org/wiki/Punkt\\_libraryjny-przyp.tlum](https://pl.wikipedia.org/wiki/Punkt_libraryjny-przyp.tlum).

– Teraz gdy Georgi odszedł.

– Kurde, zapomniałam.

Nie wystawili czwartej flagi, Flagi Czwartej, na jego trumnie. Gównno. Nie, żeby to teraz było ważne. Nie dla Georgiego, w każdym razie. I nie dla tych, którzy się zebrali uczcić go, jedynym obecnym, który zrozumiałby wagę, był Reid.

– Nie martw się – powiedziała Walentyna.

– Co chce Międzynarodówka zrobić z... och, kurwa. Mogę wyślić dowolną liczbę rzeczy, które może chcieć z tym.

Walentyna skinęła głową.

– Niektóre z nich mogłyby być naszą przewagą.

– Ha. Ja to osądzę. Zachowałeś sobie kody dostępu?

– Oczywiście!

– Dobra, to już coś.

– Więc nasz człowiek proponuje wykup, prawda? – kontynuowała Walentyna. – Może warto się zastanowić.

– Ta. – Myra wstała, zabierając szklankę. – Zamierzam z nim jeszcze porozmawiać. Dzięki za info, Walu.

Napełniła szklankę, tym razem wódką, i wyruszyła na ostrożnie przypadkową wędrowkę do miejsca, gdzie Reid stał, rozmawiając z przerażonym stadem urzędników niskiego stopnia. Denis Gubanow i jeden z łapaczy Reida krążyli dyskretnie, zachowując przeczorny dystans od grupy i samych siebie, każdy w punkcie Lagrange drugiego. Nie mogła usłyszeć rozmowy. Po drodze, została przechwycona przez Aleksandra Shermana. Komisarz Przemysłu był ubrany w ten sam plastikowy, sztywny garnitur, jego kolor dostosowany do czerni. Wyglądał chytrzejszy niż zwykle, zły znak.

– Ach, Myro. Smutny dzień dla nas wszystkich. – Pokręcił wolno głową. – Smutny dzień.

– Tak – powiedziała Myra. Fraza *do rzeczy* jeszcze raz pojawiła się w jej umyśle.

Aleks wziął głęboki wdech i, jakby telepatycznie, ogłosił:

– Muszę Ci coś powiedzieć. To nie najlepszy czas, ale... Dobra, otrzymałem ofertę od Pana Reida.

– Żeby wykupić nasze zasoby?

– Nie, nie! – Aleks wyglądał na zaskoczonego sugestią. – Ofertę *zatrudnienia*.

– Och, racja – powiedziała lekceważąco. Machnęła rękę, gdy go omijała. – Skorzystaj.

Gdy szła, mogła ujrzeć siebie w wielkich lustrach w połączonych oprawach. Były ustawione naprzeciw siebie z innymi lustrami na drugim końcu pokoju i przez chwilę widziała siebie pomnożoną, potencjalna nieskończoność różnych wersji samej siebie: wizualny, wirtualny obraz interpretacji wieloświatowej<sup>7</sup>. Kiedyś bawiła się dziecinną myślą, że obrazy lustrzane mogą być oknami w te inne światy. Czy foton kiedykolwiek decydował, zastanawiała się, czy kiedykolwiek odchyłał się przy odbiciu?

To, co zobaczyła w nieskończonej powtarzalnych obrazach, to wysoka chuda kobieta w długiej czarnej sukni poruszająca się w kierunku ciągle nieświadomego Reid jak jakaś nemezis typu MIRV<sup>8</sup>. Zobaczyła przeskakujące spojrzenia wymieniające wiadomości pomiędzy jej Komisarzem Bezpieczeństwa, ochroną Reida, Reidem i

---

<sup>7</sup> interpretacja mechaniki kwantowej, więcej [https://en.wikipedia.org/wiki/Many-worlds\\_interpretation](https://en.wikipedia.org/wiki/Many-worlds_interpretation) – przyp.tłum.

<sup>8</sup> MIRV ang. Multiple independently targetable reentry vehicle – rodzaj pocisku raketowego, jedna z wielu głowic umieszczonych w tym samym pojeździe pocisku klasy ICBM lub SLBM, z których po zakończeniu fazy startowej każda może być niezależnie umieszczona na kursie balistycznym prowadzącym do odrębnych celów, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Multiple\\_independently\\_targetable\\_reentry\\_vehicle](https://pl.wikipedia.org/wiki/Multiple_independently_targetable_reentry_vehicle) – przyp.tłum.

nią samą, aż odbite oczy Reida spotkały jej rzeczywiste oczy i się rozszerzyły.

Napotkała rodzaj zneruchomienia w powietrzu i zrozumiała, że ochroniarze, pomiędzy sobą, organizowali środki przeciwpod-słuchowe, nakładając płaszcz ciszy dookoła grupy. Potem przeszła rejon martwego powietrza, gdzie głosy były zniekształcone i dziwne i nagle rozmowy były wyraźne, przez chwilę, zanim zostały prze-rwane przez tych, którzy zauważyli jej nadejście.

– Cóż, cześć ponownie – powiedziała. Jej wzrok przesunął się po kilku jej pracownikach zebranych wokół Reida. Wszyscy na raz komicznie próbowali uciec, cofając się tak dyskretnie, o ile to moż-liwe. – Szukasz pracowników w kadrze średniej jak również wśród moich komisarzy?

– Tak – powiedział Reid, całkiem niespieszony. Ruszył minimalnie końcami palców i brwiami, a jego petenci, lub aplikanci, roz-proszyli się jak dym w przeciagu. Łapacz Reida i Gubanow kontynuowali swoje uważne, wzajemne okrążanie. Kelner przeszedł z ta-cami szklanek i białugi na chlebie żytnim. Myra i Reid zaopatrzyli się z obu, potem stanęli twarzą do siebie, z lekką niezręcznością, jak onieśmieleni nastolatkwie po tańcu.

– Mogłabym sama poszukać pracowników, wiesz – powiedziała Myra. – Może powinnam kupić szpiega od Ciebie. Okazuje się, że jesteś lepiej poinformowany na temat naszego portfolio inwestycji niż ja. Szczególnie o jego, hm, zasięgu.

Reid przyjął to z lekkim skinieniem.

– Stawia to nas w trudnej pozycji – powiedział. – Masz nas na celowniku, szczerze. W końcu orbity Ziemi są lepszą pozycją.

*Och?*, pomyślała do siebie. Więc nie wie o Lagrange’u? Lub nie chce, żeby ona wiedziała, że wie.



– Jednak – kontynuował Reid – jestem dość pewny, że nie, hm, zlikwidujesz. Z oczywistych powodów.

– Skąd zatem oferta?

– Spokój umysłu. . . nie, poważnie. Pomiędzy nami, Ty i ja znamy wszystkich, którzy wiedzą o obecnym poziomie ekspozycji. Jednak żadne z nas nie może zagwarantować, że to przetrwa. Słowo w złym miejscu i po mojej stronie mogą być poważne wahania rynku. Które też, spieszę dodać, nie byłyby dla Ciebie korzystne, więc mamy wzajemnie. . .

– Zagwarantowane odstraszenie?

Reid rzucił jej spojrzenie typu *zamknij ryja*.

– Możesz tak powiedzieć. . . ale wolałbym, żebyś nie mówiła.

Myra uśmiechnęła się nikiemnie.

– Ok – powiedziała. – Ciągle nie mamy umowy, Dave.

Spojrzał na nią, bez wyrazu, ale nie potrafił ukryć prośby w głosie.

– Czy przynajmniej zgodzisz się nie zrzucić zasobów podczas oferty przejęcia? Nie oferować konkurencji?

Och, Matko. To było podchwytliwe. Nie miała intencji robienia rzeczy, których się bał. Z drugiej strony, jeżeli bałby się ich (nawet jeżeli teoretycznie i tylko na marginesie, ale jednak. . .), mogłoby go to powstrzymać. Mogłoby to trzymać, jego i jego sojuszników, od przekroczenia tej niewidzialnej granicy, tego terminatora pomiędzy dniem a mrokiem. Niech nienawidzą, tak długo, jak się boją.

Potrząsnęła głową i zobaczyła swoje wielokrotne odbicia robiące to samo, w poważnym powtórzeniu. Tak, akt obserwacji załamuje funkcję falową: kości rzucone, kot umiera.

– Przepraszam, Dave – powiedziała mu. – Nie mogę niczego obiecać.

Jego wzrok mierzył je przez chwilę, potem wzruszył ramionami.

– Czasem wygrywasz, czasem przegrywasz – powiedział lekko.  
– Do zobaczenia, Myra.

Ujrzała, jak odchodzi, jak często musiała. Jego ochroniarz podążył za nim w bezpiecznej odległości. Denis uniósł brew, przewrócił oczami, podszedł.

– O co chodziło?

– Och, tylko stare rzeczy pomiędzy nami – powiedziała Myra. – Nie widzimy się oko w oko, to wszystko. – Wzięła go pod ramię. – Zobaczmy jak sobie radzi Andriej z tą kobietą z Zachodnich Stanów Zjednoczonych, dobrze?

Niezbyt dobrze, jak się okazało. To nie było miejsce na tajną dyplomację, nawet jeżeli używali tarcz prywatności, których nie używali. Juniper Bear, nieoficjalna konsula zachodnioamerykańska, nie ukrywała swojej pozycji dyplomatycznej. Jej czarny kapelusz z szerokim rondem, z czarnymi woskowymi owocami dookoła główki wydawał się wzmacniać jej głos, nawet jeśli jej poza wskazywała na ważną, poufną komunikację.

– ... właśnie w zeszłym miesiącu uderzyliśmy na najazd Zielonej guerilli z SoCal, a w tym samym czasie Narody Białych Aryjczyków naciskały przez Rockies, i uwierzyłybyś, że Federacja Pierwszych Narodów, cholerni *Indianie*, przeczucali znaczący sprzęt konwencjonalny na nasze, północne kolonie po stronie Kanuka na starej granicy? Powiem wam, Towarzyszu Muchartow, skorzystalibyśmy ze wsparcia orbitalnego, tym razem dla odmiany po naszej stronie. – Roześmiała się, uśmiechając do Myry i Walentyny, gdy dołączały do rozmowy. – *Czy uwierzylibyście* – powtórzyła – że przekłęci Zieloni obecnie lobbują starą gwardię, żeby utrzymała stacje orbitalne jako obronę przed asteroidami? Gdybyśmy kiedykolwiek tego potrzebowali, a teraz mamy te większe i mniejsze zmapowane i śle-

dzone, równie dobrze moglibyśmy się martwić nową epoką lodowcową!

– Cóż, nadchodzi – powiedziała Walentyna.

Kapelusz Juniper Bear się przechylił.

– Pewnie, cykle Milankovicia<sup>9</sup>, tak, ale to nie zmartwienie, prawda?

– Roześmiała się. – Hej, pamiętam globalne ocieplenie!

– A to się dzieje – powiedziała Myra. – Ale, jak mówisz, nie jest to *zmartwienie*, już nie. I dziury ozonowe, poziomy promieniowania tła, syntetyczne polimery w organizmach, przeskakujące geny i to wszystko, tak, nie *martwimy* się. – Poczła się zaskoczona brzmieniem głosu, jak była na to wszystko zła, teraz gdy to wypowiadała. Wyglądało to, jakby miała zaangażowanego Zielonego głęboko w siebie, tylko czekającego na szansę. – Szczerze mówiąc, Pani Bear, martwimy się czymś innym. Planami rewitalizacji Narodów Zjednoczonych. Nawet jeżeli *będą* wrogami naszych wrogów, w pierwszej kolejności. Nie chcemy tego rodzaju władzy obróconej przeciwko komukolwiek na Ziemi, nigdy więcej. – Zdjęła swój kapelusz, przesunęła po gładkich włosach, kciukiem po czerwonej gwiazdce i złotej pieczęci, zrozumiała, że stała tam, dosłownie z czapką w ręku, prosząc o pomoc.

Juniper Bear potrząsnęła głową. Była starą kobietą, nie tak starą jak Myra, wyglądała na trzydziestkę, według rachuby przed-odmładzaniem, kiedy jej twarz była wypoczęta, ale waga lat ukazywała się w każdej minie, jeżeli byleś dostatecznie stara, żeby zauważyć takie sprawy. Uczylaś się wysyłać i odbierać te niewerbalne tiki, w równoległych procesach wzrastającej mądrości.

– To właśnie mówi nasza opozycja – powiedziała kobieta. – „Ni-

---

<sup>9</sup> periodyczne zmiany parametrów orbity ziemskiej mogące wpłynąć na nasłonecznienie, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Cykle\\_Milankovicia](https://pl.wikipedia.org/wiki/Cykle_Milankovicia) – przyp.tlum.

gdy więcej Porządku Nowego Świata!”. Cóż, przepraszam, ale potrzebujemy prawdziwego porządku nowego świata, tym razem po naszej stronie. To będzie tylko tymczasowy, kiedy tylko będziemy mieć dostatecznie dużo sił tam w górze, nie będzie sposobu, żeby ktokolwiek zachował władzę centralną. Kiedy zagrożenie minie, to po prostu. . . – Zrobiła gest opadania w dół.

– Obumrze?

Zmarszczone oczy Juniper zarejestrowały ironię, jej zaciśnięte usta jej odmowę na ugięcie się.

– Mówiąc o państwach, które obumrą – powiedziała, zmieniając zęcnie temat – jeżeli którekolwiek z was będzie szukać nowych możliwości, kiedy to wszystko w ten czy inny sposób się skończy. . .

Walentyna i Andriej nic nie powiedzieli, przynajmniej nie w obecności Myry, ale Myra się uśmiechnęła i skinęła głową, powiedziała, że będzie pamiętała.

– Dobrze! – powiedział Andriej Muchartow, kiedy spotkanie było zakończone i goście wyjechali, dyplomaci, aparatczycy i kapitanowie przemysłu. Andriej, Walentyna, Denis i Myra spoczeli w jednym z mniejszych i cichszych barów w hotelu. Drewno i lustro, skóra i szkło, dywany pluszowe i cicha muzyka. W barze było mnóstwo osób, która nie miała nic wspólnego bezpośrednio z pogrzebem. To wpłynęło na poziom bezpieczeństwa czterech pozostałych komisarzy, skulonych dookoła butelki wódki przy narożnym stole, jak dysydenci.

– Dziękuję za interwencję wcześniej, towarzysze. Myślałem, że gdzieś docieram, póki się nie pojawiliście.

– Źle myślałeś – powiedziała Myra. Nie chciała się kłócić. – Znam Juniper, wydaje się zgadzać z Tobą, a potem zacznie mówić o wojnie. Kiedy się pojawiliśmy. Nic nie straciłeś.

– Ha – chrząknął Andriej. Stuknął kciukiem w szkło. – Powiedz

mi, dlaczego w ogóle potrzebujesz Sekretarza do spraw Zagranicznych.

– Ponieważ nie mogę robić wszystkiego sama – powiedziała mu Myra. – Nawet jeżeli mogę zrobić każdą pracę lepiej niż inni. Podział pracy, nie krytykuj. To wszystko jest u Ricardo.

Andriej i Walentyna patrzyli na siebie, przewracając oczami, przesadnie zakłopotani.

– Megalomania – powiedział ze smutkiem Andriej. – Dotyka wszystkich dyktatorów proletariatu, tuż przed końcem.

– Uważasz, że powinniśmy obalić ją, zanim będzie za późno?  
– Walentyna wyprostowała się i nakreśliła salut. – Dobierzmy do tego Denisa i możemy uformować trójkę. Zrzućmy winę na Myrę i ogłośmy czystą kartę.

– To nie jest śmieszne – powiedziała Myra. Nalała kolejkę, obserwując czysty spirytus uderzający w kryształy, cztery razy. – Dokładnie tak to się odbędzie. Pewnego dnia, wszystkie problemy świata będą moją winą. – To nie było śmieszne, pomyślała. To było jej najgłębsze podejrzenie, w najmroczniejszych chwilach. Uśmiechnęła się do towarzyszy. – Za wspaniałą przyszłość!

Przechylili kieliszki wódki i uderzyli w stół pustymi kieliszkami. Myra odmówiła ofercie Marley czy Moskiewskich Żółtych, zapaliła Dunhilla z jej ostatniej podróży. Podwójna folia w paczce, czerwone i złote na zewnątrz, ciągle dla niej było coś dziwnego i obfitego w marce, którą paliła pierwszy raz, kiedy strefa wolnocłowa coś znaczyła.

– Zatem, jaki jest wynik, Andriej? Oprócz dzisiejszych subtelnych prób.

– Ach. – Andriej wypuścił aromatyczny dym nosem. – Nie dobrze, muszę powiedzieć. Kazachstan ciągle się trzyma z dala, w końcu mają Bajkonur do rozważenia i zagrożenia Szinosowskie. Gdyby

nie było wcześniej zlej krwi pomiędzy nimi a Ruchem Kosmicznym, myślę, że mogliby się skusić do zajęcia pozycji po ich stronie. Więc ich neutralność jest czymś, kiedy wszystko powiedziano i zrobiono. Co do reszty, agitowałem każdy kraj, sprawdziłem naszych delegatów w Nowym Jorku, i szczerze wygląda, że przyszłotygodniowe głosowanie przejdzie.

– Walentyna?

Myra nie musiała niczego literować. Kozłowa spędzała noce i dni śledząc raporty od agentów w koloniach i na stacjach orbitalnych. Odpowiedziała, wystawiając rozłożoną dłoń i machając ją.

– Niedużo możemy zrobić tam na górze – powiedziała. – Druga strona ma wszystkie zasoby, żeby przechylić szalę na ich stronę, niezależnie od kierunku sporu.

– Nie *wszystkie* zasoby – powiedziała Myra.

– Och, nie – powiedziała Walentyna, ostrożnie spokojnie. – Nie moglibyśmy. – Mogła mówić o oszukiwaniu w kartach.

– Ale oni nie wiedzą, że nie moglibyśmy – powiedziała Myra.

– Mamy w końcu ciężką reputację. Większość z nowych krajów, nie wspominając osad, prawdopodobnie myśli, że jesteśmy jakimiś bezlitosnymi Bolszewikami.

Roześmiali się cynicznie.

– Jestem pewny, że Reid wyprowadza ich właśnie z błędu – powiedział Andriej. Wydawało się, że wychwyił, o czym była rozmowa. I jak dla Denisa Gubanowa, odchyłał się z zadowolonym z siebie uśmiechem, jakby wiedział o tym od lat. Prawdopodobnie tak było.

– Och, nie wiem – powiedziała Myra. – To przebiegły skurwysyn. Mówi, że jego strona nie wie, co mamy, i ciągle może mieć nadzieję, że nas przekona, lub wykorzysta nas jako groźbę, żeby zachować porządek we własnych szeregach.

Odetchnęła głęboko.

– Poza tym – dodała – nie wie o wszystkim, co mamy. Lub tak rozumielałam. Myśli, że jest to na orbicie ziemskiej.

– *Nie jest?* – Uśmiech Denisa natychmiast zbladł. – Więc gdzie jest?

– Dobre pytanie – powiedziała Myra. – Zobaczymy, czy potrafisz odnaleźć.

Walentyna intensywnie przyglądała się odbiciu żyrandola w lustrze nad barem.

– To żart, czy co? – zażądał Denis.

Myra pokręciła głową, położyła dłoń na jego dłoni.

– Spokojnie, człowieku. Nie trać zbyt dużo czasu na to, potraktuj to tylko jako ćwiczenie, zobacz, co możesz odkryć, co ludzie wiedzą lub podejrzewają. . .

– A sam mam nie wiedzieć?

– Podwójnie ślepy – powiedziała Myra stanowczo. – I podwójny bluff. Powiem Ci, gdy będziesz miał jakieś wyniki, ale nie chcę, żeby Twoje śledztwo nieumyślnie zostawiło jakieś wskazówki.

Denis spojrzął spode łba.

– Ok – zgodził się – rozumiem tego cel. – Spojrzął na zegarek, westchnął i wstał. – Trzecia piętnaście – powiedział. – Czas wrócić do biura.

– Bezsenny miecz CZeKa – powiedziała Myra. – Zdaje się, czas, żebyśmy wszyscy wrócili.

– Nie – powiedział Andriej. – Ty i Walentyna zostańcie tu i się upijcie. – Odepchnął krzesło i wstał ociężale na nogi. – My rosyjscy *mężczyźni* zajmujemy się resztę tego dnia pracy.

– Tak?

– Tak. – Położył dłoń na jej ramieniu. – Spokojnie, Dawidowa. Zamach nie nastąpi dzisiaj ani jutro.

– Wiem o tym – powiedziała. – Ale właśnie straciliśmy dzisiaj jeszcze jednego komisarza. . .

– Aleks, ha, skurwysyn. To nie strata. Sprzątnąłem jego biurko i zablokowałem go w chwili, gdy wspomniał, że nas opuszcza.

– Był dobry w tej pracy i nie mamy zastępstwa.

– Przez jakiś czas, ekonomia poradzi sobie bez komisarza – powiedział Andriej. – Wolny rynek, nie krytykuj. To wszystko jest u Ricardo.

Dwóch mężczyzn poszło do baru. Andriej szarmancko położył na ladzie zwitek pieniędzy, wskazując Myrę i Walentynę wzrokiem, skinął im głową i wyszedł z Denisem.

– Zatem – powiedziała Walentyna, patrząc za nimi – jak myślisz, co kombinują?

– Wszystko, prócz wracania do pracy, mam nadzieję. – Myra się roześmiała. – Picie w barach kosmodromu, planowanie naszego upadku. Nieważne. Co, kurwa. – Wychyliła kolejną wódkę, zapatrzyła się w czubek papierosa, który spalał się, ignorowany. Zapaliła kolejnego.

– Już jesteś pijana – oskarżyła Walentyna.

– I gorzka i skrzywiona. Tak, wiem.

– Powiem Ci, dlaczego wyszli – powiedziała Walentyna. – To jest, oprócz atrakcji portu kosmicznego.

– Ta?

– Dają nam miejsce, moja droga. Na zebranie.

– Zebranie kobiet? Trochę to przestarzałe.

Walentyna rozluźniła kurtkę munduru, zdjęła krawat i ostrożnie go zwinęła.

– Nie, jak to nazywali, feminizmu, Myra. Socjalizmu. Zebranie Partii.

– Ale nawet nie jestem w Partii!



– Jesteś tego pewna? – spytała Walentyna. – Nigdy nie *widziałam* Twojej rezygnacji. A wiesz, że widziałabym. Jestem pewna, że jesteś przynajmniej zwolenniczką, nawet jeżeli... – Zachichotała. – ...ostatnio nie bywałaś na zebrania Oddziału.

Myra musiała pomyśleć o tym. Mniemała, że ciągle tam *było* upoważnienie opłacania jej składek na jakieś konto w karaibskim raju informacji. Ciągle dostawała pocztę, nieprzeczytaną. Ciągle pisała dla *Analysis*, czasopiśmie Międzynarodówki online o teorii. (Współpracownicy nazywali je *Dialysis*, ponieważ jego ciągłym motywem było, że wszystko i tak spłynie kanalizacją.)

Myra zmarszczyła brwi na Walentyne. Hałas w barze stał się głośniejszy niż wcześniej. Ludzie dryfowali z innych imprez odbywających się w hotelu: konferencji biznesowej, konwentu anime, i przynajmniej dwóch ślubów.

– Jakie to ma znaczenie? – spytała. – Jesteśmy niczym, prawdopodobnie jesteśmy ostatnimi z Międzynarodówki na całym jebanym świecie.

– W istocie jesteśmy – powiedziała Walentyna. – Ale ciągle jest kilka rzeczy, które możemy zrobić. Jedno do podarować naszemu towarzyszowi dobre pożegnanie poprzez absolutne uchlanie się ku jego pamięci.

Stuknęły kieliszkami, wypiły.

– A inna sprawa?

– Och, tak. Możemy sprawdzić, czy jest cokolwiek, co Międzynarodówka planuje zrobić w sprawie zamachu.

– Chyba, kurwa, żartujesz.

– Nie żartuje. Jeżeli chcesz mojej opinii, to po to chcieli zasoby.

– Ktokolwiek o tym myślał, musiał być chory w swojej małej, jebanej głowie. Mówimy o ryzykanctwie.

– Nie jestem pewna. Pamiętaj, może nie jest już zbyt wiele nas

na świecie, ale... – Walentyna się pochyliła bliżej – ... to nie jest jedyny świat.

– Och, nie ... – Myra przemyślała to jeszcze raz. – Och – powiedziała. – Nasi przyjaciele na niebie.

– Tak – powiedziała Walentyna. – Frakcja Kosmiczna.

– Nie chcę o tym rozmawiać teraz – powiedziała Myra. Rozejrzała się dookoła, dziko. Miejsce podskakiwało. Piękna kazachska dziewczyna, o której Myra myślała, że jest panną młodą, krzyknęła coś, co brzmiało jak japoński. Jej wielka biała suknia skurczyła się jak folia termokurczliwa na cieple, zmieniając kolor, twardejąc w pastelowy kostium z plastikowej zbroi. Inteligentny skafander – zrobiony z, raczej niż przez, nanotechnologię – był haniebnie drogą nowinką, oferującą limitowane menu zaprogramowanych transformacji. Myra zastanawiała się, ile czasu zajmie, zanim cena spadnie, repertuar eksploduje, ile czasu minie, zanim ludzie będą mogli tak skwapliwie transformować swoje ciała. Świat superbohaterów z komiksów, nie dało się o tym myśleć. Dziewczyna przyjęła pozę bojową, ku rozproszonemu aplauzowi ze strony innych fanów anime.

– Napijmy się – powiedziała Myra.

## Rozdział 5

# Kościół Człowieka

Merrial, tak jak obiecywała, czekała. Siedziała na cokole tak jak ja wtedy, pod pomnikiem Wyzwolicielki na koniu. Była ubrana w luźną, letnią sukienkę i spódnicę z kolorowych warstw. Coś poruszyło się w mojej pamięci, potem zniknęło jak sen o poranku. Była pogrążona w ożywionej rozmowie z mężczyzną siedzącym koło niej. Oboje spojrzeli do góry, gdy podszedłem.

– Cześć – powiedziałem ostrożnie.

Mężczyzna był wysokim, chudym mężczyzną, około trzydziestki, jak sądziłem. Całkiem brązowy, z ostrymi rysami i ciemnymi oczami, które patrzyły w dziwny, powątpiewający sposób. Jego ciemne włosy kręciły się na szczycie głowy, krótkie z boku i tyłu. Ubrany był w skórzane spodnie, kurtkę, biały bawełniany podkoszulek i czerwoną bandanę. Cienki łańcuch wisiał na szyi pod bandaną, jego wisior, jeżeli w ogóle, był pod okrągłym kołnierzykiem podkoszulka.

– Cześć – powiedział ciepło Merrial. – Clovis, to jest Fergal.

Mężczyzna wyciągnął prawą dłoń i ją potrząsałem, zauważając, że jeden z jego kciuków nacisnął wierzch dłoni i że przytrzymał go, jakby czekając na jakąś odpowiedź, około sekundy dłużej niż podświadomie oczekiwałem, zanim puścił moją dłoń.

– Miło mi cię poznać, Clovis – powiedział. Jego głos był niski i głęboki, akcent trudny do umiejscowienia: poprawny, ale przez

tę poprawną intonację każdej sylaby, jakoś obcy. Przypominał mi księcia Zanu<sup>1</sup>, którego kiedyś słyszałem przemawiającego na Uniwersytecie.

– Napijmy się – powiedział, wstając. Poszliśmy do najbliższego wolnego stolika na zewnątrz Karonady. Fergal przyjął nasze zamówienia i zniknął w środku.

– Kim jest ten facet? – spytałem.

Merrial potraktowała mnie uśmiechem.

– Brzmiś zazdrośnie – droczyła się.

– Och, przestań. Tylko jestem ciekawy.

– Znam go od bardzo dawna – powiedziała. – Nic osobistego.

Po prostu... jeden z nas.

– Cóż, jakby pomyślałem, że jest majsterkiem.

Oczy Merrial lekko się zwężyły.

– Tak, to właśnie to – powiedziała.

Fergal powrócił po kilku chwilach, zajmując miejsce koło mnie i naprzeciw Merrial. zaproponowałem mu papierosa, co zaakceptował z dziwnie ironicznym uśmiechem.

– Dobra – powiedział, zapalając – wiesz o ... wątpliwościach, ze Statkiem?

Skinąłem głową. – Tak, ale Merrial nic nie mówiła, że są podzielane.

Uśmiechnął się.

– Och, są całkiem szeroko podzielane, mogę ci to powiedzieć. Oferta, którą przedstawiłeś, jest bardzo odważna, – rozłożył ręce – i wszystko, co mogę powiedzieć, to dziękuję.

---

<sup>1</sup> ZANU – ang. Zimbabwe African National Union Afrykański Narodowy Związek Zimbabwe, więcej [https://pl.wikipedia.org/wiki/Afryka%C5%84ski\\_Narodowy\\_Zwi%C4%85zek\\_Zimbabwe](https://pl.wikipedia.org/wiki/Afryka%C5%84ski_Narodowy_Zwi%C4%85zek_Zimbabwe) – przyp.tłum.

Byłem bardziej zdziwiony niż skromny na temat tego wspomnienia odwagi mojej oferty, więc po prostu wzruszyłem na to ramionami.

– Też jesteś na Projekcie?

Wydawał się rozbawiony.

– Nie jestem na miejscu, ale jestem na liście płac, jeżeli o to ci chodzi – powiedział. – Wszystkie – spojrzał na Merrial – nasze zawody są bardzo mocno zaangażowane w projekt jako całość. – Wziął dużego łyka piwa i zaciągnął się papierosem, stając się widocznie bardziej zrelaksowany i wylewny, gdy to robił. – Jego sukces ma dla nas duże znaczenie. Bardzo pragniemy ujrzeć znowu wytyczoną drogę do gwiazd.

– Podoba mi się – powiedziałem. – „Droga do Gwiazd”.

– Tak – odpowiedział. – Cóż, zabrało to wam ludzie bardzo długo, żeby na nią wrócić.

– Wrócić?

– Kiedyś na niej byliście. – Kolejne spojrzenie na Merrial, potem uśmiech do mnie. – Lub my byliśmy.

– Nasi przodkowie byli – powiedziałem.

– To właśnie miałem na myśli – powiedział leniwie. – Ale wracając do biznesu. Muszę załatwić sprzęt dla was, lub raczej Merrial, którego będziecie potrzebować. To zabierze trochę czasu, ale poradzę sobie z tym w ten weekend. Będziecie musieli zarezerwować czas wolny i miejsca w poniedziałkowym pociągu. – Uśmiechnął się krzywo. – Tak czy inaczej, nie ma powodu próbować jechać w sobotę lub niedzielę. Brak pociągów i cholernie wolny ruch, nawet gdybyś chciał pojechać.

Skinąłem głową.

– A Uniwersytet i tak miałby wszystkie okna zabite.

– Tak, racja. Ciągle, nie mogę narzekać, wolny weekend jest jedną ze zdobyczy klasy pracującej, co?

– Mógłbyś tak to określić – powiedziałem. – Nieważne, to, co się dzieje na Uniwersytecie powinno się liczyć jako praca. . .

Kontynuowaliśmy rozmowę przez jakiś czas. Fergal był ostrożny na swój temat, a ja nie naciskałem, a po kolejnych kilku piwach wstał i nas opuścił. Mieliśmy wieczór, i weekend, dla siebie.

Merrial spała, opierając się o moje ramię, całą drogę z Carron Town do Inverness. Wydawało się, że to wstyd dla niej przegapić podróż, ale podejrzewałem, że musiała widzieć sławnie widowiskowy i zmienny krajobraz wcześniej, wiele razy częściej niż ja. Poza tym lubiłem obserwować jej sen, doświadczenie, którym, z natury naszych trzech ostatnich nocy, nie mogłem się do tej pory delektować.

Złapaliśmy wczesny pociąg, o 5:15 raniem w poniedziałek. Każde z nas oddzielnie zorganizowało dwa pierwsze dni tygodnia wolne, szukając naszych różnych przełożonych w barach Carron w piątkowy wieczór. Należało mieć nadzieję, że Angus Grizzlyback będzie pamiętał, że nie przychodziłem tego ranka, ale gdyby zapomniał, byłem pewien, że moi lojalni przyjaciele przypomnieliby mu z przewidywalnym i, jak to się zdarza, nietrafionymi spekulacjami, jak zamierzałem spędzić dzień.

Mieliśmy, w istocie, spędzić sobotę i niedzielę w ten właśnie sposób, bardzo przyjemnie, w łóżku lub na wzgórzach. W sobotnie popołudnie Merrial wyciągnęła pstrąga z ciemnych, głębokich wód górskiej doliny Alt na Chuirn. Wyskoczyła z rzucającą się rybą w zaciśniętych rękach i tańczyła pewnie na śliskich kamieniach. Znowu, coś poruszyło się w moim umyśle, jak przelotne mignięcie ogona w wodzie, które, gdy tylko cień moich myśli na nich spoczął, odpłynął.

Słońce było coraz wyżej, cienie krótsze, najwidoczniej naprzeciw postępowi pociągu. Zatrzymywaliśmy się w małych, ruchliwych miastach wybudowanych dla przemysłu leśnego i świetlnego, oraz, coraz częściej na wschód, rolniczego: Achnasheen, Achnasshellach, Achanalt, Garve . . . Silnik elektryczny prawie bezszelestnie ślizgał się pomiędzy zaskoczonymi owcami o krótkiej pamięci, królikami i sarnami koło torów i uruchamiał ciągłą falę zwierząt spacerujących, liżących lub uciekających. Widziałem szary kształt wilka na Achanalt. Gdy objechaliśmy klif w Garve, zobaczyłem dziką kozicę na półce. Zauważyłem orła patrolującego na wznoszącym się wietrze ponad stokami Moruisg.

Nie budziłem Merrial przy żadnym.

Zapaliłem, raz, przy kawie przyniesionej na terkoczącym wózku przez dziewczynę w spodniach w tartan. Ani dźwięk, ani zapach, ani dym nie poruszyły w ogóle Merrial, prócz kilku głębszych wdechów, długich fal w potokach jej włosów przez jej pierś i moją klatkę piersiową. Pozwoliłem jej głowie oprzeć się w teraz dziwnym zgięciu mojego lewego ramienia i na zmianę piłem i paliłem prawą dłońią. To był cichy pociąg, choć było tłoczno, od urzędników i handlowców w ich cotygodniowym ruchu z domów na brzegu do pracy w Inverfefforan lub Inverness.

Na kolanach Merrial, z lewą ręką – zakrzywioną jak moja – ochronnie wokół tego, leżał nieporęczny worek z polerowanej skóry, zapięty rzemykiem do ściągania. Mógł się wydawać nieco bardziej wybrzuszony i ważyć nieco więcej, niż ten rodzaj torb, które dziewczęta miały zwyczaj taszczyć ze sobą, ale zauważenie tego wymagało dodatkowej i szczegółowej inspekcji. Wewnątrz niego, ukryta pod warstwami różnych dziwactw, które można oczekiwać w takim worku – batystowa chusteczka, kosmetyki, małokalibrowa amunicja i tym podobne – była skomplikowana aparatura, którą Fergal

dostarczył do jej domu wczesnym wieczorem w niedzielę. Była zbudowana dookoła kryształu widzenia średnicy około piętnastu centymetrów, ułożonej w gnieździe ze zgrabnych zwojów izolowanego przewodu miedzianego. Najdziwniejszym aspektem, dla mnie, tego urządzenia był układ delikatnych dźwigni, każda oznaczona literą alfabetu w dziwnym porządku:

QWERTYUIOP...

Prawdopodobnie, pomyślałem, zakłęcie.

– Ponure stare miejsce – powiedziała Merrial, trąc twarz rękawem i rozglądając się po wilgotnej, brukowanej hali dworca w Inverness. Jej policzki zarumieniły się, jej oczy rozszerzyły się pod delikatnym naciskiem dłoni. Jej suknia, tym razem niebieski aksamit, wyglądała na nieco zmiętą. Staliśmy w barze, czekając dwadzieścia minut na 8:30 do Glasgow.

Spojrzałem na kreozotowany<sup>2</sup> dach z szerokimi świetlikami i zawieszonymi lampami elektrycznymi.

– Przynajmniej nie ma gołębi.

– Nie mogę powiedzieć, żeby mewy<sup>3</sup> były jakimś ulepszeniem. – Kopnęła stopą, posyłając głodnego, czerwonoookiego ptaka skrzeczącego do tyłu. Jedna strona stacji wychodziła na dworce, druga na główną ulicę. Układ wydawał się specjalnie dostosowany dla przeciągów, zimnych, ale nieodświeżających. Pomimo omszałych ścian i bruku, stacja była nowsza niż budynki na zewnątrz, których większość pochodziła z okresu przed Wyzwoleniem, jeżeli nie wszystkich trzech wojen światowych.

---

<sup>2</sup> kreozot – składnik smoły drzewnej o temp. wrzenia ok. 200–215 st. C; produkt suchej destylacji drewna, używany do zabezpieczania drewna przykładowo podkładów kolejowych, rakotwórczy, zob. <https://pl.wikipedia.org/wiki/Kreozot> – przyp.tłum.

<sup>3</sup> oryg. herring-gulls, mewa srebrzysta, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Mewa\\_srebrzysta](https://pl.wikipedia.org/wiki/Mewa_srebrzysta) – przyp.tłum.



Skończyłem kanapkę z bekonem, uśmiechnąłem się do Merrial – która mamrotała, częściowo do siebie, z pełnymi ustami, jakieś zdenerwowane spekulacje o ewolucji wstecznej ptaków morskich – i ruszyłem do stoiska z gazetami. Tam uzupełniłem zapasy papierosów i kupiłem kopię *Press and Journal*, gazety, która przewyższa nawet *West Highland Free Press* w niepoprawnej zaściankowości i czcigodnej starożytności. Większość z jej stron zawierała drobne ogłoszenia o rybołówstwie, rolnictwie, wydobywaniu uranu i ropy naftowej i, oczywiście, Narodziny, Małżeństwa i Pogrzeby. Ostatnia z tych mogła zająć pół długiej kolumny drobnym drukiem: „Dolleen Starholm, spokojnie we śnie, w wieku 251 lat, ukochana prapraprababka . . .” tu następowała lista imion. I czasem (jak w tym przypadku) dyskretne wskazanie przynależności do kultu: „RIP”<sup>4</sup> lub „IHS”<sup>5</sup>. Znacznie częściej, i bardziej widoczne, były dumne oświadczenia ortodoksyjnej nadziei: „Powrócił przez Ogień (lub Niebo, Słońce lub Morze) do Jedności”.

Wróciłem do lady i, gdy Merrial kończyła śniadanie, przejrzałem rzadkie skrawki narodowych i międzynarodowych wiadomości, którym udało się dostać pomiędzy straszliwie ważne wiadomości o hokeju na trawie i piłce nożnej, spory rybackie i dyskusje Rady.

Kongres Paryża uroczyście otworzył dziewięćdziesiąty siódmy rok obrad i natychmiast pograżył się w gorzkiej kontrowersji w sprawie propozycji upoważnienia Sądu Kontynentalnego do orzekania w sprawach sporów granicznych pomiędzy kantonami i gminami. Najwidoczniej znacznie trudniejsze kwestie nieporozumień pomię-

---

<sup>4</sup> RIP od łac. *requiescat in pace* – spoczywaj w pokoju – fraza wykorzystywana w obrządkach chrześcijańskich, zob. [https://en.wikipedia.org/wiki/Rest\\_in\\_peace](https://en.wikipedia.org/wiki/Rest_in_peace) – przyp.tłum.

<sup>5</sup> IHS – chrystogram symbolizujący imię Jezusa, więcej <https://en.wikipedia.org/wiki/Christogram#IHS> – przyp.tłum.

dzy krajami zostały już dawno temu rozwiązane przez Kongres, sukces widocznie uderzył do kolektywnej głowy.

Westchnąłem i przewróciłem stronę. Kolejna amerykańska republika przegłosowała wkład z dochodów celnych na rzecz Projektu Statku Kosmicznego, co było satysfakcjonujące i tajemnicze, był nawet komentarz redaktora o tym, pełen mamrotania mędrca o tym, że ich drogi nie są nasze, że nie powinniśmy gardzić taką pomocą, niemoralną jakby się mogła wydawać. Nie byłem pewien, dla mnie, pachniało to kradzieżą pieniędzy, ale Amerykanie znacznie bardziej szanują swoje rządy niż ludzie w bardziej cywilizowanych krajach. Gdyby jakiś afrykański król, azjatycki magnat czy południowoamerykański kacyk zaoferował jakiś łup, mam nadzieję, że Międzynarodowe Towarzystwo Naukowe grzecznie by odmówiło, a ta sprawa wyglądała nieco inaczej. Jednak z tego wszystkiego, w tym momencie, całkiem teoretycznie, nie było żadnej takiej oferty i właściwie żadnych wiadomości z Azji lub w Afryki w dzisiejszym wydaniu. Złożyłem gazetę i zdecydowałem się zostawić wiadomości krajowe na później.

Merrial starła okruszki z ust i spojrzała na mnie ubawiona.

– Naprawdę wyglądasz, jakbyś traktował to wszystko poważnie – powiedziała, podnosząc skórzany worek. Zrzuciłem płócienną torbę na ramię i poszliśmy do pociągu do Glasgow.

– Cóż, śledzę wiadomości – powiedziałem, jakoś obronnie, gdy zajęliśmy swoje miejsca, tym razem patrząc na siebie ponad stolikiem. – Co w tym złego?

Merrial wzruszyła ramionami.

– Są takie... efemeryczne – powiedziała. – I niesolidne.

– W porównaniu do?

– Nie zrozum mnie źle – powiedziała. – Jestem pewna, co tu mamy... – sięgnęła po gazetę i rozłożyła – ... że Kongres jest praw-

dziwy, i naprawdę zrobił to, co artykuł mówi, że zrobił. Niemniej to tylko drobna część prawdy i może nie najważniejsza część tego, co się tam w Paryżu dzieje. Nie mówiąc już, co dzieje się poza Paryżem. Więc to, i wszystkie inne takie artykuły, przedstawiają ci, w rzeczywistości, fałszywy obraz świata.

Mógłby się obrazić, ale nie zrobiłem tego.

– Jestem uczonym historii, pamiętasz? – powiedziałem. – Rozumiem, jak gazeta przedstawia, nawet dokumenty to nie wszystko. . .

– Och, nie chcesz usłyszeć, co myślę o *dokumentach historycznych!*

– Więc co jeszcze możesz zrobić?

Zmarszczyła brwi, zdziwiona.

– Podróżujesz i poznajesz samodzielnie.

– Tak, jeżeli jeszcze mielibyśmy czas.

Dotknęła czubka nosa czubkiem palca.

– Tak właśnie majsterki robią i na tym spędzają cały czas swojego życia.

Pociąg ruszył, Moray Firth na początku w zasięgu wzroku, z jego polami wodorostów i gospodarstwami rybackimi, potem nic prócz blisko rosnących sosen w Drumossie Wood, gdy pociąg skręcił i silniki przejęły obciążenie w długim, wolnym wspinaniu się na Slochd.

Kilka godzin później, może, po Speyside słodów i posepnym Drumochter, byliśmy w długich i pięknych dolinach pomiędzy Blair Atholl i Dunkeld. Z jednej strony linii były strumienie pełne pstrągów i turbin, po drugiej stronie wzgórze brzęczały piłami i wiertłami warsztatów. Pociąg zatrzymał się na pięć minut w Dunkeld. Małe, stare kamienne miasto, ciągle z chrześcijańską katedrą.

Merial wyjrzała przez okna, po krajobrazie i usiadła z powrotem z lekkim dreszczem.

– Dziwne miejsce – powiedziała – z tymi wzgórzami dookoła jak w zasadzce.

– Ale dlatego to jest wspaniałe miejsce – powiedziałem i opowiedziałem jej historię jak Cameronianie<sup>6</sup> powstrzymali gospodarza Highland i ochronili Rewolucję, której zawdzięczali własną wolność. Słuchała z większym zainteresowaniem, nawet, niż moje opowiadanie zasługiwało, na koniec oparła się i powiedziała:

– Aye, dobra, może jest jakiś w końcu pożytek z historii. Nigdy nie będę już się bać tych wzgórz.

Była druga po południu, gdy pociąg dotarł do stacji Queen Street w Glasgow i byliśmy zadowoleni z możliwości wyjścia. Czasem dwoje osób, które mogą się nieskończenie fascynować, kiedy są same razem, i które mogą rozgrzać się wzajemnie w biesiadnym towarzystwie, odkrywa siebie zahamowanych pośród obcych, którzy są nie do zignorowania w zasięgu słuchu, i okazuje się, że są wstydliwi, cisi i zastali. Tak właśnie było z nami, ku końcowi tej podróży. Nie mogłem się nawet zebrać opowiedzieć o Bitwie pod Stirling, kiedy przechodziliśmy przez miasto.

Oboje jednak rozweseliliśmy się, schodząc na dworzec. Znajomy zapach dworca w Glasgow – czyszczonych ryb, gnijących liści, ozonowanego powietrza, starego żelaza, metanolu, gorącego oleju i spalonej wanilii – uderzył w moje zatoki jak kieliszek bimbru. Merrial, także, wydawała się tym ożywiona, biorąc głębokie wdechy zepsutego zapachu z wyrazem twarzy satysfakcji i nostalgii.

– Och, dobrze wrócić – powiedziała.

Spojrzałem z boku, gdy schodziliśmy z peronu.

---

<sup>6</sup> zwolennicy Richarda Camerona, którzy utworzyli radykalną fację w II połowie XVII wieku, zob. <https://en.wikipedia.org/wiki/Cameronian> – przyp.tłum.

– Kiedy byłaś w Glasgow? I jak mogłem na Ciebie nie trafić?

Uśmiechnęła się i ścisnęła dłoń.

– Och, zapomniałam. Wieki temu. Jednak zapach przypomina.

– To i hałas.

– Co?

– HA...

Jednak się ze mnie śmiała.

Przeszliśmy halę dworcową, zgadzając się, że gołębie są większym kłopotem niż mewy (choć, jak Merrial poważnie to zauważyła, lepszym jedzeniem). Ten komentarz i pewne bardziej apetyczne składniki zapachu, przypomniały nam, że jesteśmy wygłodniali, więc kupiliśmy sandwiche i butelki piwa ze straganu na stacji i zanieśliśmy je na George Square.

Usiedliśmy na ławce przy trawiastym pagórku pod posągiem Wyzwolicielki.

– Po kąt – powiedziała Merrial, wskazując w górę, gdy żuła. – Nimfę.

– Co?

Przełknęła.

– Posąg. Starzy ojcowie miasta musieli być nieco chytry.

Spojrzałem w górę.

– Nic nowego o ojcach miasta – powiedziałem. – Nadal są skąpi. Ale posąg wygląda dobrze.

– Koń jest czarny – wskazała Merrial. Postukała rączką noża o pęcinę. – Odlany z brązu. Sama pani jest zielona, tylko miedź. Wzięli palniki acetylenowo-tlenowe i odcięli pierwotnego jeźdźca, króla, generała, cokolwiek i na jego miejsce wsadzili Wyzwolicielkę!

Wstałem, obszedłem dookoła, przyglądając się.

– Masz rację – powiedziałem. – Widzę połączenia. Musiałem z tysiąc razy patrzeć na statwę i nie zauważyłem w niej niczego

dziwnego. – Spojrzałem na głowę posągu. – I ma inną twarz niż ta w Carron Town i obie są różne od zdjęć Wyzwolicielki, które widziałem.

– Cóż, proszę bardzo, colha Gree – powiedziała. – Są rzeczy, które majsterka może nauczyć uczonego, co?

– Och tak – powiedziałem. Usiadłem z powrotem. – Uważasz, ciężko, żeby to była oszczędność, to jednak dobry egzemplarz, i nawet zrobili jej włosy w złocie.

– To złota *farba* – powiedziała pogardliwie. – A co do rzemiosła, rasa i kropierz konia są błędne dla tych czasów i okoliczności.

Znowu miała rację, kiedy spojrzałem. To nie był stepowy koń, prawie na oklep, z grubsza osiodłany, jak to było pokazane całkiem autentycznie na placu w Carron. Zamiast tego, to było siodło husarza, z wyszukany rzędem. Jednak wtedy myślałem, i ciągle myślę, że przedstawienie samej Wyzwolicielki było dobrze oddane. Dobry przykład stylu Glasgow, który, może, naprawiał fuszerkę z koniem i częściowo pokazywał punkt widzenia artysty.

Wyrzuciliśmy śmieci do kosza i poszliśmy na najbliższy przystanek tramwajowy, na Buchanan Street. System transportu był jednym z najwspanialszych osiągnięć Rady Miasta Glasgow, bardziej niż dostatecznym zastąpieniem wielkiego kręgu Metra, które było, jak mówią, jednym z cudów starożytnego świata. Sądząc po jego pozostałościach, które tu i tam przetrwały wieki zalewania i osiadania, można się zgodzić, że tak rzeczywiście było.

Nadjechał tramwaj, dzwoniąc, i weszliśmy, zapłaciliśmy monetą i wbiegliśmy jak dzieci po spiralnych schodach na górny pokład. Dzwonek znowu zadzwonił i tramwaj szarpnął do przodu, skrzecząc po Buchanan Street i kołyszając, gdy skręcał na rogu w Sauchiehall.

Główna ulica Glasgow wydawała się zatkana ruchem, ale wszyst-

kie pojazdy – z silnikiem parowym, samochody, wozy konne i rowery – robiły miejsce dla nieubłaganego ruchu tramwaju. Piesi, o tej porze dnia, były kobietami na zakupach. Jednak one wszystkie, czy to młode dziewczyny prosto ze szkoły, czy matki z dziećmi, czy emerytowane damy w wolnym czasie, musiały łapać swoje spódnice, worki czy dzieciaki i uciekać panicznie, kiedy tramwaj prze-walał się przez skrzyżowanie. Sklepy i biura z ostatnich wieków były zbudowane z kłód i desek i rzadko były wyższe niż dwa piętra. Starsze, budynki sprzed Wyzwolenia, były budowane z kamienia, niektóre miały nawet pięć pięter. W dawnych czasach były znacznie wyższe budynki, ale większość z nich była zbudowana z betonu, który nie radzi sobie dobrze i, choć to może być bolesne dla archeologii, prawie wszystkie takie struktury zostały już dawno temu splądrowane ze stali i szkła. Ich fundamenty dawały prostokątny wzór wzrostu drzew w lasach dookoła Glasgow: Pollock Fields, Possil Wood, Partick Thorn.

Jeszcze dalej, na zachodzie, mogliśmy tylko dojrzeć mgłę i dym ze Stoczni w Clydeside, od której zależała pomyślność Glasgow. Stocznie były rozsądkiem umiejętności, które – razem z mokrym dkiem w Kishorn, prawie unikalnym po tej stronie Atlantyku – były odpowiedzialne za logiczny wybór Szkocji jako budowy platformy startowej.

Na szczycie Sauchiehall był nowy kamienny most, zastępujący oryginalny betonowy, który się rozsypał. Przeprowadził nas ponad Ósmą Autostradą i w Woodlands Road, która biegnie koło Kelvin Woods. (Ta, i rzeka, która biegnie przez nie, zostały nazwane po Lordzie Kelvinie, który wynalazł termometr).

Wyszliśmy z tramwaju na szczycie University Avenue i staliśmy przez chwilę, obserwując główny budynek, wielką i starożytną kupę zwaną Gilmore-hill. Wyglądał jak przykład architektury religijnej,

który zdziaczał, ale był poświęcony wyłącznie świeckiej wiedzy, kościół Człowieka.

– Nie jest tak stary, jak wygląda – powiedziała Merrial, jakby zdeterminowana nie być pod wrażeniem. – To wiktoriański gotyk.

Nie wierzyłem jej, ale się nie spierałem. Czułem w jego chłodnych kamieniach i ciepłym drewnie, cienie Dunsza Szkota<sup>7</sup>, Knoxa<sup>8</sup>, Kelvina<sup>9</sup>, Watta<sup>10</sup>, Millara<sup>11</sup> i Fergusona, i żadna kwestionowana data nie mogłaby mnie przekonać, że to miejsce było niemal tak stare jak naród, którego umysł tak mocno został ukształtowany przez to miejsce.

– Nieważne – powiedziałem. – Tak czy inaczej, Wydział, na który idziemy, nie jest tutaj.

– Bardzo dobrze – powiedziała Merrial.

To była właściwie jedna z mniejszych bocznych ulic przy University Avenue, gdzie budynki datowały się przynajmniej na dwudziesty wiek. Drzewa, które ją wyznaczały, były prawdopodobnie tak stare, gigantyczne wieże gałęzi i liści, wyższe niż budynki. Ich

---

<sup>7</sup> szkocki filozof i teolog, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Jan\\_Duns\\_Szkot](https://pl.wikipedia.org/wiki/Jan_Duns_Szkot) – przyp.tłum.

<sup>8</sup> prawd. John Knox – duchowny kalwiński, pierwotnie kapłan katolicki, przywódca reformacji w Szkocji, czołowy twórca narodowego protestanckiego Kościoła Szkocji, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/John\\_Knox](https://pl.wikipedia.org/wiki/John_Knox) – przyp.tłum.

<sup>9</sup> William Thomson, lord Kelvin – brytyjski fizyk, matematyk i przyrodnik, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/William\\_Thomson](https://pl.wikipedia.org/wiki/William_Thomson) – przyp.tłum.

<sup>10</sup> James Watt – szkocki inżynier i wynalazca, twórca kilku kluczowych ulepszeń konstrukcji maszyny parowej, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/James\\_Watt](https://pl.wikipedia.org/wiki/James_Watt) – przyp.tłum.

<sup>11</sup> John Millar of Glasgow – szkocki filozof, historyk, zob. [https://en.wikipedia.org/wiki/John\\_Millar\\_\(philosopher\)](https://en.wikipedia.org/wiki/John_Millar_(philosopher)) – przyp.tłum.



cień zaciemniał ulicę, pierwsze opadłe liście tworzyły śliskie śmieci pod stopami.

– Więc po prostu podejdziemy i zastukamy do drzwi? – spytała Merrial.

– Nie – odpowiedziałem. – Mam klucz.

Spojrzała na swoją skórzaną torbę.

– I jesteś pewien, że nie będziemy sprawdzeni?

– Ta, jestem pewien – powiedziałem. Przerobiliśmy to wcześniej. Jako potencjalny student, już z zaakceptowanym projektem, nawet jeżeli nie sfinansowanym, miałem prawo tutaj być, w istocie, powinienem bywać tutaj znacznie częściej, przez lato. Więc nikt nie powinien podawać w wątpliwość nas, lub naszą obecność w starym archiwum. Planowaliśmy, jak wykonamy pracę, ale bliskość wydawał się denerwować Merrial bardziej niż mnie.

– Dobra – powiedziała.

Klucz obrócił się gładko w nasmarowanym zamku i pstryknęła zasuwa. Pchnąłem ciężkie drzwi na bok i weszliśmy. Zamknąłem za nami. Miejsce było ciche i, o ile potrafiłem powiedzieć, puste. Hol był ciemny i chłodny, jasnożółta farba przyciemniona pokoleniami nikotyny. Dzielił się co kilka metrów na węższe korytarze prowadzące głębiej w Instytut i klatkę schodową prowadzącą na wyższe piętra. Miejsce miało ciekawy stęchły zapach starego papieru, zakurzonych elektrycznych żarówek i delikatny powiew dymu z fajki. Sprawdziłem stos nieotwartej poczty na długim drewnianym stole z boku. Kilka wiadomości do mnie, które po krótkim sprawdzeniu były odmowami różnych wniosków o mecenat. Wepchnąłem je do kieszeni kurtki i ruszyłem na górę po schodach do biblioteki, włączając syczące lampy elektryczne, jak szliśmy.

Merrial zmarszczyła nos, gdy otworzyłem drzwi biblioteki i włączyłem światła.

– Stary papier – powiedziała.

Uśmiechnęła się.

– Martwe muchy.

Ruszyłem zamykać drzwi, gdy weszliśmy do pokoju, ale Merrial dotknęła mojej dłoni i potrząsnęła głową.

– Nie mogłabym tego znieść – powiedziała.

– Racja, ja też. – Czułem zadyszkę w nieruchomym, martwym powietrzu. Przytrzymałem jej dłoń, dla jej i swojego uspokojenia, gdy szliśmy przez labirynt wysokich do sufitu regałów z książkami. Merrial, ku mojemu zaskoczeniu, raz czy drugi szarpała, żebym się zatrzymał, podczas gdy ona przeglądała tytuły i nazwy na złamanych i wyblakłych grzbietach z miną rozpoznania i przyjemności.

– *Protokoły sądowe antysowieckiego bloku prawicy i trockistów!*<sup>12</sup> – westchnęła. – Niesamowite! Wiesz cokolwiek o tym?

– To był jakiś rodzaj publicznych egzorcyzmów – powiedział, pośpieszając ją. Kiedyś spojrzałem do tego ponurego *grymuaru* i wspomnienie lekko mnie zemdliło. – Ludzie twierdzili, że zmieniali się we wściekłe psy, które niszczyły maszynię. Straszne. Jak przesądni musieli być komuniści.

Merrial zachichotała, ale spojrzała na mnie dziwnie zadowolonym wzrokiem.

Na samym końcu biblioteki rzędy regałów się skończyły. Było tam ustawionych kilka tablic i krzeseł, najwidoczniej do studiowania, ale nikt, według mojej wiedzy, nigdy tu nie studiował. Większość, co ktokolwiek mógł zrobić, to położyć stos książek i dokumentów na szybkie przejrzenie ich zawartości pod lampkami do

---

<sup>12</sup> ostatni z trzech procesów moskiewskich, które zorganizowano w 1938 roku przed Kolegium Wojskowym Sądu Najwyższego ZSRR przeciwko dawnym przywódcom bolszewickim; kulminacyjny publiczny punkt wielkiego terroru. zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/III\\_proces\\_moskiewski](https://pl.wikipedia.org/wiki/III_proces_moskiewski) – przyp.tłum.

czytania, przed wybiegnięciem z biblioteki. Przypomniałem sobie komentarz Merrial, że ludzie teraz byli bardziej klaustrofobiczni niż ich przodkowie.

Poza tymi stołami były kolejne drzwi, żelazne, z klamką, ale bez zamka. Sama myśl możliwości, że drzwi mają zamek, wystarczyła, żeby oblały mnie zimne poty.

– Oto jesteśmy – powiedziałem i dodałem, żeby wyjaśnić – mroczne archiwum.

– Co jest w środku?

– Nie wiem – powiedziałem. – Nigdy tam nie byłem.

Zmarszczyła brwi.

– Czy to jest niedostępne, czy co?

– Nie, nie. – Potrząsnąłem głową. – Nie jest zakazane, czy coś. Rzadko kto chce tam wejść.

– Nie ma powodu do wahania – powiedziała Merrial. – Miejmy to za sobą.

Nacisnąłem klamkę i pociągnąłem drzwi. Dopasowując się do moich uczuć, powinny wydać nadprzyrodzony pisk, ale ciężkie zawiasy były dobrze nasmarowane. Kilka razy nacisnąłem klamkę od wewnątrz. Wydawała się w porządku, ale przyciągnąłem jedno z krzeseł i użyłem go do podparcia otwartych drzwi, na wypadek, gdyby przypadkowo się zamknęły.

Włączyłem światło nad głową i wkroczyłem śmiało przez drzwi. Mały pokój z tyłu wydawał się wystarczająco niewinny. Stało tam biurko, kilka krzeseł przed nim, a na biurku stos skrzynkowych, masywnych struktur jak modele starożytnej architektury. Aluminiowe regały były ustawione po obu stronach. Powietrze miało inny, subtelniejszy zapach, prawie jak zapach umytych włosów lub polerowanego rogu, z ostrą nutą acetonów.

Merrial powąchała.

– Jak gnijący plaster miodu – zauważyła wesoło. Zwalczyłem falę.

– Czy papieros pozbędzie się miazmatów? – zasugerowałem.

– Tak, ale mógłby uszkodzić dyski.

Podczas gdy ja ciągle się rozglądałem za czymś, co trochę przypominałoby dysk, Merrial zaczęła grzebać na półkach. Ustawione tam pudełka były półprzezroczyste, koloru owczej skóry, z zakurzonymi, ciasnymi pokrywkami. Zawierały płaskie czarne talerze około dziewięciu centymetrów kwadratowych i dwóch milimetrów grubości. Wyciągnęła kilka losowo, podniosła i lekko je potrząsnęła. Z każdego uniósł się sadzowy, czarny pył. Kryształy utleniania pokryły skorupą małe, metalowe płytki na krawędziach. Potrząsnęła głową.

– Beznadziejne – powiedziała.

W innych, mniejszych pudełkach, były mniejsze, błyszczące waflę. Te, kiedy podniosła, po prostu skruszyły się od dotyku.

– Tyle dla nich – powiedziała. – Musimy po prostu zobaczyć, czy coś zostało na twardych dyskach. – Wysunęła siedzenie przed maszynami. Największa, przed którą usiadła, miała rodzaj szybki na przodzie. Merrial otworzyła worek, przegrzebała bałagan na górze i ostrożnie wyciągnęła dziwne urządzenie. Położyła je na stole: kryształ widzenia świecący losowymi tęczowymi falami, mała ciasna skrzynka i ramka dźwigni z literami, wszystko połączone zwojami izolowanego drutu miedzianego.

– Och, popatrz, ta rzecz tam ma te same... .

– Nie dotykaj!

– Dobra.

Spojrzała na mnie.

– Przepraszam za naskoczenie. Jestem trochę nerwowa.

– Aye, dobra, ja też.

– Do tego jestem w trybie majsterkowania. – Uśmiechnęła się. – Uprzejmość do niego nie należy. Jeżeli chcesz pomóc, zobacz, czy jest jakieś źródło elektryczne dla tej rzeczy, podczas gdy ja przygotowuję system. – Pomachała niejasno ręką w ciemność pod stołem.

Powstrzymując wątpliwości, pochyliłem się w ciemność, a po chwili, gdy moje oczy dopasowały się, zobaczyłem zakurzone gniazdko elektryczne, z trzema otworami. Kabel grubości centymetra wisiał z tyłu stołu i kończył się wtyczką z trzema kolcami. Wydedukowanie jak wtyczka i gniazdko pasowały do siebie, było kwestią chwili tak jak wsunięcie jednego w drugie.

Światło dookoła mnie nagle się rozjaśniło. But Merrial uderzył mnie w żebra, a ona jednocześnie wypowiedziała dziwne przekleństwo.

– Co?

– Chryste, nie *rób* tak!

Kolejna dziwna modlitwa. Wyczołgałem się do tyłu spod stołu. Merrial spojrzała na mnie ostro.

– Myślałem, że chciałaś, żebym to zrobił – zaprotestowałem.

– Och. – Pomyślała o tym. – Zdaje się, że mogłeś to w ten sposób zrozumieć, tak. Wybaczam Ci. Teraz chodź i siadaj. – Poklepała siedzenie koło siebie.

Gdy wstałem, zauważyłem, co się stało z maszyną i skąd brało się dodatkowe światło. Okno na przodzie pudła świeciło się perłową szarością z ciemniejszymi i jaśniejszymi plamami wirującymi po nim, jak niebo na portem w śnieżny dzień. Cofnąłem się o krok. Temperatura w pokoju zdawała się spaść o kilka kelwinów. Teraz rozumiałem, dlaczego wypowiadała te inwokacje. W momentach takich jak ten nawet najbardziej racjonalna osoba będzie wypowiadać dowolne imię bóstwa, które przyjdzie na myśl.

– To nie gryzie – powiedziała.

Ostrożnie podszedłem, przezornie patrząc na rzecz, jak ktoś mógłby to robić z psem, o którym właśnie usłyszał takie zapewnienie. Ręką, której Merrial nie mogła zobaczyć, zrobiłem znak Rogów, potem pomyślałem, że było to haniebnie przesądne i zamiast tego zacząłem w głowie recytować kilka Imion Jednego i jego Proroków: Allah, Budda, Chrystus, Bóg, Jordan, Sprawiedliwość...

– Czy ja to zrobiłem? – spytałem.

Chomeini, Kryszna, Łaska, Maria, Odyn, Konieczność, Natura...

– Tak, kiedy włączyłeś zasilanie.

Paine, Opatrzność, Quine, Rozum, Jahwe, Zoroaster. To powinna wystarczyć.

Patrzyła w moje oczy z figlarną uciechą, sięgnęła i pogłaskała twarz. Szuranie mojej brody zabrzmiało niesamowicie głośno.

– Wszystko w porządku, *mo gràidh* – powiedziała. – Jestem majsterkiem. Wiem, co robię. Ta rzecz tutaj... – poklepała po górze – to tylko maszyna, która robi te same rzeczy co kryształ widzenia, tylko nie tak dobrze. – To nie diabeł, wiesz. To komputer.

– Tak, wiem to...

– Dobra, to zacznij się zachowywać, jakbyś w to wierzył – powiedziała.

– Ale czy to *telewizja*? – Wewnętrznie zadrżałem od nazwania tego mrocznego instrumentu Posiadania.

Potrząsnęła głową.

– Nie. To tutaj to klawiatura, a to tu to ekran. Ekran, lub monitor, pracuje na podobnej zasadzie co telewizja, ale nie jest telewizją. A nawet gdyby, nie mógłby ci wyrządzić krzywdy.

Łatwo jej to powiedzieć, pomyślałem, ale mądrze nic nie powiedziałem.

– Zakładając, że w ogóle jeszcze pracuje – dodała wesoło. – Scalaki usmażyły się w Wyzwoleniu, w przeważającej wielkości.

(Ja też nie, ale tak właśnie powiedziała).

Postukała w kilka klawiszy. Szary ekran w ogóle się nie zmienił.

– Control Alt Delete – powiedziała do siebie i nacisnęła na raz trzy przyciski.

Znowu nic się nie wydarzyło.

– Hmm – powiedziała. Sięgnęła do przodu i szturchnęła słupek na maszynie. Ekran zmienił się w czarny.

– Tyle z tego – powiedziała. Wstała, pochyliła się nad stołem i zaczęła przyglądać się bliżej niektórym pudłom.

– Hej! – powiedziała. – Mam to! Jeden z tych chyba jest zabezpieczony przed promieniowaniem! – Sięgnęła pomiędzy pudłami i zaczęła niebezpiecznie ruszać przewodami pod napięciem, zdejmując przewód z tyłu skrzynki, której używaliśmy i wkładając go z tyłu innej. Co wydawało się jedynie pustym przodem tej skrzynki, nagle się rozświetliło, gładko lśniąca szarość, okazując się być ekranem.

– Taaak! – powiedział Merrial, uderzając w powietrze.

W tym momencie zacząłem brać się w garść, choć muszę przyznać, że prawie wymiękłem, kiedy Merrial się odwróciła i szturchnęła litery na klawiaturze, a na ekranie błysnęła napis „Demon Internet Software”<sup>13</sup>.

Allah, Budda, Chrystus...

– Dobra – powiedziała energicznie Merrial, gdy ekran z trzema złowieszczyimi nazwami zniknął i został zastąpiony obrazem z wieloma małymi obrazami rozrzuconymi po nim. – Wreszcie ten gnojek wstał i chodzi, ale Chrystus wie, jak długo wytrzyma. – (Mówiła w ten sposób, zacząłem zauważać, z tą interesującą kombinacją odniesień niejasno seksualnych i religijnych, kiedy była w tym, co

---

<sup>13</sup> Demon Internet – brytyjski dostawca internetu, por. [https://en.wikipedia.org/wiki/Demon\\_Internet](https://en.wikipedia.org/wiki/Demon_Internet) – przyp.tlum.

sama nazwała jej „trybem majsterkowania”). – Więc lepiej wyduśmy to z niego ej es ej pi.

– Z niego co?

– As. Soon. As. Possible<sup>14</sup>.

– Och, racja. Jak strzała.

– Co?

Machnąłem dłonią.

– Zabierzmy się do tego, jak mówisz.

– Dobra.

Ostrożnie odwinęła jedno pasmo drutu miedzianego i przyłączyła mały kołek z miedzianą szpilką na końcu. Potem wsunęła to w okrągłą dziurę (która, jak wyjaśniła, nie musiała być jebana okrągła kurwa wtedy, ale kurwa była) na froncie komputera.

– Dobra – powiedziała. Czubek języka pomiędzy ustami, gdy wstukwała słowa „Myra Godwin”, nazwisko Wyzwolicielki, na klawiaturze. Napisy jednocześnie pojawiły się na ekranie i na teraz czarnym kryształ widzenia.

– Go – powiedziała, naciskając kolejny klawisz.

Minęło kilka sekund (język znowu pomiędzy jej zębami) i ekran oraz kryształ wypełniły się listą tytułów, które powoli pięły się w górę, ich góra znikająca z widoku i tak trwało to przez kilka minut.

Kiedy lista przestała pełznąć, powiedziała:

– Ok, kopiuuj. – I znowu zastukała na klawiaturze. Obraz klepsydry pojawił się na ekranie i piasek zaczął się przesypywać. Kryształ widzenia, w międzyczasie, pokazał drzewo, rozgałęziające się, kwitnące i hodujące liście.

Po około półtora minucie i połowie piasku wszystko przepłynęło z górnej połowy klepsydry i kryształ był wypełniony zielenią. Oba wyświetlacze zniknęły.

---

<sup>14</sup> w oryg. ASAP – tak szybko jak to możliwe – przyp.tłum.



– To jest to – powiedziała Merrial.

– To wszystko?

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Wszystkie pliki, które wymieniają Myrę Godwin, przetransferowane z mrocznego magazynu do kamienia. Poszło nieźle, co?

– Cudownie – odpowiedziałem. Wstała, pochyliła się znowu za komputerem, odłączyła swój przewód i zwinęła go szybko dookoła dłoni. Potem dźgnęła kilka klawiszy na obu klawiaturach. Ekran znowu stał się błyszczącą szarością, a kryształ stał się czarny.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Masz moje pozwolenie na wyłączenie zasilania.

Zostawiliśmy mały pokój i większą bibliotekę, dokładnie tak jak je znaleźliśmy, i poszliśmy po cichu po schodach z Instytutu. Kiedy byliśmy kilka metrów na ulicy, przytuliliśmy się i krzyknęliśmy.

– Zrobiliśmy to! – chełpiła się Merrial. – Rzeczywiście to kurwa zrobiliśmy!

– Tak, ciągle nie mogę w to uwierzyć – powiedziałem. Złapałem jej dłoń. – A teraz co robimy?

– Przeglądamy to, co mamy – powiedziała. – Gdzieś, gdzie nikt nas nie zobaczy, ani nie będzie przeszkadzał.

Znałem takie miejsce.

Z powodu wakacji, mało było wokoło studentów, więc moja właścicielka mieszkania była szczęśliwa z możliwości wynajmu swojego zwykłego małego pokoju nad księgarnią na Southpark Avenue na jedną noc. Nie podniosła brwi, gdy brała moje pięć marek i podała klucz, chociaż było około wpół do piątej popołudniem. Mniemam, że założyła, że chcemy użyć pokoju do seksu.

Dała nam szybko po kubku kawy, wypaliła papierosa i podzieliła się lokalnymi plotkami z ostatnich kilku miesięcy, z tyłu jej

kuchni, potem machnęła na nas z mrugnięciem do mnie. Pokój był dość hojny, choć teoretycznie pojedynczy, łóżko, krzesło, stół i gniazdko. Okno było zostawione otwarte, ale jedynym widokiem było podwórko. Jednak, każdy mógłby wyjrzeć i zobaczyć niebo w każdej chwili.

– Doskonale – powiedziała Merrial.

Wyładowała kryształ widzenia i elementy peryferyjne, rozłożyła je na stole, prowadząc mały przewód od czarnego pudełka do gniazdka w ścianie. Małe pudełko zaczęło delikatnie szumieć i w tym samym momencie ludzka twarz wyłoniła się z ciemności kryształu widzenia, poruszając ustami w zmartwieniu.

– Och, jebać to – powiedziała Merrial. Potarła kamień mankietem i twarz rozpadła się w drobinki koloru. – Teraz – powiedziała – zajmijmy się sortowaniem i szukaniem. Szukamy rzeczy sprzed Wyzwolenia, ale znalezienie ich w tej działce nie koniecznie będzie proste. Miejmy nadzieję, że pliki są podatkowane.

Usiadła na krześle, kierując mnie do przycupnięcia na stole, i zaczęła stukać na jej wersji klawiatury.

– Ach, dobrze, możemy posortować po dacie.

Lista pojawiała się w głębokościach szklanego kamienia, tym razem ze stosem artykułów na szczycie z pojedynczą datą 28 maja 2059 roku. Merrial musnęła palcem delikatnie i powoli wzdłuż małej listwy na klawiaturze, potem uderzyła kolejny klawisz.

– Zobaczmy, co to jest.

Razem zajrzeliśmy w szkło i zaczęliśmy czytać.

*Bankructwo dowolnej perspektywy dla przewyciężenia kryzysu, rządząca elita może jedynie siedzieć i obserwować, jak społeczeństwo rozpada się pod nimi. Fabrykom nie udało się wypełnić zobowiązań, korupcja jest rozpowszechniona, a wartość rynkowa wytwarzana w gospodarce ciągle spada. Wiele sektorów przemysłu*

*w istocie produkuje ujemną wartość: ich wynik jest wart mniej – w pojęciach rynkowych lub innych – niż surowce, które wykorzystują. W istocie są potężnymi organizmami psującymi zasoby. Przy braku jakiegos prawdziwego ruchu w kierunku rynku, lub – z drugiej strony – inicjatywy ze strony robotników, system może się tylko dalej rozpadać.*

– Brzmi jak 2059 – powiedziała Merrial. – Od tego właśnie Wyzwolenie nas wyzwoliło.

Skinąłem ostrożnie głową.

– Spójrzmy niżej. . .

*Nie może być całkowicie wykluczone, że moskiewska oligarchia mogłaby zorganizować jakąś dywersyjną sprawę wojskową, ale to również zbyt szybko rozwinęłoby swoje własne problemy i zintensyfikowało te w centrum.*

– Cholera! – powiedziałem.

– Co?

– To nie 2059, bardziej 1999!

*Inwazja w Afganistanie musiała być postrzegana w tym kontekście.*

– Nie, to 1979! – Cóż, – Zmarszczyłem brwi na datę w stopce artykułu. – Właściwie 1980, ale było napisane o sytuacji w 79. W Związku Radzieckim. – Gorzko się roześmiałem. – Powodem, dlaczego było trudno rozróżnić z początku okres, o którym mówi, jest to, że to był Związek Radziecki, którego upadek się rozpoczął, właśnie wtedy w latach siedemdziesiątych. Po rozpadzie Związku Sowieckiego, było tylko gorzej i to się rozszerzało.

Tyle było dość dobrze przyjętą relacją historyczną, którą poznałem na studiach licencjackich w Starożytnej Historii.

– Więc dlaczego jest datowane 2059? – spytała Merrial. Muśnięła pasek i przesunęła listę w dół. – Ha! – powiedziała. – Ten

plik, i wiele innych według tego jak wyglądają, było wgranych *na* ten komputer tego dnia. Co nie znaczy, że wtedy były stworzone. Nie wiem też, czy mogę wyciągnąć oryginalną datę utworzenia.

– Poczekaj chwilę – powiedziałem. – Może tutaj będę mógł pomóc. Powiniennem być w stanie powiedzieć zgrubne daty na podstawie tytułów plików lub, może, szybkiego zajrzenia w ich zawartość.

– Tu są tysiące plików – wytknęła. – Jeżeli datowanie każdego z nich zabierze tyle, ile nam zajęło przy tym jednym, będziemy tutaj całą noc.

Uśmiechnąłem się.

– Dlaczego miałyby to być problem?

Okazało się, że nie był to problem. Choć większość miała tę samą datę w kolumnie „data” na maszynie Merrial, a ona zrezygnowała z odszukania czegoś, co nazywała „data utworzenia”, całkiem duża liczba plików miała odniesienia do daty swego rodzaju w tytule. To były najwidoczniej artykuły z czasopism i gazet, napisane przez Myrę Godwin lub o nie. Całkiem szybko wpadliśmy w tryb pracy, który pozwalał mi zidentyfikować takie pliki, a Merrial poradzić sobie poprzez skopiowanie daty z tytułu do innej kolumny o nazwie „data”. Po dziesięciu minutach tego, uderzyła się w czoło ręką i krzyknęła:

– Stop!

– Co jest?

– Tracimy czas. *Ja* tracę nasz czas, mam na myśli. – Roztarła dłonie. – Potrzebujemy tutaj maleńkiego programu, żeby przejrzeć tytuły za datami, wyciągnął daty, przeformatował i potem posortował po dacie. . .

– Wierzę Ci na słowo – powiedziałem, nie zrozumiawszy ani słowa. Machnęła na mnie, z miną oderwanej koncentracji na twarzy.

– To powinno być proste – powiedziała. – Zaoszczędzi nam godzin.

Usiadłem na parapecie, paląc papierosa, podczas gdy jej palce migały nad małą klawiaturą, tworząc stukający hałas jak deszcz na dachu. Uderzyło mnie, że chyba nie ma dostrzegalnej różnicy pomiędzy białą a czarną logiką, ale bez wątpienia to tylko pokazywało moją niewiedzę.

– Taaak! – powiedziała. – Żaden kłopot.

Uderzyła klawisz i się rozsiadła. Potem znowu pochyliła się, patrząc na kamień.

– Och kurwa!

Spojrzałem ostrożnie.

– Użyłam, kurwa, dwucyfrowych lat. Siła nawyku. Pierdolony program wypieprza się na roku 2000.

Stukanie znowu się zaczęło.

Pół godziny później Merrial miała pliki częściowo posortowane po dacie i mogliśmy się w nie zagłębić z nieco większą pewnością co do ich ważności dla naszych rozważań.

– „Umowa polisy obrony (wygaśnięcie), Miasto Watykanu, 11 grudnia 2046”. To wygląda interesująco.

Nacisnęła jeden z przycisków i plik, jak to nazywała, się otworzył, zamiast tytułu rozjarzonego nieco jaśniej pomiędzy innymi, mogliśmy zobaczyć cały dokument. Część z niego była nieprzenikalnym językiem prawniczy (część, w rzeczywistości, była po łacinie), ale było dostatecznie dużo, żeby zrozumieć, o czym był.

Merrial zatrzymała się przed otwarciem kolejnego pliku, opisanego „Ochrona Wzajemna/Kosmiczni Kupcy/2058”.

Spojrzelśmy na siebie, oboje lekko bladzi, każde czekające na drugie, żeby się pierwsze odezwało.

Merrial przełknęła głośno i sięgnęła po jeden z moich papierosów.

– Wiesz – powiedziała wolno – co musiała Wyzwolicielka robić, żeby się utrzymać, pod Posiadaniem?

– Cóż... – Czujęm dolną wargę ruszającą się po krawędzi moich zębów i przestałem. – Tak. To jeden z aspektów historii, o której historycy starają się nie mówić. To znaczy, w pracach popularnonaukowych.

– Och! – Merrial odetchnęła z ulgą. – Zatem wiesz o obozach niewolników.

– Co? – Przez przelotną chwilę, dosłownie zobaczyłem czarny cień przed oczami. Wskazałem na pismo kryształu widzenia. – Myślałem, że mówisz o nuklearnym szantażu!

Merrial spojrzała zdziwiona.

– Nuklearny szantaż? Wiem, że miała broń jądrową od *Papanich*, to jest tutaj. Jaki to ma związek z tym, jak się utrzymywała?

– Och, wielki Rozumie! – Chwyciłem się za głowę. – Wyjaśnijmy to sobie. Ty uważasz, że wstydlwym sekretem jest to, że prowadziła *obozy niewolników*. Ja myślę, że tym było handlowanie groźbami nuklearnymi.

Merrial westchnęła.

– Tak, otóż to. – Rozłożyła dłonie i przedramiona w parodii uprzejmości. – Ty pierwszy.

– Dobra. – Zauważyłem, że moje lewe kolano drga w górę i dół. Wstałem i przemierzyłem pokój, gdy mówiłem. – Wiesz o odstraszaniu jądrowym?

– Och, ta – powiedziała, grymasząc.

– Dobra, tak, dla nas polisa zagrożenia wypalenia wielu wspaniałych miast i ich mieszkańców wydaje się ohydna, ale starożytni tak tego nie postrzegali. W rzeczywistości, niektórzy z nich zaczęli

postrzegać odstraszenie jądrowe jako dobro, które jak wszystkie dobra byłoby lepiej, gdyby były sprzedawane i kupowane przez biznesy niż zapewniane przez rządy. Problem był, wszystkie bronie jądrowe były własnością rządów i niemożliwym było je kupić i trudno było je ukraść.

– Zatem Myra Godwin i jej mąż, Georgi Dawidow, ukradli rząd. Dawidow był wojskowym i przeprowadził wojskowy zamach stanu w części Kazachstanu, w region był bardzo nieprzyjemny i jałowy, ale który akurat miał duże zapasy broni jądrowej. W pewien sposób, to, co się wydarzyło, to żołnierze, którzy obsługiwali bronie jądrowe, zdecydowali się zająć terytorium i nikt nie śmiał im się sprzeciwić.

– Lokalni ludzie cierpieli poważnie pod rządami komunistów. Stalin zagłodził przynajmniej milion z nich w latach trzydziestych<sup>15</sup>. Potem sprawy się polepszyły, ale po upadku komunistów znaleźli się w gorszej sytuacji pod lichwiarzami, baronami i właścicielami ziemskimi. Prawdziwa odpowiedź na ich problemy nie była wtedy znana, lub nie była znana dostatecznie szeroko, i zaczęli tęsknić za bezpiecznym, choć ograniczonym, życiem, jakie prowadzili wcześniej.

– To wtedy Myra i Georgi mieli przyptyw geniuszu. Kiedy Myra studiowała tutaj, była zwolenniczką człowieka nazwiskiem Trocki, który został zabity przez Stalina i stał się sztandarem dla innego rodzaju komunizmu, oczyszczonego ze zbrodni Stalina. Jakby coś takiego mogło istnieć!

– Co masz na myśli? – spytała Merrial, mrużąc oczy.

– Och, weź, wiesz, *komunizm*... – Słowo wywoływało u mnie fizyczne mdłości, jakby obmacywały mnie brudne ręce. – Wszyscy

---

<sup>15</sup> głód w Kazachstanie 1932-1933, zob. [https://en.wikipedia.org/wiki/Kazakh\\_famine\\_of\\_1931%E2%80%931933](https://en.wikipedia.org/wiki/Kazakh_famine_of_1931%E2%80%931933) – przyp.tum.

pilnują wszystkich, wszyscy *posiadają* wszystkich, a to po prostu ideał! Czym to jest jak nie złem? Nie mówiąc już o rzeczywistości, małej grupie rządzącej pilnującej i posiadającej.

– Jak to pomogło Wyzwolicielce?

Wzruszyłem ramionami.

– Mogła w to wierzyć, kiedy była młoda. Nikt nie jest doskonały. Jednak kiedy Dawidowowie założyli swoje państwo, zrobili to w imię Trockiego, nawet jeżeli już więcej w niego nie wierzyli. Zachowali dostatecznie dużo komunizmu, żeby ludzie czuli się bezpiecznie i dostatecznie dużo wolności, żeby ludzie mogli być szczęśliwi i bogaci.

Twarz Merrial wyrażała zainteresowanie, ale ostrożnie neutralne.

– A sposób na bogactwo – kontynuowałem – był taki. Zaczęli sprzedawać opcje użycia posiadanej broni jądrowej. W ten sposób, państwa, które nie miały własnych broni jądrowych, mogłyby odstraszać nuklearnie. Byli w tym całkiem otwarci, ale musieli przestać po Trzeciej Wojnie Światowej, kiedy ostatnie imperium wzmocniło władzę.

Westchnąłem i wzruszyłem ramionami.

– Przyznaję, to plama na jej życiorysie. Jednak nigdy ich właściwie nie użyli.

Merrial spojrzała lekko wstrząśnięta.

– Zatem uczeni wiedzieli o tym cały czas?

– Cóż, wiem, co ludzie Godwin zrobili, kiedy stracili ich mały biznesik z groźbami nuklearnymi.

– Wydaje mi się, że nie wiesz.

Otworzyła kolejny plik. Ten, który czytałem z narastającym przerażeniem, był o zupełnie innej umowie. To był miesięczny raport pracy wykonanej przez więźniów, strzeżonych przez firmę o nazwie



Ochrona Wzajemna, dla kolejnego przedsiębiorstwa o nazwie Kosmiczni Kupcy.

– Praca więzienna była kolejnym *dobrem* – powiedziała Merrial – które nasza Wyzwolicielka uważała, że najlepiej dostarczać na wolnym rynku.

– Ale to jest niewolnictwo!

– W rzeczy samej – powiedziała Merrial. – To dlatego o tym nie rozmawiamy. Nie byłabym zaskoczona, gdyby niektórzy uczeni już to opisali. – Jej oczy się zwęziły. – Może niektórzy starsi majsterkowie wiedzą o tym biznesie nuklearnym i to wszystko. Jednak nie mówią o tym.

Usiedliśmy, patrząc na siebie z nagłą pasją ludzi, którzy stracili coś, w co wierzyli i zostali tylko sami sobie. Było to jeszcze bardziej gorzkie, ponieważ każde z nas oddzielnie myślało, że powiedziano nam najgorsze o wielkiej kobiecie, byliśmy zadowoleni z siebie, myśląc, że jesteśmy dostatecznie dojrzałi, żeby wiedzieć to i zachować to w tajemnicy przed łatwowierną ludnością, a oboje odkryliśmy, że zostaliśmy oszukani przez nasze własne gildie, że była jeszcze mroczniejsza niewypowiedziana historia. Mój umysł biegł i czułem nadchodzący ból głowy. W tym samym czasie poczułem rodzaj ulgi, drobnego wyzwolenia, gdy obraz Wyzwolicielki został obalony w moim umyśle.

Po krótkiej przerwie, kiedy wyszliśmy w ciepły wieczór na kolację w restauracji rybnej przy Kelvin, pracowaliśmy z plikami. Znaleźliśmy dużo o dziwnej karierze Myry Godwin – więcej niż potrzeba, by napisać całkiem sensacyjną biografię – ale nic o tym, co zdarzyło się w okresie samego Wyzwolenia. Było już po dziewiątej, kiedy Merrial podskoczyła i syknęła:

– Kurde! Kurde!

– Co się dzieje?

– Znalazłam plik katalogów. Żadnego znaczącego tytułu, możesz w to kurwa uwierzyć. I ma znacznie, znacznie więcej wpisów niż my mamy plików. Mamy tylko rzeczy niskiej tajemnicy! Reszta jest ciągle w mrocznym magazynie Uniwersytetu.

Potałem moje obolałe oczy i sięgnąłem po dłoń Merrial.

– Więc to, co tam jest, może być *gorsze*?

– Ty to powiedziałaś. Może nawet zawierać rzeczy, których szukamy. Musimy wrócić.

## Rozdział 6

# Lekkie Bronie

Dawno temu istniała pewna ojczyzna o nazwie „Międzynarodówka”. Był to kraj umysłu, kraj nadziei i obejmował cały świat. Póki pewnego dnia, w sierpniu 1914, jego obywatele nie poszli na wojnę ze sobą i świat się skończył. Wszystko umarło w tej wojnie, Bóg, Ojczyzna, Międzynarodówka i Cywilizacja. Umarło i poszło do piekła. Wszyscy umarli. Ocalańcy myśleli, że żyją, ale tak nie było. Po sierpniu 1914 roku nie było żywych ludzi na świecie, tylko martwi ludzie na urlopie, przeklęci i demony.

Ostatni moralnie odpowiedzialni ludzie na świecie byli frakcją Socjaldemokratycznej Partii Niemiec<sup>1</sup> w Reichstagu. Zagłosowali za kredytami na wojnę Cesarza wbrew każdej, swojej uchwale. Wiedzieli, co powinni zrobić, i wybrali zło. Cała, następująca po tym, historia dotyczyła tych przeklętych, biednych diabłów walczących w piekle, do którego ci ludzie ich wepchnęli. I nikt nie mógł być osądzony za to, jak się zachowali w piekle.

Ta myśl, posępna mieszanka herezji marksistowskich i chrześcijańskich, pierwotnie została jej przedstawiona przez Davida Reida, pewnej nocy wiele dziesięcioleci temu, kiedy był bardzo pijany. Pomogła przetrwać Myrze przez wiele złych nocy. W innych czasach

---

<sup>1</sup> więcej

[https://pl.wikipedia.org/wiki/Socjaldemokratyczna\\_Partia\\_Niemiec](https://pl.wikipedia.org/wiki/Socjaldemokratyczna_Partia_Niemiec) – przyp.tlum.

– w dzień czy dobre noce – wydawała się beczelnym nihilizmem studentów, płytkim, niedobrym i absurdalnym. Jednak w złe noce docierało do niej jako głębokie i prawdziwe i, na swój sposób, afirmujące życie. Jeżeli myślałeś o ludziach jako o *żywych i mających życie do przeżycia*, wpadłbyś w takie przygnębienie wobec tego, co tak wielu dostało w zamian, te ostatnie półtora wieku, że w złe noce mógłbyś być skuszony dodać swoje życie do ich, i przez to dodać niewykrywalny przyrost do tej już niewyobrażalnej, nie do pomyślenia liczby.

Liczby, którą Myra, w swoje złe noce, podejrzewała, że już zwiększyła całkiem znacznie. Nie bezpośrednio – jeżeli w ogóle zgrzeszyła, to był grzech zaniedbania – i nikt nigdy nie mógłby jej o to winić, ale winiła się sama. Jeżeli sprzedałaby polisę odstraszenia niemieckim imperialistom, kiedy tego potrzebowali, podarła wszystkie istniejące kontrakty i potem je pozalałtawiała, jak wielu ludzi byłoby żywych spośród tych, którzy umarli? W złe noce odpowiedzią wydawały się miliony. W innych czasach, przy bardziej trzeźwej refleksji, rozumiała, że nie była w tej lidzie. Nie była tam z Wielką Trójką. W tym roszczeniu było prawie coś z nastoletniej autodramatyzacji. Jeżeli w ogóle należała do tej kompanii, to była w drugim lub trzecim rzędzie, poniżej wielkich rewolucjonistów, ale na górze z bardziej niszczycielskimi z wielkich imperialistów, Churchillem, Mountbattenem i Johnsonem czy ludźmi tego pokroju.

Jej buty zostały kopnięte pod stół, czarna, krepowa suknia de-vore leżała na oparciu krzesła, uszanka poleciała w róg, czarny futrzany płaszcz na podłodze, butelka whisky otwarta na stole, a mroczne słowa Leonarda Cohena zakłócały zadymione powietrze: Manhattan, potem Berlin, w istocie.

Myra miała jedną ze swoich złych nocy.

Późnowiosenna noc za cienkimi, starymi zasłonami była zimna,

a grzejnik centralnego ogrzewania nie robił dużo, żeby powstrzymać chłód. Główny pokój mieszkania wydawał się mały, prawie ciasny, jak studencki pokój. Miała kuchnię, łazienkę, sypialnię. Ale większość, co definiowało jej życie, było wepchnięte w ten salon. Regały wypełnione książkami, dwa lub trzy rzędy w głąb, choć miała całą edycję (ostatnią) Biblioteki Kongresu z 2045 roku, na jakimś gratisowym dysku razem z przeglądarką Sterlinga gdzieś w bałaganie. Jej muzyka, programy i sprzęt komputerowy, jej obrazy, wszystkie były spiętrzone w podobnie zamulonych pokładach pokoleń technologicznych, z najnowszymi rzeczami na górze lub na zewnątrz, i wszystkim aż do CD i PC i nawet, na jakimś poziomie prekambryjskim, winylem, w warstwach niżej. Miała, w opasce, dostęp do dowolnego krajobrazu na Ziemi lub poza nią, ale ciągle miała plakaty na ścianach.

Kiedyś, te plakaty zawierały głównie stare reklamy z eksportu MRRNT. A ostatnimi latami, jeden po drugim, przyklejone ujęcia startów rakiet, rakiet czy eksplozji były zrywane w chwilach wstydu i furii, pogniecione i wyrzucone, a potem zastąpione krajobrazami kazachskiej natury i tradycji. Góry i łąki, jeźdźcy i chłopci, tancerze w wyszywanych kostiumach, cała orientalna Szwajcaria atrakcji turystycznych. Kazachstan radził sobie, nawet dzisiaj. Odszedł od zanieczyszczającego, katastroficznego przemysłu ery sowieckiej i wydobywczej monokultury, wykorzystał prerie do bardziej produktywnej i naturalnej hodowli bydła. Kazachscy jeźdźcy znowu byli w siodle.

Myra odchyliła się i rozciągnęła. Była prawie północ. Wypiła znacznie za dużo. Jej kilka godzin w barze z Walentyną poprzedzały godzinę lub dwie picia samemu. Była tak pijana, że była przejrzysta, „czmychająca”, jak zwykł nazywać to Dave. Lub możliwe, że trzeźwiała, gładko i stopniowo, i była w stanie, gdzie powtarzalne

aplikacje klinów odraczały nieuniknione uderzenie kaca. Jednak pijana czy trzeźwa, z lub bez sprzecznego uzasadnienia Reida, musiała działać. Musiała skontaktować się z Międzynarodówką.

Były dwie Międzynarodówki („dla wielkich wartości dwójki”, jak określił to Reid, nawiązując do licznych podziałów): Druga i Czwarta. Kiedy większość ludzi mówiła o *Międzynarodówce*, myślała o drugiej, następcy tej, która sama się rozdarła w 1914 roku i boleśnie przyłączyła swoje odcięte kończyny w trakcie trzech wojen światowych, pięć światowych krachów i jednej udanej światowej rewolucji. Nawet dzisiaj była solidna: partie stowarzyszone z Socjalistyczną Międzynarodówką, związki zawodowe, spółdzielnie i milicje ciągle skupiały członków idących w dziesiątki milionów.

To, co Myra miała na myśli, i Walentyna czy Georgi, mówiąc o *Międzynarodówce* było mniej imponującą instytucją, pozostałością części, większość z niej włączona do wielkiego ciała Drugiej, odłamek powoli poruszający się w żyłach tamtej. Członkostwo w Czwartej Międzynarodówce liczyło tylko tysiące, rozrzucone po świecie, i jak Walentyna przypominała jej, poza światem, dzięki pionierskim wysiłkom w uzwiązkowaniu platform kosmicznych jeszcze latach dwudziestych dwudziestego pierwszego wieku. Była to teraz prawie bezczynna, wątpła sieć starych towarzyszy, którzy nie potrafili się pożegnać ze sobą, lub z marzeniami z żarliwych dni młodości.

Radykalne sekty Rewolucji Angielskiej, Muggletonianie i Cameronianie, Ludzie Piątego Monarchy przetrwali jako malejące, marginesowe kongregacje przez wieki po tym, gdy ich Królestwo nie przyszło. Tak byłoby, myślała Myra, dla dawnych partyzantów Czwartej. Wiedziała to, ale ciągle płaciła składki.

Teraz nadszedł czas otrzymać coś w zamian. Na początek, mogłaby ustalić, co jej towarzysze zrobili z bombami jądrowymi jej kraju.

Myra leciała przez przestrzeń wirtualną, pijana napędem danych. „New View” unosił się przed nią, jego obraz wypełniający pole opaski. Habitat był rodzajem orbitalnej komuny – światowego socjalizmu, w bardzo małym świecie – który był zorganizowany przez lewe skrzydło Ruchu Kosmicznego, wtedy, gdy takie idee wydawały się mieć znaczenie. Siatka pokazywała, że ma setki metrów w poprzek, okrągły przyrost habitatów, uratowanych zbiorników paliwa, kanibalizowanych statków kosmicznych. Sięgnęła i obróciła to dłońmi w datarękawiczkach, lekko rozbawiona chłodną, kolczastą odpowiedzią w palcach i spojrzała na małe druki adresów na kadłubie, póki nie znalazła imienia, którego szukała.

Logan, czy imię, czy nazwisko, prawdziwe imię, czy partyjne nie wiedziała, nigdy nie słyszała go nazywanego inaczej. Oto i było, napisane na panelu kadłuba z ciężkiego dopalacza starego SSTO<sup>2</sup> McDonnell Douglasa. Stuknęła w to i widok się przybliżył, pokazując okno z wyglądającą twarzą mężczyzny. To był ujmująco trafny interfejs. Myra wbiła kody powitalny i twarz w oknie odpowiedziała.

– Och, cześć? Myra Godwin? Chwilę proszę. – Sobowtór zamigotał i prawdziwa twarz Logana, subtelnie inna, płynnie się pojawiła, wycofując się, gdy ikona okna rozszerzyła się do widoku wewnątrz rzeczywistego bezokiennego pokoju.

Kajuta była oświetlona pełnym spektrum światła, jarzące się tuby jak wały słońca pomiędzy splecionymi winoroślami, gałęziami, kablami i rurami. Logan unosił się w centrum pokoju. Jego przycięte białe włosy pasowały do białego zarostu. Miał na sobie zblakły niebieski podkoszulek i workowate spodnie. Na czole miał opaskę

---

<sup>2</sup> Single Stage to Orbit – pojazd, który dociera na orbitę z powierzchni, używając jedynie zabranego paliwa bez utraty zbiorników, silników lub dopalaczy, zwykle są to pojazdy wielokrotnego użytku, por. <https://en.wikipedia.org/wiki/Single-stage-to-orbit> – przyp.tłum.

z narzędziami, na której były zamontowane lupa i światło. Standardowa opaska była pchnięta wyżej na czole. Był zgięty wokół otwartej pokrywy panelu sterowania, który trzymał pomiędzy stopami i pracował na nim z ręcznym laserem i zestawem śrubokrętów jubilerskich.

Odsunął lupę znad oka i uśmiechnął się do niej.

– Cóż, Myra, dawno się nie widzieliśmy. – Ciągłe miał londyński akcent pokryty przeciąganiem osadników kosmicznych. Jego kosmiczna frakcja wyłowiła wielu ludzi, których ona i Georgi znali w Kazachstanie, twardych bojowców związków zawodowych skrwa-wionych w latach Nazarbajewa.

– Ta, też za Tobą tęskniłam, Logan. Jak życie na New View?

Logan wskazał jedną ręką, automatycznie wykonując kompen-sujący ruch drugą.

– Ok. Prawie mamy kompletną liczbę populacji, prawie tysiąc ostatnim razem, gdy sprawdzałem. Jednak żyjemy dobrze, mamy dużo produktów i umiejętności, których potrzebują biali osadnicy. A stary projekt Marsa się telepie.

– Ciągłe *to* robicie?

Logan podniósł kciuk.

– Przygotowujemy ekspedycję, krok po kroku. Nie mamy intencji kręcenia się tutaj na zawsze, w każdym razie nie z białymi osadnikami obstawiającymi Księżyc. Nikt nawet nie jest naukowo zainteresowany Marsem, szczególnie gdy wyszła ta sprawa ze ska-żeniem.

Myra skinęła głową ponuro. Zdecydowanie było to rozczarowa-nie, że Mars ma całą biosferę pracowicie ewoluujących mikroor-ganizmów, pochodzenia niedawnego. W latach siedemdziesiątych Sowietów z dumą złożyli kartkę papieru podpisaną przez Leonida Breżniewa na Czerwonej Planecie, która teraz była bardzo powoli



terraformowana przez potomków bakterii z potu Sekretarza Generalnego.

– Więc będziemy próbować – kontynuował Logan. – Za jakiś czas w ciągu następnych kilku lat, wyprowadzamy się.

– Zamierzacie zabrać *New View*? – Myra uśmiechnęła się do Logana i z siebie, na razie każde pytanie kończyło się pełnym zaskoczeniem.

– Minus kilkaset ton rzeczy, których nie będziemy potrzebować, ale właściwie, tak. Wypełnić ją, hm, wypełnić kilka zbiorników, wodą z biegunów Księżyca, kupić silnik termojądrowy od białych osadników i odepchnąć się z orbity Hohmanna<sup>3</sup>. Mamy dostatecznie dużo starych pojazdów przywiązanych do tego stosu śmieci, żeby zbudować lądowniki, a potem habitaty na powierzchni.

– Widzę, że wszystko sobie opracowaliście – powiedziała Myra. – Cóż, powodzenia z tym. – Projekt kolonii marsjańskiej był w toku. Już Wkrótce, w planach Logan tak długo, jak go znała.

– Jednakże, mam pilne zapytanie. Ci biali osadnicy, o których mówisz, nie są przez przypadek ludźmi, na których zarobiłam fortunę, wsadzając ich na szczyty Protonów<sup>4</sup> i Energii<sup>5</sup> i wysyłając ich tam?

– To ci sami – powiedział Logan. – I mnóstwo nowych wychodzi

---

<sup>3</sup> manewr ekonomicznej zmiany orbity kołowej statku kosmicznego na wyższą lub niższą, przez dwukrotne użycie silników, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Manewr\\_transferowy\\_Hohmanna](https://pl.wikipedia.org/wiki/Manewr_transferowy_Hohmanna) – przyp.tłum.

<sup>4</sup> rosyjska rakieta nośna, po raz pierwszy zastosowana w 1965 roku, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Proton\\_\(rakieta\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Proton_(rakieta)) – przyp.tłum

<sup>5</sup> największa radziecką rakieta nośną, budowana i testowana w II połowie lat osiemdziesiątych, zdolna wynieść na orbitę ładunek o masie około 100 ton, czy też wysłać ładunek o masie 32 ton w drogę na Księżyc, więcej [https://pl.wikipedia.org/wiki/Energia\\_\(rakieta\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Energia_(rakieta)) – przyp.tłum.

z diamentowych statków, oczywiście. – Roześmiał się. – Kolonialna burżuazja!

– Dobra, jakkolwiek ich chcesz nazywać – powiedziała Myra – wiesz, że planują przejąć władzę przez ReONZ i stacje orbitalne?

– Och, pewnie – powiedział Logan. – Wszyscy to wiedzą. – Wzruszył ramionami. – Co możemy zrobić? I tak czy inaczej, jaka to będzie dla nas różnica? – Uruchomił swój mały laser. – Jesteśmy bezpieczni.

– Nie, nie jesteście – powiedziała Myra. Rzuciła wzrokiem do góry, sprawdzając firewall. Był włączony. – Właśnie się dowiedziałam, od mojego Ministra Obrony, że *mamy* stos „niszczycieli miast” gdzieś pochowanych w bałaganie wokół Ciebie.

– Czy to problem? – spytał Logan. – Z pewnością to najlepsze dla nich miejsce.

Musiała docenić jego spokój.

– Jakoś nie sądzę, że to dlatego Międzynarodówka prosiła, żeby je tam umieścić.

– Ach – powiedział Logan. – Więcej o tym wiesz.

– Ta – powiedziała Myra. – Wielkie dzięki za „niepowiedzenie” mi.

Logan wymamrotał coś całkowicie przewidywalnie o „minimum wiedzy”. Myra przerwała jego tłumaczenia ostrym cięciem dłoni.

– Daj mi kurwa spokój – powiedziała, zirytowana. – Tyle mogę sama się domyślić. Atomówki są elementem sytuacji, ale teraz nie są moim głównym problemem. Po prostu pomyślałam, że dam ci znać, że wiem o nich, z tych samych powodów, dla których powinienś mi powiedzieć: ze względu na grzeczność, jeżeli nic więcej. Ok?

– Cóż, tak, ok – zgodził się Logan, niechętnie. – Więcej co jest Twoim głównym problemem?

– Zastanawiałam się – powiedziała Myra – czy je przechwyliłeś, ponieważ zamierzałeś coś zrobić z zamachem. Jak, na przykład, zatrzymać go.

Logan się roześmiał.

– Ja sam?

– Nie. Międzynarodówka. I nie mów mi, że Ty *osobiście* jesteś jedynym członkiem, który jest tam w górze.

– Och, nie, ani trochę. – Logan spojrział na nią, w oczywisty sposób zdziwiony. – Mamy wielu towarzyszy, mam na myśli, New View jest praktycznie nasze, ale minęło dużo czasu, od kiedy Partia miała armię, Myra, wiesz to tak samo, jak i ja. Mamy organizację bojową<sup>6</sup>, ale to tylko... mały aktyw.

– Oczywiście, że wiem o tym. Jednak również wiem *do czego* jest mały zespół bojowy. Jest po to, że kiedy potrzebujesz armii, możesz zwerbować żołnierzy z *innych* armii. Chcesz mi powiedzieć, że frakcja kosmiczna nie wykonała żadnej pracy partyjnej na stacjach orbitalnych? Przez te lata?

Logan wyglądał niekomfortowo.

– Nie do końca, nie, nie mówię tego. Mamy... cóż, naturalnie mamy sympatyków, otrzymujemy raporty...

– Tak jak i my – powiedziała. – Niektóre z nich od tych samych towarzyszy co wy. – Nie była całkowicie pewna tego „minimum wiedzy”, ale to dałoby mu do pomyślenia. – Kto właściwie wie o atomówkach?

– Walentyna Kozłowa – powiedział Logan. – I Twój eksmaż,

---

<sup>6</sup> w oryg. military org, w historii partii w Polsce znane są organizacje bojowe, zajmujące się np. ochroną demonstracji lub przygotowaniem czynów zbrojnych, stąd tłumaczenie, por. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Organizacja\\_Bojowa\\_Polskiej\\_Partii\\_Socjalistycznej](https://pl.wikipedia.org/wiki/Organizacja_Bojowa_Polskiej_Partii_Socjalistycznej) czy [https://pl.wikipedia.org/wiki/Grupa\\_Rewolucjonist%C3%B3w\\_M%C5%9Bcicieli](https://pl.wikipedia.org/wiki/Grupa_Rewolucjonist%C3%B3w_M%C5%9Bcicieli) – przyp.tłum.

Georgi Dawidow. – Jeżeli Logan zauważył mimowolne drgnięcie Myry na te wieści, nie dał po sobie poznać. – I oczywiście ja. To wszystkim. Jedyni ludzie, którzy wiedzą. Chyba że był przeciek.

– Hmm – powiedziała Myra. – Reid wydaje się nie wiedzieć o nich, wiedział, że mamy broń jądrową w kosmosie, ale myśli, że wszystkie są na orbicie Ziemi. – Przerwała. – Kurwa, poczekaj chwilę. Jeżeli jesteś jedyną osobą tam, która wie o nich, zatem prośba od Partii kilka lat temu była w rzeczywistości prośbą od Ciebie. Ciebie, osobiście.

– Cóż, tak – powiedział Logan. Wcale mu to nie przeszkadzało. – W moim zakresie obowiązków jako sekretarza partii Frakcji Kosmicznej.

– Wzięłeś na siebie zrobienie *tego*? Co, do kurwy, miałeś w *głowie*? – Boże, pomyślała, znowu niedowierzająco piszcze. Dodała, równym, spokojnym głosem: – Poza tym, kto dał ci prawo ingerować w moją sekcję, i państwo mojej sekcji?

Logan poruszył się jak ktoś poruszający się niekomfortowo w niewidzialnym krześle.

– Miałem ważne instrukcje. Od organizacji bojowej.

– Ach! Wiec *jest* ktoś jeszcze, kto o tym wie!

– Nie jako taki – powiedział Logan. – Organizacja bojowa jest... – Zawahał się.

– Jak mówisz, małym aktywem? – podpowiedziała Myra.

– W pewnym sensie – powiedział Logan. Spojrzał, jakby zbierał się do przyznania. – To AI, sztuczna inteligencja.

Myra poczuła jej plecy uderzające w oparcie krzesła, dosłownie była odrzucona tą informacją. Wzięła głęboki wdech.

– Podsumujmy to jeszcze raz, dobrze? Powiesz mi, czy dobrze to zrozumiałam. Dwa lata temu, na stulecie Sputnika, Wala otrzymuje wiadomość od Ciebie, z prośbą o część naszych zachowanych

atomówek. To uzasadniony wniosek Partii, zatem decyduje, że nie muszę wiedzieć i beztrako wykonuje. A powodem, dlaczego to się zdarzyło, to ponieważ Ty dostałeś żądanie od jebanego komputera?

– Wojskowego systemu eksperckiego – powiedział pedantycznie Logan. – Ale tak, to mniej więcej podsumowuje.

Myra po omacku znalazła papierosa, zapaliła go roztrzęsiona.

– I jak długo Czwarta Międzynarodówka przyjmuje wojskowe rady od AI?

Logan wykonał jakieś obliczenia w umyśle.

– Około czterdzieści lat – powiedział.

To nie była wielka tajemnica, dowiedziała się Myra. Jedną z tych rzeczy, których nigdy nie musiała wiedzieć. AI powstała jako ekonomiczny i logistyczny system planowania opracowany przez trockistowskiego inżyniera oprogramowania w Brytyjskiej Partii Pracy. Ten mechanizm logistyczny został użyty przez Zjednoczoną Republikę Wielkiej Brytanii i odziedziczony przez samozwańczego następcę, podziemną Armię Nowej Republiki, kiedy Brytania została zajęta, a monarchia przywrócona, przez Jankesów w Trzeciej Wojnie Światowej. AI otrzymała znaczące aktualizacje, nie wszystkie zamierzone, podczas dwudziestu lat wojny partyzanckiej, które nastąpiły, i odegrała dyskusyjną rolę w narodowym powstaniu Brytyjczyków podczas Jesiennej Rewolucji 2045 roku. Główne programy zostały przeszmulowane w kosmos przez uciekinierów z konsolidacji Nowej Republiki po zwycięstwie. Od tego czasu AI rozwijała swoje możliwości i działania.

– Większość ludzi nazywa to Generałem – powiedział jej Logan. – Bez kłopotu bije Turinga.

– Ale co robi? – spytała Myra. – Jeżeli to taki super doradca, dlaczego nie wygrywamy?

– Zależy, co masz na myśli, mówiąc „my” – powiedział Logan.  
– I co to jest „wygrywanie”?

Myra, zdała sobie sprawę, nie miała na to odpowiedzi. Może doradca AI uczył się z prac *Analysis* i zgodził się, że sytuacja jest beznadziejna.

Logan patrzył na nią ze współczującą ciekawością, rodzajem odwróconego lustrzanego wrogiego zakłopotania, które kierowała w jego stronę. Musiał stać się tam tubylcem. Przyzwyczał się do tej sytuacji i tego stylu pracy przez dekady i zapomniał o zwykłych umiejętnościach nawet wobec swoich teoretycznie towarzyszy.

– Tak czy inaczej – mówił – możesz sama tego zapytać. – Stuknął, w roztargnieniu, w panel sterowania pomiędzy stopami, spojrzął, powiedział:

– Łączę.

Zanim Myra mogła chociażby otworzyć usta, Logan zniknął i został zastąpiony przez wojskową AI. Wyobrażała sobie takie, od kiedy Logan po raz pierwszy wspomniał o tym: coś w rodzaju oprogramowania *Jane's*, VR linii i światła. W najlepszym przypadku symulowany automat jak Parvus.

AI była młodym mężczyzną w poplamionym potem kamuflażu na skale na polanie lesie klimatu umiarkowanego: porosty, kora brzoza, dźwięk wody, trele ptasie, cienie liści, wstęgi dymu drzewnego. Wyglądało, jakby tam się zatrzymał, może zastanawiając się nad założeniem obozu. Mężczyzna wyglądał niczym commandante, długie, faliste czarne włosy, czarna broda i ciemne oczy rzucały coś z uroku Guevary, arogancji Trockiego. Przypominał równie, niepokojąco, Georgiego, wystarczająco, żeby podejrzewała, że obraz był dopasowany do jej osobowości, że był precyzyjnie dostrojony, żeby przekazać jej przytłaczające wrażenie obecności, charyzmy.

– Cześć – powiedział. – Od dawna chciałem cię poznać Myro.

Rozłożyła ręce.

– Mogłeś zadzwonić.

– Bez wątpienia tak bym zrobił, już wkrótce. – Byt się uśmiechnął. – Wolę, żeby ludzie przychodzili do mnie. Unikamy kolejnych nieporozumień. Tak czy inaczej, rozumiem, że masz dwie sprawy: atomówki w Lagrange i zamach Ruchu Kosmicznego. Co do pierwszego, broń jądrowa ciągle jest pod Twoją kontrolą. Twój minister obrony nadal ma kody dostępu. Zażądałem, żeby sama broń była przesunięta tutaj dla bezpieczeństwa. – Wzruszył ramionami i znowu się uśmiechnął. – Są Twoje. Tak jak broń na orbicie Ziemi, która jest, oczywiście, łatwiej dostępna i użyteczna. To prowadzi mnie do Twojej drugiej troski, zamachu. Jest nieuchronny.

– Jak nieuchronny?

– W ciągu następnych kilku dni. Przepchnęli głosowanie o reorganizacji ReONZ i nowa Rada Bezpieczeństwa wyda rozkaz zajęcia stacji orbitalnych. Mają siły, żeby to zrobić.

Przerwał, patrząc na nią, albo przez nią.

– Ale my mamy siły, żeby ich powstrzymać. Mogę Cię zapewnić, Myro, wszystko pod kontrolą.

Potrząsnęła głową.

– To nie to, co mój wywiad wskazuje. Sprawdziłam, moje ministerstwa obrony i spraw zagranicznych sprawdziły. Mamy agentów na stacjach orbitalnych, jak zapewne wiesz, kurde, niektórzy z nich muszą być w Twojej organizacji bojowej. *Jeżeli* taka rzecz istnieje. – Żałowała, że nie czytała tej poczty.

– Z całą pewnością istnieje – powiedział stanowczo Generał. – I przekazywała ci dezinformację.

– Co?

Byt wstał i ruszył ku niej w swojej wirtualnej przestrzeni. Rozło-

żył ręce i przyjął przeproszającą minę, ale z lekkim konspiracyjnym blaskiem w oczach.

– Wybaczcie mi, towarzyszeko Dawidowa. Nie robiliśmy tego przeciwko Tobie. Robiliśmy to przeciw naszemu wspólnemu wrogowi: faksji Reida w Ruchu Kosmicznym.

– Jak... – zaczęła, ale zrozumiała, zrozumiała.

– Mówię Ci teraz – powiedział Generał – ponieważ dzisiaj straciłaś ostatniego niełojalnego komisarza. Aleksander Sherman od miesięcy przekazywał informacje Reidowi. Nie był pierwszy, ale był ostatni.

– Kim byli inni?

Generał poruszył dłońmi w uspokajającym geście.

– Nie mogę ci powiedzieć bez zagrożenia obecnych operacji. Zresztą ta szczególna informacja nie ma dla Ciebie użytku.

– Zdaje się, że nie. – Myra zgodziła się niechętnie. Chciałaby wiedzieć kim byli zdrajcy, mimo wszystko. Miała nadzieję, że Tatiana i Michael nie byli nimi. Całkiem polubiła tę dwójkę...

– Zatem użyłeś ich, i *nas*, jako kanału dezinformacji?

Generał skinął głową.

– A co do informacji zwrotnych, Twoje aktualizacje w *Jane's* były bardzo pomocne.

– Jezu. – Jej reakcje na to były interesująco skomplikowane, pomyślała odległe. Z jednej strony czuła rozdrażnienie, że była użyta, że jej kłamano. Z drugiej, potrafiła docenić scenografię podstępu. Ponad tym czuła ulgę, że ponure negatywne oceny, którymi się martwiła, były wszystkie błędne.

Póki sytuacja nie była jeszcze *gorsza* niż sądziła...

– Zdecydowanie sytuacja jest lepsza, niż sądzisz – powiedział Generał. – Mamy naszych ludzi na miejscu, stacje orbitalne mogą



być przejęte bez walki, którą w większości przypadków oczekujemy, że wygramy.

– *Większość przypadków* nie jest wystarczająca. Nawet jedna stacja. . .

– Dokładnie. Czyli gdzie wchodzi w grę Twoja broń orbitalna. Lasery, ładunki EMP, inteligentne kamyki, myśliwce, bronie energii kinetycznej. . .

Myra nie wiedziała, że jej arsenał był tak rozległy. (Boże, pomyśleć, że te zapasy kiedyś należały do papieża! Cóż, do Gwardii Szwajcarskiej, tak czy inaczej, całkiem możliwe, że Jego Świątobliwość został dyskretnie pominięty w tej sprawie). Zadrzała w szalu, poprawiła na ramionach, zapaliła kolejnego papierosa. Nie wiedziała, co powiedzieć. Czuła, że jej policzki płoną pod narastająco zagadkowym spojrzeniem Generała.

– Co chcesz, żebyśmy z nimi zrobili? – spytała w końcu.

– Jestem pewne, że możesz się domyślić – odparł. – Będę w kontakcie.

– Ale. . .

Uśmiechnął się do niej, boleśnie, szatańsko.

– Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy – powiedział. Sięgnął dłonią i wykonał drobne poprawki w powietrzu. Łącze zgasło.

Myra zdjęła opaskę i potarła oczy. Potem niepewnie poszła do kuchni i zrobiła herbaty, usiadła, pijąc, paląc przez około kwadrans, patrząc bezmyślnie na wirtualne przestrzenie w głowie. Wydawało jej się, że powinna coś zrobić, powiedzieć komuś, ale nie potrafiła pomyśleć co robić, lub komu powiedzieć.

Jutro będzie czas, zdecydowała.

Jej sypialnia była mała, kilka metrów luzu po trzech stronach podwójnego łóżka dawało ledwie miejsce na garderobę i toaletkę. Przez lata pokój zgromadził przytłaczający opad miękkich mebli,

robótek ręcznych i ozdób. Ładne rzeczy, które kupiła pod wpływem impulsu i nigdy nie miała serca ich wyrzucić. Proces naturalnej selekcji dla żenująco dużej kolekcji babcinego nieładu. Od czasu do czasu, jak teraz, wściekała się na tę rozbieżność z resztą jej życia, jej stylem, jej postawą. A potem, po refleksji, zrozumiała, że bezsensowność wyglądu pokoju była tym, co sprawiało, że było to miejsce, gdzie mogła zapomnieć o troskach i spać.

Rano to wydawało się snem.

Tym bardziej, Myra zrozumiała, gdy walczyła ze świadomością przez warstwy snu, kaca i splątanej, wilgotnej od potu pościeli, że *śniła* o Generale. Czuła się niejasno tym zawstydzona, zażenowana przed sobą budzącą się, nie dlatego, że sen był erotyczny – choć był – ale dlatego, że był zakochany, oddany, *szulalczy*, jak te sny, które Brytole zwykli mieć o Rodzinie Królewskiej. Usiadła w łóżku i położyła poduszkę, oparła się i próbowała pomyśleć o tym racjonalnie.

Byt, wojskowa AI, mógł mieć, Bóg jeden wie, ile pokoleń software'u, by wyewoluować intymną znajomość ludzkości. Miał czas, żeby stać się tym, co Japończycy nazywali *idoru*, przedstawienie softwarowe, które było lepsze niż rzeczywistość, mądrzejsze i bardziej seksowne niż jakikolwiek potencjalny umysł lub forma ludzka mogłyby być, jak te wielkookie, fałszywie niewinne bachory anime lub symulowane gwiazdy pornografii i romansu. Seks nie był tego połową, były inne kody, inne klucze, w semiotyce uroku: subtelna sugestia mądrości, przypadkowa wskazówka możliwości przemocy, założona gotowość do rządzenia, lustrzane spojrzenie empatii. Wszystkie te elementy, które tworzyły obraz mężczyzny, za którego mężczyźni by umierali, a w którym kobiety by się zakochiwały.

Zatem, powiedziała sobie, nie była takim żalonym przypadkiem, jednak. Zdarza się najlepszym z nas. Gdy sięgnęła po zestaw medyczny i wycisnęła tabletki na kaca, przyłapała się na uśmiechu

na wspomnienie uśmiechającego się Generała. Znowu sobą zirytowana, wstała z łóżka i podreptała do kuchni w puszystych klapkach i pidżamie, łyknęła zimnej wody, kiedy kawa się sączyła. Dodała tabletkę PoprawNastrój do jej dawki Rozum i codziennego spożycia suplementów przed starzeniem, i połknęła je naraz. Poczuła się lepiej.

Była godzina ósma. Założyła kontakty i spojrzała na kafelek z telewizją, oglądała, gdy jadła muesli i jogurt, słuchając mamrotanej, porannej odprawy Parvusa. Wiadomości, jak zwykle, były złe, ale nie bardziej niż zwykle. Żadnej muzyki wojskowej czy baletu na wszystkich kanałach, to liczyło się jako dobre wiadomości. Po kawie i papierosie, czuła się prawie jak człowiek. Wydawało jej się, że mogła równie dobrze wstać i pójść do pracy.

Spacer do budynku rządowego obudził ją jeszcze bardziej, podniósł jej nastrój lepiej niż tabletki. Powietrze było rześkie, poranne niebo niespodziewanie kolorowe, czerwone, pomarańczowe i żółte przechodzące w zieleń na horyzoncie. Zauważyła, że ludzie patrzą w niebo.

Jego kolory zmieniały się wyraźnie, płynąc, nagle zrozumiała, że patrzy na zorzę polarną, tysiące kilometrów na południe od miejsca, gdzie mogła być obserwowana. Gdy zatrzymała się i spojrzała, z otwartymi ustami, niebo pojaśniało na kilka sekund od jakiegoś wielkiego doświetlenia poniżej horyzontu.

Pobiegła. Pobiegła sprintem ulicami, wtargnęła przez drzwi, krzyknęła na ochronę i wbiegła na schody. Gdy wkraczała do biura, jej słuchawka piknęła i bełkot metalicznych głosów rywalizował o jej uwagę. Usiadła ciężko na krawędzi biurka i opuściła opaskę, włączyła wiadomości.

Czołgi ruszyły, na całym świecie.

Bez spuszczenia oczu z kanałów informacyjnych, Myra wsunęła

się za biurko i usiadła w fotelu. Wstukwała komendy na klawiaturach w podłokietnikach, przekształcając ściany biura w ekrany dla awaryjnego centrum dowodzenia. Pierwszą rzeczą, którą zrobiła, było zabezpieczenie budynku. Potem uderzyła przycisk nadzwyczajnego zebrania dla SowNarKomu. Rzucone sobowtóry Andrieja, Denisa i Walentyny stanęły na baczność na ekranach. Czy ich fizyczne ciała były w biurach, w drodze do nich lub ciągle w łóżkach nie miało znaczenia, o ile ich opaski były online.

Myra rozejrzała się po ich wirtualnych obecnościach.

– Ok, towarzysze, to wielka sprawa – powiedziała. – Pierwsze, wszystko jasne u nas?

Było mało prawdopodobne, by małe siły Milicji Robotniczej i jeszcze mniejsza Armia Ludowa MRRNT dołączyły do zamachu, ale nieprawdopodobne rzeczy zdarzały się już przed jej oczami co kilka sekund. (Nowy Jork – Nocny desant na South Street Seaport! Waszyngton – Czołgi na Pennsylvania Avenue! Londyn – Śmigłowce szturmowe ostrzeliwują Westminster Bridge!).

– Jesteśmy solidni – powiedział Denis. Nawet jego sobowtór wyglądał na wyczerpanego i na kacu. – Tak jak Kazachstan, trzymają się z dala od tego. Oczywiście, armia w gotowości. Kosmodrom w Bajkonurze jest pod kontrolą rządu. Tak jak pas startowy „Jubileiny”<sup>7</sup>. Ałma-Ata zmobilizowana, milicja na ulicach, ale są lojalni.

Masz nadzieję, pomyślała Myra. Fajną rzeczą o zamachu wojskowym było to, że mobilizacja przeciwko niemu mogła całkiem łatwo stać się *częścią* niego, gdy łańcuch dowodzenia wykręcał się, łamał i ponownie łączył.

---

<sup>7</sup> lotnisko wybudowane na potrzeby obsługi radzieckiego promu Buran, zob. [https://en.wikipedia.org/wiki/Yubileyniy\\_Airport](https://en.wikipedia.org/wiki/Yubileyniy_Airport) – przyp.tłum.

– Dobrze, wspaniale. Front północno-wschodni? Wala, żyjesz?  
– Tak, jestem z wami. Na razie żadnych ruchów ze strony Szynosowietów. – Walentyna wkleiła łącze satelitarne, aktualizowane co sekundę, step był nieruchomy.

– Co z Ochroną Wzajemną?

– Nie ruszyli się z obozu, a obóz jest cichy.

Myra trochę się rozluźniła.

– Wygląda na to, że nasze najbliższe otoczenie jest bezpieczne. Cokolwiek z orbity, Walu?

Walentyna pokręciła głową.

– Łączność jest słaba, nie można odebrać niczego spójnego z osad, fabryk czy stacji orbitalnych. . .

– To niemożliwe! – Pomyślała o tym, w jaki sposób mogło to być możliwe. – O mój Boże, niebo. . .

– Około dziesięć minut temu – zawiadomił Andriej z jakiegoś szklanego transu – ktoś zdetonował broń jądrową w warstwie Kennelly-Heaviside<sup>8</sup>. Około dziesięciu wybuchów, niedużo impulsów elektromagnetycznych, ale na tyle dużo oraz naładowanych cząsteczek, że przez kilka godzin zakłócały sygnały radiowe.

– Więc jak w ogóle dostajemy wiadomości? – spytała się Myra.

– Kabel – powiedział Andriej. – Łącza światłowodowe nie zostały dotknięte. I część spraw dostajemy przez lasery, oczywiście, jak łącze z satelity szpiegowskiego Wali. Powinno się zwiększyć, jak ludzie się przełączają lub zaimprovizują. Jednak na tę chwilę to kurz w oczach u wszystkich.

– Nie wiedziałem, że Ruch Kosmiczny miał atomówki na orbicie – powiedział Denis. – W istocie, nie wiedziałem, że ktokolwiek ma *jakieś* konkretne atomówki.

---

<sup>8</sup> jonosfera 90-120 km na powierzchnię, zob [https://en.wikipedia.org/wiki/Kennelly%E2%80%93Heaviside\\_layer](https://en.wikipedia.org/wiki/Kennelly%E2%80%93Heaviside_layer) – przyp.tlum.

To miało sens. Rozbrojenie jądrowe było jedyną powszechnie popularną, i (prawie) powszechnie udaną, polityką USA/ONZ po Trzeciej Wojnie Światowej. Nawet Myra, w tamtym czasie, nie oburzała się, ani nie żałowała, konfiskaty kompletu MRRNT, wraz z całą resztą. Tylko przez czysty przypadek przetrwały niezależne zapasy, w rękach politycznie nietykalnych instytucji, które liczyły zwolenników w miliardach, wiek w mileniach, a linie polityczną w wiekach. Reszta strategicznych broni atomowych została zdemontowana. Nadal istniały tysiące taktycznych atomówek, oczywiście, ale nikt się nigdy o *nie* nie martwił: konsekwencje ich użycia nigdy nie były pokazywane na żywo w telewizji.

(Obrazy przeleciały znowu w jej głowie i nazwy miast: Kijów, Frankfurt, Berlin. Potrząsnęła głową, odgraniczając się).

Walentyna patrzyła na nią twardo.

– To nie były *nasze*, co?

– Nie, o ile mi wiadomo – powiedziała Myra. – Chyba że zdarzyło Ci się przekazać komuś kody dostępowe?

Walentyna pokręciła głową, zaciśnięte usta.

– Nie. Nigdy.

– Dobra, to tyle z tej teorii – powiedział Myra rażno, żeby zapewnić Walę, że nie była podejrzana. – Andriej, jakieś pomysły?

– Wybaczcie mi – powiedział Andriej. – Ciągłe próbuję wejść przez frontowe drzwi.

– O kurwa! – Myra wbiła kod, żeby go wpuścić.

– Dzięki... Ok, myślę, że atomówki były ze strony ONZ, przeciwno zamachowi.

– A skąd oni je wzięli?

– Myślę, że ONZ zatrzymała jakieś atomówki dla siebie, tajemnica, która była utrzymywana w wewnętrznej kadrze biurokratów,

która przetrwała Rewolucję i czystki, a które oddali do dyspozycji obecnego Sekretarza Generalnego.

– Wydaje się, że to ma sens – powiedział Denis. – Też bym tak zrobił.

– Jaka jest za tym polityka, Andriej? – spytała Myra. – Byliśmy tak pewni, że poczekają na głosowanie ReONZ... – Przerwała i się roześmiała. Sam Trocki skorzystał z takiego fortelu. – Zrobić zamach przed głosowaniem, zastanawiam się, skąd wzięli idee. Jednak, to raczej podważa odwołanie się do prawowitości.

Ciągle obserwowała jednym okiem na ekranach wirtualnych wiadomości kablowych.

– Och, czekajcie, coś się pojawiło...

Siedzieli w ciszy, gdy prezydent odczytał komunikat dużej grupy małych rządów nazywających się Sojuszem Większości Zgromadzenia. Sensem komunikatu było to, że obecna Rada Bezpieczeństwa naruszyła zmienioną „Kartę 2046 roku” planowaniem użycia broni jądrowej w kosmosie, oraz zawierała wezwanie do natychmiastowych działań, by usunąć konspiratorów i samozwańców. Siły rządów Sojuszu i Ochrony Wzajemnej oferowały natychmiastową, skoordynowaną akcję w tym celu. Przewidywane było szybkie rozwiązanie stanu nadzwyczajnego. Wzywano populację do zachowania spokoju i pozostania w domach przez dzień.

– Boże, to jest tak cyniczne – powiedziała Wala. – Musieli mieć dziesiątki antydatowanych oświadczeń, przygotowanych na wszelki wypadek, tak, żeby mogli twierdzić, że działają, by zapobiec cemukolwiek, co planowana Rada Bezpieczeństwa.

– Tak, tak – powiedziała Myra. – Wszystkie standardowe procedury dla zamachu. Oraz dywersja, w każdym razie. To w kosmosie odbywają się prawdziwe bitwy. Może właśnie w tej chwili!

Wszystko zostanie określone z prędkością światła. Chodźcie, przejdźmy w tryb poleceń.

Pozostali pokiwali, ucichli, odwrócili się do ekranów i zaczęli wyciągać wszystkie dostępne dane i uruchamiać na nich oprogramowanie analityczne. Po minucie lub dwóch, zaczęli zazębiać się jako zespół w ich wspólnej, wirtualnej przestrzeni roboczej. Informacje błyskały tam i z powrotem pomiędzy ich osobistymi sieciami, siecią rządową, systemem *Jane's*, kanałami informacyjnymi i raportami terenowymi od ich własnych żołnierzy i agentów.

Zaczynał się ukazywać duży obraz, choć ujawniana sytuacja była chaotyczna. Myra przeskakiwała przez większość ważnych stolic: Pekin, Pjongjang, Tokio, Władywostok, Seattle, Los Angeles, Waszyngton DC, Nowy Jork, Londyn, Paryż, Nowy Berlin, Gdańsk, Moskwa. Wszystkie zgłaszały różnego rodzaju ataki wojskowe, ale wszystkie miały wygląd *puczy*, krótkoterminowego przejęcia budynków publicznych lub miejskich twierdz, które mogły być utrzymane bardziej dzięki niechęci sił rządowych do destrukcji niż siłą okupujących. Wszystkie były podejrzenie dywersyjne.

Wszystkie wierne rządy technofobiczne, od Khmer Vertes rządzących Bangkokiem, przez Muzułmańskich Republikanów Arabii do Białych Nacjonalistów Dallas, mieli swoje siły w gotowości i ich media wrzeszczały przekleństwa przeciwko wrogom Boga, Człowieka lub Gai (zależnie od lokalnego smaku ideologicznego). Ale Myra sądziła, że są świadomi, że nie są, sami, bezpośrednim celem, takim były bardziej liberalne rządy, które szły na kompromis pomiędzy siłami pro i przeciw technologii, które teraz były pod ostrzałem.

Poważniejsze działania miały miejsce w zagmatwanych, globalnych enklawach w głębi kraju, minipaństwach i krajach korporacyjnych. Wzdłuż ich fraktalnych granic lokalne siły obronne były gromadzone i mobilizowane w postawie, która była agresywna wobec



państwewek Sojuszu Większości Zgromadzenia, ogólnie defensywna wobec reszty. W międzyczasie, na niedookreślonych ziemiach poza i nawet w tle tych anarchicznych ustrojów, w lasach, na równinach i nieużytkach, w slumsach pełnych Zielonych neobarbarzyńców, margines i plemiona budziły się wobec nieoczekiwanego, ku możliwościom tego nowego dnia.

*Jane's Market Forces* rejestrowały nieoczekiwane przesunięcia w równowadze sił, drobne potyczki miały poważne wpływy, stawiając żołnierzy, taktykę i broń przed testem w nowych warunkach, lub w prawdziwej, a nie symulowanej walce. Niezbyt dużo krwi było rozlane, ale fortuny powstawały i upadały, sojusze i antagonizmy się aktualizowały. Proces miał swój własny krwawy urok. Myra czuła, że mogłaby siedzieć i patrzeć na to godzinami.

Jednak to była Ziemia, to nie tu, gdzie się naprawdę działo. Bitwy tutaj, prawdziwe lub wirtualne, były zasadniczo dywersją i została w porę odciągnięta. Zdecydowanie skierowała swoją uwagę w niebo.

Z dobrze wyćwiczoną pomocą Wali, rozwinęła neonowe planetarium przestrzeni orbitalnych Ziemi, oddzielając ważne wątki od pasm komercyjnych i wojskowych orbit. Sama planeta ukazała się jak przezroczysty glob, z zarysowanymi liniami politycznymi i geograficznymi, zachmurzona od wzorców klimatycznych, zakreśkowana konfrontacjami, nakłuta błyskami. Znowu ten wewnętrzny wzorzec zajął jej uwagę, znowu odwróciła się od tego.

Ich własny kosmiczny *matériel* – bronie jądrowe i kinetyczne – były przedstawione jako czarne pręty i stożki, głęboko w stale rosącym pierścieniu śmieci kosmicznych, które śledziły główne orbitalne arterie komunikacyjne.

– Cokolwiek jeszcze nadchodzi od stacji orbitalnych?

– Trochę – powiedziała Wala, brzmiać rozproszona. – Ściągam

łącność laserową przez różne stacje naziemne. Cholera, to trudne, czekaj, czekaj... och!

Lokalizacje stacji orbitalnych podświetliły się jedna po drugiej. Te, z którymi łączność została ustanowiona, błyskały zachęcająco. Myra przybliżyła na jedną z nich. Klasyczna stacja kosmiczna von Brauna, z obracającym się rurowym pierścieniem połączonym cieńszymi cylindrycznymi szprychami do wewnętrznego pierścienia otaczającego przeciwbrotową wieżę osiową z kompensacją wirowania. Kwatery mieszkalne i hydroponika były dookoła pierścienia, w sztucznej grawitacji obrotów. Działa laserowe, stacje rakietowe, bronie wiązek cząstek i wojskowe centrum dowodzenia były w piśmie w nieważkości. Cała olbrzymia mandala miała majestat obozów nazistowskich, zepsutych jedynie przez niezgrabne układy paneli słonecznych, które kiełkowały, kiedy reaktory jądrowe się wyczerpywały.

To był jeden z dziesiątków na różnych orbitach. Obrona Kosmiczna wymusiła Pax Americana Imperium USA/ONZ, dwudziestoletnią Rzeszę, pomiędzy Trzecią Wojną Światową a Jesienną Rewolucją. W tej rewolucji stacje przeszły w ręce ich personelu – sowieci żołnierskie w kosmosie – i, od tego czasu, szukały roli, żeby zastąpić ich upadłe imperium. Wszystko od transmisji mocy do obrony przeciwko asteroidom było spróbowane, z małym zyskiem. Stacje przetrwały na kroplach dotacji – lub „opłat użytkowników” – od podobnie zmniejszonej ONZ, płaconych głównie, by zapobiec buntowi czystej desperacji stacji.

Teraz siły zamachu oferowały im nowe imperium, takie bardziej usprawiedliwione i wykonywalne niż stare.

– Więc jaki jest stan tego? – spytała Myra.

– Ciągle lojalna – odpowiedziała Wala. – Właśnie się zgłosili, żeby powiedzieć, że nie idą z Sojuszem.

- Jakiś sposób sprawdzenia tego?
- Nie wiem, wywołuję ich, och! Wpuszczają nas.
- Pójdę – powiedziała Myra – zostań z dużym obrazem.

W niezgrabnym, dezorientującym przejściu, znalazła się, stojąc w przedstawieniu w czasie rzeczywistym, na mostku stacji orbitalnej. Miał około piętnastu metrów szerokości i był zatłoczony. Wnętrze pasowało do zewnątrz: serie błyskających światła na chromowanych i czarnych powierzchniach, zagracony przerost zmodernizowanego nowoczesnego sprzętu pośród obfitości roślin, jak w cywilnej kolonii kosmicznej. Układ był zoptymalizowany pod nieważkość, członkowie załogi przypięci do siedzeń i łoży pod nieoczekiwanymi kątami wobec siebie. W tej sekcji wału były prawdziwe okna, przez które mogła zobaczyć wielkie koła obracające się w świetle, i wirujące chmury Ziemi poniżej. Mrugnęła i nadpisała prawdziwy widok obrazem software'u.

Załoga nosiła opaski na oczach, a niektórzy z nich mogli zobaczyć sobowtóra Myry w ich własnych wirtualnych palimpsestach sceny, ale nawet na nią nie spojrzeli. Kolejna, widmowa obecność zajmowała ich całą uwagę.

Generał siedział na parapecie okna, przyglądając się mostkowi przez zmrużone oczy. Coś mówił, jego słowa wydawały się unosić w powietrzu, rezonując w układach ekranu. Przerwał i odwrócił się do niej.

- Och, towarzyszeko Dawidowa, dziękuję za przybycie.
- Nie byłam świadoma, że prosieś – powiedziała.
- Och, byłaś – powiedział konstrukt. – To nie jest, jak mówią, przypadek.

Myra skinęła głową. Bez wątpienia to nie był przypadek, że pierwsza stacja, która wpuściła ją do systemów wewnętrznych była tą, na której Generał zwracał się do swoich żołnierzy.

Pomachał dłonią.

– Witamy na szybkiej sesji nadzwyczajnej lokalnej komórki organizacji bojowej. – Uśmiechnął się. – Czyli praktycznie dowództwo tej stacji. – Obserwujący członkowie załogi spojrzeli na nią przeciągle, niektórzy się nawet uśmiechnęli.

– Potrzebujemy Twojej pomocy – powiedział jej kategorycznie Generał. – Ładny pokaz – dodał. – Mogę?

Sięgnął, łapiąc kciukiem i palcem wskazującym jej przezroczysty glob i z przerażającą brawurą pominął jej wszystkie protokoły, przesunął jej wirtualny widok Ziemi i okołozemskiej przestrzeni kosmicznej na centrum mostka.

Patrzyła na obracające się kształty, wściekła. Nie powinien móc tego *zrobić*...

– Ciągłe utrzymujemy większość stacji orbitalnych. – Szybkie, ostre spojrzenie. – To znaczy, siły przeciwne zamachowi utrzymują, niezależnie od ich innych sojuszy. Jednak walka jest ciągle w równowadze. Mamy jedną szóstą stacji zabezpieczonych po naszej stronie, wróg podobnie, a pozostali są niezdecydowani.

Myra chwilowo była oszołomiona. Pomimo tego, co Generał wcześniej do niej powiedział, nie miała pojęcia, żadnych oczekiwań, że przeniknięcie organizacji bojowej w Obronę Kosmiczną było takie kompletne. To musiało zabrać lata pracy. Jednak Generał nie dał jej czasu na pytania lub gratulacje.

– Tutaj, tutaj i tutaj. – Dźgnął palcem trzy stacje, których ślady pomiędzy nimi pokrywały większość planety. – Te są w rękach wroga. Nie możemy uderzyć w nie ze stacji, która mamy, ponieważ to mogłoby zakończyć się odwetem. Nie mniej musimy uderzyć szybko, ostrzec innych, który mają zamiar przejść na stronę wroga. Załatw je.

Przesunął palcem lekko po orbitalnych skrytkach republiki zawierających inteligentne kamienie, lasery, broń kinetyczną.

– Nie mogę – powiedziała Myra. – Nie mam umiejętności, nie mam automatyzacji. Żadne z nas nie ma.

Generał pstryknął palcami.

– Klucz, towarzyszeko, klucz. To wszystko, czego potrzebuję. Kody dostępu.

– Skonsultuję z moim ministrem obrony – powiedziała Myra i prędko się wycofała. To była ulga, nawet z nagłą, przełkniętą falą mdłości cyberprzestrzennych, znaleźć się z powrotem w biurze, patrząc na ekrany.

– Wala. . . – zaczęła.

– Mam to – powiedziała Walentyna. – Obserwowałam Ciebie jedynym okiem, jako odwód. Kim *jest* ten facet?

Myra spojrzała z boku na nią.

– Brawo – powiedziała. – To była głowa organizacji bojowej Czwartej Międzynarodówki. Sztuczna inteligencja. Nasz własny elektryczny Trocki.

– Jeb Twoją matkę – powiedziała Wala, po rosyjsku.

– Tak. Zamierzamy dać mu kody?

– Twoja decyzja – powiedziała Wala. – Ty jesteś premierem.

– Co – powiedziała Myra przez zaciśnięte zęby – *byś poradziła?*

Wala zwilżyła usta. Inni albo specjalnie je ignorowali, albo koncentrowali się na własnych sprawach.

– Cóż, cóż. Powiedziałabym, działaj z doradcą wojskowym. Daj temu kody.

– Czy to zadziała? Czy naprawdę mamy środki tam, które mogą zniszczyć stacje?

– Ciężko powiedzieć – powiedziała Walentyna. – Stare, nigdy

nieużyte w walce, nie serwisowane, ale tak samo stacje! W teorii, tak, mogą zmiażdżyć obronę stacji.

Myra próbowała szybko pomyśleć. Uderzyło ją, że stacje same mogą być dywersją, stare, potężne, ale nieelastyczne i podatne: orbitująca Linia Maginota. Może Generał walczył w ostatniej wojnie i ją *wygrywał*, podczas gdy prawdziwe bitwy szalały gdzie indziej.

Zawahała się, potem zdecydowała.

– Daj mi kody do inteligentnych kamyków – powiedziała. Wala je przesłała, Myra przełączyła się na stację i podała je Generałowi. Czekał na nią, z zaskoczonym zniecierpliwieniem.

– Dziękuję – powiedział ciężko, potem zniknął. Myra rozejrzała się po teraz gorączkowo działającej załodze, pomachała im dziwnie, zachęcająco i wróciła do własnego centrum dowodzenia.

– To było szybkie. – Walentyna wskazała na ekran. Już, niektóre z ich broni orbitalnych zostały uruchomione. Myra pobożnie miała nadzieję, że to, co widziała jako przedstawienie, nie pokazywało się monitorach czasu rzeczywistego wroga. W trzech miejscach chmury ostrych obiektów wybuchły z osłony i poruszały się w na tych samych orbitach co trzy wrogie stacje, ale w przeciwnym kierunku. Miały się zderzyć ze stacjami za dziesięć, osiemnaście i dwadzieścia siedem minut.

To, co zdarzyło się dalej, skończyło się w mniej niż sekundę, migotanie laserów w pustce. Powtórka nastąpiła automatycznie, cierpliwie powtarzając wyniki dla powolnych czopków, pręcików i nerwów ludzkiego oka.

Myra obserwowała promienie radarów dalekiego zasięgu stacji ocierające się o zbliżające salwy broni kinetycznej. Jej drony platformy laserowej odpowiedziały na to wykrycie igłami światła, dżgając i oślepiając stacje, które, w chwilowym międzyczasie, wy-

puściły chmury dipoli odbijających<sup>9</sup>, żeby zablokować ten manewr. Potem stacje orbitalne odpowiedziały z nadal oszałamiającą prędkością, nawet w zwolnionym tempie. Każda z nich wysłała tysiące impulsów laserowych, błyskających jak szpada szermierza, krojąc kamyki i ich eskortę laserowych platform.

– O! – powiedziały, podziwiając wbrew sobie.

– Tak, to jest system obrony – powiedziała Walentyna. – Niestandardowe wyposażenie stacji, mogę ci powiedzieć.

Myra powiększyła widok. Każda atakująca chmura ciągle tam była, jako znacznie większa chmura znacznie mniejszych obiektów. Zbombardowałyby stacje, na pewno, zrobiłyby jakieś uszkodzenia, ale byłoby to bardziej piaskowaniem niż uderzaniem.

Była godzina 9:25. Czterdzieści minut minęło od atomówek Heaviside'a. Zakłócenia, które spowodowały, łagodniały. Łączność radiowa była ciągle pogmatwana, ale coraz więcej centrów wracało online dzięki obejściom i doraźnym poprawkom. Wynik tej pierwszej realnej wymiany ognia był już analizowany. Myra rzuciła krótkie spojrzenie na *Jane's*. Akcje zamachu zmieniały się dziko.

– Gównno...

Miała znowu przenieść się swoją przestrzeń roboczą na stację, ale Generał był szybszy. On, lub to, nagle pojawiło się w centrum dowodzenia, jako rozpoznawalna, ale niezbyt solidna postać. Andriej i Denis, tym razem najwyraźniej powiadomieni przez Walę, nie zareagowali na tę zjawę, prócz zdziwienia i otwartych ust.

– Szkoda – powiedział Generał, patrząc się smutno na ekran. – Te obrony są przenośne, niewmontowane na stacje, ale sprowadzone przez konspiratorów.

– Czy inne stacje je mają?

---

<sup>9</sup> system przeciwdziałania zamiarom radarowym, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Dipole\\_odbijaj%C4%85ce-przyp.tlum](https://pl.wikipedia.org/wiki/Dipole_odbijaj%C4%85ce-przyp.tlum).

Szkic wzruszenia ramion.

– My nie mamy. Może już są rozdzielane pomiędzy niezdecydowane stacje. Moje podejrzenie to nanofabryki Ochrony Wzajemnej.

Lepsze niż podejrzenie, uznała Myra.

– Chcesz kolejnego uderzenia?

– Nie. Na to jest tylko jedna rzecz. Atak jądrowy.

Myra spojrzała na Walentynę.

– Poczekaj. Wala, daj nam symulację pierwszego uderzenia.

Walentyna wysłała lokalizacje ich orbitalnych broni jądrowych i uruchomiła symulację natychmiastowego ataku, w świetle nowych informacji o możliwościach stacji orbitalnych. Przerwała. Uruchomiła ponownie i znowu. Wszystko w ciągu paru sekund, ale mimo to strata czasu. Odpowiedź była oczywista. Atomówki mogłyby dostać się dostatecznie blisko stacji, żeby je zniszczyć, ale przestrzeń okołoziemiska była bardziej zatłoczona niż kiedy doktryna takiego rozwoju wypadków była tworzona po raz pierwszy. Nie było sposobu, żeby uniknąć tysięcy niewinnych ofiar i miliardów dolarów w zniszczeniach kolonii kosmicznych i przemysłu.

– To jest znacznie gorsze – podkreśliła Walentyna. – Bezpośredni efekt eksplozji i EMP byłby początkiem, istnieje możliwość, że odłamki uruchomiłyby kaskadę ablacyjną<sup>10</sup>, każde zderzenie tworzyłoby więcej odłamków, aż w ciągu kilku dni oczyścilibyśmy niebo.

Kaskada Kesslera była znanym koszmarem, jednym z najbar-

---

<sup>10</sup> sytuacja opisana przez amerykańskiego astrofizyka i pracownika NASA Donalda J. Kesslera, w której kosmiczne śmieci nagromadzone na niskiej orbicie okołoziemskiej zderzają się ze sobą, generując w ten sposób nowe szczątki, które z kolei ponownie się ze sobą zderzając generują jeszcze więcej odłamków. Ten samonapędzający się proces może doprowadzić do takiego zagęszczenia kosmicznych odpadów, że nowe satelity będą narażone na bardzo wysokie ryzyko kolizji, więcej [https://pl.wikipedia.org/wiki/Syndrom\\_Kesslera](https://pl.wikipedia.org/wiki/Syndrom_Kesslera) – przyp.tłum.



dziej śmiertelnych zagrożeń dla habitatów w kosmosie lub nawet badań. Myra знаła dyskusje i obliczenia, które sugerowały, że całkowita kaskada otoczyłaby Ziemię pierścieniem odłamków, która sprawiłaby, że podróże kosmiczne byłyby nad wyraz niebezpieczne przez *stulecia*.

Generał wyglądał, jakby oceniał wagę. Mogłaby to teraz dojrzeć, te obliczenia, nawet z kaskadą, było możliwe, że nowe diamentowe statki mogłyby przebić się przez odłamki, bariera w ogóle mogła być przenikalna, a w międzyczasie. . .

– Zapomnij – powiedziała Myra. – Nie zamierzamy użyć atomówek. – Jej palce pracowały, kody błyskały przed jej oczami, próbowała znaleźć kanał, na którym wjechał sobowtór Generała.

Coś w jej tonie powiedziało Generałowi, że nie będzie dyskusji. Zamiast tego, odwrócił się do innych i powiedział, całkiem przyjemnie:

– Towarzyszka nie myśli obiektywnie. Czy chcecie ją zwolnić od odpowiedzialności?

– Nie – powiedzieli mu, satysfakcjonującym jednym głosem.

– Bardzo dobrze. – Uśmiechnął się do nich, jakby chciał powiedzieć, że jest mu przykro, ale musiał spróbować.

– A *teraz* możesz wypierdalać – powiedziała Myra. Stuknęła palcem, triumfując, na przycisk kanału wejściowego i go wyłączyła.

## Rozdział 7

# Bar u Roszczeniowca

Wyszliśmy w letni zmierzch. Ćmy, zaskoczone, szukały słońca w lampach ulicznych. Kilka cichych ulic pomiędzy domem a Instytutem było teraz zatłoczonych przez lokalnych mieszkańców wykorzystujących sezon letni w barach, które normalnie byłyby zapchane studentami. Chłopcy dumnie kroczyli w ciemnych, wąskich spodniach, dziewczyny kołysały wielkimi, jasnymi sukienkami. Musieliśmy wyglądać na mniej szczęśliwą parę, zabieganą i się śpieszącą.

Kilka świateł paliło się w Instytucie, jedno z nich na korytarzu. Gdy weszliśmy i zamknęliśmy drzwi, zapach dymu fajczanego był silniejszy niż wcześniej i znajomy.

– Ktoś jest w środku – wyszeptała Merrial.

– Tak – odparłem – to...

Jak na zawołanie, drzwi biura w korytarzu otworzyły się i wyszedł Anders Gantry. Niski mężczyzna z mocnymi ramionami i brzuchem jak beczułka piwa, włosy w srebrnych lokach jak dym z jego nieodłącznej fajki. Jego koszula była zaledwie brudna – jego żonie udawało się narzucić świeże płótno na niego co jakiś tydzień – ale jego kurtka nie była czyszczona od lat. Pachniała jakby była używana do gaszenia pożaru, co zresztą robiła.

Był najlepszym uczonym historii na Uniwersytecie i całkiem

możliwe, że na całych Wyspach Brytyjskich. I najuprzejmiejszym i najskromniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałem.

– O, witaj, Clovis – zagrzemiał. – Jak dobrze Cię widzieć! – Podszedł i potrząsnął dłoń. – A kim jest Twoja przyjaciółka?

– Merrial, doktor Anders Gantry – powiedziałem.

Przytrzymał jej dłoń i pochylił głowę nad jej knykciami.

– Oczarowany. – Przez chwilę patrzył na nią w niejasno zdziwiony sposób, potem odwrócił się do mnie. – Dobrze, colha Gree, co mogę dla Ciebie zrobić?

Gantry zgodził się nadzorować mój projekt. Moje sumienie uparczywie irytowało, że nie napisałem, ani nie widziałem go, całe lato.

– Och, nic w tym momencie, doktorze Gantry. Robiłem uczciwą część wstępnych badań na Północy i prawie skończyłem standardowe odniesienia. – Potarłem ucho, niespokojnie przypominając sobie kurz na książkach. – I pomyślałem, że skorzystam z możliwości małej wizyty w Glasgow, żeby wpaść do biblioteki.

– To bardzo chwalebne – powiedział. Nie byłem pewny dokładnego poziomu ironii w jego głosie, ale tam była. – Raczej brakowało nam Ciebie tutaj.

– Bardzo ciężko pracuje – wtrąciła się Merrial. – Projekt platformy startowej ma napięty harmonogram.

– Och, to tam jesteś. Kishorn. Hmmm. Słyszałem, że można tam zarobić dobre pieniądze. A panna?

– Pracuję tam w biurze – powiedział słodko Merrial. Uśmiechnęła się do mnie. – Stąd wiem, że ciężko pracuje. Oszczędza pieniądze na kolejny rok.

– Cóż, mniemam, że są sposoby i sposoby przygotowania się na projekt – powiedział Gantry bardziej pobłażliwym tonem. – Żadnych sukcesów z mecenatem, jak rozumiem?

– Żadnych na razie, nie.

Klepnął mnie w ramię.

– Może powinieneś spróbować wyciągnąć pieniądze na badania od badaczy kosmosu – powiedział. – Nasza wielka Wyzwolicielka miała dużo wspólnego z lotami kosmicznymi. Ciągłe mogą być lekcje w tej historii, co?

Twarz Merrial zamarła i poczułem, że moje kolana zmieniają się w gumę.

– No to jest myśl – powiedziałem, tak spokojnie, jak możliwe.

Gantry zarżał.

– Tak, możesz nawet ich nabrać takim pomysłem! – powiedział. – Powodzenia, jeżeli ci się uda. Teraz gdy zaczynasz utykać, Clovis, mam ci coś do pokazania. – Uśmiechnął się, pokazując zęby, żółte jak u psa. – To jest w bibliotece.

Po tym odwrócił się i skierował ku schodom. Podążyłem, ruszając ustami i pokazując Merrial swoją bezsilność. Ku mojej uldze, wydawała się bardziej rozbawiona niż zaniepokojona.

Do czasu, gdy dotarli do otwartych drzwi do biblioteki, zniknęli im w cieniach.

– Co zrobimy? – wyszeptałem do Merrial.

– Jeżeli zostanie w pobliżu, zajmij go czymś – powiedziała. – Ja zdobędę towary.

Właśnie miałem jej powiedzieć, jak mało prawdopodobne jest, żeby jej się z tym udało, gdy Gantry wyszedł, sapiąc, niosąc ładunek tekturowych teczek, które sięgały od jego złożonych dłoni przy pasku do dolnej szczęki.

– Oto i jesteśmy – powiedział, opuszczając chwiejny stos na stół. Kichnął. – Niestety paskudne od kurzu. – Wylał nos i ręce w jeszcze brudniejszą chustkę. – Ale nadszedł czas, żebyś na to spojrział: osobiste archiwum Myry Godwin.

– To naprawdę jest niesamowite – powiedziałem. Mój głos brzmiał

jak u dwunastolatka widzącego po raz pierwszy nagą dziewczynę. Wziąłem je i rozłożyłem, jedno koło drugiego. Razem osiem: wypchane tekturowe portfolio w porządku co dekadę, od lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku do lat pięćdziesiątych dwudziestego pierwszego wieku.

Ledwie ośmieliłem oddychać na nie, gdy otworzyłem pierwszy z nich i spojrzałem na dokument na szczycie stosu, tandetna kopia z powielacza, pakiet papierów zszyty zardzewiałymi zszywkami o dziwnym tytule *Budowa rewolucyjnej partii w kapitalistycznej Ameryce. Opublikowane jako braterska uprzejmość wobec prądu kosmicznego*.

– Dlaczego wcześniej ich nie widziałem? – spytałem.

Gantry poruszył się niewygodnie. Spojrzał na Merrial, potarł brodę i powiedział:

– Mam rację, myśląc, że jesteś majsterkiem?

– Racja, jestem – powiedziała Merrial bez wahania.

Gantry uśmiechnął się, patrząc z ulgą.

– Um, dobra. Pomiędzy nami i tak dalej. Uczeni i majsterkowie wiedzą, jestem pewien, że musimy być... dyskretni o Wyzwolicielki... bardziej niechwalebnych czynach i, hm, młodzieńczych głupotach. Tak więc, choć wcześniejsi biografowie widzieli te dokumenty, staramy się nie pokazywać ich studentom. Mam nadzieję, Clovis, że dojrzysz sposób wyjścia poza, hm, powiedzmy hagiograficzne podejście przeszłości, bez... – Zatrzymał, ssąc dolną wargę.

– Och, dobra, nie ma potrzeby tego mówić.

– Oczywiście, że nie – powiedziałem.

Spojrzałem na głównego uczonego z czym, co byłem pewien, musiało być wyrazem wdzięcznego szacunku.

– Możemy przejrzeć je teraz?

Gantry cofnął się i wyrzucił ręce w górę w udawanym strachu.

– Nie, nie! Nie mogę ci patrzeć nad ramieniem na surowe dokumenty, Clovis. Oryginalna praca bez pomocy i takie tam. To jest Twoje i jest tam praca doktorska, jeżeli kiedykolwiek gdzieś widziałem taką. Nie, to czas, żebym sobie poszedł i cię z tym zostawił. – Zawahał się. – Och, nie powinienem tego mówić, colha Gree, ale nikomu o tym ani słowa, ani żadnej strony, na zewnątrz, dobra?

Odbyłem szybką, intensywną bójkę z moim sumieniem, które gładko zadziało i naskoczyło na mnie.

– Nic dla gminu, oczywiście – powiedziałem ostrożnie. – Ale co do zasady, mógłbym, cóż, pokazać to lub przedyskutować z innymi uczonymi?

– Rozumie się samo przez się – potwierdził jowialnie Gantry. Dotknął boku nosa. – Jeżeli znajdziesz kogoś, komu zaufasz, że nie stwierdzi, to jego własne. – Mrugnął do Merrial. – Niegodni zaufania, ci uczeni, myślę, że to odkryjesz. – Lekko mnie stuknął, myśląc, że figlarnie, w żebra. – Zaufanie, człowieku, zaufanie! Jestem pewien, że masz rozum, żeby zrozumieć i wyjaśnić to sobie, i to załatwi Ci nazwisko, zapamiętaj moje słowa!

– Dziękuję – powiedziałem, po bolesnym wdechu. – Cóż. . . myślę, że zacznę od razu.

– Tak, w rzeczy samej. Doskonały pomysł. Nie zostawaj długo. – Jego współwinny uśmiech był oczywisty, że pomyślał, że to niemożliwe, żebyśmy zarwali noc. – Najlepiej jak sobie pójdę – powiedział, jakby do siebie, potem wycofał się drzwi i odwrócił.

– Dobrej nocy panu, proszę pana! – zawołała Merrial za nim.

– Dobranoc – dobiegło słabo z klatki schodowej.

Merrial wypuściła długi oddech.

– Co za dziwny, mały człowiek – powiedziała, na sposób kogoś, kto właśnie spotkał kogoś z krasnoludków.

– Nie jest całkowicie typowym uczonym – powiedziałem.

– Mam nadzieję, że nie – powiedziała Merrial. – Nie chciała-  
bym, żebyś się zamienił w kogoś takiego jak to.

– Nie daj Boże! – powiedziałem, dodając lojalnie – Ale jest  
dobrym człowiekiem na wszystkie śmieszne sposoby. – Spojrzałem na  
stos folderów. – Może to byłby dobry pomysł – powiedziałem wolno  
– gdybyś poszła zrobić te rzeczy z komputerem, a ja zostałbym tutaj,  
na wypadek, gdyby wrócił.

– Och, i zostawił mnie, bym zmierzyła się z diabłem samotnie?  
– zakpiła Merrial, potem roześmiała, ustępując. – Tak, to nie jest  
taki zły pomysł. Jeżeli on, lub ktokolwiek inny, wejdzie, zajmij ich  
czymś. Nie będę długo i sobie poradzę.

– A co z zaporą bezpieczeństwa?

Machnęła ręką i wydawał niegrzeczny dźwięk.

– Fuj! To małe narzędzie ma procedury, które mogą usmażyć  
zapory bezpieczeństwa nad „ścianą ogniową” i zjeść je na śniadanie.

Rozważając, ile musiała zaprogramować coś o wiele prostszego  
niż to, żeby posortować daty, nie wierzyłem jej, ale zdaje się, że to  
była czarna logika.

Uśmiechnęła się i wyszła. Po lekliwej minucie słuchania, usły-  
szałem dźwięk otwierania wewnętrznych drzwi i szuranie krzesła  
przeciąganego po podłodze i stawianego. Uspokoilem się nieco i zwró-  
ciłem się do plików, papierowych plików, mentalnie się poprawi-  
łem, po raz pierwszy tworząc powiązanie pomiędzy „plikami” uży-  
tymi przez Merrial, i jak zakładałem, majsterków i moim własnym.

Byłem chętny zacząć od wczesnych dekad, ale wiedziałem, że  
byłoby to w pewien sposób dogodzenie sobie i, że miałbym jesz-  
cze na to dużo czasu. To późne lata, bliżej czasu Wyzwolenia, były  
ukryte przed historią. Wziąłem teczkę dla ostatniej dekady, lat pięć-  
dziesiątych, i miałem właśnie ją otworzyć, kiedy usłyszałem krzyk  
Merrial.

Nie pamiętałem drogi do drzwi mrocznego archiwum. Pamiętam tylko zatrzymanie się, mój pęd do przodu zablokowany szokiem przerażenia, które wstrzymało mnie jak wróbła uderzającego w okno. Teczka plików, dostatecznie niedorzeczna, ciągle była w moich rękach i trzymałem tę ciężką masę wątłego papieru i delikatnego kartonu jak broń, lub jak tarczę.

Merrial również trzymała broń, krzesło, na którym siedziała i najwidoczniej właśnie się z niego zerwała. Przed nią, nad komputerem, w kratownicy rubinowego światła stała postać mężczyzny. Był to wysoki i tęgi mężczyzna, jego antyczny strój kremowej kurtki i trzepoczących spodni, jego wstrząsane białe włosy przepływające w tej samej niewidzialnej wicherze, która zerwała jego kapelusz gdzieś w jakiś długi korytarz, którego zmniejszająca się perspektywa prowadziły dalej niż ściany pokoju. Jego twarz była czerwona i gniewna, jego pięści drżące, usta krzyczące coś, czego nie mogliśmy usłyszeć.

Trzymając krzesło nad głową, jej przedramię przed oczami, śpijąc jakiegoś tajemne abrakadabra, Merrial podchodziła jak ktoś walczący z ogniem, i złapała kryształ widzenia i maszynę ze stołu. Przewody, szarpnięte z niewygodnie umieszczonego gniazda, smagnęły jak zerwana żyłka wędkarska. Mały czop na końcu, teraz wygięty jak haczyk, poleciał do mnie i puknął w teczkę. Merrial w tej samej chwili zawirowała i zobaczyła mnie. Spojrzała się na mnie wzrokiem, za który warto umrzeć, a potem spokojnie się uśmiechnęła.

– Czas iść – powiedziała. Pozwoliła krzesłu uderzyć o podłogę, odwróciła się, żeby stanąć twarzą w twarz z cicho krzyczącym bytem, który wzbudziła. Gdy wycofywała się od tej rzeczy, to zniknęło. Mechanizm gdzieś w komputerze warczał, potem przestał. Światło na jego przodzie błysnęło krótko, potem zgasło.



Wszystkie światła pogasły. Z dołu schodów usłyszeliśmy cichy oburzony krzyk. Słyszałem Merrial chowającą aparaturę w torbie. Uderzyła we mnie, ciągle się cofając.

Trzymając ręce jakby przez przepaść, przeszliśmy przez duszącą ciemność biblioteki. Mogłem poczuć suche stare papiery, kruchy klej i postrzępione nici i skórę okładek. Z tych włókien, starożytni mogli odtworzyć wiele utraconych gatunków drzew i ras bydła, pomyślałem szaleńczo. Szkoda, że tak nie zrobili.

Po długiej minucie nasze oczy zaczęły się dostosowywać do słabego światła, które wpadało mimo żaluzji i z innych części budynku. Szliśmy pewniej przez labirynt do drzwi. Na parterze budynku mogliśmy usłyszeć Gantry'ego błędzącego i się odbijającego.

Potem, za nami, usłyszałem cichy krok. Merrial też usłyszała i zamarła, jej dłoń w mojej nagle wilgotna. Kolejny krok i dźwięk czegoś *ciągniętego*. Prawie rzuciłem się w bieg, krzycząc.

– W porządku – powiedziała Merrial, jej głos zaskakująco głośny. – To jest projekcja dźwięku, tylko kolejna rzecz, by nas wystraszyć.

Za nami, niski, głęboki śmiech.

– Spokojnie – powiedziała Merrial.

Moje udo uderzyło krawędź stołu przy drzwiach.

– Tylko chwilę – powiedziałem. Puściłem jej rękę, wziąłem jeszcze jedną teczkę, złapałem znowu rękę Merrial.

Dotarliśmy do drzwi biblioteki, zatrzasnęliśmy je za sobą i zesliśmy po schodach tak szybko, jak bezpiecznie mogliśmy, lub szybciej. Potem przestaliśmy być ostrożni i zwyczajnie uciekliśmy, biegnąc na oślep koło zagniewanej i zaskoczonej twarzy Gantry'ego, niesamowitej w świetle zapalniczki, którą trzymał nad głową, a potem w noc.

Była noc, dookoła na setki metrów nie było zasilania. Przestaliśmy biec, kiedy dotarliśmy do pierwszych działających lamp ulicznych, przy Great Western Road.

Spojrzałem na twarz Merrial, błyszczącą od potu, żółtą w sodowym potoku.

– Co to, na Rozum, było?

Merrial potrząsnęła głową.

– Mam sucho w ustach – wyskrzeczwała. – Potrzebuję drinka.

Moje stopy bezbłędnie zaprowadziły mnie do najbliższego baru, „U Roszczeniowca”. Tego wieczoru był cichy i Merrial mogła zająć miejsce w rogu, kiedy kupowałem kilka kufli piwa i kilka whisky. Przy pustym kominku grał skrzypek i śpiewała kobieta, bolesny galicki tren utraty.

Merrial wychyliła whisky zwinnym ruchem i lato wróciło na jej twarz.

– Jezu! – przekleła. – Potrzebowałam tego. Daj mi papierosa.

Podąłem, patrząc na nią, gdy go zapalała, rozglądając się dyskretnie, gdy zapalałem swojego. Pub, do którego uczęszczałem przez moje lata studiów, był przyjaznym i wygodnym miejscem, choć dekoracja ścian mogła nieco zmrozić, jeżeli dumałeś nad nimi: oprawione reprodukcje starożytnych plakatów, zawiadomień i rozporządzeń o „aktywnym szukaniu zatrudnienia” i „otrzymywaniu zasiłku”. Miało to coś wspólnego z życiem z pomocy publicznej, do czego musiało się uciekać wielu całkiem zdrowych i zdolnych ludzi, znanych jako „roszczeniowcy”, w czasach Posiadania, kiedy ziemia była własnością dziedziców, a kapitał – lichwiarzy.

Zwyczajni dwaj starszuszki przypominali sobie pierwsze kilka wieków głosami podniesionymi, by poradzić sobie z lekkim upośledzeniem słuchu w wyniku wieku, grupa chłopaków dookoła wiel-

kiego stołu grała na grosze, kilka par kochanków była pochłonięta sobą, a wysokie nuty pieśni piosenkarki unosiły się ponad tym.

– Chciałaś powiedzieć? – spytałem. Mój głos drżał bardziej niż Merrial kiedykolwiek w trakcie tego incydentu. W tym samym czasie, czułem zawroty głowy z powodu ulgi z naszej ucieczki i dziwną ekscytującą mieszankę strachu i egzaltacji na pewną wiedzę, że moje życie będzie odąd nieprzewidywalne.

– Nie mówiłam – powiedziała Merrial – ale i tak ci powiem. Ta rzecz, którą widzieliśmy, była diabłem, która strzeże pliki. Jednak – dodała z uśmiechem – wywalenie bezpieczników na kilka przecznic wokół było najgorszym, co potrafiła.

– Hej, to pocieszające.

– Tak, tak jest – powiedziała bardzo zdecydowanym tonem. – Lepiej to niż porażenie elektryczne, które spali ręce lub ogień, który spali cały budynek. Lub. . .

– Co?

– Słyszałam o gorszym. Atakowaniu umysłu przez oczy.

– A śmiałaś się na samą myśl, tam w podwórzu.

– Aye, dobra – powiedziała. – To tylko ja miałam się z nimi zmierzyć. Nie było powodu, żebyś się martwił.

– Och, dzięki.

Wzięła moją dłoń.

– Nie, byłeś tam bardzo odważny.

– Ach, ani trochę – zgodziłem się.

– Więc, w końcu, dużo nie znaleźliśmy – powiedziałem, wracając do stołu z napełnionymi szklankami jakieś dwie minuty później. Na zewnątrz mogłem usłyszeć narastający rwetes biegnącej milicji, gwizdów i dzwonek strażnicy pożarnej. Gdzieś po drugiej stronie ulicy, pojazd z błyskającym światłem przetoczył się wolno.

Merrial spojrzała znad przekartkowanyh teczek.

– Cóż, masz lata dwa tysiące pięćdziesiąt i tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt – powiedziała. – To coś. Co *ja* mam – poklepała torbę, uśmiechając się – to znacznie więcej. Może wszystko, jeszcze nie wiem.

Postawiłem ostrożnie szklanki.

– Hm... bariera... nie zadziałała, zatem?

– Do pewnego momentu. Jak mówiłam, moja maszyna, i logika w niej, są silniejsze niż inne. Po prostu nie mogły zatrzymać tej rzeczy od zrobienia, co to ciągle ostrzegało, że *zrobiłoby*. Można ukraść kość psu, jeżeli zignorujesz szczekanie i poradzisz sobie z ugryzieniami. – Mniej zadowolonym tonem dodała – Ale to wszystko zależy, jak dużo wyciągnęłam, zanim musiałam...

– Wyciągnąć!

– Tak.

– Więc co teraz robimy? – Spojrzałem na teczki. – Zdaje się, że będę musiał spróbować i wyprostować sprawy z doktorem Gantry. – Zmieszane myśli walczyły w moim umyśle, jak te programy, o których mówiła Merrial. Jedna sekwencja impulsów sprawiała, że myślałem o planie unizonych przeprosin, tuszowania i wygładzania. Inna sprawiała, że rozumiałem, że prawie na pewno miałem poważne kłopoty z władzami Uniwersytetu, i całkiem możliwe obraziłem Gantry'ego na sposoby, które trudno byłoby mu wybaczyć.

– Och, a jak zamierzasz to zrobić? – spytała Merrial. – Sądzę, że nie będzie zadowolony z Twojej ucieczki z tymi materiałami.

– To na pewno – powiedziałem ponuro. – Ale mógłbym zawsze powiedzieć, że złapałem je, żeby je uratować, czy coś, i że zwrócę je za kilka dni. Po skserowaniu ich, oczywiście. Nie, to ta druga rzecz, która go wkurzy. Niebiosa wiedzą, jakie zniszczenia ta rzecz zrobiła, wątpię, żeby to było tylko odcięcie elektryczności. Bardziej wysadzone bezpieczniki w całym budynku, może gorzej. To zostanie

przebadane, nie tylko przez Uniwersytet. I będzie chciał się dowiedzieć, kim jesteś i co robiliśmy.

– Hmm. – Merrial wydmuchała cienki strumień dymu, obserwując go, jakby był wróżbą. – Dobra, wiedząc, że zna moje nazwisko, i gdzie pracuję. . . powiem Ci coś, colha Gree. Zakładając, że zrobi zamieszanie, lub ktoś inny zada pytania. To, czego nie chcę, żeby się wydało, to, że miało to cokolwiek wspólnego ze Statkiem lub z moim. . . ludem. Możemy powiedzieć, z odrobiną prawdy, że byłeś kierowany nadgorliwością, żeby pogrzebać w. . . mrocznych miejscach. Że omotałeś mnie do pomocy. Że jest ci bardzo przykro, sparzyłeś się, i więcej już tego nie zrobisz. Że oczywiście dokumenty, które zabrałeś nie będą obejrzone przez nikogo poza wspólnotą uczonych. Ich *fotokopie*, teraz, mogą być pokazane, ale nie musisz nic o tym mówić.

Myślałem o zaliczeniu Merrial jako honorowego uczonego w mojej własnej wersji kazuistyki, ale jej wersja poradziłaby sobie w razie potrzeby. Moje dwa przeciwstawne programy się złąły: miałem kłopoty, tak, ale mogłem się z nich wydostać, przez wyżej wymienione uniznienie i ukrywanie.

Zegar nad barem pokazywał, że jest kwadrans po dziesiątej.

– Wątpię, żeby Gantry był na miejscu – powiedziałem. – Nie wiem gdzie mieszka ani nie znam numeru telefonu, jeżeli ma jakiś. Myślę, że najlepszą rzeczą będzie spotkanie się z nim rano, zanim wyjedziemy. – Wyjąłem bilet powrotny z kieszeni. – Pociąg wyjeżdża za dwadzieścia pierwsza. Będę w pobliżu, żeby go spotkać około dziewiątej i spróbować wyprostować sprawę.

Merrial skinęła głową.

– Niezły pomysł. Nadstawiła ucho. – Sprawy wydają się przychodzić, ale nie sądzę, żeby wędrowanie z powrotem mogłoby teraz dobrym pomysłem.

– Chcesz wrócić i sprawdzić co mamy?

– *Dhia*, nie! Wystarczająco się napatrzyłam na jeden dzień. Chcę tutaj zostać, pić z Tobą i może z Tobą potańczyć, jeżeli odrobina srebra mogłaby pomóc skrzypkowi zmienić melodię, potem wrócić do mieszkania i przetestować wytrzymałość tego łóżka z Tobą.

To nie to, co powinniśmy zrobić, przyznaję, ale czy w ogóle jesteś zaskoczony, że tak właśnie zrobiliśmy?

Siedziałem na stopniach na zewnątrz Instytutu, w nieruchomym, chłodnym poranku pod cieniami wielkich drzew i patrzyłem na zegarek. Dziesięć do dziewiątej. Westchnąłem i zapaliłem kolejnego papierosa. Kilkaset metrów dalej młot pneumatyczny zaczął kucie. Jasno pomalowane stojaki, poprzeczki i stopy zerwanego asfaltu wskazywały, że podobne prace były już wykonane nocą.

Ścieżka mocy, w rzeczy samej. Jednym z powodów, dlaczego to tak było nazwane, jest to, że obliczenia elektroniczne są nierozzerwalnie i nieprzewidywalnie powiązane z generowaniem mocy elektrycznej i można je zakłócić w drogi i niebezpieczny sposób. Miałem nieprzyjemne podejrzenie, że koszt tego wszystkiego, w ten czy inny sposób, będzie się wił jakimś długim systemem Rady Miasta i księgowości Senatu Uniwersytetu i wyląduje u moich stóp.

– Dzień dobry, Clovis. – Podniosłem wzrok na Gantry'ego. W jednym ręku miał fajkę, klucz w drugim. – Wejdz.

Jego biuro miało okno, które zajmowało większość jednej ze ścian, pokazując kojący widok zaduszonego chwastami podwórka, oraz półki na książki na innych. Każda pionowa powierzchnia w pokoju była zaplamiona lekko na żółto, a każda pozioma była pod delikatną warstwą popiołu tytoniowego. Wytarłem bez efektu drewniane krzesło przed jego biurkiem, podczas gdy siadał w skórzanym za biurkiem.

Patrzył na mnie przez chwilę, mrugając. Przebiegł palcami przez krótkie włosy. Westchnął i zaczął napełniać fajkę.

– Dobra, colha Gree – powiedział po minucie onieśmiałej ciszy – nie masz pojęcia, o ile bardziej cię szanuję za to, że przyszedłeś tutaj. Kiedy zobaczyłem cię chwilę temu, gaszącego papierosa o chodnik, pomyślałem „Cóż, to jest facet, który wie jak się zachować przyzwoicie”. Znacząca poprawa po Twojej panice wczoraj, znacząca.

Chrząknąłem, niejasno myśląc, że cokolwiek lekarze mogą powiedzieć, *musi* być coś szkodliwego w nałogu, który sprawia, że płuca są takie szorstkie o poranku.

– Aye, dobrze, doktorze Gantry, obawiam się, że nie byłem sobą.

– Och – powiedziałem sucho – a co to było zatem, hmm?

Bez sensu, mój wzrok powędrował ku górze.

– To był, hm, demon internet software, który obawiam się ja i moja przyjaciółka, hm, niechcący wywołaliśmy.

Gantry zapalił fajkę i posłał chmurę dymu.

– Tak, tyle wywnioskowałem. A co na Ziemię opętało cię, powiedzmy, żeby grzebać w mrocznym magazynie, kiedy właśnie dałem ci więcej niż potrzeba materiałów na lata studiów?

Znowu spojrzałem mu w oczy.

– To był mój pomysł – powiedziałem. – Nazwijmy to nadgorliwością. Miałem pomysł, zanim dałeś mi dokumenty, oczywiście, ale nawet potem, myślałem, że moglibyśmy równie dobrze to zrobić. Obawiam się, że byłem... raczej osłepiony żądzą wiedzy.

– I innym rodzajem żądy, nie zdziwiłbym się – powiedział Gantry. – Ta Twoja *przyjaciółka*, to coś więcej niż to, prawda?

Nie było powodu, żebym zaprzeczał, więc nie zaprzeczyłem.

– Dobra – powiedział. Dźgnął ustnikiem na mnie, potarł kciukiem brodę i przygryzł dolną wargę przez chwilę. – Dobrze. Pierw-

sze, pozwól mi powiedzieć, że administracja Uniwersytetu ma pracę, które jest odmienna od autoadministracji wspólnotą akademicką. Musi utrzymywać fizyczną strukturę tego miejsca, zaopatrzenia i usługi i tak dalej, a mimo najlepszej woli na świecie nie mogą ingerować w środki śledztwa *i dyscypliny*, które mogą być właściwe do przedsięwzięcia w tej niefortunnej sprawie. Doceniasz to, prawda?

– Tak, oczywiście.

– Dobrze. Cóż. . . co do następstw akademickich, tu mogę wstać się za Tobą, mogę. . . powstrzymać się od informowania o tym, jak doszło do tego demonicznego wybuchu. Niemniej jednak nie mogę kłamać w Twoim imieniu, stary. Zrobię, co mogę dla Ciebie, ponieważ myślę, że byłoby to wstydem odrzucić kogoś z takimi możliwościami z powodu, jak to powiedziałeś, uczonej nadgorliwości. Bardzo zrozumiałej pokusy i tak dalej. Niektórzy z Senatu mogliby równie dobrze pomyśleć „byłem tam, zrobiłem to, będąc młodym, oparzony, nauczony, nie mówmy już o tym” i tego rodzaju rzeczy.

Lekko się rozluźniłem na twardym krześle. Bawiłem się papierosem przez chwilę, niepewny, czy mam pozwolenie na palenie, Gantry pochylił się z zapalniczką, w roztargnieniu prawie wypalając mi brwi płomieniem nafty.

– Dziękuję.

– Jednakże – kontynuował, opierając się w fotelu – istnieją większe problemy. – Machnął fajką, niejasno wskazując otaczające regały ciężko zdobytej wiedzy. – My, Brytyjczycy, zaczynamy brać udział w tej grze w cywilizację. Kiedy odeszli Rzymianie, nie było publicznej biblioteki, splukiwanej toalety, dobrej drogi czy listonosza przez tysiąc lat. Kiedy upadło Imperium Amerykańskie, myślę, że mogę uczciwie powiedzieć, że postaraliśmy się lepiej, i w istocie lepiej niż większość. Straciliśmy biblioteki elektroniczne, oczywi-



ście, i bardzo dużo wiedzy, ale infrastruktura cywilizacji dała sobie radę w trudnych czasach rozsądnie nienaruszona. Pod niektórymi względami, nawet się polepszyła. Dużo tego zawdzięczamy faktowi, że zapisy elektroniczne zostały stracone, a razem z nimi łańcuchy lichwy i czynszu i inne... mroczne moce, które trzymały świat w czymś, co nawet oni mieli tupet nazywać „Siecią”.

Wstał i podszedł spokojnie do rogu i oparł łokieć o półkę.

– To, co mamy zamiast sieci, to majsterkowie. – Machnął znowu ręką. – I telefony, telegrafy, biblioteki i tak dalej, oczywiście, ale to poza tą kwestią. Majsterkowie opiekują się naszymi obliczeniami, które nawet na ścieżce światła większość z nas... niechętnie wykonuje, z powodu tego, co wydarzyło się w przeszłości, ale jest wdzięczna, że jest ktoś, kto je robi. To sprawia, że... nie są pariasami, ale zdecydowanie lekko stygmatyzowanym zawodem. I ten właśnie stygmat, widzisz, paradoksalnie zapewnia, lub daje pewne ubezpieczenie, czystość ich produktu. Utrzymuje to dwie ścieżki, jasną i mroczną, rozdzielonymi. Widzisz, do czego zmierzam?

– Nie – odpowiedziałem. – Obawiam się, że nie.

– Och. – Wyglądał na nieco zawiedzionego powolnością zrozumienia. – Cóż, mówiąc wprost, jedna sprawa to uczeni ryzykujący ciała lub dusze w mrocznych magazynach. Nie zdarza się, że tak powiem, ale pomiędzy Tobą, mną i bramą, się *zdarza*. To całkiem inna, gdy robi to majsterek. Może zanieczyścić kryształ widzenia, rozumiesz. Zły biznes.

Podszedł i wpatrzył się we mnie.

– Efekt, mój przyjacielu, jest taki, że lepiej przyprowadź tę swoją koleżankę majsterkę z czymkolwiek, co zabrała, i przynieś te teczki, które *pożyczyłaś* razem z nią, jeżeli chcesz, by ten epizod był przeoczony. Jasne?

– Tak, ale...

– Żadnych „ale”, Clovis. Nie masz czasu. Wyjdź i wróć, zanim ktokolwiek cokolwiek zauważy, to jest szansa.

– Zrobię, co będę mógł – powiedziałem, wystarczająco szczerze, i wyszedłem.

Gdy śpieszyłem się do mieszkania, zastanawiałem się, co do cholery moglibyśmy zrobić. Miałem nadzieję trzymać pliki papierowe co najmniej tydzień, co dałoby mi wystarczająco dużo czasu, żeby określić, czy było w nich coś ważnego. Nie było jednakże sposobu, żeby Merrial „zwróciła” jakiegokolwiek pliki komputerowe, które udało jej się pozyskać. Mogłaby udawać, że je skasowała z pamięci jej kryształu widzenia, ale wątpiłem, czy to by oszukało Gantry’ego. Chciałby sam kamień, a ona prawie na pewno by go nie oddała.

Gospodyni wpuściła mnie, ponieważ zostawiłem klucz do drzwi Merrial. Uśmiechnąłem się z przymusem i pobiegłem po schodach, zapukałem do drzwi pokoju, gdzie zostawiłem Merrial drzemiącą. Nie było odpowiedzi, więc po cichu otworzyłem drzwi.

Merrial tam nie było. Ani niczego, co należało do niej. Ani dwóch teczek z dokumentami. Rozejrzałem się, oszołomiony przez chwilę, a potem przypomniałem sobie, co Merrial powiedziała o kserowaniu dokumentów. Z ulgi poczułem słabość. Zebrałem swoje własne rzeczy, sprawdziłem, czy nic naszego nie zostało w pokoju i poszedłem na dół.

– Aye – powiedziała gospodyni – dzioucha wyszła chwilkę po Ciebie. Ostawiła mi klucz.

– Czy pytała się o punkty kserokopiowania w okolicy?

– Nie. Ale jest tylko jeden, za rogiem. Niy możesz ominąć.

– Och, dzięki!

Wybiegłem na zewnątrz, wzdłuż ulicy i za róg. Punkt tam był,

na pewno, ale nie Merrial. Nikt odpowiadający jej, dość jednoznacznie, opisowi nie dzwonił.

Powędrowałem Great Western Road w rodzaju oszołomienia i zatrzymałem się przy balustradzie mostu nad Kelvin. Kolejny most, który przekroczyliśmy tramwajem, był kilkaset metrów w górę rzeki, ruiny stacji metra, zabite deskami i opatrzone srogimi ostrzeżeniami, były na drugim brzegu. Restauracje rybne przy nabrzeżu, gdzie jedliśmy ostatniej nocy, wysyłały zapachy głęboko smażonego ciasta. Rzeka kłębiła się niżej, popiół mojego zatroskanego papierosa nie zakłócał najmniejszych z jej fal.

Nie mogła tak po prostu uciec z rzeczami. Byłem dostatecznie lojalny wobec niej, żeby być pewny jej lojalności, nawet nie rozważałem – prócz chwilowej, hipotetycznie – że po prostu wykorzystała mnie, żeby dostać informacje, których poszukiwała. Najdrastyczniejsza, pozostała możliwość była taka, że jakoś została odkryta i musiała wyjechać z jakiegoś ważnego powodu lub przymusu. Jednak gospodyni z pewnością zauważyłaby taką rzecz, więc nie mogło to się zdarzyć w mieszkaniu.

Zatem pomiędzy tym miejscem a punktem ksero. Stworzyłem dziki plan przejścia chodnikiem, szukania wskazówek, przepytania przechodniów. Wydawało się to melodramatyczne.

Bardziej prawdopodobne, powiedziałem sobie, że po prostu gdzieś pojechała z jakiegoś własnego powodu. Miała własny bilet powrotny. Oczekiwała po mnie, żebym się domyślił i spotkał ją na dworcu. Mogłem sobie wyobrazić nas śmiejących nad nieporozumieniem, nawet jeżeli szalone telefony musiałyby zostać wykonane do Gantry'ego.

Lub nawet, mogła pójść do kolejnego punktu ksero!

Milicjant przeszedł obok, jego wzrok mimochodem mnie zauważył. Zaczekałem tam, gdzie byłem, póki nie zniknął z widoku,

świadom, że odejście od razu tylko wyglądałoby dziwnie, i również świadom, że patrzenie zmartwiony nad balustradą na dwudziestometrowy upadek w rzekę mogło wzbudzić zainteresowanie nawet najmniej podejrzliwego milicjanta.

Wtedy, naturalnie, zastanawiałem się, czy została aresztowana, za nieautoryzowany dostęp do Uniwersytetu, nekromancję, lub po prostu na ogólnych zasadach. Ale wtedy znowu, jeżeli byłaby, było to moim zmartwieniem tylko na poziomie osobistym: jako majsterka miała dostęp do dobrego prawnika, tak jak i ja miałbym, jako uczoney.

Tak więc to koniec mojego podnieconego myślenia oraz spojrzenie na zegarek, który pokazywał kwadrans po dziesiątej, zdecydowało, bym poszedł na stację i na nią poczekał.

Pociąg miał odjechać o jedenastej dwadzieścia. Pięć po jedenastej odstawiłem pusty kubek po kawie, zgasilem papierosa i poszedłem do publicznego telegrafu. Tam wstukałem wiadomość: GANTRY UNIW INST HIST ZALUJE OPOZ W ZWROCIE STOP KONTAKT Z CARRON STOP SZACUNEK CLOVIS.

Byłem w momencie naciskania przycisku wysłania, kiedy poczułem zapach i pot Merrial za mną. Potem pochyliła się koło mojego policzka i powiedziała, ciepłym, rozbawionym głosem:

– Bardzo lojalne, wobec niego i wobec mnie.

Odwróciłem się i złapałem ją w ramiona.

– Gdzie, do cholery, byłaś?

– Wyślij tę wiadomość – powiedziała. – Opowiem Ci w pociągu.

– Uśmiechała się do mnie i poczułem, jak wszystkie zmartwienia blakną, gdy przytuliłem ją mocno, potem odstałem, trzymając na odległość ramienia, jakby upewniając się, że naprawdę była. Jej torba wyglądał na większą i cięższą niż wcześniej.

– Masz papierowe pliki?

– Tak – powiedziała, wążąc torbę. – No dawaj.

Wysłałem wiadomość, potem pośpieszyliśmy ręką w rękę na peron. Pociąg nie był mocno wykorzystany, znaleźliśmy przedział – pół wagonu – dla samych siebie, wsunęliśmy się na siedzenia i spojrzeliśmy na siebie ponad stołem, śmiejąc się.

– Dobra – powiedziałem. – Opowiadaj. Trochę się zmartwiłem, muszę się przyznać.

Zacisnęła palce na mojej dłoni.

– Przepraszam – powiedziała. – Ale pomyślałam, że zniknięcie było dobrym pomysłem. W ten sposób, jeżeli Gantry, czy ktokolwiek, naciskałby na Ciebie w sprawie plików, lub, wiesz, innych plików, mógłbyś uczciwie powiedzieć, że nie mógłbyś, naprawdę nie wiedziałbyś, gdzie jestem i wyglądałbyś na naprawdę zakłopotanego, kiedy doszłoby do tego, że wróciliby z Tobą do pokoju.

– Och, racja. Naprawdę byłem zakłopotany, muszę Ci to przyznać. Ale jeżeli byłiby ze mną, mogliby tak samo się domyślić, jak ja i przyjść na dworzec.

Wzruszyła ramionami.

– Musiałabym się ukrywać. – Przeczesała palcami przez włosy, uśmiechając się nieśmiało. – Nie jestem w tym zła.

– I złapała pociąg w ostatniej chwili?

– Lub coś. – Nie była zainteresowana roztrząsaniem spekulacyjnych planów awaryjnych. – Tak czy inaczej, jesteśmy tutaj i mamy towary. Gantry nic nie może zrobić, żeby je teraz zabrać.

– Tak. Jednak, musimy mu posłać wiadomość z Carron, zapewnić, że są w bezpiecznym miejscu.

– Jak mówiłeś. Więc wszystko załatwione.

Pociąg zaczął się poruszać. Wyjrzałem na widzialnie przesuwaną się dworzec i peron, płynący do tyłu w ruchu względnym, potem spojrziałem na nią.

– Nie – odpowiedziałem. – To nie jest tak proste.

Wysłuchała mojej relacji o tym, co Gantry powiedział o majsterkach i mrocznym magazynie. Kiedy skończyłem, powoli pokręciła głową.

– Powinieneś ukryć moje bycie majsterką – powiedziała.

To był szok.

– Jak mógłbym? – zaprotestowałem. – Już się tego domyślił i byłoby łatwo to sprawdzić. Nie chciałem kłamać. Szczególnie kłamać i być przyłapanym, gdy tylko podniesie telefon.

Jej usta się zacisnęły.

– Zdaje się, że tak. Słusznie. Zaufanie Twojego człowieka jest ważniejsze w dłuższym czasie. A może nawet kręcenie potwierdziłoby jego podejrzenia. – Spojrzała, jakby na jej ramionach w tej chwili pojawił się ciężar.

– Wykręcałbym się, Prawdo pomóż mi, byłbym *skłamał*, gdybyś mnie poprosiła!

– Nie mogłabym tego zrobić – powiedziała. – Ach, to jest takie skomplikowane!

– Hej, wszystko w porządku – powiedziałem. – Wymyślimy coś. Wyślę Gantry’emu jakąś wymówkę, da nam to czas sprawdzić pliki, i oddamy je za tydzień. Wezmę wolny następny poniedziałek, jeżeli muszę.

Oczy Merrial nagle zaszkliły. Mocno zamrugwała.

– *Dhia*, mam nadzieję, że to będzie tak proste! – Westchnęła.

– Chciałabym powiedzieć ci więcej. – Pokręciła głową. – Ale nie mogę.

– Dlaczego nie?

– Och, *mo chridhe*! Jestem majsterką, a majsterki muszą uważać na to, co mówią. Nawet gdy, szczególnie gdy, ich języki spędzają czas w ustach innych!

– Więc masz tajemnice rzemiosła, – powiedziałem sucho – które musisz utrzymać. Nie mam nic przeciwko.

Spojrzała na mnie, jakby miała powiedzieć coś pilnego, a potem wszystko, co powiedziała:

– Nie powinnam się tak martwić. Wszystko się prawdopodobnie ułoży.

– Tak, na pewno – powiedziałem, udając, że się z nią zgadzam.

– Och, dobra.

– Zatem, czy zaglądamy do teczek?

– Ok – powiedziała, wyciągając je. – Powiem Ci coś. Przejrzyj te wczesne, a ja przejrzę te późne. To zwiększy szanse, że któreś z nas znajdzie coś, co możemy zrozumieć.

– W porządku – powiedziałem.

Otworzyłem teczkę dla lat dziewięćdziesiątych i przerzuciłem niecierpliwie przez nudne i pocziwe rzeczy medycznej charytatywności i pewne fascynująco nieprawdopodobne statystyki ekonomiczne Kazachstanu. Przy końcu znalazłem coś bardziej osobistego: strony wyrwane z notesu na spirali, najprawdopodobniej dziennik. Ślęczałem nad bazgraniną Wyzwolicielki:

*Czw 16 czer 1998 Wędrówka po pozostałych NJ księgarniach, chyba nostalgia. Podjęta na Against the Current u św. Marka, trend miejsce, zostawia puby na marginesie, wydaje się ok. Stara klika Critique ciągle wali, Suzi W w AtC, itd. Przynajmniej lojalni, nie tak jak moi, ha. Potem poszłam na Revo Księg Avakiana sprawa, szalona niż zwykle. Mieli fałszywe elektryczne krzesło w środku na kampanię Mumii. Przeleciałam stare debaty na SU itd. Depresyjna myśl „Marksizm jest gównem” ciągle w głowie. Potem Księgarnia Unity na Zachodniej 23 Nie mogłam się zebrać na Pathfinder. Po mojej małej przygodzie, nie wiem czy chcę zmierzyć się z kadrą Czwartej Międzynarodówki. Lub oni ze mną. Ach.*

*Pią 17 czer 1998. Gorące wilgotne popołudnie, burza potem. Spotkałam M na promie Staten Island. Oparłam się o reling i patrzyłam na Statuę przez mgłę. M wydaje się wiedzieć, że mówię ludziom o jego podejściach. Sprawa jest taka, że wydaje się nie mieć nic przeciwko. (Dziewczyna, różowe włosy na promie. Chyba ta sama dziewczyna w Bostonie. Śledzą mnie czy paranoja?)*

Nic z tego nie potrafiłem zrozumieć, więc przeszedłem do ostatniej kartki.

*Czw 17 gru 1998. Znowu Ałma-Ata. Telewizor w holu nastawiony na CNN. Zielone światło miasta zapada w ciemność. Szpital się wypełnia. Jebani Jankesi. Oto tutaj próbuję pomóc w rozwoju, tam oni próbują go cofnąć.*

Po tym, nic, prócz plamy i gniewnych zapisków, gdzie długopis wbił się i porwał stronę. Może dotarła do końca tego notatnika lub przestała prowadzić dziennik. Przekartkowałem resztę dokumentów, z przygniatającym uczuciem, że przeglądanie ich w obecnej niejasności zabrałoby mi nawet więcej, niż myślałem. Potem daremnie odwrócona strona zatrzymała mnie.

Była to kserokopia starego artykułu, który napisała, ale to mała reklama przypadkowo włączona na marginesie złapała moje oko. Dotyczyła publicznego spotkania na „Pięćdziesiąt lat Czwartej Międzynarodówki” i miała w jednym z rogów symbol, który był identyczny z monogramem na naszyjniku Merriall. Tylko tyle mogłem zrobić, żeby nie uderzyć się w czoło lub krzyknąć na własną głupotę. To, co myślałem, że było literami „G” i „T” było w rzeczywistości młotem i sierpem symbolu komunistycznego, a znaczenie „4” było oczywiste. Nie złapałem powiązania po prostu dlatego, że symbol był obrócony w przeciwną stronę niż ten na sowieckiej flagie.

Złowieszcze znaczenie młota i sierpa sprawiło, że poczułem mdło-



ści. Następstwa tego samego symbolu pojawiającego się poprzez taką przepaść czasu wywołała zawroty głowy.

Zamknąłem teczkę i podniosłem wzrok i popatrzyłem prosto w równie zbite z tropu oczy Merrial.

– To wszystko albo jest niezbyt interesujące lub kompletnie kurwa niezrozumiałe – powiedziała.

– To samo tutaj – powiedziałem. – Zostawmy to.

Całe to długie popołudnie, rozmawialiśmy o innych rzeczach.

Bitwach, w większości, jak sobie przypominam.

Pociąg wjechał na stację Carron Town punkt osiemnasta. Słońce było ciągle wysoko, późne popołudnie ciągle ciepłe. Po raz kolejny zmęczeni i sterani podróżą, Merrial i ja wyszliśmy z pociągu z energią i przyptywem głodu. Merrial poprowadziła prosto do Karonady i usiedliśmy w ciemnym kącie dziwnie pachnącym barze z talerzami prażoną kurczaka z farmy, świeżego groszku i młodych ziemniaków w towarzystwie współdzielonego dzbanka piwa.

– Nie mogę doczekać się powrotu do Twojego miejsca – powiedziałem – odrobiny prywatności i wsadzenia twarzy prosto w ... pliki.

Roześmiała się.

– Aye, byłoby wspaniale wreszcie spojrzeć na nie, bez ciągłego oglądania się za siebie.

Jednak gdy to mówiła, oglądała się za siebie, co robiła co około minutę przez cały posiłek. Plecami opierała się o ścianę, ja opierałem się o bar. Pub zaczynał się wypełniać ludźmi z projektu, na krótkiego drinka w drodze do domu lub na kwaterę. Jak dotąd nie usłyszałem żadnego głosu, który bym znał.

– Wydajesz się nieco na krawędzi – powiedziałem.

– Aye, cóż, jak mówiłam w pociągu...

– Fergal?

– Tak.

– Spodziewasz się go spotkać tutaj? – spytałem, przypominając sobie, że byliśmy w tym barze z jej, choć mile widzianej, sugestii.

Rozłożyła rękę.

– Może. Zależy.

– Od czego? – Naskładałem puste talerze i zapaliłem papierosa.

– Och, od tego, jak chcą to rozegrać – powiedziała, brzmiąc niezwykle gorzko.

– Tajemnice czy nie – powiedziałem, próbując zachować lekki ton – będziesz musiała mnie do nich dopuścić, wcześniej czy później. Zaczynam być ciągle zmęczony widzeniem Ciebie zmartwionej.

– Nie *muszę* nic robić! – wybuchła. – A Ty nie *musisz* wiedzieć mnie wyglądającą jak cokolwiek!

Nic nie powiedziałem, patrząc na nią, zszokowany i zirytowany, ale już jej wybaczący. Była pod dużym napięciem z powodów, o których wiedziałem i powodów, o których wiedziałem, że nie wiem.

– Ach – powiedziała, znowu delikatnie – nie miałam tego na myśli, colha Gree. Nie byłeś wychowany jak ja, żeby być twardą.

Na to musiałem się uśmiechnąć. W tamtej chwili wyglądała na bardziej wrażliwą niż twardą. Jej oczy się rozszerzyły. Usłyszałem kroki za mną, a potem Fergal niezaproszony wsunął się na ławkę koło mnie.

– Cześć – powiedziała Merrial, nie ciepło. Jej wzrok wrócił do mnie.

– Och, cześć – powiedziałem. Spojrzał na nasze drinki. – Moja kolejka, chyba. – Sięgnął do tyłu nad ramieniem i strzelił palcami. Większości nie uszłoby to na sucho, ale jemu tak. Pół minuty później, barman podawał kolejny pełny dzbanek na stolik.

– Więc Merrial – powiedział cicho – masz to?

– Mamy, – powiedziała Merrial. – o ile mogę powiedzieć. Spraw-  
dzałam cały ranek i to jest całe archiwum.

– A gdzie to robiłaś? – wtrąciłem się, nieco oburzony.

– Kelvin Wood – powiedziała Merrial, uśmiechając się rozbra-  
jająco bezwstydnie. – W krzakach.

– Więc to chciałaś zrobić.

Merrial skinęła, rzucając spojrzenie spode brwi. Fergal spojrział na nią, potem na mnie, jak gdyby przypominając nam, że miał waż-  
niejsze rzeczy na głowie.

– Dobrze – powiedziałem.

– To dobre wieści – powiedział Fergal do Merrial. Krótko się  
roześmiał. – Mówiąc łagodnie, co?

– Aye – powiedziała. – Tak jest.

– Tak czy inaczej, Clovis – powiedział Fergal – zdajesz sobie  
sprawę, że informacje, które pomogłeś pozyskać, wymagają prze-  
rzenia przez ekspertów. Raczej szybko, w istocie, biorąc pod uwagę,  
jak długo może to zająć.

– Oczywiście – powiedziałem. – Szansa, żebym spojrzął na to  
pierwszy, tylko rzut oka?

Pokręcił głową.

– Przykro mi, Clovis. Nie masz pojęcia, bez urazy, jak dużo tam  
jest. To niesamowita ilość niezbyt dobrze zorganizowanych infor-  
macji. W czasie, który Tobie by zajęło zrozumienie czegokolwiek,  
my moglibyśmy szukać informacji, którą *wiemy* jak zinterpretować.  
Każda godzina może się liczyć.

– Tylko minuta! – powiedziałem, przerażony i oburzony. – Nikt  
nie wspominał o niczym takim. Też chcę na nie spojrzeć, a nie po-  
zwolić im zniknąć w. . .

– Jakiejś kryjówce majsterków? – Fergal uniósł brew. – Zapew-  
niam Cię, że tak nie będzie. Masz moje słowo, że nie będziemy ich

trzymać długo, maksymalnie tygodnie, i że zobaczysz je i przesu-  
kasz w swoim tempie, gdy tylko skończymy.

– Ale – powiedziałem – skąd będę wiedział, że nie zostały zmie-  
niane, nawet przypadkowo? Ponieważ muszę być w stanie na nich  
polegać.

Merrial wyglądała na rozpaczliwie zakłopotaną. Rzuciła ostre,  
szybkie spojrzenia Fergalowi i pochyliła się ku mnie nad stołem.

– Pomyśl o tym, człowieku – powiedziała cicho. – Te rzeczy są  
i tak nielegalne, raczej nie mógłbyś ich zacytować w przypisach, co?  
Możesz ich użyć do znalezienia wskazówek do materiałów, do któ-  
rych *możesz* się odnieść. Więc po prostu musisz nam zaufać, zaufać  
mi, że informacja nie będzie zmieniona.

– Dobrze – powiedziałem niechętnie.

– Dobry człowiek! – Wychylił szklanke i wstał. – Dzięki za po-  
moc. – Fergal sięgnął nad stołem. Merrial już opróżniła skórzaną  
torbę z rzeczy osobistych. Zacisnęła pasek i podała. Fergal złapał  
ją, gdy ja ciągle patrzyłem, zdziwiony, działaniami Merrial.

– Czekaj! – powiedziałem. – Ciągle tam są pliki papierowe. Nie  
możesz ich zabrać!

Fergal uniósł brew.

– Dlaczego nie?

– Te dokumenty należą do Uniwersytetu.

– Obawiam się, że nie – powiedział Fergal, brzmiąc pełen skru-  
chy. – Należą do nas.

Spojrzałem się gorączkowo na Merrial, która skinęła lekko, smutno  
głową.

– Kim są, kurwa, „nas”? – Zaządałem, choć już podejrzewam  
odpowiedź. – No weź, mogę dać ci kserokopie, jeżeli trzeba.

– Nie wystarczy, chłopie.

– To mi je oddajcie.

– Przykro mi – powiedział Fergal. – Nie mogę.

Przesunąłem się na nogach, poruszyłem łokciem, wszystko od-ruchowo. Oczywiście Fergal się zwiężył.

– Nie – powiedział bardzo cicho – nawet nie *myśl* o zadzieraniu ze mną.

Właściwie myślałem o nakrzyczeniu i wezwaniu innych w ba-rze, niektórzy przypatrywali się tej konfrontacji. Jednak coś w po-zycji Fergala i spojrzeniu sugerowało, że jedynym wynikiem takiej burdy byłaby jego ucieczka po zadaniu ciężkich uszczerbków na-szej stronie, zaczynając ode mnie. A jakkolwiek stronę przyjmie Merrial, lub nawet gdyby próbowała się nie mieszać, prawdopodobnie zostałyby skrzywdzona.

Mój honor nie był stawką w powstrzymaniu odejścia Fergala z dokumentami – byłby zagrożony przy ich odzyskiwaniu – a na razie nie miałem prawa ryzykowania życiem lub kończyną swoją lub innych w tej sprawie.

– Zabierz to, majsterku – powiedziałem. – Mogę poczekać.

Uśmiechnął się, bez protekcyjności.

– Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy – powiedział i wy-szedł.

Spojrzałem na kilka zaciekawionych, napiętych twarzy przy ba-rze, wzruszyłem ramionami i wróciłem do stołu, gdzie Merrial, drząc, zapalała jednego z moich papierosów.

– Jakies wyjaśnienie byłoby w porządku – powiedziałem, tak normalnie, jak tylko potrafiłem. Jedno z moich kolan drżało.

Merrial wzięła głęboki oddech i głęboko się zaciągnęła.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie mogę, naprawdę.

– Ale spójrz – powiedziałem. – Dlaczego po prostu nie powie-działas mi, żebym je schował, albo powiedziała, że musimy je od-dać...

Zacząłem się denerwować, byłem zmieszany i wtedy, w końcu, do mnie dotarło.

– Zgadzasz się z nim! – powiedziałem. – Ty faktycznie się zgadzasz, że ma jakieś *prawo* do tych dokumentów, żeby pierwszy obejrzeć pliki, że nikt inny nie może nawet na nie spojrzeć, nie krzywdząc go. Włączając w to mnie.

Spojrzała beznamiętnie na mnie.

– A Ty nie zamierzasz mi powiedzieć dlaczego.

Mały ruch jej głowy.

– I wiedziałaś od początku, że tak się może zdarzyć.

Mniejsze kiwnięcie.

– W porządku – powiedziałem. W dzbanku był jeszcze litr. Rozlałem je nam obojgu i sam zapaliłem papierosa, pochylając się do przodu w dym Merrial, prawie w jej włosy. Wnętrze mojej dłoni pocierało pod okiem, zirytowany na siebie, przestałem to robić i w zamian bawiłem się papierosem. Dźwięk śmiechu i konwersacji przy barze był jak dźwięk wodospadu na skale, obmywający nas, ukrywający rozmowę. Mogliśmy powiedzieć wszystko.

– Naprawdę jestem w rozterce – powiedziałem. – Nie mogę uwierzyć, że mnie wystawiłaś, ale póki mi nie powiesz, o co naprawdę chodzi. . .

– Powiedziała Ci – powiedziała. – Nie mogę. Nie możesz mi zaufać?

– Och, całkowicie mogę ci zaufać – powiedziałem. – Ale jeżeli nie zwrócę tych teczek, tak jak obiecałem, nikt na Uniwersytecie mi już nigdy nie zaufa.

Wyglądała na spiętą, rozdartą, tak jak się czułem.

– Bardzo mi przykro z tego powodu – powiedziała. – Ale nic nie mogę z tym zrobić.

– No weź – powiedziałem. – Musi coś być. Cholera, jeżeli zwrócę

pliki, mogą dać Twoim ludziom kopie wszystkich plików. Czy to nie warte więcej dla nich niż to, co właśnie dostali?

– Nie rozumiesz – powiedziała Merrial. – Teraz gdy wiemy o innych teczkach, zamierzamy zdobyć je wszystkie. Jak powiedział Fergal, są nasze.

„Nasze”, w istocie! Byłem nieskłony, lub nieprzygotowany, do zakwestionowania jej społeczeństwa, do którego mogła się odnosić. Rozłożyłem dłonie. – Nie możesz oczekiwać mnie, że zaakceptuję tego bez cholernie dobrego powodu, którego mi nie podajesz.

– Powiedziałam Ci. Nie mogę. Więc dlaczego po prostu nie zapomnimy o tym wszystkim?

– Merrial – błagałem, przerażony głębią jej braku zrozumienia – te pliki są częścią mojej pracy, moja kariera zależy od nich. Więc, proszę. . .

Sięgnąłem, dotykając jej włosów.

Jej oczy zaiskrzyły.

– Och, *odpierz się!* – powiedziała mi, nie do końca krzykiem, ale głośno i wystarczająco dobitnie, by głowy się odwróciły.

– Tak zrobię – odparłem, wstałem i wymaszerowałem. Spojrzałem do tyłu przy drzwiach i zobaczyłem jedynie górę jej głowy, włosy opadłe do przodu i jej ręce na jej twarzy. Drzwi zatrasnęły się za mną.

## Rozdział 8

# Zachęty Zachodu

– Już po wszystkim – mówiła Walentyna.

– Po wszystkim? – spytała Myra. Pokręciła głową, rozglądając się po biurze. Wala, Andriej i Denis byli tutaj, usadowieni na biurkach lub parapetach okien. Ekran centrum dowodzenia zniknęły jak sen. Parvus unosił się na skraju jej wizji, wyglądając, jakby miał coś do powiedzenia.

– *Pucz* – wyjaśniła Walentyna.

– Tak po prostu?

Myra się wpatrzyła, mrugając przez opcje przedstawiane przez Parvusa. Personal miał swoje analizy i był zajęty zgadzaniem się z Walentyną. Stacje orbitalne zajęte przez Ruch Kosmiczny wystarczyły do strzeżenia ich obleganych enklaw i kompleksów startowych, ale nie, by przechylić równowagę światowych potęg na ich korzyść. Rada Bezpieczeństwa Narodów zachowała kontrolę nad ReONZ, ale stacje orbitalne, które oparły się zamachowi, zrobiły tak w swoim własnym imieniu, nie w imieniu ReONZ. Pozostały niebezpiecznie samodzielne.

Na Ziemi lokalne równowagi wszelkiego rodzaju uległy zmianie, prawie całkowicie przez nagłe, ponowne oceny prawdziwej wagi różnych stron, którą wywołały cholerne poddmuchy rzeczywistej walki. Spory zostały rozstrzygnięte lub ponownie otwarte, całe armie zo-



stały zmobilizowane lub rozpuszczone siłą potężnych cieni rzuconych na ekrany analizy dzięki małym starciom w polu.

– Boże – powiedziała Myra z niesmakiem. – To jest *tak* dekadencje. – Przypominało to jej najemników Renesansu, nad którymi jęczał Machiavelli w *Discorso*, kalkulujących, kto by wygrał, gdyby walczyli i dotrzymali swojej umowy taką decyzją, jednocześnie unikając krwawych spraw rzeczywistej bitwy. – Nikt nie chce prawdziwej walki, raczej podążają za symulacjami. Mówimy o pornografii przemocy. Dupki.

– Jest gorzej – powiedział grubo Denis. – Mamy przejebane. – Rzucił projekcję przedziału czasowego *Jane's* i podświetlił laserem istotne fragmenty. – Spójrz.

Profil wojskowy i ogólna wiarygodność MRRNT nie była już czymś, co ostrożni stratedzy, oceniając po przeszłych działaniach i obecnych plotkach, wyceniali wysoko. Było to nieistotne.

– Zostaliśmy odkryci – powiedział Denis Gubanow. – Na precyzyjnie zły sposób. Zawsze musieli się liczyć przynajmniej z możliwością, że mamy atomówki. Ochrona Wzajemna, lub, tak czy inaczej, Reid, wiedzieli, że mamy. Rzecz w tym, nie użyliśmy ich, więc założono, że albo ich nie mamy, albo nie mamy serca ich użyć. Przeszliśmy od bycia Burkina Faso z atomówkami <sup>1</sup> do bycia Burkina Faso bez. A użyte przez nas bronie nie zadziałały.

– Zadziałały... – zaczęła Walentyna, raczej defensywnie.

– Ha! – parsknęła Myra. – Działały bardzo dobrze, tylko nie zniszczyły celów. Tak, rozumiem, że nasza postawa odstraszenia jest mocą dobra.

Gorąca linia telefoniczna – solidny, staromodny, jednoznacznie

---

<sup>1</sup> oryg. Upper Volta istniejące państwo w latach 1958-1984, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Republika\\_G%C3%B3rnej\\_Wolty](https://pl.wikipedia.org/wiki/Republika_G%C3%B3rnej_Wolty) – przyp.tlum.

czerwony telefon na biurku Myra – zaczęła dzwonić. Przez chwilę patrzyła na niego z powątpiewaniem, potem wzruszyła ramionami i podniosła słuchawkę.

– Myra Godwin-Dawidowa.

Przerwa.

– Witaj, Myro. Tu Dave.

Przez chwilę była cicho, skonsternowana.

– Myro? Tu *David Reid*.

– Tak. Witaj – powiedziała. – Czego teraz chcesz?

W jego odpowiedzi było sekundowe opóźnienie.

– Czego chcesz, lubię to. – Nawet w trzeszczącym łączu laser-telefon, mogła usłyszeć jego furję. – Miałas całą sytuację w równowadze, wiesz o tym? Miałas jebany *decydujący* głos, przewodnicząca Dawidowa! Miałas opcję nuklearną i ją odrzuciłaś! Prawie wolałbym, żebyś użyła swoich cholernych atomówek przeciwko nam, przynajmniej w ten sposób Rada Bezpieczeństwa przejęłaby władzę i musiałaby przyjąć odpowiedzialność. Byłaby jakaś szansa zakończenia chaosu, czego wszyscy naprawdę chcieliśmy. Tak jak jest, to zmieniłaś coś, co powinno być grą końcową w kolejny jebany pat.

– Nie rozumiem, jak to Tobie pogorszyło sytuację.

Usłyszała dźwięk uderzenia i zrozumiała po chwili, że uderzał czymś w głowę.

– To pogorszyło sytuację dla nas *wszystkich!* To jak entropia, Myro, nie rozumiesz tego? Wszyscy wspięli się kilka schodków, *eskalowali*, to jest kurwa opis tego. Jesteśmy wszyscy wyżej, ale względnie nie jesteśmy w lepszym miejscu, a straciliśmy energię, pracę w całym procesie. A wiesz, kto tylko zyskał z tego wszystkiego? Margines, jebani barbarzyńcy, oto kto. Włączając to Twoich bezbożnych, lokalnych komunistów.

– To Ty powinieneś o tym pomyśleć. Zanim rozpocząłeś cholerny zamach stanu.

Reid wziął głęboki wdech, długie westchnienie po drugiej stronie.

– Tak, masz rację. To moja wina. Nie oczekiwałem kontrzamachu, to wszystko.

– Jakiego kontrzamachu?

Ponownie dziwne opóźnienie.

– Nie graj niewinnej. Ktoś przejął większość satelitów i na pewno nie byli to moi. Ani ONZ, jeżeli o to chodzi.

– Nie wiesz, kto to był?

– Nie. Więc kto to był? Musisz wiedzieć.

Myra pomyślała przez chwilę. Ach, cholera, i tak się dowie.

– Czwarta Międzynarodówka – powiedziała mu. – Frakcja kosmiczna, organizacja bojowa.

Sekundy mijały, potem usłyszała głośny śmiech Reida.

– Hahaha! Ok, Myra, niech tak będzie. I tak się dowiem. W międzyczasie, rzuć okiem na północno-wschodnią granicę i zobacz, czy to wszystko nadal jest takie zabawne. Wychodzę z tego, jestem na promie na Lagrange. Cześć.

Zakończył połączenie w taki sposób, że brzmiało to jak uderzenie słuchawką w staromodny telefon, uderzeniem, od którego mrugnęła.

Zanim mogła spojrzeć na północno-wschodnią granicę, Parvus wszedł w ramę i podniósł dłoń. Myra gestem pokazała innym, by czekali.

– Tak?

Mocny fantom machał dłońmi ekspansywnie.

– Ach, Myra, muszę szybko zmienić Twoje inwestycje. Otrzymałem gorącą wewnętrzną wskazówkę ... – położył złoty palec na

rumianym nosie – ... że Ochrona Wzajemna likwiduje swoje zasoby.

– Co! – Myra w tym czasie tak się przyzwyczało do używania „zasoby” jako eufemizmu dla „atomówek”, że prawie zanurkowała pod biurko. Jej zaskoczone spojrzenie przeleciało ostatnie wiadomości, nic.

– Och, masz na myśli *finansowo*.

– Oczywiście, że finansowo. Kiedy zacznie się ostatnia wojna, jasno ci to powiem. Nie, Ochrona Wzajemna wszystko wyprzedaje, wycofuje się.

– Wycofuje skąd?

– Stąd. Z Kazachstanu. – Spojrzał na nią smutno, prawie współczująco. – Z Ziemi.

Przez następne kilka dni stało się jasne, że głównymi beneficjentami z krótkiego rzucenia się w przemoc był margines, który skorzystał z własnej przewagi rozproszenia – oraz szybkiej likwidacji Ochrony Wzajemnej – żeby rozszerzyć swoje domeny kraj za krajem, oraz Szinosowiety.

Ruszyli wzdłuż przełęczy na Zajsan, na południowy-wschód. Kazachskie bombowce dalekiego zasięgu były w sinosowieckie drony bojowe, urządzenia niepokojących i rozmaitych kształtów, kombinacje prawie sowieckiej mechanicznej niezgrabności z prawie organicznym nanotechnologicznym połyskiem. Ich wraki, lub ciała, zaśmiecały drogi i wzgórze za Buran. Funkcjonujące komponenty miały niepokojącą tendencję do odbudowywania się. Naloty bombowe zostały przerwane, gdy zaopatrzenie w bomby zaczęło się wyczerpywać. Drużyny szinosowieckiego *specnazu* – rzucając hologramowe zwody, duchy radarowe, dźwiękowe sobowtóry – potykały się pośród wraków i okopywały na skrajnych pozycjach swojego natarcia. W międzyczasie, czołgowa ludzka armia, lub horda,

oskrzydlała góry Altaju od północnej strony pasma: tocząc się na południe i zachód z basenu Katun, potem drogą i koleją z Barnaul, bez oporu. Pod koniec czwartego dnia po próbie zamachu, przekroczyli północną granicę Kazachstanu i się zatrzymali.

Rada *oblys* w Semeju – najwidoczniej zmiękczona przez zastraszanie lub przewrót – zaprosiła ich, a oni radośnie zaakceptowali zaproszenie. Wjechali jak wyzwoliciiele, powitani wiwatującymi tłumem i osiedlili się z każdym objawem planowanego pozostania.

Czerwony telefon znowu zadzwonił.

– Chingiz Sulejmanow – przedstawił się dzwoniący. Obecny prezydent Kazachstanu. Jego przezwisko „Dżyngis Prezydent” nie było do końca sprawiedliwe. – Mam dla Twojego rządu propozycję, Madame Dawidowa, i dla Ciebie osobiście. . .

Następnego ranka Myra wstała, ubrała i spakowała. Większość jej bagażu już wysłała na lotnisko. Załadowała stosy starych plików, w formatach od dyskietek do rzeczywistego papieru, do kilku skrzynek, zapieczętowała jako bagaż dyplomatyczny i wysłała pod pewien adres docelowy. Potem zaczęła ogałacać mieszkanie, w rodzaju wściekłości na siebie. Rozkazała jakimś dzieciakom z milicji zabrać rzeczy na dół, fizycznie nie była do tego gotowa i wiedziała o tym.

Zawartość sypialni poszła pierwsza, wszystkie poduszki i narzuty, koronki, lakier i lapis-lazuli, wszystko do wielkich, czarnych, plastikowych toreb, które pojechały prosto do najbliższego sklepu rzemieślniczego za szyderczą kwotę. Niech ruszą w swoją drogę, niech podróżują po obwodach jak dobra handlowe, jak muszki kauri i paczki marlboro, aż do Camden Locks i Greenwich Villages świata. Plakaty na ścianach były następne, do kolejnego sklepu, dla innych kolekcjonerów. Płyty winylowe i kompaktowe – tak one były

nazywane, pomyślała z uśmiechem, gdy podnosiła ułożone luzem – do trzeciego.

A potem książki. To bolało, ale kontynuowała. Smutno, ponuro wyciągając je z półek, sortowała i układała. Co chwila kusiło ją przebrać, zbłądzić. Od czasu do czasu zatracona w książce lub we wspomnieniach, jakie sprowokowały. Mrugnięcie, otarcie oczu, zatrzaśnięcie okładek, kichnięcie od kurzu, kontynuowanie. Jej oczy poczerwieniały, palce ściemniały, a ramiona bolały.

Większość książek też poszło na bazar. Resztę załadowała na tył małej ciężarówki. Umyła się i rozejrzała się po dźwięcznej pustce jej mieszkania. Ciągłe było do zamieszkania, było to miejsce, do którego mogła wrócić, ale nic jej w nim nie zostało.

Wsunęła Bibliotekę Kongresu 2045, inne biblioteki, koncerty, galerie sztuki i archiwa na górę jej torby podróźnej i rozmieściła noże i pistolety na pasku i kieszeniach. Chłopaki, którzy zataszczyli jej rzeczy na targ, wracali jeden po drugim, ze zwitkami pieniędzy. Wydawała więcej niż trzeba, żeby im zapłacić, jednemu po drugim.

Ciężarówka z książkami ruszyła przed nią, dobrze z przodu, gdy wsiadła na konia z torbą i wyjechała po raz ostatni do obozu.

– Otwierać!

Myra krzyczała, uderzając w żelazną bramę. Ciężarówka zaparkowała z przodu, czekając z cierpliwością robota na zniknięcie przeszkody. Dowolne elektroniczne prośby, jakie wykonała, najwidoczniej zostały zignorowane.

Myra mogła zobaczyć dlaczego. Prócz płotu, niedużo zostało z obozu, a dalej z jednej strony – zbyt daleko, żeby mogła skorzystać – widziała mężczyzn rozbierających płot i zwijających go w wielkie bele i koła. Nic, prócz trawy i drogi, nie rozciągało się przed nią na kilkaset metrów. Tam, gdzie były chaty, widziała tylko grudki ciemnego materiału na stepie, z ludźmi wędrującymi dokoła

i ścigającymi się dziećmi. Fabryki nie zniknęły, ale wyraźnie wysychały, jakby ich konstrukcja następowała w przeciwnym kierunku.

Zsunęła opaskę, poprawiła parametry i spojrzała na scenę. Nikt nie słyszał jej krzyków. Cholera. Wyciągnęła starą podróbkę Glocka z Nowego Wietkongu z kabury, uspokoiła i przytrzymała konia, wystrzeliła, nie w powietrze, ale ostrożnie w kępę trawy kilkadziesiąt metrów dalej. Klacz się splotyła, kula i tak zrykoszutowała, ale strzał dał efekt, jaki chciała. Postać odłączyła się od kręcącego się tłumu i pomaszzerowała ku niej. Kim Nok-Yung z karabinem.

– Cześć, Myra. – Nie mógł przestać się uśmiechać. Wbił kod w płytkę zamka. Brama zaskrzypiała, otwierając, zostawił ją otwartą. Myra wprowadziła konia i ciężarówka podążyła za nią, potem trzymała tempo koło niej. Nok-Yung wskoczył na podest i trzymał się jedną ręką, wymachując triumfująco karabinem w drugiej, jakby wjeżdżał na czołgu do wyzwolonej stolicy.

– Czy to nie wspaniałe!

Zaraziła się jego entuzjazmem.

– Tak, to wspaniałe. Cieszę się, że to koniec, Nok-Yung.

Minęli jedną z fabryk, znikającą przed ich oczami, kruszącą się z jednej krawędzi w osobliwie uporządkowany kurz, kurz, który kapał jak kolumna mrówek wzdłuż ścieżek do pozostałych maszynierii lub na trawę. Część kurzu układała się w toporne stosy, które twardniały w kostki określonych kolorów, bezwładne, z których wiatr niczego nie zwiewał. Inne linie kurzu łączyły się w szklane sferoidy, obsydianowe lub przezroczyste, które leżały w wysokiej trawie jak lśniące otoczaki, kamienie i głazy.

– Komponenty sterowania, komputery i tak dalej – wskazywał Nok-Yung. – Kostki są materiałem konstrukcyjnym.

– Zastanawiam się, czy ktokolwiek je będzie zbierał?

Koreańczyk się roześmiał.

– Zabierzemy niektóre części sterowania ze sobą, mogą być cenne, tam gdzie się udajemy.

– Och?

Spojrzał z boku na nią, prawie przepraszająco.

– Semej – powiedział. – Do Szinosowów.

Myra powstrzymała się od ściągnięcia cugli konia.

– Co? Dlaczego, na miłość boską? – Machnęła ramieniem, wściekle, dookoła i poza nią. – Możecie zostać z nami, jesteście tu mile widziani, w naszej republice lub gdziekolwiek w Kazachstanie. Hej, człowieku, Bajkonur na pewno cię weźmie, pomyśl o tym!

Pokręcił głową.

– Oczywiście, niektórzy z więźniów tutaj zostaną. Jednak ja, Se-Ha i inni, jedziemy do Szinosowietów. Niektórzy z nas mają już tam przyjaciół i rodzinę. Nie ma innego miejsca dla nas. Nawet bez Ochrony Wzajemnej . . . – odwrócił się i splunął w trawę – . . . nadal mamy długi i czarne listy. Żadnej pracy tam, w domu, tylko odpracowywanie długu. Pośród Sinosowietów będziemy wolni. – Uśmiechnął się, już nie przepraszająco, ale dziko. – I jest tam praca do zrobienia, praca dla nas. Oni są przyszłością.

– Ale nie wiesz niczego, jacy oni naprawdę są. Tylko dlatego, że nazywają siebie komunistami, to nie znaczy, że są *mili*, powinieneś to wiedzieć!

Nok-Yung roześmiał się cierpko.

– Nie mają Wielkiego Wodza, albo Drogiego Przywódcy, możesz ich pokochać lub porzucić, a my zamierzamy spróbować.

Do tego czasu dotarli do brzegu tłumu. Myra zatrzymała konia i zasygnalizowała ciężarówce stop. Nok-Yung zeskoczył ze stopnia. To, co z daleka wyglądało jak bezcelowe wędrowanie, okazało się poruszającymi się celowo ludźmi, zabierającymi i układającymi swoje rzeczy z samorozbierających się chat. Większość z nich zi-



ignorowała jej przybycie. Myra nie była zaskoczona lub dotknięta. Korzyści jej nadzoru łatwo było przeoczyć, a sam komitet obozowy nie był popularny pośród więźniów, chociaż był wybrany. Jak związek w firmie, częściowo reprezentował interesy pracowników, chociaż wystarczająco często przekazywał wolę właścicieli.

Zauważyła Shin Se-Ha, eleganckiego w niestety przestarzałym garniturze *sararimana*<sup>2</sup>, który prawdopodobnie założył pierwszy i ostatni raz na swoim sądzie, ale który teraz podkreślał nową wolność. Niósł małą walizkę przez biegające dzieci i brnących dorosłych. Teraz inne pojazdy i bestie toczyły się lub człapały na widok, wezwane przez telefony przywrócone ich właścicielom.

Myra stała, pieszcząc kark klaczy, uciszając ją, gdy japoński matematyk skierował kroki ku niej. Próbowwała przypomnieć sobie, za co został zesłany: nadużycie zasobów przedsiębiorstwa lub inny pretekst, uruchomił udoskonalenia Otoh dla neomarksistowskich schematów reprodukcji kapitału, na danych empirycznych, na komputerach uniwersyteckich. Prawdziwym powodem były jego wyniki, które niedyskretnie rozesał w arkuszach: złowieszcza algebra równań Otoh pokazywała kompletne załamanie za dwa cykle biznesowe.

To było jeden boom i jeden krach temu.

– Witaj, Myro – powiedział. Odstawił walizkę. Prawdopodobnie zawierała wszystko, co posiadał, był tego rodzaju człowiekiem. Przeróżającym, na swój sposób.

– Cześć, Se-Ha. Nok-Yung mówił mi, że wybierasz się... – skinęła głową – ... na Wschód.

– Tak. Przepraszam, jeżeli nie akceptujesz.

---

<sup>2</sup> japoński, etatowy pracownik umysłowy, który okazuje lojalność i zaangażowanie zatrudniającej go korporacji, więcej <https://en.wikipedia.org/wiki/Salaryman> – przyp.tłum.

Bardzo bezpośrednio! Słońce świeciło w jej twarz jak lampa do przesłuchań i wiatr ciągle szumiał. To był czas na powiedzenie prawdy lub stawienie czoła gorszym mękom.

– Czy ja to akceptuję, czy nie, to nie jest pytanie – powiedziała.  
– Jesteście wolni i nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie. Ale powinna ostrzec was, że Republika Kazachstanu będzie opierać się Szinosowym, tak jak i ja. Nie obalicie nas. Byłoby mi przykro być po przeciwnej stronie w bitwie, ale...

Wzruszyła ramionami.

– Mnie też byłoby przykro – powiedział Shin. – Ale „tak to wygląda”, *ach-tak*?

– *Ach-tak* w istocie. – Uśmiechnęła się i nagle zrozumiała, jak Reid był w stanie utrzymać swoje nieprzyjaźnie typu „bez urazy” tak długo. – W międzyczasie, mam coś dla was. – Wskazała dłonią ciężarówkę. – To i wszystko w niej. – Rzuciła mu panel sterowania ciężarówki, który zgrabnie złapał. – No idź, zobacz.

Drzwi kliknęły otwarcie, zatrzęsły się. Wrócił. Złapał jej dłoń, pochylił się nad nią, jakby chciał pocałować jej palce i zrobił krok do tyłu.

– Jestem Ci dłużny – powiedział, sztywno. Potem rozłożył ręce, wyglądając jak na Zachodzie i raczej zakłopotany niż na Wschodzie i zobowiązany. – Co mogę powiedzieć, Myro? Jesteś bardzo miła.

– Ach, nie mów głupot, mój przyjacielu – powiedziała. – Ty, Nok-Yung i inni sprawili, że moja praca tutaj była bardziej satysfakcjonująca niż byłaby w innych przypadkach. Jestem wam to winna, jeżeli cokolwiek. – Współdzieliła z nim konspiracyjny uśmiech. – A biblioteka rewolucyjnej teorii może być przydatna tam, gdzie się udajecie, prawda?

– Tak. Nie wiem, czy mogę przyjąć odpowiedzialność. – Pokrę-

cił głową, myśląc o tym. – Są w tym pojeździe książki i dokumenty, które *nigdy nie zostały zeskanowane*.

Myra poklepała kieszeń.

– Nawet nie dla Biblioteki Kongresu?

– Nawet tam! – Wydawał się uznać tę myśl za niesamowitą, naruszenie praw natury. To powstrzymało decyzję Myry, gdy proste założenie utrzymywane przez pół życia, że wszystko jest zarchiwizowane, że każda jota i kreska była niezmienną w krzemowym niebie, zostało nagle skonfrontowane z rzeczywistością, że niektóre myśli mogły stawić czoła wieczności w wątej arce pulpy drzewnej i że była za nie odpowiedzialna. Jej zaangażowanie wzrosło.

– Och, dobra. Powinam już je dawno przeczytać, a jeżeli nie, to już zbyt późno dla mnie.

Gwar dookoła nich narastał. Pojazdy wyły, konie i wielbłądy rżały i pluły. Niektóre dzieci, nawet dorośli, płakali, zostawiając to miejsce, które mimo całego przymusu nie narzucało zbyt ciężkich niedostatków, i które było znajome. Niektórzy wytrwale podnosili szklane kamienie, czy jako talizmany, czy jako drobiazgi na handel, Myra nie potrafiła określić. Tysiące byłych więźniów rozchodziło się na całym horyzoncie.

Kilku innych mężczyzn schodziło się tam, gdzie stała, zbierając się dookoła, rozmawiając po koreańsku lub po japońsku, uśmiechając się do niej, wspinając się na pakę ciężarówki. Pojawił się Nok-Yung i potrzęsnął dłońmi.

– Będziemy w kontakcie.

Było tyle do powiedzenia, tak dużo, że nie mogłoby być wypowiedziane.

– Jeszcze się spotkamy – powiedziała Myra. – Wszystkiego najlepszego, chłopaki. Powodzenia z komuchami.

– Ha! – Nok-Yung podniósł zaciśniętą pięść i uśmiechnął się do

niej. – Pewnego dnia dołączysz do nas, Myro, zobaczysz. Żegnaj i dzięki!

Wrzucił torbę na pojazd i wskoczył na miejsce kierowcy, potem roześmiał się, gdy Shin Se-Ha wspiął się przez przeciwne drzwi i pomachał panelem sterowania przed jego nosem. Ciągłe krzycząc i machając, mężczyźni odjechali, podskakując na stepie, zdecydowanie na północny-wschód.

Myra obserwowała ich aż do horyzontu, potem wsiadła na konia i pojechała do miasta. Tylko raz się obejrzała i zobaczyła, że nie było nic do ujrzenia.

Lotnisko stolicy Międzynarodowej Republiki Robotników Naukowo-Technicznych miało tylko jeden budynek terminala. Była to wielka, otwarta przestrzeń, oznaczona franczyzami. Nigdy się nie przejmowali Urzędem Celnym czy Urzędem Imigracji. Pomiedzy oknami od podłogi do sufitu – z czarującymi widokami stepu, pasa startowego, bloków mieszkalnych, platform startowych i stepu – wisiały identycznie gigantycznie plakaty Trockiego, Korolewa, Kapicy, Gagarina i Guevary. Idea, wiele lat temu, była taka, żeby hala wyglądała komunistycznie: nieco zuchwalstwa macho. Teraz miało wyglądać miejsce, które miało *wpaść* komunistom w ręce, raczej ku niesmakowi Myry. Zatłoczone ludźmi siedzącymi na zbyt dużym bagażu, ich miny przeskakujące pomiędzy zniecierpliwieniem a rezygnacją przy każdej zmianie na ekranach odlotów. Na litość boską, myślała Myra, Semej jest dwieście kilometrów dalej, przesadzają.

Jej własny czas odlotu nie miał nastąpić w ciągu kolejnej godziny. Potwierdziła rezerwację w odprawie, upewniła się, że jej bagaż był na pokładzie i odmówiła propozycji oczekiwania w poczekalni pierwszej klasy. Zamiast tego przeszła do starej franczyzy Ni-

cafe i usiadła nad kawą z papierosem, by stopy odpoczęły, i aby dogodzić odrobinie nostalgii.

W starych, dobrych czasach przed Trzecią Wojną Światową, wypijała tutaj dużo kawy z wieloma mężczyznami po drugiej stronie stołu. Zawsze różnymi i prawie nigdy takimi, których by polubiła: brzydcy, jowialnie wojskowi w przeważającej części, na jet-lagu, z zarostem, w pogniecionych mundurach z wieloma orderami, albo dyplomaci, albo *biznesmeni* lśniący, ogoleni, wyperfumowani w jedwabnych garniturach. I zawsze, trzymając się kilka metrów dalej, poza ponurym pierścieniem ochroniarzy, byłiby fotografowie i reporterzy, by nagrać podpisanie umowy. MRRNT nigdy nie korzystał z tajnej dyplomacji, otwartość była ważną kwestią w handlu odstraszaniem nuklearnym.

Działało dobrze, aż do wojny jądrowej.

Niemcy rozpoczęli Wojna o Integrację Europejską bez atomówki po swojej stronie. To nie było przeoczenie, to był istotny element zaskoczenia. Kiedy ich pierwsza fala przejechała bezpiecznie przez granicę Polski, złożyli Myrze bardzo hojną ofertę na zbywalne odstraszanie nuklearne. Dzikie wydzwanianie Myry po klientach pokazało, że nikt nie był chętny do umowy: nie za żadną kwotę pieniędzy, na całkowicie racjonalnej podstawie, że Trzecia Wojna Światowa nie była dobrym okresem na sprzedaż. Myra rozważyła odcięcie ich i, tak czy inaczej, sprzedanie opcji Niemcom, ale jej lojalność biznesowa z nią wygrała. Wygrała też nad niemieckimi okupantami w Kijowie i cywilami Frankfurtu i Berlina. Ciągłe czuła się temu winna.

Dla towarzystwa założyła opaskę i wezwała Parvusa. Dla śmiechu usadziła wirtualny obraz na krześle przy stole naprzeciwko niej. Konstruktor ztriangulował swoją obecną pozycję, dostrzegł żart i się uśmiechnął.

– Co mogę dla Ciebie zrobić, Myro?

– Powiedz mi, co myślisz o Generale. – Nie przejmowała się mówieniem do pustego powietrza. Nie była jedyną osobą w tej kawiarni rozmawiającej z personelem lub sobowtórem.

– To jest podchwytliwe – powiedział Parvus. Przebiegł palcami po włosach, pogrzebał w zmiętej kurtce za papierosami. Zapalił i zrelaksował się, osobowość uzależniająca była częścią pakietu, aspekt jak rzeczy się ze sobą trzymały. – Oczywiście były plotki ... – lekceważąca smuga dymu – ... że Czwarta miała od dawna dostęp do dzikiej AI. Lub na odwrót, według ich przeciwników. – Parvus pokazał zęby. – To jeszcze z czasów, gdy AI o takiej komplikacji były rzadkie, przed Rewolucją lub Osobliwością.

– To jest Osobliwość? – Teraz była kolej Myry na machnięcie papierosem. – Nie, żeby zauważyła.

– To jedna z tych rzeczy, których nie zauważasz, kiedy jesteś w środku – zgodził się Parvus. – Jak masowe wymieranie, które dzieje się obecnie wokół nas.

– Ale to jest powolne, o to chodzi. Osobliwość miała być szybka na czymś więcej niż skala geologiczna.

– Była.

– Och. – Nie była pewna, czy chciała prowadzić tę rozmowę dalej. – Tak czy inaczej, wracając do Generała, oraz tego, co o nim sądzisz.

– Ach, tak. Hmm. Bardzo niebezpieczny, w mojej opinii. Jego użycie twarzy i głosu jest wybitnie skuteczne na dostanie się pod skórę ... ludzi ze skórą. Uważaj się za szczęśliwą, że nie używa feromonów, przynajmniej nie w sieci.

– Rozumiem, że sam jesteś nieczuły na jego uroki.

– Tak. – Parvus westchnął. – Na szczęście dla mnie, brak mi samoświadomości.

Myra ciągle gapiała się zaskoczona niespodziewaną uwagą personala – na pewno ironiczną, choć nie była pewna, na jakim poziomie – kiedy miejsce Parvus zostało zajęte przez kazachskiego mężczyznę w gładkich ubraniach i pomarszczonej twarzy. Trzymał z tyłu rozpraszające małe dziecko i cicho oskarżającą kobietę z napuchniętymi oczami. Kobieta zajęła kolejne krzesło, przytrzymała wykręcające się dziecko na kolanach.

Myra wymruwała Parvusa z widoku, niejasno mając nadzieję, że AI nie się uraziła, podniosła opaskę i uśmiechnęła się do mężczyzny i jego rodziny. Jego uśmiech w odpowiedzi był wymuszony.

– Dzień dobry, Pani Prezydent. Dlaczego nas zostawiasz?

Myra się rozejrzała. Wydawało się, że nikt inny jej nie zauważył. Kult jednostki był kolejnym strategicznym pominięciem w ich socjaldemokracji. I bardzo dobrze, nie chciała być oblegana przy wylocie.

– Nie zostawiam was – powiedziała żarliwie, pochylając się i mówiąc jakby poufnie. Jej misja nie była jeszcze publicznie ogłoszona, ale nie miała nic przeciwko prawdziwej plotce zawczasu. Tylko szczegóły były delikatne, a na tym poziomie tajności było to bezcelowe, była pewna, że jej plan podróży krążył w sieci, pogrzebany pomiędzy setkami nieprawdziwymi wersjami, z równie autorytatywnych źródeł.

– Jadę na Zachód, po pomoc. Wsparcie ekonomiczne i wojskowe.

Mężczyzna patrzył sceptycznie.

– Przeciwko Szinosowom? Ale wobec nich, nie mamy szans. Nie mamy obronnych granic.

– Nie, ale Kazachstan ma, i to w imieniu Kazachstanu jadę.

– Dla Chingiza? – Twarz mężczyzny rozjaśniła się, spojrzął na

zonę, jak gdyby pocieszająco. – Więc zamierzamy wyrzucić czerwonych z Semeja?

– Nie możemy bombardować Semeja – powiedziała Myra, powtarzając dokładnie przekazane jej słowa prezydenta Sulejmanowa. – Ale możemy utrzymać przełęcz na wschód od jeziora Zajsan i możemy zatrzymać dalsze postępy na północny-wschód. Jeżeli szybko otrzymamy pomoc. Siły Związku Chińsko-Radzieckiego raczej nie będą próbować niczego przez kilka tygodni, ponieważ są rozciągnięte. I nie lubią walk frontowych. Tak długo, jak Republika Kazachstanu pozostania wobec nich wroga, nie wejdą. – Uśmiechnęła się zachęcająco. – I mogę być pewna, że nasza republika pozostanie nieprzyjazna.

W ogóle tego nie była pewna. Było wystarczająco dużo społecznego niezadowolenia, dostatecznie zrozumiałego w jej zbędnym państwie robotników, żeby Sinosowiesi mieli na czym pracować. Bez wątpienia pierwsi agitatorzy już dryfowali, pośród pierwszych uciekinierów z Semeja. Jednak mężczyzna wziął jej słowa na poważnie.

– Tak – powiedział, dodając – jeśli Allah zechce. Ale my wyjeżdżamy, z wszystkim, co mamy.

– Nie mogę was winić – powiedziała Myra. – Życzę Wam dobrze. Mam nadzieję, że zobaczycie szansę na powrót, kiedy sprawy będą bardziej... pewne.

– Może. – Mężczyzna wrzucił ramionami, kobieta lekko się uśmiechnęła, dziecko nagle wrzasnęło. Odeszli, patrząc niepokieszeni na ekrany, zostawiając Myrę w depresji.

Mężczyzna wyglądał jak drobny kupiec, jeden z wielkiej klasy średniej wyniesiony przez mieszaną ekonomię Republiki. Pomimo wszystkich diabłów, którymi malowała ściany, MRRNT zawsze była



bardziej NEP<sup>3</sup> niż permanentna rewolucja: jedynie obrona i przemysł kosmiczny były państwowe, a oprócz systemu opieki społecznej wszystko inne (co w terminach PKB nie dawało zbyt dużo, musiała przyznać) było mniej lub bardziej *laissez-faire*. Zastanawiała się, czego ta rodzina bała się ze strony Szinosowietów, którzy według wszystkich relacji zostawiliby ich własność i bogobojność w spokoju. W pewnym sensie to nie było zaskakujące: Sinosowiety postępowali dzięki blefowi i zastraszeniu, przez wygładanie i brzmienie na bardziej radykalnych i komunistycznych niż w rzeczywistości byli, a ich nieobecność w sieciach łączności pozostawiała wielki pusty ekran na odtwarzanie najbardziej złowieszczych spekulacji. Zatem może ten rodzaj bezpodstawnego strachu był ceną ich postępu.

Cóż, sprawiłyby, że zapłaciła wyższą cenę w mocniejszej walucie. Dopięła kawę i ruszyła do poczekalni odlotów.

W Ałma-Acie odebrała dokumenty, paszport dyplomatyczny i kartę do linii kredytowej w odlotowej Samsonite Diplock przekazanej przez kuriera, a w trakcie lotu do Izmir przejrzała je. Papiery były dosłownie tylko dla jej oczu, pokryte błoną polaryzacyjną dopasowaną do jej opaski, która była dopasowana tylko do niej. Mimo tego, nawet siedząc w sekcji klasy biznesowej z przodu odrzutowca, sama prócz stewarda, Myra czuła impuls, by przygarbić się nad papierami i zasłonić je nadgarstkami i łokciami jak dziecko w klasie próbujące nie dać ściągać.

Sulejmanow podpisał śmiałą umowę z MRRNT i z nią. To była umowa, która została zaproponowana przez Georgi Dawidowa, który zmarł, zanim mógł z nią wrócić. Usta Myry zaciskały się, kiedykol-

---

<sup>3</sup> NEP – Nowa Polityka Ekonomiczna – określenie doktryny polityki gospodarczej w ZSRR w latach 1921–1929. Określana jest jako rodzaj gospodarki mieszanej lub kapitalistycznej, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Nowa\\_Polityka\\_Ekonomiczna](https://pl.wikipedia.org/wiki/Nowa_Polityka_Ekonomiczna) – przyp.tlum.

wiek o tym myślała. Jej podejrzania zostały wzruszone i nie chciały być ukojone. Umowy były naszkicowane w walizce, która była znaleziona przy jego ciele w hotelu pokojowym. Warunki były proste, bezpośrednia oferta unii ekonomicznej i wojskowego sojuszu. Kazachstan przejąłby szczątkowe zobowiązania społeczne MRRNT, wchłaniając tych mieszkańców, którzy chcieliby stać się obywatelami Kazachstanu, dotując resztę. Zapewniłby dla mniejszego państwa obronę konwencjonalną, pozostawiając Armii Ludowej i Robotniczej Milicji te funkcje, do których były rzeczywiście stworzone, bezpieczeństwo wewnętrzne, patrolowanie granic, głównie ochrona kosmodromu i lotniska. W zamian, rząd Myry zintegrowałby posiadane bronie w kosmosie, w tym atomówki, w obrębie sił obrony większej republiki. Zachowałyby ostateczne sterowanie operacyjne – nawet Sulejmanow nie mógł oczekiwać od nich poddania tego – ale dla celów publicznych, dyplomatycznych i wojskowych, działałoby razem pod jednym dowództwem. Za jednym zamachem Kazachstan miałby siły wojskowe współmierne z ich obszarem raczej niż populacją.

To nowe mocarstwo mogłoby negocjować pomoc z Zachodu. Mogłoby stać jako solidny bastion – możliwe, że nawet klin – przeciwko Sinosowietom, czego nie mogły zapewnić rozwijające się reżimy byłego Związku i podzielonej wojnami Chin. Bronie jądrowe byłyby ich kartą przetargową. Same w sobie bezużyteczne – w każdej najkrótszej perspektywie – przeciwko Szinosowom, mogły być dostępne dla USA lub ONZ w zamian za wsparcie hardware i na orbicie i nawet, na zewnątrz, rozmieszczenie wojsk, które *mogłyby* powstrzymać nową czerwoną falę.

Myra, jako najstarszy dostępny polityk, z najdłuższym doświadczeniem i najszerzą wiedzą i kontaktami na Zachodzie, zainicjowałaby by rozmowy. W pewien sposób wracała do swojego starego

biznesu sprzedawania polis odstraszenia jądrowego. Jedyną różnicą była taka, że teraz był tylko jeden logiczny klient. A ponieważ to byłaby wyteżona praca, przy napiętym harmonogramie, zamierzali dać jej tydzień przerwy, zanim zacznie, i bardzo dużo pieniędzy. Miała użyć pieniędzy i czasu, żeby znowu stać się młodą.

Odmładzanie było czymś, co powinna zrobić już dawno temu. Teraz, myśląc nad tym, trudno było dla niej określić powody prokrastynacji. To nie było to, że nie stać jej było na proces, lub nawet, że była nieprzyzwoicie uprzywilejowana, wielu jej własnych obywateli i pracowników robiło wycieczki do zachodnich klinik. Sprytne czarnorynkowe szczepy stosownego nanoware'u krążyły, gdziekolwiek istniały usługi medyczne, a aktualizacje ich niedociągnięć były rozwiniętym i legalnym handlem. Jednak Myra nigdy do nich nie dotarła, częściowo, że była zadowolona z jej obecnej kondycji, atrakcyjnej na tyle, by przyciągnąć interesujących i zainteresowanych mężczyzn, dostatecznie zgrabna do pracy i niewymagających zestawów ćwiczeń, ale w żaden sposób nie dostatecznie dobra, żeby ktokolwiek był wprowadzony w błąd, że jest młoda, kiedy tylko zobaczyliby więcej niż jej twarz lub zbliżenie na twarz.

Kolejnym aspektem, zrozumiała, była pewna patriotyczna upartość, rodzaju tego, że ciągle prowadziła swoją starą Skodę Traversera. Nie chciała kupować młodości od... nie tyle Zachodu co... nowej rasy, pokolenia post-nano-tech. Chciała radzić sobie z naprawami, które dotychczas dla niej działały: szwajcarskie zastrzyki kolagenowe, brytyjskie mikroboty układu krążenia, gruziński zapasowy układ odpornościowym z bakteriofagów, wietnamskie fitochemiczne regeneratory nerwowe, amerykańskie hakowanie telomerów... wszystkie złożone w postsowieckim zestawie, które służby zdrowia byłego Związku i demoludów rozdawały od dziesięcioleci.

Prezydent Kazachstanu w ciągu około trzydziestu sekund prze-

konał ją, że to było jej osobiste prawo i obowiązek patriotyczny, by skorzystać z pełnej roboty, jednego strzału cudownego środka nanotechu na śmierć. Uwolniona od ciężaru odpowiedzialności za MRRNT, z misją, na którą nawet historia może pewnego dnia się uśmiechnąć, że słuszność jakoś uzasadniła jej samolubną próbę stania się nieśmiertelnym.

Ale ciągle *memento mori*, gdy jej umysł dryfował, słowa się pojawiały.

*Śmierć za mną podąża. . .*

Pomyślała, że śmierć mogła ją dopaść na kilka sposobów przez kolejne kilka godzin. Podróż z lotniska Izmiru, Adnan Menderes, do Olu Deniz na wybrzeżu egejskim była przerażająca, nawet w opancerzonej limuzynie. Nie były to tylko serpentyny, zatrważające kierowanie samochodem, strome spadki czy – po zmroku – sposób, w jaki światła huśtały się w pustą, czarną przestrzeń. Było to wszystko oraz martwi mężczyźni.

Samochód właśnie z wysiłkiem pokonał wzniesienie, wyprzedzając kilka autokarów na centymetry pomiędzy huczącym metalem autobusów z jednej strony a szerokością opony od przepaści po drugiej, i dwie sekundy na ucieczkę przed nadjeżdżającą ciężarówką. Na zakręcie, kępa sosen nieco dalej od głównego lasu. Trzech zakrwawionych mężczyzn wiszących z gałęzi, za szyję, martwych. Mózg zachował widok szokującego wrażenia braku: na twarzach, w kończynach, w kroczu. Mrugnięcie i nie zauważyłaby.

Myra jęknęła. Wzrok kierowcy napotkała jej w lusterku. Zmarszczki dookoła jego oczu pogłębiły się w uśmiechu.

– Greccy partyzanci.

Zaczął opowiadać jej historię, jak Izmir był kiedyś Smyrną, zanim Kemal wyzwolił naród, i był – tylko trzydzieści pięć lat temu – znowu Smyrną, lotnisko było nazwane po greckim faszycie Gri-

wasie raczej niż po tureckim demokracji Menderesie, i jak Grecy zaczęli rekolonizować, jak powstałi Nowi Turcy, żeby wyrzucić helleńskich szowinistyczne pionki imperializmu, i... i tak dalej. Myra słuchała uważnie długiej, krętej opowieści nacjonalistycznych prentensji. Rozpraszało to ją, zajmowało jej umysł od wszystkich najgorszych atrakcji na poboczach i większości wstrzymujących serce zakrętów na drodze. To było miejsce, gdzie małe wojny były rzeczywiste, bez symulacji i bez pardonu.

Dlaczego Sulejmanow zarezerwował jej miejsce w klinice tutaj, z wszystkich miejsc? Wiedziała, że odpowiedź ma coś wspólnego ze złożoną dyplomacją reszty jej podróży. Federacja Turecka była jak zwykle w sporze z Rosjanami, którzy wspierali Bułgarów, Serbów i Greków, a większość reżimów dziedziczących po USA wspierała Turcję, natomiast burzliwa relacja Kazachstanu z resztą Byłego Związku była właśnie w okresie burzy, więc...

Niemniej jednak.

W końcu, w ciemnościach, ujrzała, że zmierzali długim zjazdem ku dolinie, która otwierała się na morze. Światła były rozsiane na poboczu i wzdłuż stoków doliny ze zwiększającą się częstotliwością do grup poza plażą, które były światłami statków. Gdy droga się wyrównała, kierowca skręcił w lewo, potem w prawo przez wielką żelazną bramę, która się dla nich otworzyła. Betonowe mury zwieńczone wiązkami drutu ostrzowego, krótki żwirowany podjazd. Wysiadła i się rozejrzała. Mogła zobaczyć basen z barem i wielopiętrowe apartamenty. Kierowca podał jej bagaż kilku chłopakom w dzinsach i koszulkach polo. Dała napiwek kierowcy, zameldowała się, poszła za facetem do jej pokoju, rzuciła jej rzeczy, dała napiwek chłopakom i wróciła po schodach i śliskich płytkach do baru, gdzie zamówiła Pilsa. Wypiła go w sekundy. Po klimatyzowanym wnętrzu samochodu, gorąc był przerażający.

Była w trakcie trzeciego piwa i czwartego papierosa, kiedy drobna, ciemna kobieta w białym fartuchu laboratoryjnym podeszła do niej.

– Madame Dawidowa? – Wyciągnęła dłoń. – Doktor Selina Masoud.

– Cześć. Miło mi cię poznać. Szukałaś mnie?

– Tak. – Doktor Masoud wycisnęła tabletkę z dozownika. – Popij to. Popij to . . .

Myra przełknęła. Doktor Masoud się uśmiechnęła. Miała kręcone włosy i ładne, białe zęby.

– Czymś bezalkoholowym, miałam powiedzieć. Ale w porządku, po prostu zachce ci się spać, teraz, to wszystko.

– Dobrze – powiedziała Myra, zasłaniając ziewnięcie. – Już jestem zmęczona. Papieros?

– Dziękuję. – Doktor wzięła papierosa i wyciągnęła złotą zapalniczkę, wsunęła ją z powrotem do kieszeni, z wdzięcznością się zaciągnęła. – Ach. . . potrzebowałam tego. – Usiadła na stołku koło Myry, zamówiła colę.

– Więc kiedy rozpoczynam kurację? – spytała Myra.

Doktor Masoud błysnęła brwiami.

– To *była* Twoja kuracja – powiedziała. – Zostajesz tydzień na wypadek komplikacji, niepożądanych reakcji. Nie będzie żadnych. Lekka grypa jest normalna.

– Och – powiedziała Myra. Wydawało się to jakoś rozczarowujące. – Więc co powinnam robić?

– Relaksować się. Pić dużo, przede wszystkim bezalkoholowo, żeby uniknąć odwodnienia. Jeżeli chcesz pomóc procesowi, pal i siedź na słońcu, ile tylko możesz. To kancerogeny i też denaturują kolagen, wiesz. . .

Powiedziała to, jakby przekazywała ostatnie i kontrowersyjne odkrycie.

– Tak – powiedziała Myra. – I?

– Katalizują reakcję telomerazy.

Uśmiechnęła się, dopiła colę, zeskoczyła z wysokiego krzesła.

– Muszę iść. Miłego pobytu.

Nagrane na taśmie wezwanie poranne muezzina z minaretu budziło ją przed ósmą. Leżała chwilę ciesząc się chłodem pokoju i szybko narastającym światłem. Pokój był, w porównaniu z jej własnym, orzeźwiająco niezabałaganiony: pomalowany iumeblowany w odcieniach bieli, świeże, proste linie wystroju i tkanin poruszały się tu i tam z rozstawem oczka lub pęczkiem koronki, jakby biały nastroj wahał się pomiędzy klinicznym a ślubnym, niezdecydowany czy oznacza szpital czy hotel. Niezły cel podróży poślubnej, domyśliła się Myra, zauważyła wiele młodych, głośnych par w barze poprzedniego wieczoru, choć nie mogłaby przestać zastanawiać się, czy konsekwencje bycia ze sobą *na zawsze* mogą nie uderzyć zbyt mocno, zbyt wcześnie, w takim miejscu jak to.

Przy basenie siedziała na leżaku i wcierała krem do opalania na ramiona i tułów. Jej ręce były jak pazury (ale giętkie), jej mięśnie żylaste (ale mocne), jej skóra marmurkowa (ale napięta) tak jak były w ciągu ostatnich czterdziestu lat.

Po jej lewej, za głównym budynkiem kliniki, grunt się wznosił jako pogórze rolnicze do wysokiego, bezużytecznego klifu. Po drugiej strony około kilometra do dna doliny, był niższy klif, który był zarośnięty krzewami i drzewami. Ponad głową, niebo było głęboko niebieskie. Paralotniarze, ich spadochrony w formie jasnokolorowych paznokci dryfowali, z odległego pasma daleko za wysokim klifem do plaży dwa kilometry dalej. Cykady warczały jak małe elektryczne urządzenia. Reszta ludzi tutaj wydawała się albo młoda, otrzymując swój *fix*, albo stara jak ona, przyjmując swoje odmłodzenie.

Przez dwa dni było to wspaniałe. Słońce wznosiło się nad klifem po lewej, zachodziło za klifem po prawej, regularnie jak w zegarku. Wieczorami puste klify wyglądały na czerwone i marsjańskie, a klinika jak kolonia na Księżycu, nieco sztuczne środowisko, nad którym nurkowały zaprzeczające grawitacji parolotnie. Myra spędzała dnie w słońcu, pływając i nie umierając. Było to lepsze niż niebo. Obróciła się i pozwoliła słońcu przypiec jej plecy.

Wielkie, gołe nogi stanęły przed jej twarzą, w rozszerzającej się plamie wody na betonowych płytkach. Jej wzrok przesunął się po owłosionych, brązowych nogach, mokrych wyciągniętych szortach, owłosionej, brązowej piersi, do twarzy. Dziobaty nos, jasne brązowe oczy, ciemne, czerwono-brązowe zakręcone włosy odrzucone do tyłu. Mężczyzna uśmiechnął się do niej, skinął głową nieświadom siebie.

– Myra Godwin?

– Tak? – Jak w, co to Ciebie właściwie obchodzi.

Przykucnął. Wielkie, białe, nierówne zęby.

– Jason Nikolaides – przedstawił się. – Zostałem poproszony, żeby z Tobą porozmawiać.

Poczuła się nieco zdezorientowana.

– Jesteś Grekiem?

Roześmiał się.

– Och nie. Nie od pokoleń. Amerykanin. – Lekko się uklonił. Krople wody spadły z jego włosów. – CIA. Mamy kilka spraw do omówienia.

Myra przewróciła się, spuściła nogi, usiadła prosto. Wygrzebała papierosa. Spojrzała na niego, oczy zmrużone od słońca i dymu. Westchnęła.

– Minęło dużo czasu – powiedziała.



## Rozdział 9

# Śpiew Sierpu

Spojrzałem wstecz na drzwi pubu, pokręciłem głową, ruszyłem wzdłuż boku placu i skręciłem za rogiem na ulicę, gdzie kwaterowałem. Poszedłem na kwaterę, wbiegłem na górę i rzuciłem torbę, potem na dół i znowu na zewnątrz.

Bez namysłu, skręciłem w prawo, w przeciwnym kierunku od stacji i placu. Przeszedłem kładkę nad torami i poszedłem wzdłuż drogi z miasta, koło zalewisk rzeki Carron i południowego brzegu Carron Loch. Linia kolejowa była po mojej prawej, pomiędzy drogą a morzem. Słońce obniżało się przede mną, ale jeszcze nie świeciło prosto w oczy. Na lewo wznosiły się zalesione wzgórza. Przeszedłem koło przysiółka i glen Attadale, dalej obok i poniżej stoku Carn nan Iomairean.

Szedłem około pięciu kilometrów, zanim się zatrzymałem, przeszedłem tory i usiadłem na skale na brzegu przy Immer. Przyptył był wysoki, a jezioro górskie spokojne. Mogłem czysto usłyszeć skrzypka grającego na jakiejś biesiadzie w lasach Strome Carro-nach. Wzgórza toridońskie, ich skały starsze niż życie, starsze niż światło z widzialnych gwiazd, wyłaniały się czarne za wzgórzami Strome.

Przez całą drogą nikogo nie spotkałem, minęło mnie kilka pojazdów. Cały krajobraz wydawał się zamykać mnie i przypomni-

nać mi, że byłem tutaj obcym, wyłączonym ze wszystkiego, prócz straszliwej miłości Boga. Kilkaset metrów dalej, mężczyzna z kosą pracował w wysokiej trawie łąki, tak jak jego przodkowie to robili, i jego następcy, bez wątpienia, będą robić. Merrial wyrecytowała, w sobotę na wzgórzach, fragment rymowanki majsterków, która znaczyła więcej dla niej niż dla mnie:

*Młot dzwonił w fabryce  
Sierp w polu śpiewał  
Rolnik robił opornie  
Sierp młota usłuchał<sup>1</sup>*

Żaden młot, żadna fabryka nie zatrzymała kosy tego mężczyzny. Jego rytmiczne zamachy cięły trawę, jak gdyby wieki się nie wydarzyły.

Potem mężczyzna ostrożnie odłożył ją na bok i wskoczył na siedzenie traktora, pierdnięcie silnika metanowego wystraszyło ptaki, gdy opuścił prasę i zaczął grabić siano.

Roześmiałem się z siebie, wstałem i ruszyłem z powrotem do miasta.

Wyszła, jak powiedziała mi barmanka, krótko po naszej kłótni. Podziękowałem dziewczynie, unikałem kolegów i ruszyłem do miasta majsterków.

– Nie ma jej tutaj.

Odwróciłem się od bezowocnego stukania w białe drzwi Merrial. Chłopczyk w szortach i koszulce, obie zbyt duże na niego, patrzył na mnie poważnie ze ścieżki. Podszedłem.

– Wiesz, gdzie poszła?

---

<sup>1</sup> „Fall 1991”, Kena Macleoda, tłum. własne – przyp.tłum.

Był bardzo czysty, o ile mogłem zobaczyć w słabym świetle, prócz czerwonej i najwidoczniej lepkiej plamy na policzku, pokrytej puchem. Powstrzymałem chęć naplucia na palec i wytarcia.

– Nie mogę powiedzieć – powiedział mi z bezinteresowną przebiegłością.

– Cóż, a możesz mnie zaprowadzić do kogoś, kto może?

Gdy pokręcił głową, uświadomiłem sobie skrzywienie żwiru dookoła mnie i zrozumiałem, że nie muszę szukać daleko. Kilkunastu majsterków, młodych i starych, kobiet i mężczyzn, wydawało się dryfować znikąd. Zebrali się w luźnym półkrygu wokół mnie, żaden bliżej niż trzy metry. Niektóre z twarzy widziałem przy wcześniejszych wizytach w obozie, inni byli całkowicie mi obcy. Wszyscy byli ubranie w tę mieszankę prostoty i sprytu, którą zaczynałem rozpoznawać jako osobliwość stroju majsterków. Wyglądało to, jakby reszta z nas nosiła odrzucone ozdoby jakieś upadłej arystokracji, podczas gdy majsterkowie sami wykrajali swoje eleganckie tkaniny.

– Szukam Merrial – powiedziałem, dość odważnie. W ciszy mój głos brzmiał zaskakująco i cienko jak skowronka na polu.

– Aye, wiemy to – powiedział młody mężczyzna. – Ale nie znajdziesz jej tutaj.

– I to wiem – odparowałem. – Więc gdzie mogą ją znaleźć?

Wzruszył ramionami. Ktoś zachichotał. W końcu, i jakby z sympatią, starszy mężczyzna dodał:

– To zależy od niej. Jeżeli nie chce, żebyś ją znalazł, to znaczy nie dla naszej pomocy. Jeżeli chce, znajdziesz ją wkrótce.

– Więc wiecie, gdzie ona jest? – Brzmiałem, nawet dla siebie, żałośnie pełen nadziei. Jedyłą odpowiedzią było więcej wzruszeń ramionami i chichot.

– Jest ktoś jeszcze, kogo chciałbym spotkać – powiedziałem. – Fergal.

– Och – powiedział starszy mężczyzna z udawanym zdziwieniem – jest wielu mężczyzn o takim imieniu. Nie wiesz może jak miał na nazwisko, prawda?

– Wiecie cholernie dobrze, kogo mam na myśli – powiedziałem.  
– Przekażcie mu, że chcę się z nim spotkać.

Wszyscy zrobili krok bliżej. Półokrąg stał się ciasno upakowaną podkową ludzi, którzy zaczęli się poruszać tak, że otwarty koniec był skierowany na drogę. Nigdy nie myślałem o majsterkach jako zastraszających jednego z tubylców – częściej to działało w drugą stronę – ale poczułem się wtedy zastraszony, może z powodu większej ich liczby. Zdecydowałem się ustąpić z łaski, gdy mogłem, raczej niż dać im powód do ukrytego – lub może wyobrażonego – zagrożenia. Zatem utrzymywałem dystans, gdy ciągle napierali.

– Ach, najlepiej jakbyś sobie poszedł – powiedział młody mężczyzna.

– Tak sędzę – powiedział. – Dobrej nocy wam wszystkim.

Odwrociłem się na pięcie i odmaszerowałem z taką godnością, na jaką mnie było stać. Kamień odbił się od wybrukowanej ulicy, gdy do niej dotarłem, ale się nie odwróciłem, ani nie przyspieszyłem. Wewnętrznie gotowałem się ze wstydu z bycia, dwa razy jednego wieczoru, pokonanym przez majsterków. Byłem jednakże zdeterminowany, żeby nikomu spośród moich przyjaciół i znajomych o tym nie mówić, nie z powodu swojego zażenowania, ale ponieważ mogliby poczuć się zobowiązani do jakiegoś wspólnego zastraszenia.

Nie była to ruchliwa noc na placu, a ja nie czułem chęci spotkania ludzi i rozmawiania. W rzeczywistości pragnąłem pić w samotności. Kupiłem butelkę whisky w Karonadzie, za markę, i wypadłem bez przywitania innego niż gestem.

W moim pokoju odkryłem kopertę wepchniętą pod moje drzwi.

Zawierała telegram, który rozłożyłem i przeczytałem przy rumianym świetle zachodu przy oknie.

CLOVIS PRZEZ CATHERINE FARFARER UL GŁÓWNA CAR-  
RON STOP BARDZO ZANIEPOK ZAGIN DOK NAKAZ ZWROTU  
POCZTĄ DO JUTRA WTOREK INACZEJ RĘCE ZWIĄZANE  
MOŻL DYSCYPLIN ORAZ BLISKIE ŚLEDZTWO STOP POZDR  
GANTRY.

Spacerując wybrzeżem, doszedłem do wniosku, że byłem głupcem, zostawiając Merrial, niezależnie od prowokacji, a teraz czułem się nawet bardziej gorzko. Ostrzegła mnie od początku, że kochanie jej nie zawsze by mnie uszczęśliwiło, i miała rację. Informacja, że mogła być członkiem tajnego stowarzyszenia, sprawiła, że jej odmowa zaufania była bardziej zrozumiała, nawet jak podstawy tego stowarzyszenia napełniały mnie przerażeniem. Moja historyczna erudycja nie wyprowadziła mnie z błędu popularnych poglądów: że komuniści, na swój niezdarny, cholerny sposób, dużo zrobili, walcząc z Posiadaniem, ale że ostateczne zwycięstwo nie było ich, a my mogliśmy dziękować Opatrzności, że nie było więcej komunistów na Ziemi. Nie mogłem się zmusić do uwierzenia, że Merrial naprawdę, w sercu, popierała tę diabelską wiarę.

Nie więcej niż Wyzwolicielka. Może Merrial, a nawet inni majsterkowie w społeczeństwie, używali rytuałów i fraz dla swoich własnych potrzeb, tak jak Wyzwolicielka wykorzystwała je do założenia swojej republiki.

Na tę radośniejszą myśl, wypilem kieliszek lub dwa i zasnęłam na łóżku.

Następnego ranka Catherine Farfarer, właścicielka, podała mi dwa telegramy. Pierwszy był od Podkomisji Dyscyplinarnej Senatu Uniwersytetu, zawieszającej moje członkostwo w Uniwersytecie *sine*

die<sup>2</sup>, wycofującej wszystkie prawa i przywileje, prócz reprezentacji przed Sądem Uniwersytetu, tuż przed rozpoczęciem roku akademickiego. Drugi był od Gantry'ego, wyrażającego swoją sympatię i mówiącego, że ODWOŁ OD SKANDAL DECYZJI.

I to było skandaliczne, w rzeczywistości byłem ukarany przed rozprawą, ponieważ moje szanse na sponsora lub mecenasa przestały istnieć. Nawet gdybym się oczyścił, straciłbym przynajmniej część pierwszego roku mojego projektu, co równie dobrze oznaczało stratę całego. Prztelegrafowałem do Gantry'ego, dziękując mu. Ale nie miałem wielkiej nadziei, że mógłby mi pomóc, lub że ja, z moimi upartym milczeniem, zasługiwałem na to.

Nie byłem zaskoczony, że Merrial nie było w pracy. Przetrwiałem przez większość mojego niebezpiecznego dnia w ciemności rozświetlanej łukiem elektrycznym w nodze platformy bez wypadku i właśnie czyściłem swoje narzędzia (i wszystkich innych) kwadrans po czwartej, kiedy pojawił się Angus Grizzlyback z niedoświetlonego rusztowania i usiadł na skrzynce.

– Clovis – powiedział. Spojrzałem w górę. Podrapał się po głowie jedną dłonią i odwrócił wzrok ode mnie na mały kawałek papieru, który trzymał w dłoni.

– Coś nie tak?

Nawet wtedy, pierwszą myślą było, że był niechętnym posłańcem złych wieści o moich rodzicach, lub podobnej sprawie rodzinnej.

– Tak, obawiam się, że tak – powiedział. – Muszę cię zwolnić. Spłacić.

– Za co? – spytałem, jednocześnie z ulgą i wstrząsem.

– Nic, co tutaj robiłeś – zapewnił mnie. – To jest wbrew moim chęciom, Clovis. Z tego wszystkiego, co tutaj pracowałeś, nie jesteś

---

<sup>2</sup> łac. na czas nieokreślony – przyp.tłum.

zły w tym, co robisz, i jesteś uczciwy, ale... – Wzruszył ramionami i spojrzał znowu na papier. – To Towarzystwo. Wycofali Twoje zezwolenie na pracę przy tym projekcie. – Spojrzał na mnie bystro, pytanie w oczach. – Jakież kłopoty, w jakie wpadłeś na Uniwersytecie.

Odłożyłem narzędzia na stół i zacisnąłem tłuste ręce na mojej głowie.

– Jak oni mogli to zrobić? – spytałem, ale znałem odpowiedź. Uniwersytet wskazał mnie Towarzystwu, którego był, oczywiście, częścią, jako ryzyko dla bezpieczeństwa projektu. To wszystko miało sens, choć wydawało się niesprawiedliwe.

– Wiesz, możesz się odwołać – powiedział Angus. – Poprę Cię. Przełknąłem zółć.

– Dzięki – powiedziałem. – Będę o tym pamiętał. Oczywiście się odwołam.

Jedynym powodem, dla którego myślałem o odwołaniu, było to, że brak takiego wyglądałoby jak przyznanie się do winy, a w istocie byłem winny wielu rzeczy, z których żadnych nie chciałbym przedstawiać przed sądem pracy. Pewny jednak byłem, że nic, co zrobiłem, nie mogłoby zagrozić projektowi, inni mogliby nie potraktować bycia szalenie zakochanym w obcym jako dobrej podstawy do skazania.

– Ach, dobrze, uruchomię maszynię – powiedział Angus. – Powiem Jondo i włączy w to Związek. – Zmusił się do uśmiechu. – Szybko wrócisz.

– Dzięki, Angus – powiedziałem.

– Ale teraz – kontynuował – muszę cię poprosić o natychmiastowe wyjście. Tu pisze, że powinienem odeskortować cię do granicy, ale nie zrobię tego.

Byłem bardzo wdzięczny, że zaufał mi aż do bramy, ale gdy

odwróciłem się i spojrzałem na przebytą drogę w stoczni, zauważyłem jego małą postać na zewnątrz platformy i zrozumiałem, że dyskretnie obserwował każdy mój krok.

Wsiadłem do wcześniejszego i prawie pustego autobusu do Carron Town i wróciłem do pokoju. Butelka whisky, w tej chwili, wydawała się jedynym moim przyjacielem. Rano byłoby to fałszem. Mielibyśmy ciężkie rozstanie, ale oboje wiedzieliśmy, że była to kwestia czasu, póki byśmy się nie pogodzili. Wiedziałem to wszystko doskonale dobrze, gdy siadałem pod świetlikiem i nalewałem sobie hojną miarkę alkoholu. Pokrzepiający ogień wpadł w moje nerwy i mogłem rozważać moje rozpadające się życie z pewnym dystansem.

Myślałem o tym, co straciłem, i czego nie straciłem, i ustaliłem, że to, co mi zostało, było wystarczające, żebym odzyskał resztę, jeżeli tylko wymyśliłbym sposób. Więc, zamiast urządzać jakieś smutne, samotne picie, umyłem się, ogoliłem, zmieniłem ubrania i poszedłem do Karonady.

Drzwi pubu, ciężkie od szkła i mosiądzu, zamknęły się za mną. Po słońcu, światło wydawało się słabe. Gdy wszedłem do baru, moje oczy się dostosowały. W tym czasie, około wpół do szóstej, pub był prawie pusty. Barmanką była ta sama dziewczyna, która nas obsługiwała w poniedziałkowy wieczór. Była lokalną dziewczyną, wysoką i szczupłą, z długimi, jasnymi, spiętymi włosami, mocnymi ramionami od pompowania. Jej imię, które poznałem po kilku minutach rozmowy, gdy pochyliłem się leniwie nad barem, sącząc pół litra jasnego, było Jeanna Berrymead. Dorastała na farmie nieco w górę glen, w Achnashellach.

Carron Town, zanim zaczął się projekt, było miejscem, gdzie każdy wiedział wszystko o każdym, lub przynajmniej rozmawiał jak gdyby wiedział. Wiedza Jeanny o moim spotkaniu, i rozstaniu,



z Merrial była wystarczająco szczegółowa, co sugerowało, że lokalne plotki szybko łapały nowości.

– Ten majsterek, który był tutaj ... – powiedziałem, próbując skierować ją od oczywistego badania mojej strony historii.

– Och, aye, Fergal.

– Znasz go?

Wzruszyła ramionami i zrobiła minę.

– Widuję. Wpada niekiedy. Trochę arogancki gnojek, ale stawia czasem kolejkę.

– Wiesz, gdzie pracuje?

– Aye, w starej elektrowni w Lochluichart. To już nie jest elektrownia, wiesz. Ale ludzie ciągle tak ją nazywają.

– Więc co to jest teraz?

Skrzywiła się.

– Miejsce, gdzie nie chciałbyś iść. Mówią, że tam majsterki robią swoje kryształowe widzenia. Słyszałam, że to jakby ... nawiedzone. Przerazające miejsce. Ale, nigdy nie spotkałam nikogo, kto tam był. Albo chciał pójść – dodała dosadnie.

– Znaczący, nikogo kto był majsterkiem – powiedziałem. – Przypuszczalnie Fergal wspominał, że tam był.

Potrząsnęła głową, marszcząc brwi.

– Nigdy nie powiedział słowa, nawet kiedy jest pijany. Nie, żeby był często pijany! Ten to potrafi się napić.

– Więc skąd wiesz, gdzie pracuje?

– Ach, nie wiem – powiedział, jakby zniecierpliwiona zejściem z tematu. – To tylko, wiesz, co mówią ludzie.

Miałem właśnie spróbować wyciągnąć więcej z niej, kiedy kolejny głos dołączył do rozmowy.

– Już jesteś na podrywku, Clovis, tak szybko po kłótni z ostatnią dziewczyną? – Mój kolega z pracy Druin brzmiał rozbawieniem.

Odwróciłem się i uśmiechnąłem się do niego, gdy barmanka nalewała pół litra. Druin był tubylcem, żonaty i w swoich latach trzydziestych, jego kamizelka odkrywała gołe brązowe ramiona ciągle poplamione olejem od pracy i pozabliźniane od lat pracy wcześniej.

– To wcale nie to – powiedziałem. – Myślałem o tym lepiej, kto by nie myślał? Jednak jej nigdzie nie ma. Więc próbuję dowiedzieć się więcej o majsterkach.

Roześmiał się.

– Jesteś niezły. Czytanie sprawia, że czujesz się śmiesznie w głowie. – Powiedział to nie jako obrazę, ale dobroczynne wyjaśnienie. – Ale – dodał – to jest dziewczyna, której sam bym nie rzucił.

Poprosiłem Jeannę o kolejne pół litra i, zauważając kusząco tanią butelkę, powiedziałem:

– Och, i po kieliszku Taliskera, proszę.

Druin uniósł szklanekę.

– Dzięki, chłopie. – Łyknął Taliskera i spytał – O co chodzi z Twoim zwolnieniem?

– Kłopoty na Uniwersytecie – powiedziałem. – Pożyczyłem dokumenty i okazało się, że nie mam żadnego wyboru, prócz oddania ich Fergalowi. MTN wydaje się, że uznało to za znak, że nie można mi ufać. Uważam to za obrazę.

– Może i tak. – Spojrzał na mnie z ciekawością. – Jednak nie wydajesz się tym bardzo przejęty.

Skrzywiłem usta, odwróciłem dłoń.

– Aye, przejąłem się, ale nie ma sensu pozwalać czemuś takiego mocno trafić. Odwołam się, Jondo też się ma za to wziąć. Jakoś to się wyjaśni. Bardziej jestem zmartwiony, dlaczego Merrial nie ma w pracy.

– Ach – powiedział. – Nie bierze dnia wolnego, czy zawieszenia, czy coś takiego. Rozwiązała swoją umowę.

– Skąd o tym wiesz?

Dotknął boku nosa.

– Jondo mi powiedział, ponieważ oczywiście zapytał się administracji, czy też została wyrzucona z pracy.

Westchnąłem.

– Zdaje się, że to ulga, w pewien sposób. Ale nic mi nie mówiła o tym, nawet wcześniej.

Druin skinął głową.

– Aye, to małymówna grupa, majsterki. Zatem, czego chcesz się o nich dowiedzieć?

– Cóż, jakby przyjmujemy ich za pewnik, racja? Niektórzy ludzie robią jakiś rodzaj pracy i nikt inny nie wie o tym za dużo. Jak to się zaczęło? Dlaczego wszyscy nie mogą podążać drogą światła? W ogóle, w jaki sposób ludzie stają się majsterkami?

Druin spojrzał na Jeannę, potem na swojego drinka. Podrapał policzek. Jenna niewytłumaczalnie lekko się zarumieniała i uniosła dłoń, zasłaniając chichot.

– To bardzo dużo pytań – powiedział Druin. – Odpowiadając na ostatnie jako pierwsze, większość ludzi, którzy stali się majsterkami, urodzili się w nich. Są majsterkami, ponieważ ich rodzice byli majsterkami.

– Aye – powiedziałem – ale spójrz na majsterków. Nie są ludem wsobnym, choć mogą być czymkolwiek innym. Więc muszą mieć nowych rekrutów, że tak powiem, ale nigdy o takich nie słyszałem.

Chichot Jeanny się przedarł. Odwróciła się i poszła na drugi koniec baru. Druin spojrzał za nią i na mnie, uśmiechając się głupawo.

– Cóż – powiedział ostrożnie – jest taka plotka, że ci z osiadłych, którzy stali się majsterkami, zrobili to poprzez stosunek seksualny. – Roześmiał się na minę mojej twarzy. – Zdaje się, mógłbyś być w trakcie procesu stawania się takim.

– Och, no *weż* – powiedziałem. – To śmieszne.

Druin pokręcił głową.

– To nie jest śmieszne – powiedział stanowczo. – Pomyśl o tym. Majsterek osiadając, przestanie być majsterkiem, a cholernie mało tak robi. Więc jeżeli chcesz być z majsterką, sam musisz stać się majsterkiem. I wywędrować, nigdy nie być ponownie ujrzanym. Majsterki nie zostają w jednym miejscu dłużej niż rok lub dwa lata, jeżeli już.

– Dobra – powiedziałem – rozumiem, że coś w tym może być.

– Mój umysł obracał to w różnych następstwach, żadne, z których byłem w nastroju podzielić się z Druinem. – Co z pozostałymi pytaniami?

Wzruszył ramionami.

– Co do tego, dlaczego oni i tylko oni robią to, co robią? Myślałem nad tym i jedyną rzeczą, jaką mogę powiedzieć, to, wywodzi się to z czasów Wyzwolicielki i dobrze działa. Co więcej możesz powiedzieć?

– Och, dużo – powiedziałem. – Jak czy to jest najlepszy sposób na robienie rzeczy.

– Aye, cóż, jak powiedziałem. To działa. – Pochylił się bliżej. – Oto kawałek żargonu majsterków, jaki podłapałem: „Jeżeli nie jest zepsute, nie naprawiaj”. Rozsądna rada, niezależnie skąd pochodzi.

Wysuszył kubek i wychylił whisky, potem uśmiechnął się i klepnął mnie w ramię.

– Widzę, że dałem ci dużo do myślenia, ale nie mam czasu więcej gadać. Odpadam. Do domu, do żony i herbaty, potem na wzgórze z karabinem.

Gdy zsuwał się ze stołka i prostował, rzucił mi sprytne spojrzenie i spytał:

– Może masz ochotę się przejść, Clovis?

– Polowanie na sarny? – Nagle brzmiało to jak coś, co desperacko potrzebowałem, żeby rozjaśnić sobie w głowie. Moje pierwsze badania już dały mi znacznie za dużo nowych informacji do przyjęcia.

– Pewnie – powiedziałem. – Dzięki.

– Wspaniale, dobrze, chodź zatem i na herbatę.

– Och, nie mógłbym, Twoja żona nie oczekuje nikogo. . .

– Ach, człowieku, jeżeli zobaczyłbyś, jak bardzo próbuje mnie nakarmić, poszedłbyś z czystej sympatii. Co Ty, będziesz mile widziany.

– Dzięki wielkie. Na razie, Jeanna.

Żona Druina nazywała się Arriane. Spokojna, solidna, czarna kobieta, która przyjęła moje przybycie całkowicie bez zaskoczenia. Usiedliśmy dookoła ciężkiego stołu w salonie, pod głośno tykającym starożytnym zegarem, z dwojgiem dzieci: chłopcem około czternastu lat nazywanego Hamishem, już pracującym na farmie rybnej i sześciolatniej dziewczynie imieniem Ailey, która beztrudno pomagała matce podać obiad.

Obiad – lub „herbata” jak to nazywali – składał się ze świeżej makreli, skałoczepów ugotowanych w słonej wodzie, młodych ziemniaków, marchewki i świeżej fasolki. Musiałem przestać przy trzeciej porcji jedzenia, ale Druin i Hamish jedli dalej. Ten rodzaj odżywiania wydawał się nie dodawać grama tłuszczu na żadnych z nich. Arriane nalegała, że wyglądałem na niedożywionego i mogła mieć rację.

Kiedy kobieta i dziewczynka sprzątnęły talerze, Druin wstał i z szacunkiem podniósł dwa karabiny z półki na ścianie. Podał mi jednego nad stołem.

– Wiesz jak się z tym obchodzić?

Powtarzalny, czterotaktowy, luneta. Zademonstrowałem znajomość i bezpieczeństwo ku satysfakcji Druina.

– Ma cholernego kopa – ostrzegł, podając mi sześć naboí. – Jednak, nie będziesz miał szansy na więcej niż jeden strzał, nawet jak będziemy mieć szczęście.

Pożegnał się, ja podziękowałem całą rodzinie, potem wyprowadził mnie do tyłu i z boku domu, gdzie była zaparkowana jego półciężarówka. Położyliśmy karabiny z tyłu i wspięliśmy się do kabiny. Siedzenia były skórzane, deska rozdzielcza drewniana, stal nierdzewna, wszystko wypolerowane z miłością.

– Silnik fuzyjny – powiedział z dumą, gdy przekręcił kluczyk i w odpowiedzi natychmiast otrzymał niskie brzęczenie. – Osiemdziesiąt lat i nic złego się nie dzieje. Był w rodzinie tak długo. Żadne te wasze metanolowe czy metanowe smrody dla nas.

Pojazd zamruczał na głównej ulicy i na drodze koło New Kelso. Druin przyłapał mnie na wykrzywianiu szyi, by obejrzeć osiedle majsterków i się roześmiał.

– Ach, znajdziesz ją – powiedział.

Na skrzyżowaniu skręcił w prawo, w górę jeziora. Wieczorna fala ruchu się zmniejszyła i posuwaliśmy się szybko z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę.

– Gdzie się kierujemy? – spytałem, gdy zwolnił na głównej ulicy Achnashellach. Małe stado krów rasy Highland było prowadzone przez miasto, Bóg wie, z jakich powodów.

– Ach, zobaczysz, gdy tam dotrzemy. – Spojrzał na mnie z boku. – Możesz palić, jak chcesz, tylko upewnij się, że popiół idzie za okno, a niedopałek do popielniczki. – Nacisnął klakson. – Ach, ruszcie swoje jebane dupy – poradził owłosionej bestii, która wyglądała na niego, jakby go usłyszała, podrzuciła rogami i człapała nieświadomie przed nami przez następne kilka minut.

Po minięciu przeszkody, przyśpieszył na długiej, powoli wznoszącej się drodze do Achnasheen, które przejechaliśmy dwadzieścia minut później. Ulice miasta wznosiły się wysoko na zalesione wzgórza i pomiędzy szklarnie na dnie doliny.

– W dniach mojego pradziadka, wszystko to była pieprzonym bagnem, według tego, co mówi – zauważył Druin. – Stacja, hotel i wszystko kurwa dookoła. Aye, odebraliśmy ziemię i bez pomyłki, jak powiedział Brahan Widzący.

– Kto?

– Och, taki prorok ze starych czasów, powiedział, że ludzie wrócą do górskich dolin. Nostradamus Północy! – Roześmiał się. – Mówią, że patrzył na przyszłość przez dziurę w kamieniu, i ten właśnie kamień jest gdzieś na dnie jeziora.

– Kryształ widzenia?

Druin zarechotał.

– Masz majsterków w mózgu, Clovis! Widzący żył i umarł dawno temu, jeszcze przed komputerami. Których nie przewidział. Nie, to był zwykły mały kamień z dziurą, przez którą patrzył.

– Wierzysz w to?

– Nie sądzę, żeby było coś specjalnego w kamieniu – powiedział Druin. – Ale może było coś specjalnego w oku lub mózgu za nim.

– Jasnowidzenie? – powiedziałem sceptycznie.

– Nie wiem o tym – powiedział Druin. – Brahan Widzący zobaczył przyszłość w wyobraźni, tak jak i my wszyscy. – Zachichotał. – Był po prostu lepszy w tym niż większość.

Druin zatrzymał się w małym miejscu zwanym Dark i, zostawiając samochód zaparkowany na poboczu, poprowadził mnie przez sosny na lewo.

– Żadnego palenia – powiedział cicho. – I teraz bez gadania.

Skinąłem głową, koncentrując się na dźwiganiu siebie i coraz

cięższego karabinu w górę stoku. Gruba warstwa igieł spowalniała, tyle o ile, cichy postęp. Miałem nieco problemów z dotrzymaniem kroku Druinowi i zdecydowałem wtedy i tam, że palenie jest naprawdę niezdrowe. W tym samym czasie, czułem napięcie, które tylko dym mógł złagodzić. Coś w manierze Druina i coś w naszej pozycji męczyło mnie, ale nie wiedziałem co. Stale się wspinaliśmy, coraz dalej od drogi i w górę wzgórza.

Druin dotarł do szczytu pasma przede mną i tam się zatrzymał, ręce na jednym kolanie, gdy nadrabiałem. Wskazał w dół przez przerwę w drzewach, gdzie druga strona grzbietu opadała z powrotem na drogę. Patrząc w dół, mogłem dojrzeć drogę, linię kolejową i długie, wąskie jezioro górskie.

Loch Luichart. Rozpoznałem miejsce z nagłym wstrząśnięciem przypomnienia, że to było gdzie – jak mówiła mi Jeanna – Fergal pracował i majsterkowie robili swoje dziwne kamienne komputery. Stara elektrownia, na którą wskazywał Druin, była wielkim, ciemnym, klockowatym budynkiem u stóp stoku poniżej nas.

– O co chodzi? – spytałem Druina, tak cicho, jak mogłem.

Uśmiechnął się do mnie i zaczął powoli iść w górę grzbietu.

– Pomyślałem, że mógłbyś chcieć zapolować na coś więcej niż łanię – powiedział. – Szukasz tego faceta Fergala i Twojej dziewczyny Merrial. Tam na dole może być dobre miejsce do szukania.

Sapnąłem, ale nie z wysiłku dotrzymywania mu kroku.

– Nie możemy po prostu tam wmaszerować!

– Dlaczego nie? – chrząknął. – Poza tym, nie „wmaszerujemy” tam po prostu. – Zatrzymał, zrobił kilka kroków na prawo w kępe krzaków. – Ach, jest tutaj.

Doszedł do cylindrycznej struktury zniszczonej, pokrytej pnączami, ceramicznej, około metra wysokiej i na metr szerokiej. Gdy



podszedłem, wskoczył na górę i zaczął zeszkrobywać przerośnięte rośliny bokiem podeszwy. Po chwili odsłonił się zardzewiały wąż.

Nie na tyle zardzewiały, żeby jednak go nie otworzyć. Spojrzałem do środka i zobaczyłem serię szczelbi znikających w ciemnościach. Druin zrzucił kamyk i nadstawił ucha.

– To tylko około dwudziestu metrów – powiedział mi.

– Wielkie nieba, człowieku, chyba nie mówisz o schodzeniu tam, prawda?

– Aye, tak mówię – powiedział. – Jest to wystarczająco bezpieczne, jak długo się trzymasz.

– Ale wiesz, co jest na dnie? – Spojrzałem na niego podejrzliwie. – A poza tym, skąd o tym wiesz?

Druin westchnął teatralnie.

– To, co jest na dnie, to tunel, nie wiem, czy był częścią oryginalnej hydroelektrowni, czy czymś, co zostało dodane potem. To całe wzgórze było pokopane i pocięte tunelami. Było używane jako baza podziemna przez Armię Brytyjską, i przez Republikanów w trakcie wojny domowej przed Pierwszą Światową Rewolucją, zdaje się, że zmieniło kilka razy właściciela. A co do tego, skąd o tym wiem ... – Roześmiał się. – Schemat i mapa tego wszystkiego są w muzeum w Jeantown! Uważasz, wydaje mi się, że majsterki zmienili schemat, w ten sposób lub inny.

– Brzmi całkiem mroczno – powiedziałem.

– Ach, na dole będzie jakiś rodzaj światła. I mam latarkę.

– Czy miałeś to na myśli cały czas?

– Aye – przyznał. – Ale nie chciałem ci mówić wcześniej, na wypadek, gdybyś spanikował, martwiąc się tym, zanim w ogóle tutaj dotarliśmy. Tak jak jest, zaczynam się właściwie zastanawiać, czy miałem rację, myśląc, że masz w sobie ducha awanturnika.

Przez ostatnie pięć minut nic nie robiłeś, tylko krytykowałeś. Czy chcesz starać się o tę kobietę, czy nie?

– Oczywiście, że chcę – powiedziałem, nakręcony do działania, jak bez wątpienia umyślił, jego aluzją o tchórzostwie. Przewiesiłem karabin przez plecy, wdrapałem się i postawiłem stopę na szczelbu, gdy zsunąłem się do środka. – Też idziesz?

– Będę tuż nad Tobą – powiedział Druin.

Przez następne kilka minut, koncentrowałem się całkowicie na schodzeniu po drabinie. Szczelble nie wyglądały na zardzewiałe, tak jak śruby, w rzeczywistości metal i ceramika szybu były mi nieznane. Jednak nie mogłem być pewny, że każdy szczelbel przetrwał wieki, więc testowałem każdy, zanim przyłożyłem mój pełny ciężar. Zawieszony karabin tylko zwiększał niezręczność. Jedno spojrzenie w górę potwierdziło, że Druin schodził za mną. Ponad nim właz był widoczny jako mała, jasna dziura.

Po, co wydawało się długim czasem, moja stopa natrafiła na puste miejsce, tam, gdzie powinien być szczelbel. Po chwili przestachu opuściłem stopę niżej, ostrożnie i dotknąłem podłogi. Chrząknąłem z ulgi, zszedłem i odsunąłem się od drabiny, ciągle uważając, gdzie stawiam stopy. Druin skończył schodzenie chwilę potem i staliśmy razem w ciemności i milczeniu.

W trakcie schodzenia moje oczy zaadaptowały się do słabego światła i nawet tutaj, na dnie szybu, nie było całkowicie ciemno. Byłem świadom, bez do końca wiedzy dlaczego, że byliśmy w rzeczywistości w tunelu i że tunel był dość mocno nachylony. Rozglądając się dookoła, widziałem jaśniejszą przestrzeń niżej. Popatrzyłem na Druina i wskazałem w tym kierunku. Jasny owal jego twarzy zrobił kołyszący ruch, który zinterpretowałem jako skinienie. Razem poszliśmy w dół pochyłości.

Po kilku krokach uderzyłem się palcem w coś twardego.

– Cholera – wymamrotałem, podskakując. Druin wpadł na moje plecy i obaj zakofalsaliśmy się niebezpiecznie.

– Jebać tę zabawę w żołnierzy – powiedział Druin. Odpiął latarkę od pasa i włączył ją. Mocna wiązka białego światła rozświetliła tunel przed nami. Pokazała, że podłoga była zaśmiecona przez szkodami, dziwnie ukształtowanymi kryształami widzenia w różnych wielkościach. Również pokazała, że tunel był pełen ludzi.

Druin jęknął przekleństwo i zaskakująco gładkim i płynnym ruchem zdjął karabin. Wiazka latarki w ogóle się nie zachwiała. Ciągle byłem nieruchomy od szoku, natychmiast, gdy zebrałem się w sobie, spojrzałem ponad ramieniem i ujrzałem więcej postaci zbierających się za nami, niewyraźnych w odbiciu światła latarki. Jedna taka postać była najwyraźniej w trakcie sięgania po mnie, uderzyłem mocno w ramię i prawie upadłem, ponieważ moja pięść przeszła przez nią. Druin obrócił się dookoła w tym samym momencie i światło rzuciło mój cień groteskowo na postaci przede mną. Nie zareagowały ani na cień, ani na światło. Druin wypuścił oddech w jednym porwywie, potem się roześmiał.

– One są puste, człowieku!

– Ach. – Patrzyłem na nie w zdumieniu. – Aye, takie jak majsterki straszą dzieciaki na jarmarkach.

– Dokładnie tak. Boże, ale mnie przestraszyli.

– Nic dziwnego, że Jeanna mówiła, że to miejsce jest nawiedzone.

– Tak mówiła, czy nie? – dumał Druin. – Będę musiał kiedyś pogadać z tą dziewczyną. Jednak. Ruszajmy. I trochę ściszy głos.

Żaden z nas w ogóle nie mówił głośno, ale najmniejszy dźwięk wydawał się wzmocniony przez akustykę tunelu. Odwróciliśmy się i poszliśmy, światło z latarki Druina umożliwiło nam uniknąć kamieni na podłodze i prawie zignorować zjawy, które były przez

nie rzucane. Prawie, ponieważ nieruchome twarze mężczyzn i kobiet przedstawione w tych nienamacalnych posągach były uchwycone w momencie udręki i alarmu, które, gdy ciągle wyłaniały się z mroku i nas mijały – lub mijały przez nas – były wystarczające, by pobudzić, przynajmniej we mnie, pełzające poczucie niepokoju. Wyglądali niesamowicie jak zagubione dusze, przekłęci z zabobonów chrześcijańskich i mahometańskich i wymagało to silniejszej wiary w Rozum niż moja, żeby iść tą mroczną ścieżką nieporuszoną. Nieracjonalne jak mogłoby się wydawać, pocieszałem się faktem – znanym każdemu dziecku dostatecznie dużemu, żeby nie bać się „namiotu duchów” na jarmarku – że „pustaki” nie istnieją poza światłem i zatem, że nie było niewidzialnego tłumu w ciemnościach za nami.

Obecnie minęliśmy ich niesamowite towarzystwo i byliśmy bliżej źródła światła na końcu tunelu (wyrażenie, którego pełną siłę po raz pierwszy doceniłem). Powietrze pachniało wilgocią i w tym samym czasie świeżej. Dotarliśmy do końca nachylenia, skalista podłoga tunelu była płaska. Druin wyłączył latarkę i postępowaliśmy bardzo wolno i cicho, przez kolejne kilka metrów. Powodem niejasności światła okazał się być ostry zakręt w tunelu. Zakradliśmy się dookoła, trzymając się dalszego boku łuku, karabiny w garści (choć nie, jak przypomniałem sobie w tamtym momencie, załadowane).

Szturchnąłem Druin i, wyjmując nabój z kieszeni, spróbowałem włożyć go do karabinu. Pokręcił głową, stanowczo, a ja odstaپیłem, uspokajając siebie myślą, że pistolety przy naszych paskach były gotowe do natychmiastowego użycia. Obeszliśmy łuk i spoglądaliśmy na jasno oświetloną wielką przestrzeń, przynajmniej dwadzieścia metrów w poprzek, jak mi się wydawało, i dziesięć w górę. Światło pochodziło z paneli nad głowami i wydawało się światłem słonecznym. Ściany zakrzywiały się ku sufitowi, kamienne, zatem

grota i nie taka naturalna. Jej długość nie była jasna z miejsca gdzie staliśmy, w jednym z rogów.

Jaskinia zawierała rzędy za rzędami kamiennych koryt, połączonych schodkami otwartych rur, przez które kapały strumyki wody. Niektóre były zorganizowane do zasilania koryt, inne do odprowadzania ścieków, lub tak zgadywałem, z faktu, że żaden kanał, który wychodził z koryta, nie wchodził do kolejnego. Mogłem naliczyć kilka osób tam pracujących, poruszających się od koryta do koryta, dokonujących niewykrywalnych zmian w nurcie lub dodających jakiś proszkowy materiał. Wyglądali jak hydroponiczni ogrodnicy i pomyślałem na pierwszy rzut oka, że wykonywali to znajome rzemiosło, może dla jakiegoś tajemnego składnika żywności majsterków. Potem zauważyłem zawartość koryt dalej na prawo i, gdy szybko zrozumiałem, bardziej dojrzałych. Hodowali kryształy widzenia, mogłem rozróżnić większe z nich ustawione w linii, pięć w korycie.

– Cóż, dobra – powiedział Druin, jakby myśląc, tak jak ja: więc *tak* one są robione! Zawiesił karabin na ramieniu, spojrzął na mnie i wzruszył ramionami.

– Nie ma sensu się teraz skradać – powiedział.

Potem wymaszerował odważnie w światło.

## Rozdział 10

# Zapomnij o Babilonie

Wyszli z kostnicy, schylając się pod łukami i przez wybite otwory w ścianach, do kościoła. Poniżej dziobatych, oszpeconych murali Ortodoksów, turecka kobieta sprzedawał jadeit, srebro i szydełka. Zignorowali jej gest zachęty, wyszli na zewnątrz, przeszli koło kilku stoisk. Po drugiej strony zagłębienia na szczycie budynku, gdzie stał kościół, zbocze pełne ulic i pustych, kamiennych domów bez dachów, walczyło z powolną zieloną entropią brzozy i jeżyn. Światło było oślepiające, gorąc dławiący, cisza intensywna. Cykady ją łamały, ptaki, skoki jaszczurek.

Jason obszedł front kościoła, odnalazł datę w kolorowych kamieniach na bruku.

– 1912 – powiedział. – To wtedy go skończyli. Jak dumni musieli być. Dziesięć lat później, odeszli. Dobrowolna wymiana ludności, ha.

Myra kucnęła w słońcu, łyknęła wody, zaciągnęła się papierosem.

– Gorsze rzeczy się od tego czasu wydarzyły. – Suche, starożytne kości żeber i ud w kostnicy nie przeszkadzały jej tak bardzo, jak świeże ciała, które widziała pierwszego wieczoru.

– Bez wątpienia. – Jason wzruszył ramionami. – Ale wiesz, to miejsce, sprawia, że czuję się jak Grek, po raz pierwszy w moim

życiu. Nawet cholerny *chrześcijanin*. – Spojrzał na kramarzy kilkadziesiąt metrów dalej, skulił się koło niej i powiedział niskim, szczerym głosem. – Jak, wiesz, zachodni. To inna kultura. Nie są tacy jak my.

Myra patrzyła na niego zszokowana. Karmilassos, lub Kaya, lub Kayakoi, lub jakkolwiek była nazywana (Turcy bezwstydnie nazywali ją „wioską greckich duchów”) też na nią wpłynęła, ale agent CIA wydawał się wyciągać z tego kompletnie zły morał.

– Tak właśnie działa nacjonalizm – powiedziała. – I takie właśnie myślenie. Nie, dziękuję. Nie przyjmuję tego.

Jason wyglądał jakoś na zranionego. Przechylił kapelusz do tyłu i zaczął przygotowywać skręta. Jego wiek – jak twierdził, i mu wierzyła, choć kto mógłby być teraz pewny? – to dwadzieścia cztery lata. Ostatnim razem, kiedy była poważnie zaczepiana przez CIA, było to ponad sześćdziesiąt lat wcześniej. Było coś niesamowitego w człowieku, który kontynuował akta tyle starsze niż on sam.

Ostatnim razem: mężczyzna z Agencji rozmawiał z nią nad latte w Starbuck’s przy Harvard Square, w lipcu 1998, kiedy nagłaśniała pomoc medyczną dla ofiar opadu w Kazachstanie. Dziecko na plakacie kampanii miało rozszczep podniebienia. Chirurg, którego poznała, ustawił kontakt, ktoś, kto pracował w konsulacie w Ałma-Acie, powiedział, ale się nie oszukiwała. Przyniosła magnetofon, dyskretnie w kieszonce bluzki. Oczekiwała kogoś, kto wygląda jak mormon, Mężczyzna w Czerni. Był młody, ciemny, bystry. Ciemnoniebieski podkoszulka, spodnie bojówki. Nazywał siebie Mike.

Rozmawiali o Wielkiej Brytanii. Mike był zainteresowany Ulsterem. Oranżysty maszerowali w Drumcree. Myra nie powiedziała mu niczego, czego nie wiedział. Wiedział więcej o niej, niż ona wiedziała, od niechcienia podane nazwy demonstracji, na których była

w latach siedemdziesiątych, gdy leniwie przewracał wiadomości zagraniczne w *Boston Globe*. Zabrali swoje kawy na zewnątrz, usiedli na niskim murze, podczas gdy Myra paliła.

Mike skinął na zaciśniętą czarną pięść na spłowiałym muralu „black power” wysoko na murze po drugiej stronie ulicy, ponad sklepem z mapami na rogu.

– Wszystko to skończone – powiedział. – Koniec z kłótniami o polityce, Myra. Wszystkie układy są nowe, teraz. Nie prosimy, żebyś kogokolwiek zdradzała, czy cokolwiek. Tylko dzieliła się informacjami. Mamy wspólne cele. Udajesz się w końcu w niebezpieczne miejsca. – (Ach oto i było, groźba). – Nigdy nie wiesz, kiedy właściwe znajomości mogą być ważne.

– W rzeczy samej – powiedziała. Patrzyła w roztargnieniu na nastolatkę z różowymi włosami, pewna, że już ją wcześniej widziała. Potrząsnęła głową. – Będę to mieć na uwadze – powiedziała. – Tu mój numer komórki.

Mike dał jej swój i poszedł. Tej nocy Myra przekazała taśmę całej rozmowy przez biuro do jednej z lokalnych sekcji Czwartej, i reporterowi *Mother Jones*<sup>1</sup>. Reporter był niezdecydowany, lokalny aktyw, po krótkiej panicznej konsultacji, kazał jej współpracować.

Dwa tygodnie później była w Nowym Jorku i spotkała znowu Mike’a opierającego się o poręcz na promie Staten Island. Ostatnia przeprawa dnia, który był wilgotny, a teraz mglisty. Codzienni pasażerowie siedzieli na ławkach, turyści pozowali do zdjęć siebie ze Statuą Wolności lub wieżami Manhattanu, *aparaturą* kapitału, wyłaniający się z tyłu. Zgodziła się nawiązać kontakt z konsulatem, kiedy wróci. A w kolejnych latach, tak zrobiła, od czasu do czasu, gdy ona i Georgi wspinali się w strukturach postsowieckiego Kazachstanu,

---

<sup>1</sup> amerykański dwutygodnik liberalno-progresywny, zob. [https://en.wikipedia.org/wiki/Mother\\_Jones\\_\(magazine\)](https://en.wikipedia.org/wiki/Mother_Jones_(magazine)) – przyp.tlum.



przez rewolucje i kontrewolucje. Głównie informowała o ludziach, którzy byli tak samo jej wrogami, jak byli dla CIA. Przemytnczy narkotyków, ludzi, broni, skorumpowani handlarze koncesji minerałów i grabieży zasobów. Mówiła Czwartej o każdym takim spotkaniu i nic jej nie odpowiedzieli, w końcu to wszystko zbladło. Po Jesiennej Rewolucji archiwa zostały otwarte. Myra leniwie przeszukała po swoim nazwisku lub nazwach kodowych o odkryła, że większość osobników i firm, które podała do CIA, już pracowała dla CIA.

Jednak ciągle traktowali ją jako aktywną, bękartę, po wszystkich tych latach i zmianach.

A dziewczyna z różowymi włosami też była na promie do Staten Island. Nigdy tego nie zrozumiała i w końcu złożyła to na karb przypadku.

Jason podał jej skręta i palili razem, gdy wędrowali w dół po stromej, kamiennej ścieżce przez porzuconą sady oliwne do podnóża wzgórza, gdzie zostawili wynajętego jeepa. Obskurne małe osady były spójne z nowo wybudowanymi domami z betonu i kilkoma odebranymi kamiennymi domami na pierwszej ulicy dawno opuszczonego greckiego miasta. Wszystkie były wypatroszone lata temu, tureckie rodziny, które tam żyły, zostały zabite przez greckich partyzantów w ostatniej wojnie. Niebieskie i białe ceramiczne oczy – na powodzenie, przeciwko złemu oku – nad drzwiami były popękane, belki ściemniały. Myra ugasiła niedopałek w popiołach drzewnych, które ciągle były głębokie na kilka centymetrów. Nie czuła się zjarana, tylko skupiona, jej wzrok rozszerzony jak przy nakładce VR. Mogła *zobaczyć* dlaczego ta ziemia była warta walki.

Jason wsiadł na miejsce kierowcy, gdy Myra wsiadała z drugiej

strony. Patrzył na nią współczująco jakby na wpół z przykrością za sprowadzenie jej tutaj.

– Czasem Bóg jest sprawiedliwy – powiedział.

– Ta. W bardzo starotestamentowy sposób.

Jason uruchomił silnik i zawrócił dzipa na wąską drogę do Hisaronu. Droga się wspinała, ocierając się o drzewa, krawędzią o urwiska. Sosna, skała i suche wąwozy, było jak w gorący dzień w Szkocji. Myra pamiętała dzień z Davidem Reidem, przy rzece pomiędzy Dunkeld i Blair Atholl, który wyglądał prawie tak samo. Rozmawiali o depopulacji i wymuszonej migracji jak również w pojęciach biblijnych, jak sobie przypominała.

– *Mene, mene, tekel, upharsin* – usłyszała siebie mówiącą.

– Co?

– Ta rzecz z Biblii. Wiesz, o królu Babilonii? „jesteś zważony na wadze i znaleziony lekkim”<sup>2</sup>.

– Jestem świadom źródła – powiedział Jason, patrząc się na drogę. – To związek z tematem mi umyka.

– Tak się czuję – powiedziała Myra. Wystawiła dłoń na wiatr nad szybą, czując chłodny pęd pomiędzy palcami.

– Tak właśnie myślisz o sobie? To źle.

– Nie – odpowiedziała mu. – O jebanym *świecie*.

– To gorzej.

Roześmiała się, jej nastrój się poprawił.

– Tak czy inaczej – kontynuował Jason – to tylko wynik odmłodzenia. Ludzie tak mają.

– Wiedziałbyś, co?

– Nie osobiście. Dla mnie, to tylko stabilizowanie, prawda? Dla Ciebie. . . – parsknął, patrząc z boku na nią – . . . to ma znacznie *więcej* pracy.

---

<sup>2</sup> cyt. z księgi Daniel 5,27 Biblia Brytyjska – przyp.tłum.

- Dzięki.
- Powoduje, że czujesz się dziwnie. Euforycznie i osądzając.
- Tak, czyli wszystko w porządku!

Był piąty dzień, od kiedy połknęła nanochirurgów. Nanomaszyny różnicowały się i namnożyły w niej, rozpościerając się przez jej układ krążenia jak armia saperów, zrywając i odbudowując. Czują ich ciepło odpadowe jak gorączkę, wypalając ją. Jej nastrój zmieniał się od normalnego do wysokiego, nie miała już depresji, to było jak biologiczny Keynesizm, prócz tego, że na dłuższą metę miała nie umrzeć. Nie była nieśmiertelna, nie naprawdę, ale kto potrafiłby to określić? Najlepsze oceny mówiły o wiekach, a w takim czasie coś innego mogłoby się pojawić, ale czuła się nieśmiertelna, czuła się jak ludzie w wieku dwudziestu lat, zanim ich komórki zaczną się wyczerpywać, a neurony umierać, nic dziwnego, że pamiętała lata siedemdziesiąte tak żywo, nic dziwnego, że stawała się tak arogancka!

Seks z Jasonem był przesądzoną konsekwencją, gdzieś od sekundy, w której go zobaczyła. Był agentem imperialistów, strategicznym wrogiem, nawet jeśli taktycznym sojusznikiem, ale nie dbała o to, chciała go uwieść, przekabacić, pokazać triki wyuczone przez całe życie, które zacisnęłyby jego palce i posiwiły jego ciemnomiedziane włosy. Jeżeli miał jakieś zahamowania lub wstręt wobec jej ciągle starego ciała, zostały rozpuszczone w pierwszej butelce rakiji pierwszego wieczoru. Ssała go sztywnego, wyjebała go surowego, nauczyła go dużo i powiedziała mu niewiele.

Niewiele tego, co mu powiedziała, było o Georgim i okolicznościach jego śmierci. Z powodów, których Jason nie wypowiedział, ale które Myra podejrzewała, że miały napisane na marginesie „Aktywa Agencji, możliwe wykorzystanie?”, CIA prowadziło

swoje własne śledztwo tej śmierci, która była tak zdecydowanie wygodna dla *kogoś*.

We wczesnych godzinach ranków, kiedy myślał, że ona śpi, wychodziłby na mały balkon pokoju i rozmawiał długo przez telefon. Udawała, że nie zauważa i nie protestowała, zamiast tego używała tych okresów w mamrotanej pogaduszce do poduszki, używając opaski do konsultowania Parvusa i słuchania maili od jej kolegów z SowNarKomu o sytuacji w domu. Nie była dobra.

Denis Gubanow, w szczególności, był ponury. Jego podsumowania nastrojów społecznych – na podstawie raportów agentów i listów czytelników *Prawdy Kapicy* – wskazywały na to, co dla Myry było zaskakującą narastającą falą sprzeciwu wobec całej umowy z Kazachstanem. Wszystko niezauważone, grube krzaki patriotyzmu wyrosły przez lata na chudej, bezpłodnej glebie jej małej republiki. Niepodległość stała się ważna dla obywateli, znacznie bardziej niż kiedykolwiek była dla niej. Każdej nocy patrzyła na zdjęcia codziennie rosnących pikiet na zewnątrz budynków rządowych: czerwone flagi, „żółte i czarne” flagi, zdjęcia Trockiego. Westchnęła, odwróciła się i udawała, że śpi, kiedy Jason wrócił.

W Hisaronu, przyjemnym, małym miasteczku rozrzuconym na wzgórzach otoczonych wyższymi, dalszymi górami, zatrzymali się przy kawiarni na głównej ulicy. Wypili Amstela i zjedli kebab Iskan-der, pod paskowaną plastikową markizą. Kiedy palili i sączyli mętą kawę, Myra nachyliła się nad stołem i zacisnęła dłoń na dłoni Jasona, pozwalając ich palcom się zapleść.

– Czego chcesz ode mnie? – spytała.

Zacisnął swoją dłoń.

– Oprócz tego, co mam?

– Tak.

Rozplątał palce, wyciągnął z kieszeni i rozwinął mapę świata

w odwzorowaniu Mercatora wytartej na zagięciach. Odsunął łokciem drinka i butelkę ketchupu i rozłożył mapę na metalowym stole.

Wskazała.

– Jesteśmy tu. – Otrzeпаła ręce i poruszyła się, jakby chciała wstać. – Cieszę się, że mogłam pomóc.

– Siadaj – powiedział, śmiejąc się. – Spójrz.

Usiadła.

– Kto jeszcze patrzy? Jeżeli chcesz zrobić odprawę, czy VR nie byłaby lepsza?

Jason machnął dłonią i się rozejrzył. Turyści, żołnierze i tubylcy wędrowali po ulicy.

– Nikt nie patrzy. – Przeczesał palcami włosy. – I jak mogłaś zauważyć, nie mam opaski. – Wzruszył ramionami. – I tak wszystkie sieci są zagrożone, były od lat. Dlatego słucham radia, czytam gazety, piszę w notatniku i noszę papierowe gazety.

– Słusznie – powiedziała Myra, lekko, żeby ukryć zimny szok co do tego, co właśnie powiedział. Jednak uznała, że nie może tego puścić. – Co masz na myśli, „zagrożone”?

– Niezabezpieczone, niezależnie od tego, co robisz. Kody, ukrywające prawdziwą wiadomości w śmieciach, cokolwiek, są systemy, które złamią każdy nowy wariant, gdy tylko go wystawisz. Obliczenia kwantowe zabiły kryptografię, teraz są lepsze metody niż to, uruchomione na rzeczach, których *nikt* nie rozumie. Są tam, Myra. Widziałem je.

Uśmiechnęła się sceptycznie.

– Rzeczy, których człowiek nie miał poznać?

Jason pokiwał energicznie głową.

– Tak, dokładnie tak – powiedział, jak gdyby nigdy nie słyszał wyrażenia wcześniej. Może nie słyszał. Młodzi dzisiaj. Spojrzył

znowu na mapę, odrzucając temat poruszeniem dłoni. Myra nie drażyła dalej, ale nie odrzuciła tego. Była prawie pewna, że był w błędzie, lub kłamał, lub został okłamany. A w czym interesie mógłby być brak zaufania do jej programów? Ha.

Jason dźgnął palcem Północną Amerykę, przesunął dookoła Wielkich Jezior i częściowo w dół po Wschodnim Wybrzeżu.

– Ok, oto mój kraj, był Twoim. Stany Zjednoczone, jak ciągle się nazywamy. Już nie do końca „od morza do morza”. „Od St Lawrence do Keys” nigdy nie złapało i nawet to było trudno utrzymać. Mam na myśli, potrzebujemy Maine pomiędzy nami a kanadyjskimi hordami, ale, cholera, powstrzymujemy wielkie powstania wszędzie pomiędzy Baltimore i Jacksonville. A jedynym powodem, dla którego trzymamy Florydę, jest Canaveral, szczerze, i jedynym powodem, dla którego się z nami trzymają, jest to, że się boją *El Barbudo*. – Spojrzał spode brwi, skrzywił się w uśmiechu. – Powinnaś posłuchać chłopców w Langley jak się za to kopia. Gdy komisja Pike’a powstrzymała zabawy z eksplodującymi cygarami, pomyśleli, kurde, gnojek musi kiedyś umrzeć. Nie.

Rozłożył palce jak dzielniki i rozkraczył je na kontynencie.

– Zachodnie Wybrzeże... – Westchnął. – La-la Land<sup>3</sup>. Mają rywalizujące roszczenie, by być jedynym dziedzicem USA, więc dyplomatycznie się nie dogadujemy, ale pomiędzy Tobą, mną i *garson* tutaj... – w roztargnieniu machnął dłonią, strzelił palcami, wskazał na ich szklanki – ...jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. – Położył dłoń na środku Ameryki, zakrywając większą część pomiędzy Apalachami i Górami Skalistymi. – W porównaniu z tym, jak dogadujemy się z resztą. Mormoni, milicje, fundamentaliści, Biała Prawica, Indianie, wymień je, straciliśmy wobec nich.

– Tak, dobra – powiedziała Myra. – Słyszałam.

---

<sup>3</sup> zwyczajowa nazwa Los Angeles – przyp.tłum.

– Szczęśliwie dla nas – kontynuował – nieco się gryzą z naukowcami. Mają ropę i kopaliny, oczywiście, ale nie znajdują wiele więcej używając Geologii Potopu. To nie nauka o raketach. Wspominając o tym, my i nasi przyjaciele z La-la mają wszystkich ekspertów od aeronautyki, nauki i techniki jądrowej. Przynajmniej, mamy tych, którzy nie zginęli, próbując przekonać jakiegoś chłopskiego inkwizytora z generatorem i przewodami rozruchowymi, że naprawdę, naprawdę nie wiedzą, gdzie są pochowane ciała kosmitów. Lub gdzie leżą rozbite latające spodki.

– Żartujesz.

– Chciałbym. Okazało się, że więcej ludzi wierzy w przykrywkę o UFO, niż kiedykolwiek wierzyło w żydowskich bankierów. Kiedy dostali w swoje ręce rzeczywistego *djabelskiego rzondowego naukowca*... możesz sobie wyobrazić, jaką mieli zabawę. – Patrzył w dal, przez nią, przez chwilę. – Niektórzy z naukowców się przyznali. Z zadziwiającymi szczegółami. Nazwiska, daty, miejsca, pliki od A do Z.

Dzieciak obsługujący stoliki postawił kolejne butelki. Myra uśmiechnęła się do niego, wsunęła mu kilka banknotów gigitalirowych, pomachała papierosem na Jasona.

– Czy cokolwiek z tego jest prawdziwe? – Roześmiała się niespokojnie. – Czasem się zastanawiam jak na przykład diamentowe statki...

Jason mrugnął, pokręcił głową.

– Och, nie. Całkowicie skoroborowana halucynacja. Jak porwania obcych lub sabaty czarownic. *Oni* też słyszeli historie, prawda? Cholera, może niektórzy nawet w nie wierzyli, kto może powiedzieć. Diamentowe statki, e tam, to była tylko czarna technologia z dawna. Twój podstawowy latający spodek nazistów. Zgrabny po-

myśl co do zasady, ale nigdy nie był praktyczny, aż właściwe materiały pojawiły się w węglowych asemblerach.

Myra odchyliła się, napełniając szklanke, marząc, o możliwości skonsultowania Parvusa.

– Mówisz mi – powiedziała – że Wschodnia Ameryka ma też problemy z ochroną granicy? Cóż, uspokoję cię. Nie zamierzam ci sprawiać kłopotu pytaniami o *oddziały lądowe*. Lub nawet teleżołnierzy.

– Boże, gdyby tylko o to chodziło... – Jason znowu się gdzieś wpatrywał. – Nie, to nieco bardziej skomplikowane. Potem jedziesz do Ankary, tak?

– Co?

– Zamierzasz poprosić Turków o wojska lądowe.

– Nie wiem, skąd taki pomysł – powiedziała Myra, ostrożnie nie zaprzeczając temu. Ankara nie była w ogóle w jej planie podróży, ale była bardzo ciekawa, dlaczego Jason myślał, że była i co go w związku z tym dręczyło.

– Źródła. – powiedział Jason. – Tak czy inaczej, dlatego tutaj jestem, żeby ci powiedzieć, że byłby to bardzo zły pomysł. Jeżeli chciałybyś otrzymać jakąkolwiek pomoc od Stanów, znaczy.

– Hmmm – powiedziała Myra. Spojrzała na żołnierza przeglądającego stragan z pamiątkami kilka metrów dalej. – Właśnie patrzę na mundur wyprodukowany w USA, pancierz KevlarPlus z USA, hełm US Robotics z AI Raytheonu, karabinek Colt-14 z USA...

– Ta, tak, tak – powiedział Jason niecierpliwie. – Cenięni klienci. Starzy przyjaciele. Nie znaczy, że bylibyśmy szczęśliwi patrzeniem na ich standardowe buty US Army tupiące po całej centralnej Azji.

– Nawet, żeby deptały po Szinosowach?

Jason pochylił się na łokciach, złożył palce przed twarzą, żeby zamaskować usta i powiedział cicho.



– Spójrz, Myro, to nie są dni chwały komunizmu. Mam nam myśli, w *naszych* dniach chwały walilibyśmy w nich z B-52 całą dobę, niezależnie co by to dało. Rozumiem, że wasi, ach, braterscy sojusznicy próbowali tego na swój niepowtarzalny sposób z Antonowami. Zostałem upoważniony, żeby przekazać ci, oczywiście poza protokołem i zaprzeczając, że jeżeli przyjedziesz do Nowego Jorku lub Waszyngtonu, będziesz mile widziana, i Twoje prośby zostaną wysłuchane z sympatią. Niemniej jednak. Nasza ocena zagrożenia Szinosowów, skąd kurwa się wzięła ta nazwa, jest całkiem stonowana. Jeżeli zmotoryzowana horda Mongołów w plastikowych jurtach chce planować swoją ekonomię komputerami napędzanymi parą, to ich problem, a jeżeli okaże się być lubiana w Twoim kraju, to Twój.

Myra patrzyła na niego, bujając się.

– Jezu. To mi powiedziałeś.

– Hej, nic osobistego. Musiałem to być ja lub ktoś jak ja, kto ci powie to, ponieważ na poziomie, na którym będziesz działać w Nowym Jorku lub DC byłoby to... niedyplomatyczne, lub niepolityczne, żeby przedstawiać to tak dosadnie. Nie mówię, że nic nie dostaniesz. Dostaniesz, tylko, może nie tyle ile byś chciała.

Zmrużyła oczy, pochylając się znów do przodu. Patrzył tak bezpośrednio, tak uczciwie. Nie mógł wiedzieć o nuklearnej karcie w rękawie.

– Ok, ok – powiedział, jakby niezbyt przejęta, czym nie była. – Zatem, jesteście bardziej zmartwieni rozwojem Federacji Tureckiej niż o Związkiem Chińsko-Radzieckim?

– Rozumiesz. I, cóż, są jeszcze większe problemy niż to. Próba zamachu miała, powiedzmy, że nie ułatwiła nam spraw.

– Jak to?

Jason zacisnął usta.

– Dowiesz się – powiedział ponuro.

– Dobrze – powiedziała Myra. Zawirowała piwem, spojrzała do niego, nie znalazła wskazówek. Spojrzała w górę i uśmiechnęła się do Jasona. – Nic osobistego, słuszna uwaga. Więc wróćmy do osobistych.

Jason nagle się rozluźnił.

– Tak, ok.

– A przy okazji, to z gaelickiego.

– Co?

– Nazwa, Szinosowy. Myślę, że ukuł ją David Reid.

– Cóż, co też nie powiesz.

– To, co chcę wiedzieć – powiedziała Myra, dopijając szklanke i wstając – to, ta sprawa o nich mających komputery napędzane parą?

– Ach – powiedział Jason, gdy wrócili do jeepa – mogę ci wszystko o tym powiedzieć.

– Nie powinieneś prowadzić?

– Ach, chyba nie. – Jason przełączył jeepa na autopilota, i gdy zabrał ich w długą drogę do Olu Deniz, powiedział jej wszystko o dziwnych maszynach Szinosowów.

Dziwna to była maszyna, która zabrała ją do Ameryki.

Ostatniego poranka obudziła się przed Jasonem, leżała przez chwilę, potem sięgnęła automatycznie po kontakty. Była w momencie nakładania jednorazowych, gdy zauważyła, że widzi wszystko ostro, dookoła pokoju. Szybkie spojrzenie za okno potwierdziło, że nie była już krótkowzroczna. Podniosła dłoń na pięć centymetrów od twarzy i nadal pozostała ostra. Nie miała też dalekowzroczności.

Pod prysznicem spojrzała na swoje ciało, ale oprócz widzenia

ostro swoich palców nie mogła określić różnicy. Wycierając potem głowę, odkryła luźny włos w dłoni. Wpatrzyła się w niego.

- Jason, popatrz, popatrz na to!
- Co? – Usiadł, spojrział na nią, obejrzał włos.
- Wygląda na... włos.
- Nie, spójrz na *koniec*. Nie, *drugi koniec*.
- Mam coś zobaczyć?

Czy się obudził? Potrząsnęła znowu go za ramię.

- Tutaj jest pół centymetra blond! Nie szare!
- Och, Jezus. Wierzę Ci na słowo.
- Ha – powiedziała. – Najwidoczniej fix nie zrobił nic z *Twoimi* oczami. Sprawdziłabym je, na Twoim miejscu.
- Tak czy inaczej, wystarczają na drogę.

Pomógł jej załadować bagaż do dżipa, znikając uprzejmie – prawdopodobnie kolejna, ukradkowa rozmowa telefoniczna – gdy pociła się na ostatnim badaniu u doktor Masoud, i czekał za kierownicą, gdy wyszła z kliniki i usiadła koło niego.

- Wszystko gotowe?
- Tak. Wszystko jasne.
- Witamy w wieczności – powiedział, odpalając silnik i obracając dżipa na podjeździe z rozpryskiem żwiru.
- Tylko nie *wysyłaj* mnie tam!

– Ach, będzie ok – powiedział Jason, skręcając w prawo na drogę na wzgórze, ku Fetiye. Wspinali i wspinali, wyprzedzając takśówki, ciężarówkę i busiki, będąc ostrożnie uprzejmymi wobec wozów opancerzonych. Farmy w dolinie i kramy przy drodze były prawie wszystkie obsługiwane przez zadziwiająco starych ludzi, którzy wyglądali, jakby mieli podstawowe odmłodzenia metaboliczne, ale nie mogli kupić tych kosmetycznych. Zamiast bycia małymi i zgar-

bionymi, byli wysocy i prości, ale ich twarze wyglądały jak maski z Beninu, czarne i zmarszczone, z bystrymi, błyszczącymi oczami.

Zatem, jak zauważył Jason, bez zmiany.

Minęli wzniesienie i Myra mogła znowu zobaczyć przed i poniżej nich niemożliwie niebieskie, ciemne morze. Około kilometra od brzegu, widoczny nawet z tej odległości, tej wysokości był ekranoplan<sup>4</sup>. Mniejsze pojazdy brzęczały dookoła jego stu metrów długości. Dalej za nimi wszystkimi wodoloty i poduszkowce marynarki pracownicy patrolowały. Jeszcze dalej, za cieśniną ku Rodos, Myra mogła dostrzec ich równie pracowite odpowiedniki, patrolowce Greckiego Zagrożenia.

Pojechali długą, krętą drogą do Fetiye, mijając groby licyjskie w klifie i skręcając w prawo tuż przed meczetem i potem w dół brzegiem bazaru do długiego mola i esplanady zatoki. Zatrzymali się w miejscu zaokrętowania, koło flagi „gwiazda i półksiężyc” i rozjarzonej statui Kemala.

Silnik się zatrzymał. Jason spojrzał na nią.

– Cóż – powiedział. – Czy zobaczę cię kiedykolwiek?

– Jeżeli oboje będziemy żyć wiecznie – powiedziała Myra krzywo – prawdopodobnie tak.

– Przyjmę to jako nie. – Jason wyciągnął dłoń. – Jednak. To było kilka dobrych dni. Zostańmy w kontakcie. A jeżeli śledztwo cokolwiek wykaże, *ja* nawiążę kontakt.

Złapała jego dłoń, jej dopiero co wyostrzone spojrzenie nagle się zamgliło.

– Och, nie traktuj tego jako nie! – powiedziała, przerażona jego zwykłą akceptacją jej zwykłych słów jako trwałego rozstania. To

---

<sup>4</sup> rodzaj pojazdu poruszającego się na niewielkiej wysokości nad wodą lub inną gładką powierzchnią, z wykorzystaniem efektu przypowierzchniowego, zob. <https://pl.wikipedia.org/wiki/Ekranoplan> – przyp.tłum.

wyglądało jak dojrzewanie jeszcze raz, więcej niż pożądanie, zakochała się w nim i mówiła złe rzeczy. Zaskoczyła go dzikim uściskiem, jej usta mokre na jego, jej brwi mokre na jego szyi, i cały czas myślenie, że to nie była ona, to nie było w porządku, powinna zachowywać się jak dyplomata i zakochiwała się w jebanym *agencie CIA*, który był wysłany w zupełnie innej sprawie. To Nie Uchodziło.

Oderwali się od siebie, trzymając się w ramionach, patrząc na siebie, niepomni gadającego tłumu chłopców dookoła pojazdu.

– Myro, jesteś niesamowita – powiedział Jason. – Nigdy Cię nie zapomnę, będziemy w kontakcie, spróbuję znowu zobaczyć, ale oboje...

– Tak – powiedziała Myra. Wciągnęła powietrze długo, pociągając nosem. – Jesteśmy oboje dorośli, mamy prace, nie zawsze możemy być po tej samej stronie i... – zachichotała – ...mamy tylko czternaście godzin, żeby uratować Ziemię.

– Lub coś takiego. Tak.

Jason się oderwał, z uśmiechem, który dla Myry ciągle wyglądał jak pełne skruchy pożegnanie. Potem byli dziwnie formalni wobec siebie, gdy Jason odrzucał niechciane oferty noszenia bagażu chłopców, pomógł jej zabrać bagaż do łodzi i potrząsnął dłońmi, gdy stała na szczycie drabiny.

Gdy mała łódź sapiała przez zatokę do większego pojazdu, Myra obserwowała Jasona włączającego jeepa, zawracającego i odjeżdżającego, znikającego na zakręcie bulwaru.

Westchnęła i odwróciła się do ekranoplanu. Potężna maszyna wyglądała nawet nieprawdopodobnie potężniej, gdy wylaniała się bliżej: samolot wielkości statku z przysadzistymi skrzydłami. Statek, który latał. Regularnie prowadził rejsy od Stambułu do Nowego Jorku, które zatrzymywały się w Izmir i Fetiye, zanim ruszyły

w ostatnią część podróży. Łódź kierowała się pomiędzy rywalami i weszła w cień lewoburtowego skrzydła, gdzie stopnie wysuwały się aż do platformy pontonowej. Oficjele oficjalnie oznakowali bagaż do załadowania w przedziale towarowym, a pasażerowie weszli na statek.

Myra przeszła do przedniego holu, kupiła gin z tonikiem przy barze za pomocą pozostałych tureckich gicalir i zastosowała się do pilnej wielojęzycznej rady, żeby usiąść, zanim statek wyruszy.

Nigdy wcześniej nie podróżowała jednym z tych hybrydowych pojazdów – wynalazek Związku Radzieckiego ery Chruszczowa, przypomniała sobie ze szczątkową dumą – i była odpowiednio oszłomiona prędkością, a ponad wszystkim *wrażeniem* prędkości, gdy wielka maszyna ryczała nad Morzem Śródziemnym na średniej wysokości dziesięciu metrów i z maksymalną prędkością pięciuset kilometrów na godzinę. Zostawiła Fetiye o południu, goniła dzień nad Atlantykiem i przybyła do Nowego Jorku czternaście godzin później o godzinie szóstej po południu lokalnego czasu.

Myra spędziła większość z tych czternastu godzin, relaksując się, śpiąc, oglądając krajobrazy i zastanawiając się, jak uratować Ziemię.

Od morza, Manhattan miał dziwny, niezrównoważony wygląd, Wieża Dwóch Mil wyrastała z Lower East Side, wyrzucając resztę z perspektywy. Port South Street ciągle był zniszczony po zamachu i pachniał więcej niż zwykle rybami. Myra przeszła osłoniętym tymczasowym nabrzeżem, nieodróżnialna w strumieniu schodzących na ląd pasażerów, póki nie weszła do czekającej limuzyny ambasady z proporcem „słońce i orzeł” i witającym szoferem, który zatrzasnął drzwi, zanim ktokolwiek mógłby się spojrzeć.

Długi samochód wcisnął się arogancko w ruch uliczny. Kie-

rowca, krępo zbudowany Kazach, który wyglądał, jakby dorabiał jako ochroniarz, złapał jej spojrzenie w lusterku.

– Ambasada, obywatelko Dawidowa?

Myra oparła się o tapicerkę. Na zewnątrz, przez jednokierunkowe szkło pancerne, mogła ujrzeć ludzi siedzących dookoła ognisk.

– Nie, proszę ONZ.

– Bardzo dobrze, obywatelko.

Samochód szarpnął się z przodu, potem z tyłu, zawieszenie poradziło sobie z płytkim lejem po pocisku. A może wybojem, finanse miejskie Nowego Jorku były takie, jakie były.

– Ale byłabym wdzięczna, gdybyś mógł wysledzić mój bagaż ze statku do ambasady, dziękuję.

– Proszę uprzejmie. – Zaczął szybko mówić po rosyjsku do telefonu.

Zatrzymali się przy budynku ONZ około dziesięciu minut później, ciężkie bramy kompleksu odsunęły się dla nich, zamykając się szybko za nimi. Myra sprawdziła makijaż w lusterku ręcznym, wyszła z samochodu i sprawdziła kurtkę i spódnicę w połysku karoserii. Wszystko wyglądało dobrze. W rzeczywistości czuła się raczej ubrana za dobrze na to stare, ponure miejsce. Kałuże na placu, naprawy w oknach, rdza na stali konstrukcyjnej i Wieża Dwóch Mil rzucająca cień na obelisk ze szkła. W gaju masztów flagowych powiewało w bryzie dwa tysiące trzysta dziewięćdziesiąt siedem flag narodów Ziemi i ich kolonii niczym stado ptaków przygotowujących się do migracji przed jakąś długą, nadchodzącą zimą.

Wzięła numer telefonu komórkowego kierowcy i powiedziała mu, że ma przynajmniej kilka godzin, zanim go wezwie. Podziękował jej, uśmiechnął się i rażno odszedł. Myra przeszła powoli koło starej rzeźby późnego ZSRR – Święty Jerzy ubijający Smoka Wojny z zaoranego metalu rakiet – ostrożnie w szpilkach Prady, dookoła

kałuż i przez kruszący się asfalt, do drzwi. System ekspercki ją rozpoznał, strażnik zasalutował.

W foyer stała zagubiona przez chwilę, póki nie przypomniała sobie, że całe miejsce było wypatroszone i odnowione, prawdopodobnie kilka razy, od kiedy tu była ostatnim razem. Tym razem zostało to wykonane w modnym stylu retrofuturystycznym, raczej jak jej własne biuro. Motywem koloru były liście, od odcieni zieleni przez brązowy do miedzi. Kojące, choć ludzie w tym uspokajającym środowisku śpieszyli się, wyglądając mizernie. Wielka flaga ONZ, niebieskie tło ze stylizowanym globem i wieńcem oliwnym, wisiała nad biurkiem recepcji. Myra zarejestrowała chwilowy szok, to było jak zobaczenie swastyki.

Dwóch mężczyzn podeszło, ich kroki lekkie na ciężkim dywanie. Rozpoznała ich obu: Mustafa Kamadi, ambasador Kazachstanu przy ONZ, niski i ciemny oraz Iwan Ibrajew, przedstawiciel MRRNT, wysoki, krótkoobcięty blondyn, w jego postaci i cerze objawiały się jakieś geny recesywne nadwołżańskich osadników niemieckich.

Kamadi potrząsnął jej dłonią, jego uśmiech pokazujący złote sowieckie zęby, które zachował mimo dwóch odmłodeń. Ibrajew pochylił się nad dłonią, prawie ją całując.

– Cóż, cześć, towarzysze – powiedziała Myra, chętna zerwać z formalnościami. – Dobrze was widzieć.

– Cóż, wzajemnie – powiedział Kamadi. – Przejdziemy do mojego biura?

Iwan Ibrajew rzucił jej spojrzenie.

– Ach, dziękuję – powiedziała Myra. – Ale może z, hmm, dyplomatycznych powodów, obywatel Ibrajew mógłby...?

– Doskonale – powiedział Kamadi.

Gdy czekali na windę, jego język poruszył ustami.



– Ach, obywatelko Dawidowa. . .  
– Och, Myra, proszę. . .  
– Myro – kontynuował w pośpiechu – proszę, przyjmij moje spóźnione kondolencje z powodu śmierci byłego męża.  
– Dziękuję – powiedziała.  
– Znałem go niedużo, oczywiście, ale był powszechnie szanowany.

– W rzeczy samej był.

Drzwi się otworzyły. Dwóch mężczyzn przepuściło ją, gdy wszyscy wchodzili. Drzwi się zamknęły.

– Ciągle myślę, że te zaziemskie<sup>5</sup> bękarty go zabiły – powiedział nagle Ibrajew. Spojrzał na mikrokamerę w rogu. – I nie obchodzi mnie, kto wie!

Szum i pęd, lekki wzrost i zmniejszenie siły przyciągania. Myra poczuła, jak jej kolana drżą, gdy wyszła z windy na długi korytarz.

– Śledztwa nadal trwają. – Wzruszył sztywno ramionami. – Osobiście, nie sądzę, żeby w tym maczał ręce Reid, to wszystko, co mogę powiedzieć. – Uśmiechnęła się szybko do Iwana, potem Mustafy. – Znałam tego mężczyznę. . . intymnie.

Uczciwa twarz Iwana zarumieniła się widocznie. Mustafa pokazał złote kły.

– Długie życie, prowadzi do problemów – powiedział. – W końcu, wszystkich nas zbliża do siebie. Jaka jest teoria, sześć stopni oddzielenia? – Roześmiał się chropawo. – Kiedy byłem bardzo młody, ucisnąłem dłoń kobiety, która była jedną z sekretarek Lenina. Pomyślcie o tym!

Myra pomyślała o tym.

---

<sup>5</sup> oryg. spacer worlds – zapewne mowa o sile polityczno-ekonomicznej, a nie o miejscu pobytu ani o kolonizacji, zatem korzystam z tłumaczenia opartego na powieści „Pozytonowy Detektyw” Isaaca Asimova, gdzie „spacer worlds” zostało przetłumaczone jako Światy Zaziemskie – przyp.tłum.

– Jeżeli o tym pomyśleć – zaśmiała się ponuro – to ja też.

Jednak ciągle ją to dotknęło, ból jak ostrze w brzuchu: *wszystko moje statki odeszły, moi ludzie nie żyją.*

Nie, nie. Jeszcze nie. Ciągle ma statki i ciągle może mieć Jasona.

Biuro Iwana Ibrajewa było małe. Usiedli z kolanami opartymi o biurko. Trójlistna flaga wisiała na jednej ścianie, reklamy rakiet na drugiej. Okno wychodziło na East River. Drzwi były otwarte. Sługa pojawił się z kawą i kubkami, potem dyskretnie zniknął. Iwan zamknął drzwi i włączył urządzenia przeciwposłuchowe. Myra przełknęła, próbując usunąć dziwne ciśnienie w jej bębenkach. Nie znikło.

Przełknęła ponownie, łyknęła kawy. Dwóch mężczyzn pochyliło się do przodu, spojrzęło na siebie. Ibrajew zachęcił gestem, żeby zaczęła pierwsza.

– Ok – powiedziała. – Wiecie, dlaczego tutaj jestem, tak?

– Negocjować pomoc wojskową z USA – powiedział Ibrajew.

– Tak, cóż. Tak czy inaczej, Wschodnioamerykanów. – Roześmiali się. – Już mi dano do zrozumienia, że niedużo nadejdzie. Co ta osoba powiedziała mi, że nie wie, czego prawdopodobnie nie wiecie, jest to, co mamy im do zaoferowania. – Przerwała. Ich twarze nic nie mówiły. – MRRNT ciągle ma działające atomówki.

– *Broń jądrową?* – spytał Kamadi. Ibrajew uśmiechnął się, jakby zawsze podejrzewał, że małe państwo, któremu służył, ciągle osłaniało ukryte żądło.

– Bronie. – Myra skinęła głową. – Niszczyciele miast, w większości, ale rozsądnie wszechstronny zestaw, aż do taktycznych atomówek, które... – wzruszyła ramionami – ...nie są takie trudne do załatwienia. Jednak ciągle.

– Nic o tym nie wiedzieliśmy – powiedział Kamadi. Ibrajew kiwnął na zdecydowaną zgodność.

– Chingiz Sulejmanow nie powiedział wam?

– *Niet.*

– Dobrze – powiedział raźnie Myra. – Cóż, to właśnie wam teraz mówię. Kazachstan jest teraz *de facto* mocarstwem, o ile jest to warte.

Iwan Ibrajew splótł palce.

– Jak je użyć, to jest pytanie. Nie można ich użyć bezpośrednio przeciwko Szinosowom, nie ma sensu bombardowanie stepu, co?

Oczy Kamadi pojaśniały, jego usta ułożyły się w błyszczący węzeł.

– Moglibyśmy powiedzieć, że nie muszą być wycelowane we wschodnią. . .

– Ha! – parsknęła Myra. – Obywatele, *towarzysze. . . jestem* Amerykanką i mogę wam powiedzieć jedną rzecz, Amerykanie, Wschodni, Zachodni, czy Środkowi, nie zniosą szantażu nuklearnego. To są ludzie, których strategia jądrowa zawierała straty rzędu megaśmierci po *własnej* stronie. Mogli trochę się ograniczyć w świecie, ale nie są zbyt zdemoralizowani, żeby nas rozwalić, zanim dowiemy się, co nas trafiło, jeżeli tylko tego spróbujemy. Nie. To, co chce Prezydent, jest prawie przeciwnością: zaferować broń, pod naszą kontrolą oczywiście, ale z publiczną umową nie do złamania, USA lub ONZ, w zamian za sojusz wojskowy, który może zatrzymać Szinosowietę w miejscu.

Obaj mężczyźni rozmyślali nad tą propozycją ze spokojem pokerzystów. Iwan otworzył paczkę Marlboro i zaferował Myrze. Zapaliła z wdzięcznością.

– Warte spróbowania – powiedział Kamadi. – Muszę powiedzieć, pomiędzy nami, myślę, że możemy żałować zrezygnowania z nowej władzy, którą atomówki włożyły w nasze ręce.

– To niewielka władza – powiedziała Myra. – W sensie, propo-

nujemy szantaż Amerykanów, ale nie możliwe użyciem przeciwko nim, ale z możliwym użyciem przeciwko komuś bez ich pozwolenia.

Kamadi napełnił kubki, marszcząc brwi.

– ONZ ciągle ma jakieś atomówki, jak właśnie widzieliśmy. Podejrzewam, że ich zapasy zostały znacząco wyczerpane tym użyciem. Więc mogą być chętni do uzupełnienia.

Iwan wskazał na plakaty na ścianie.

– Właśnie do mnie trafiło – powiedział – że moglibyśmy wrócić *do początków* do starego biznesu: sprzedawania odstraszenia każdemu, kto chce!

Myra się roześmiała.

– Odstraszenia przeciwko komu? ONZ? Nie wydaje mi się, żeby to długo potrwało.

Kamadi skrzywił się, jakby kawa była bardziej gorzka niż oczekiwał.

– Tak, rozumiem Twój punkt. Może tak jest najlepiej. Zatem co możemy zrobić, żeby to ułatwić?

Myra zaciągnęła się mocno papierosem.

– Oprócz potwierdzenia mojego statusu? – Uśmiechnęła się do nich. – Możecie zaaranżować, mam nadzieję, kogoś do reprezentowania drugiej strony. Dużo o tym myślałam w drodze i przejrzałam personel USA tutaj, mam sugestię co do osoby, do której moglibyśmy podejść.

– Sadie Rutelli – powiedział Ibrajew.

– Dokładnie! Skąd wiedziałeś?

Ibrajew postukał w opaskę.

– Wielkie systemy eksperckie myślą tak samo.

– Och, cóż – powiedziała Myra, czując się nieco sflaczała. –

Domyślam się, że była oczywistym wyborem. Jakie są szanse na spotkanie?

Ibrajew przewróciła oczami i mrugnął kilka razy.

– Zgodnie z jej publicznym harmonogramem... całkiem dobre. Ma wolne miejsce pomiędzy dziesiątą wieczorem a północą, czyli kiedy zamierza jechać do domu. Czy chciałabyś, żebym uruchomił program pytający, żeby umówić spotkanie?

– Oczywiście, że chciałabym – powiedziała Myra.

– To późno – powiedział Kamadi. – Będzie zmęczona.

– Złóż jej ofertę spotkania przy kolacji – zasugerowała Myra.

– Może wybierać, zapłacę. Tylko nas dwoje, mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko?

Dyplomaci odrzucili sam pomysł, że mogliby minimalnie pomyśleć o tak głęboko niegodnej emocji. Myra i Iwan dopasowali sobowtóry i ich elektroniczni sekretarze zaczęli próbować dotrzeć do Rutelli.

– Dotarcie do niej może zabrać chwilę – powiedział Ibrajew. – Jest zajęta.

Myra wstała.

– Zatem wezmę prysznic i prześpię się w hotelu. Jeżeli ktoś powie, że pilnie się skontaktować, dzwońcie na sobowtóra. Jeżeli Rutelli odpowie, dzwońcie natychmiast, bezpośrednio. W innych przypadkach, zadzwońcie do mnie rano!

– Mam nadzieję, że nie jesteś jeszcze wystarczająco ekskomu-chem, żeby być tym zażenowana – powiedziała Sadie Rutelli. Podała Myrze kieliszek szampana z minibaru limuzyny, która podjęła ją z Waldorfu.

– W rzeczy samej nie. – Myra wzniosła ironicznie toast. Opierała się o skórzane siedzenie i cieszyła się z każdej sekundy. – Wiem

wszystko o wydatkach na reprezentowanie. To wszystko było w Marksie. My ekskomuchy jesteśmy w takich kwestiach twardymi cynikami.

– Dobrze Cię widzieć znowu, Myro. Minęło tyle lat.

– Tak, ile? Trzydzieści cztery lata. Jezu. I wyglądasz jakbyś się urodziła w 2025.

Sadie, siedząc na miejscu naprzeciwko, wyglądała całkiem oszaleńczo z jej długimi czarnymi włosami, z sobolowym bolero i w wieczorowej sukni koloru indygo. Myra pamiętała ją właśnie tak olśniewającą w błękitnym mundurze. Była jednym z agentów Komisji Rozbrojenia ONZ, która odebrała MRRNT jej atomówki po wojnie. Zrobiła to taktownie i z determinacją i, pomimo napiętych okoliczności, Myra ją polubiła.

– Och, schlebiasz mi – powiedział Sadie. – Muszę powiedzieć, że wyglądasz młodziej, niż pamiętam.

– Ach, ciągle nad tym pracuję. Lub małe maszyny to robią. – Myra potarła grzbiety dłoni, rozkoszując się teraz uczuciem gładkości i miękkości, tego rodzaju, które kremy kosmetyczne obiecywały, a nanomaszyny zrealizowały.

Czuła się również energiczna, nie doświadczała jet-lagu (ekranoplan-lagu . . .) i złapane dwie godziny snu odświeżyły ją bardziej, niż wydawało się to proporcjonalne.

– Jednak – powiedziała Sadie – nie możesz pokonać backupów, jeżeli chcesz być pewna życia . . . długi czas.

– Och, naprawdę? – Myra próbowała nie drwić. – Wierzysz, że ta rzecz działa?

– Do tego stopnia, że zrobiłam backup, tak.

– Czy ktokolwiek wrócił *z powrotem* z backupu?

Sadie zmarszczyła brwi.

– Jako taki nie. Nikt nigdy nie był sklonowany i nie wdrukował

zbackupowanych wspomnień w mózg klona. Choć są plotki, o pewnych testach, które ludzie Reida wykonali, dawno temu. . .

– Z małpami. Ta, wiem o nich. Skąd wiesz, że osobowość szympanśów, kurwa, przetrwała?

Sadie się uśmiechnęła.

– Ach, Myro. Ciągłe jesteś cholerną, dialektyczną materialistką. Chciałam powiedzieć, były przypadki, kiedy ludzie *uruchomili* swoje kopie w środowiskach VR. To drogie. Ostatnie komputery optyczne w nanotechnologii, te rzeczy, które wyglądają jak kryształowe kule. Zawierają *piekielną* moc obliczeniową, ale są ludzie, których na to stać: gwiazdy rocka, filmu itd.

– Nie martwią się o konkurencję?

– Nie, nie! – Sadie spojrzała na nią. – O to chodzi. Kopie występują, oryginały po prostu są na emeryturze!

– Brzmi jak niesprawiedliwy układ – powiedziała Myra. – Wyobraź sobie, budzisz się i odkrywasz, że żyjesz w kwarcowym scallaku i musisz pracować na korzyść swojego egoistycznego oryginału. Jezu. Zastrajkowałabym. – Upozowała się, jakby trzymała gitarę, zaśpiewała nosowo. – Nie zagram w Sim City. . .

Sadie się roześmiała.

– Póki Twój zarząd ciebie nie zrestartuje.

Myra też się śmiała, ale zmroziła ją myśl, że istnieje nowa droga dla bogatych opuszczenia Ziemi, nie w kosmos, ale cyberprzestrzeń, z ich kontami bankowymi, by żyć na zawsze w telewizji, gdzie ich twarze zawsze były. A co za śmiech byłby, gdy, w ich krzemowym niebie, poznali Generała. . .

Ach, cholera. Do interesów.

– Czy w tym samochodzie można bezpiecznie rozmawiać? – spytała, nagle pewna, że restauracja nie byłaby.

Sadie machnęła powoli dłonią.

– Nie ma znaczenia – powiedziała. – Wiem, co chcesz zaferować, fakt, że prosiłeś o spotkanie ze *mną* jakoś to zdradza, tak?

– Patrząc, jak to przedstawiasz... ale diabeł tkwi w szczegółach.

– Nie potrzebujemy się martwić szczegółami – powiedziała Sadie. – Nie dzisiaj. Tylko odrobina dyskrecji i omówienia i będziemy w porządku.

Myra słabo się uśmiechnęła. Prawdopodobnie Sadie znała wiele szczegółów. Śledzenie dyslokacji atomówek ciągle było jej pracą. Jej opaska – Myra domyślała, że delikatnie błyszczący pas dookoła czoła Sadie był opaską – pokazałby jej każde podejrzaną atomówkę taktyczną na Ziemi i poza nią. I miała przenikliwą ideę, gdzie były strategiczne atomówki Myry.

Myra wyjrzała przez okno. Samochód rozsądnie przyśpieszał... Amsterdam Avenue, dochodząc do wysokich numerów. Stare budynki były pokryte pęcherzami, chodniki zatłoczone budami skłotersów zbudowanymi przez nano wyglądającymi jak pajęcze bąble, połączonymi siecią schodów, drabin i hustawek. Ich mieszkańcy, oraz ludzie na ulicy, byli w tej części w większości biali. Pracownicy biurowi, w większości czarni i Latynosi, przedzierali się przez tłum, ignorując ich natarczywość.

– Uchodźcy z Centralnych Stanów – powiedziała Sadie. – Oklahoma.

Restauracja, kiedy do niej dotarły kilka minut później, była głęboko w Harlemie. Migracja czarnych dawno zmieniła charakter obszaru. Myra i Sadie wyszły na chodnik zajęty kramami pod niezainteresowanymi, nieodgadnionymi spojrzeniami Peruwiańczyków i Chilijczyków. Wyglądało to jak Ameryka, gdzie wygrali Indianie. W istocie, ci Indianie stracili wszystko, co mieli na rzecz Gonzalistów, dekadę lub dwie wcześniej. Gonzaliści zostali pokonani, ale ich ofiary nie miały chęci opuszczać USA. Teraz drobny handel by-



łych uchodźców wypełnił biura i sklepy, rozlewał się na chodniki, tak jak ich wielkie rodziny wypełniały stare budynki budownictwa komunalnego.

Niemniej jednak, myślała Myra, ucieczka ogólnie od zdobywania szczytów była wygraną. Gonzaliści byli okropną bandą, nawet dla komunistów. Rodzajem, który odrzuciłby Pol Pota jako rewizjonistę.

Restauracja nazywała się Los Malvinas. Wewnątrz było tłoczno, głównie od młodych Latynosów starych fortun, elegancko ubranych, snobistycznie pewnych ich społecznej i rasowej wyższości nad nowszymi imigrantami, ale wykorzystującymi – w swojej modzie, zdaniach jak na inne sposoby – ich kulturalne powiązania. Powietrze pachniało mięsem i dymem, na ścianach były wielkie plakaty Peron, Eva, Che, Thatcher i Madonny. Sadie była przywitana po imieniu przez uważnego głównego kelnera, który poprowadził je do stołu z tyłu, na małym podwórcu otoczonym drzewami i murami pokrytymi pnączami.

– Miłe miejsce – powiedziała Myra. Spojrzała w menu. – Nie wygląda, żeby urwało dużo z karty firmowej.

– Wiedziałam, że ci się spodoba – powiedziała Sadie. Zrzuciła bolero na oparcie krzesła, pokazując nagie ramiona. – Dzbanek sangrii?

– Dobry pomysł. – Myra stuknęła menu. – Będziesz musiała mi z tym doradzić. Całe szczęście, że nie jestem wegetarianką.

Złożyły zamówienie, które, Sadie zapewniła, będzie zarówno dobre, jak i duże, sączyły sangrię, paliły skręta i żuły chleb zanurzony w oliwie z czosnkiem, gdy czekały.

– Ok – powiedziała Myra. Rozejrzała się dookoła, odruchowo. Kilku wenezuelskich inżynierów naftowych, w koszulach i szor-

tach, rozmawiało głośno wokół jedyne go innego zajętego stolika. Wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– Ok. Rozmawiajmy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, ale cholera. Masz pełnomocnictwo do negocjowania na poziomie, o którym mówimy?

– Pewnie – powiedziała jej Sadie. – Nie martw się o to. Prosta linia na szczyt. Nie, żeby to był wysoki priorytet u Szefa.

– A co z ONZ?

Sadie lekceważąco pomachała kawałkiem chleba.

– To już załatwione.

– Bez zmiany tam, co?

– Zmiany, tak, ale znowu weszliśmy na szczyt. Na tyle, o ile jest to warte.

– Racja, wiem, co masz na myśli. „O ile jest to warte” wydaje się często pojawiać w rozmowach w tych dniach. Jednak. Oto umowa. Sprzedajemy wam wyłączne prawa do pakietu, wspieracie nas przeciwko hordom komunistów. Lista zakupów będzie następna, ale jak mówiłaś, szczegóły później.

Kelner pojawił się z gorącym półmiskiem i talerzami. Dziewczyna przysłała z miskami sałatek i ryżu. Głównym daniem była jakby sałatka z mięsa, w której większość możliwych typów mięsa krowy było reprezentowanych, razem ze smakowitszymi wnętrznościami i kilkoma nieco mniej.

– Smacznego paniom.

– Dziękuję – powiedziała Sadie. Zgasiła niedopałek. – Och, i jeszcze jedną sangrię, proszę.

Myra była wygłodniała, jej apetyt zaostrzony jeszcze bardziej skrzętem i spędziła dwadzieścia minut w atawistycznej, mięsożernej ekstazie i okrzykach, zanim znowu mogła podjąć rozmowę.

– Zatem Sadie. – Położyła źebro, wytarła palce i brodę. – Co powiesz?

Sadie wzięła duży łyk sangrii, lód sentymentalnie stukający.

– Wiesz, ten facet, którego wysłaliśmy, by z Tobą porozmawiał? Z Firmy?

– Trudno o nim zapomnieć.

– Aha. – Sadie westchnęła. – Cóż, Myro, przykro nam, ale. – Podrapała się w ucho. – To ciągle jest umowa, w zasadzie. Możemy dać wam trochę sprzętu, pewnie, ale nic takiego, o co prosicie. Zdecydowanie nie sojusz.

Myra zakołysała się do tyłu. Usłyszała, jak nogi metalowego krzesła drapią bruk.

– To nawet z tym, co oferujemy?

– Nawet z. – Sadie wybrała coś wyglądającego na wnętrznosci, przeciągnęła to przez zęby. – Ponieważ nie możemy tego wziąć. Nie ma dla nas sensu, szczerze.

– O mój Boże. Och, cholera. – Myra sięgnęła po papierosy. – Masz coś...

– Śmiało. Proszę.

– Jaki jest problem z naszym pakietem?

– Zestaw umiejętności i system zastany, w zasadzie. – Sadie spojrzała na czubek papierosa, zmarszczyła nos i wyssała tłuszcz z ust. – Spójrz ponad moją głowę. W górę. Co widzisz?

Myra spojrzała na południe i w górę.

– Szczyt Wieży Dwóch Mili?

– Tak. Wiesz, co jest w środku? Skłotersi, w większości. Cholerna rzecz prawie się sama zbudowała jak kamienne drzewo. Jednak budowniczy nie mogli znaleźć biznesów, żeby wynajęli przestrzeń w niej.

– Tego rodzaju rzeczy są dość powszechne – powiedziała Myra.

– Spekulacyjne spektakularne budynki są zwykle oddawane tuż przed recesją i są puste aż do następnego boomu.

– Jeżeli będzie kolejny boom... – powiedziała ponuro Sadie.

Myra pamiętała wersję Shin Se-Ha równań Otoh.

– Będzie – powiedziała. W każdym razie jeszcze jeden, nie powiedziała. – O co chodzi?

– Tracimy ludzi – powiedziała Sadie. – To nie tajemnica. Zamach się udał na więcej sposobów niż zawiódł. Cholernie dużo naszych najlepszych naukowców i inżynierów wyemigrowała na kolonie orbitalne i wspiera faksję, której zaopatrzenie dostarczała Ochrona Wzajemna.

– Zewnętrzni.

– Ta. Myślą, że cywilizacja na Ziemi jest skazana na zagładę i się wydostają. A, bardziej do rzeczy, też dużo wielkich fortun. Większość korporacji ma siedziby w orbitalnych rajach podatkowych, od przynajmniej od Jesiennej Rewolucji. Teraz mają mięśnie, techniczne, wojskowe, żeby to poprzeć. I personel na miejscu. Finansują nas, jasne, ale ściśle jako opłaty użytkowników, jak wynajmowanie agencji obrony, i tylko tak długo, jak nie wyjdziemy poza linię. Możesz myśleć o USA jako starym, imperialistycznym dręczycielu, ale w tych czasach jesteśmy tylko kolejną bananową republiką. Cała Ziemia to Trzeci Świat. Wielkie pieniądze i zaawansowana praca są w kosmosie, a to, co zostało poniżej to w większości nadwyżka ludności. – Sadie uśmiechnęła się krzywo. – I biurokraci jak Ty czy ja.

– Zatem mówisz, że imperium USA nadal istnieje – powiedziała Myra. – Ale jego kapitał jest teraz na orbicie.

– Tak, dokładnie!

– Słusznie – powiedziała Myra – ale jak to wpływa na naszą ofertę?

– Cóż. – Sadie oparła się, zaciągnęła się krótko, jak łyk, papierosem. – Pozwól, że przedstawię ci analogię. Załóżmy, całkiem hipotetycznie, na potrzeby argumentu, że USA chciałyby wrócić do strategicznej pozycji jądrowej. Zostawiając na boku fakt, że Trzecia Wojna Światowa zrobiła to samo z atomówkami co Pierwsza z bronią chemiczną. Przynajmniej w terminach użycia ich na Ziemi, ONZ udało się nie odpowiadać za wybuchy w warstwie Kennely-Heaviside’a, ale to był rodzaj farta. Zostawmy z boku fakt, że wielkie fortuny na orbicie stają się wirtualnie Zielone od paranoi o atomówkach w kosmosie.

Aha, pomyślała Myra. Nie odkładałaby tego na boku, w ogóle. To było sedno sprawy, mimo tego, że reszta punktów Sadie była prawdziwa.

– Zostawmy z boku fakt, że po prostu nie ma już tak wiele wielkich atomówek. Załóżmy, że ktoś przyszedłby do nas, nie wiem, z magazynem starych postradzieckich niszczycieli bomb: zapalniki laserowe, długi czas magazynowania, minimum utrzymania. Nadal nie byłyby dla nas żadnym pożytkiem, ponieważ nasza cała doktryna wojskowa odsunęła się od polegania na atomówkach. Utrzymanie wiarygodnego strategicznego odstraszania nuklearnego wymaga więcej niż samo utrzymanie broni. Potrzebujesz rakiet, załóg bombowców, taktyków, analityków, ciągłej praktyki. Cholera, powinienam wiedzieć, pracowałam dostatecznie ciężko na rozpędzaniu zespołów i niszczeniu zapisów, w moich czasach rozbrojenia. Nie mamy już ludzi z takimi umiejętnościami i nie mamy ludzi, żeby wytrenowali nowych. Potrzebujemy wszystkich naszych umiejętności, żeby nasze myśliwce stealth latały, nasi telezołnierze, taktyki i techniki inteligentnej bitwy nadal działały.

– Myślę, że rozumiem Twój punkt widzenia – powiedział Myra sucho. – Zatem, na podstawie tego samego rozumowania, nasza

oferta, hm, praw do wydobycia w Kazachstanie nie jest interesująca.

– Mogłabyś tak powiedzieć. To jest w analogii.

Myra wątpiła, czy odwrócenie analogii i rzeczywistości w ogóle oszukałoby jakiegoś podsłuchującego, ale istniał protokół do zrealizowania w tego rodzaju rzeczach. Było, jak sobie przypominała, nielegalnym dla funkcjonariuszy publicznych w jurysdykcji ONZ – po Jesiennej Rewolucji tak samo jak wcześniej – nawet *dyskutować* o odstraszeniu jądrowym jako prawdziwej opcji politycznej.

I oczywiście, one nie rozmawiały. Nie w sposób, który utrzymałyby się przed sądem, co miało znaczenie.

– Oczywiście istnieje jeden zaawansowany kraj, który nie jest jeszcze bananową republiką. . . – powiedziała Myra. – Nigdy nawet nie dołączył się ONZ, jeżeli o to chodzi.

Sadie wzruszyła ramionami.

– Jeżeli chcesz, idź do Brytoli – powiedziała, lekko, ale rozumiała ukryte zagrożenie. – Nie mój problem. Ale będzie dla kogoś innego.

– Tylko dopóty, dopóki wiemy, gdzie stoimy – powiedziała Myra, podobnie rozumiejąc aluzję. – Ok. – Zapomnij o umowie z pakietem. Co z wojskami lądowymi i wsparciem powietrznym?

– To drugie, może. W razie potrzeby. Oraz hardware. Mamy hardware. Żołnierzy, nie.

– Och, no weź. Nawet najemników. Możemy zapłacić dobre stawki.

– Najemnicy? – roześmiała się Sadie. – Najemnicy są najlepszymi, których *mamy*. Używamy ich jako kręgosłupa w naszych elitarnych regimentach. A oddziały elitarne to wszystko, co zostało. Zaciąg zwykłych żołnierzy po prostu stał się niemożliwy. Pobór do wojska? Nawet o tym nie myśl.

Myra ciągle patrzyła sceptycznie.

– Pokażę Ci – powiedziała jej Sadie.

Rozmawiali przyjaźnie dłuższy czas, zgadzając się zrzucić na Kamadiego i Ibrajewa szczegółową pracę negocjowania tej małej pomocy, którą USA mogły dać, ale w zasadzie, rozmowa była skończona. Myra uregulowała rachunek, zostawiła hojny napiwek i wyszła za Sadie. Gdy przechodzili zatłoczony chodnik do limuzyny, Sadie zaskoczyła Myrę, podchodząc odważnie do grupki Andyjczyków stojących dookoła straganu z nakryciami głowy. Chłopcy spojrzeli na nią od góry do dołu, leniwie ciekawi.

– Cześć, chłopaki – powiedziała. – Jak się macie?

– Dobrze, proszę pani, dobrze.

– Co powiecie na pracę?

– To jest nasza praca. – Uśmiechnęli się do właściciela kramu, który uśmiechnął się z rezygnacją.

– Myśleliście o wstąpieniu do Armii? Dobra płaca, świetne warunki. Twarde chłopaki jak wy moglibyście być w tym całkiem niezli.

Musieli się złapać wzajemnie, śmieli się tak mocno.

– Nie szedłem dać się zabić, zwalczając wieśniaków i naukowców – powiedział jeden z nich. Machnięcie jego ramienia objęło wszystko od Wieży Dwóch Mil do straganu nakryć głowy najeżonych wąsami. Splunął dalej na chodnik.

– Woleliście technologię od człowieka – powiedział. – Niech technologia was obroni.

## Rozdział 11

# Przymierze Skąły

Wyszedłem za Druinem z tunelu, w galerię hodowców kryształów widzenia bez wiedzy, do czego zmierzał. Tak jak on, miałem przewieszony karabin i puste ręce. Przemaszerował do centralnej alejki pomiędzy rzędami koryt z kamieniami i skręcił, idąc w mniej więcej tym samym kierunku, jak dotychczas szliśmy w dół, w kierunku starej elektrowni.

– Hej!

Jeden z hodowców podszedł w pośpiechu. Był krępym, ciemnym mężczyzną z ostrymi, ruchliwymi oczami. Jego fartuch był niebieski, przykurzony białym proszkiem, który łapał światło jak kryształ. Zatrzymał się kilka metrów przed nami i spojrzął.

– Co tutaj robicie? – zażądał. – Jak się dostaliście?

– Jesteśmy. . .

Druin skinął na mnie, żebym był cicho.

– Tylko przechodziliśmy – powiedział. Rozejrzał się po sali z miną szokowanego zachwyty. Inni majsterkowie przestali pracować i stali czujnie. – Muszę powiedzieć, że macie tutaj fascynujące miejsce.

– Jak się tutaj dostaliście? – powtórzył majsterek, robiąc krok bliżej.

Druin wskazał kciukiem do tyłu nad ramieniem.

– Och, goniliśmy sarnę – wyjaśnił zwyczajnie. – Dotarliśmy do



rodzaju... – spojrzał na mnie, jakby szukał słowa – ... wjazdu, tak byś to nazwał? W lasach tam. Zeszliśmy na dół dla frajdy, jakby, i przeszliśmy do waszego tunelu.

Druin wsunął kciuk pod pasek karabinu i dodał:

– Więc jeżeli nie macie nic przeciwko, to pójdziemy w swoją stronę.

Majsterek okazał więcej prawdziwego zdumienia, niż Druin udawał.

– Przyszliście z tunelu?

– Tak – powiedział Druin. – Tam są naprawdę niesamowite pustaki – dodał, z doceniającym mrugnięciem. Zaczął iść do przodu, ja koło niego. Ku mojej zdziwieniu, majsterek odsunął się, ze spojrzeniem i drobnym potrząśnięciem głowy do kolegów. Podejrzywałem, że nikt z zewnątrz nie przeszedł widmowych strażników jaskini od dawna i że majsterki tutaj po prostu nie wiedzieli co z nami zrobić.

Po obu stronach były koryta kamieni. Pierwsze, które minęliśmy, zawierały warstwy małych kamieni, prawie żwir. Kolejne rzędy miały większe i mniejsze kamienie, aż dotarliśmy do końca, gdzie koryto, a raczej w tym momencie, wielka okrągła wanna mogła zawierać pojedynczy głaz. Na podłodze pod korytami leżały dziwnie ukształtowane kamienie, najwidoczniej odrzucone, niektóre z tych ofiar kontroli jakości najwyraźniej skończyły w tunelu. Jednak nie widzieliśmy pustaków w tej komnacie i zastanawiałem się, czy źle zrozumiałem implikowaną sekwencję wydarzeń, czy może światło było tutaj zbyt jasne dla takich wyświetlaczy.

W samych kamieniach, dziwnie zniekształcone przez falującą wodę, straszne, chwilowe sceny odgrywały się same bez spójności, która wzrastała z wielkością kamieni. Nie miałem czasu, żeby je oglądać, ale kilka razy miałem poczucie, że twarze błyskające

na tych gładkich powierzchniach, były twarzami, które widziałem w tunelu.

Ściany i sufit sztucznej jaskini zbiegały się do wejścia do innego przejścia, około dwóch i pół metra wysokości i dwóch szerokości. Prowadziło dalej około trzydziestu metrów przed nami, poza którymi wyłaniały się ciemniejsze drzwi. Ten korytarz był bez wątpienia sztuczny, jego kwadratowe ściany i sufit były wykonane z tej samej szklistej substancji co szyb. Jego oświetlenie było subtelnie różne od tego w galerii wzrostu, choć pochodziło z podobnych szklanych paneli, miało nutę żółtego, który wskazywał na zwykłe elektryczne światło, tylko mocniejsze niż zwykle napotykanę. Nasze kroki dzwoniły na ceramicznej podłodze, dając ostre echo.

– Dobrze się tam trzymałeś – powiedziałem do Druina.

– Ach, to tylko blef – powiedział. – Przyzwyczaili się do ludzi przestraszonych *ich* blefami. Jednak sądzę, że wkrótce spotkamy kogoś, kto będzie na nas czekał, nasi przyjaciele z tyłu na pewno przekazali do przodu.

– Nie przejmujesz się?

– Ani trochę.

Ja tak, ale nie miałem zamiaru tego pokazywać. Moje serce dudniło i w głowie mi szumiało od oszołamiających obrazów, jak same kryształy widzenia, a moja ręka trzymająca pasek karabinu była mokra od potu.

Odpowiedź, której oczekiwał Druin – lub być może, poważniejsza odpowiedź – pojawiła się, kiedy byliśmy w dwóch trzecich drogi w korytarzu. Fergal i dwóch innych mężczyzn pojawili się przy wyjściu, zagradzając nam drogę. Trzymali karabiny nieznanego wyglądu, niewymierzone w nas, ale gotowe do użycia. Szliśmy do przodu. Fergal wyszedł przed innych i podniósł dłoń.

– Zatrzymajcie się tam! – rozkazał.

Zatrzymaliśmy się.

– Po co tutaj przyszliście? – spytał Fergal.

Zdecydowałem, że to był moment, żebym powiedział w swoim imieniu.

– Jestem tutaj, żeby się z Tobą zobaczyć – powiedziałem. – I Merrial.

– Widzisz mnie – powiedział Fergal. Machnął lekceważąco ręką.

– Pogadam z Tobą później. – Podeszedł bliżej, kilka metrów dalej i wpatrzył się w Druina. – Znam Cię – powiedział jadowicie.

Druin wzruszył ramionami.

– Widziałeś mnie w okolicy.

Broń Fergal błyskawicznie wymierzyła w brzuch Druina. Mój towarzysz drgnął ku paskowi karabinu, potem podniósł obie ręce ponad głowę. Pozostali dwaj majsterkowie w tym samym momencie wycelowali swoje karabiny.

– Wiem, kim Ty *jesteś* – powiedział wolno Fergal – i czym *je*steś. Daj mi powód, dlaczego nie powinienem cię zabić.

Druin wziął głęboki wdech.

– Och, człowieku, jeżeli musisz o to pytać, to nie ma dla Ciebie nadziei – powiedział to spokojnym głosem. Spojrzałem na niego z boku, zmrożony prócz mocnego drżenia szczęki i kolan.

– Widzisz – kontynuował Druin konwersacyjnie – jeżeli mnie zabijesz, teraz, mój przyjaciel Clovis tutaj musiałby cię za jakiś czas zabić. Zabiłby, odciął Twoją głowę i zaniósł do mojej wdowy i dzieciaków jako dowód, że nie żyjesz i sprawa by się skończyła.

Spojrzał na mnie.

– Zrobiłbyś to, co?

– Zrobiłbym – przysięgłem. Jadłem pod dachem Druina i nie mógłbym odmówić takiego zadania, w potrzebie. Myśl o tym sprawiła, że poczułem się chory, ale wcale nie zmieniło to mojego po-

stanowienia. Nie miałem w ogóle pojęcia, dlaczego Fergal chciałby zabić Druina i nie dbałem o to. To, że zastanawiał się nad morderstwem, powiedziało mi wszystko, co potrzebowałem wiedzieć o nim.

– Cóż, a nie mówiłem – powiedział Druin. – Oczywiście, mnie mam, że mógłbyś też zabić Clovisa, ale to raczej tylko podwoiłoby Twój problem.

Nie uważałem tej ostatniej uwagi tak jasnej i uspokajającej jak zabrzmiała w ustach Druina.

Spojrzenie Fergala przeskakiwało pomiędzy nami, jego język nieświadomie dotykał jego ust. Cofnął się nieco.

– Odłóżcie broń – powiedział, potem dodał, gdy obniżyliśmy karabiny – całą.

Gdy odpiąłem pas, spojrzałem na Druina. Pokręcił głową, prawie niezauważalnie. Położyłem nóż, pistolet i multi-narzędzie koło karabinu.

– Także *sgean dhu*.

Czułem się nagi, gdy się wyprostowałem. Szybkie ręce przesuwały się lub poklepały po ciele.

– Czyści.

Fergal podniósł mój sprzęt, a jeden z pozostałych majsterków podniósł rzeczy Druina. Fergal wskazał policzkiem wyjście i przesunął się dookoła za nas.

– Tędy.

Poszliśmy do wyjścia korytarza. Za nim była otwarta przestrzeń starej elektrowni. Zeszliśmy po niskich schodach na betonową podłogę i powiedziano nam, żebyśmy się zatrzymali. Za nami mogłem usłyszeć szeptaną konsultację. Czekaliśmy na decyzję, ręce na głowach, a ja się rozglądałem. Turbina, oczywiście, już dawno była usunięta, jak również większość oryginalnego wystroju. To, co zo-

stało, to było nawiedzające wspomnienie zapachów, odłóżonej farby, zardzewiałego metalu i antycznej roboty murarskiej. Ponad tymi zapachami unosiły się nowsze zapachy betonu i cyny. Cały wielki, prostopadłościenny budynek, z wysokimi oknami, został zamieniony w kompleks fabryczny pełen warsztatów i chodników, głośny i jasny od piszczenia i iskier robót ślusarskich. Z liczby osób, które zauważyłem przy ich ławkach, lub pośpiesznie idących, domyśliłem się, że około setki majsterków pracowało w budynku.

Tutaj poczułem się dziwnie na pewniejszym gruncie, pośród tej liczby zajętych osób i silniejszy poprzez drogę i kolej cywilizacji. Wiedziałem, że ten spokój jest iluzoryczny, ale i tak się go trzymałem. Myśl zawołania o pomoc przeszła mi przez głowę. Potem pomyślałem, że Fergal i jego towarzysze nie byliby tak odważni, gdyby ich działania nie były wiadome innym.

Nagle majsterkowie zbiegli po schodach za nami i zostaliśmy odepchnięci szorstko, w przeciwnych kierunkach. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi po drugiej stronie schodów, tuż przed tym, gdy zostałem wepchnięty w inne.

Pokój, w który się potknąłem, miał kilka metrów kwadratowych, światło nad głową, stół i kilka krzeseł. Pod ścianami ciężkie stopy miedzianych rur, zwoje kabli, torby i tak dalej sugerowały, że ten pokój był jednym z tych, które obecnie nie miały określonego użycia i był używany obojętnie jako skład, miejsce spotkań i, teraz, pokój przesłuchań. Był nawet, tak jakoś nieuniknienie, zlew, elektryczny czajnik i brzydko otwarte torebki kawy, cukru i herbaty.

Fergal wszedł koło mnie, obrócił krzesło na miejsce po przeciwnej stronie stołu i wskazał mi drugie.

– Usiądź.

Położył bronie, które mi zabrał na ociekaczu, cały czas zachowując swój karabin wycelowany we mnie. Potem usiadł, nie na

stole, ale odchylając krzesło o najdalszą ścianę i tuląc czarny karabin z jego dziwnym, zakrzywionym magazynkiem.

– Ok, człowieku – powiedział. – Wygląda, że cię nie doceniłem, Clovis. – Pozwoliłem pochlebstwu minąć. Zabujał się na krześle do przodu, patrząc na mnie intensywnie. – Wpakowałeś się w małe kłopoty – kontynuował poufnym tonem – i inni są na Ciebie wkurzeni, ale myślę, że mogę się z nimi dogadać. Możemy to rozwiązać.

Nic nie powiedziałem.

– Wiesz, czym jest Druin?

Po chwili czekania na odpowiedź, kontynuował:

– On jest szpiegiem kierownictwa, otóż to. Pracuje dla komitetu bezpieczeństwa MTN w Kishorn. Donosi na aktywistów związkowych, pomiędzy innymi rzeczami.

Fergal powiedział to takim tonem odrazy, że byłem zaskoczony. Drobne kłopoty pomiędzy związkami, wykonawcami i podwykonawcami nie wydawały mi się kwestią takiego moralnego oburzenia, nie mówiąc już o grożeniu śmiercią. Złożyłem ręce i przechyliłem głowę lekko na bok. Fergal odchylił się znowu do tyłu.

– Naciskał, żeby cię wyrzucić, wiesz – powiedział. – To dlatego był w barze w Karonadzie.

Przyznaję, że poczułem się tym lekko wstrząśnięty, ponieważ było to całkowicie rozsądnie i ponieważ to wskazywało, że ktoś w barze nas obserwował, ale ciągle nie odpowiedziałem.

– Nie przyszedł do nas tutaj, z Tobą, żeby nas szpiegować. Jest tutaj, żeby szpiegować *Ciebie*, odkryć, jakie są Twoje prawdziwe powiązania z nami.

– Jeżeli to właśnie robi, to brzmi dla mnie wystarczająco rozsądnie – powiedziałem, w końcu pobudzony. – Tak czy inaczej, jestem pewien, że nic, co robisz, nie jest zagrożeniem dla projektu. Przede

wszystkim to dlatego pomogłem Merrial. Więc jaki jest problem jego tutaj obecności?

– Och, to nie ma nic wspólnego z tym. Merrial powiedziała ci prawdę, myślimy, że istnieje możliwe zagrożenie dla Statku, prowadzimy pilnie śledztwo i jeżeli odkryjemy dowody na to, przedstawimy je zarządowi projektu. Nie. Druin, i ktokolwiek jest za nim, szukają dowolnego kija, żeby uderzyć majsterków. Próbuje nas skompromitować i wzniecić wrogość wobec nas.

Pokręciłem głową.

– Nie, nigdy nie okazał żadnej wrogości wobec majsterków, o ile wiem.

– Naturalnie – powiedział szyderczo Fergal.

– Zresztą, dlaczego on, lub ktokolwiek, chciałby czegoś takiego?

– Boże, ale jesteś kurwa naiwny! – Fergal machnął ręką, żeby wskazać wszystkich poza pokojem i w budynku. – Jesteśmy nieco uprzywilejowaną grupą, poprzez nasz monopol umiejętności, które, szczerze, nie są trudne do opanowania. Dlaczego mielibyście zależeć od nas przy budowie i uruchamianiu komputerów? – Roześmiał się. – Widziałeś, jak je robimy. To starożytna technologia, zwana *nanotech*. Nie rozumiemy jej, ale umiemy ją stosować. Rolnik mógłby to robić, tak jak rolnik uprawia rośliny bez rozumienia, jak działa genetyka molekularna i replikacja. Kompetentny mechanik, może z pomocą wprawnego jubilera lub zegarmistrza dla skomplikowanych części, mógłby włączyć kryształy widzenia, jak je nazywacie, w maszyny.

– Musieliby znać białą logikę.

– To też nie jest trudne do nauczenia. Więc co cię powstrzymuje?

– Mnie?

– Twoich *ludzi* – powiedział zniecierpliwiony.

– Zabawne – powiedziałem – to właśnie pytanie zadałem Druinowi. Powiedział, że to była, cóż, tradycja, tak pewnie byś to nazwał. Działa, powstała w czasach Wyzwolenia, nie ma powodu jej kwestionować. Tak właśnie powiedział.

– Bez wątplenia. I nie minęłoby długo, zanimby cię nie komplementował, mówiąc, że przemyślał to i że jest to dobre pytanie.

– Masz coś przeciwko, żebym zapalił? – spytałem. Chciałem, żeby odniósł wrażenie osłabienia, moje pragnienie uwiarygodniło to.

– Jasne, proszę bardzo – powiedział Fergal.

Wyjąłem składniki z kieszeni i zapaliłem.

– To, czego nie rozumiem – powiedziałem – to, dlaczego jesteś tak przejęty jego pojawieniem tutaj. Nawet zagroziłeś mu śmiercią. Może to był blef. . .

– Nie był!

– Ale dlaczego? Nawet jeżeli jest tak wrogi, jak mówisz, na pewno ma ludzi, którzy go poszukają, gdy nie wróci, i dużo to nie zabierze, żeby zaczęli szukać tutaj.

Fergal pstryknął palcami.

– Moglibyśmy sprawić, że to wygląda jak wypadek, który nie ma nic wspólnego z nami. Polowanie to niebezpieczny sport.

– A ja potwierdziłbym historię lub dołączył do niego na dnie klifu?

– Coś w tym rodzaju.

– Co – spytałem, próbując utrzymać głos od zdradzenia mojego gniewu i strachu – jest na tyle ważne, że usprawiedliwić zrobienie *czegoś takiego*, co?

– Ach. – Fergal zmarszczył brwi. – On, i Ty, przybyliście w bardzo dziwnej chwili. Odnaleźliśmy coś w plikach, które Merrial odzyskała, coś, co było zaginione przez bardzo długi czas, i co dopiero



ostatnio zrozumieliśmy, że może być przechowywane na Uniwersytecie, z wszystkich miejsc. My...

Przerwał.

– Powiedzmy, że stracilibyśmy dużo, gdy ktoś zaczął w tym grzebać. Oczywiście trwa śledztwo i naprawdę nie jesteśmy w pozycji oporu wobec siłowego wtargnięcia. – Otrzeptał palce i wstał, kładąc karabin ostrożnie w poprzek zlewu, w swoim zasięgu i poza moim. – W tym miejscu wchodziś Ty, Clovis. Oczywiście nie chcemy zabić Druina lub Ciebie.

– Jeżeli istnieje możliwość tego uniknięcia.

– Dokładnie! – Uśmiechnął się, tłumiąc uśmiech. – Nie ma potrzeby czegoś takiego. Jesteś inteligentnym facetem, Clovis, i możesz nam pomóc. Wszystko, co musisz zrobić, to przekonać Druina, że nie ma nic tutaj, co zagroziłoby projektowi, i że powinien zostawić to w spokoju.

– To nie powinno być trudne – powiedziałem. – A Druin nie powinien was martwić. Nawet jeżeli jest tym, co mówisz, wykonywał tylko swoją pracę. A mówiąc o pracy, właśnie straciłem swoją i chcę wyjaśnić. Jak również dokumentów, które zabrałeś, i możliwości rozmowy z Merrial.

Fergal zmrzył oczy.

– Merrial może nie chcieć z Tobą rozmawiać.

– To ona mi powinna to powiedzieć.

– Co do plików...

Zmarszczył brwi, zastanawiając się. Miałem wrażenie, że zaczyna myśleć, że pliki stawały się większym kłopotem niż były tego warte.

– Słuchaj – powiedziałem – rozumiem, dlaczego uważacie, że one są wasze. Niemniej nie są moje, żeby wam pozwolić je mieć,

lub wasze, żeby je wziąć. Wyzwolicielka zostawiła je Uniwersyte-towi, nie Czwartej Międzynarodówce.

Fergal zerwał się, jakby użądliła go osa.

– Kto Ci powiedział o Czwartej Międzynarodówce?

Wzruszyłem ramionami.

– Jestem historykiem – powiedziałem. – To wiedza powszechna pomiędzy uczonymi.

To podwójne kłamstwo osłabiło jakoś Fergala. Usiadł z powrotem i ostrożnie zmierzył mnie wzrokiem.

– Więc co wiecie o tym?

– To komunistyczne tajne społeczeństwo, które powstało przed czasami Wyzwolicielki.

– Hmm – powiedział. Potarł powiekę. – To w porządku. Choć „komunistyczne” wcale nie mówi ci, o co chodziło, w tych dniach. – Roześmiał się zgryźliwie. – Boże, czasem czuję, że moglibyśmy odzyskać *kapitalizm*...

– Posiadanie? – spytałem z niedowierzaniem.

– Cóż, tak byś to nazwał. Pozwól, że powiem, że byłoby to lepsze niż ten ciemny wiek, w którym wy ludzie sami siebie zakopaliście.

– To jest ciemny wiek? – Roześmiałem się w jego twarz. – Budujemy statek kosmiczny nie dalej jak pięćdziesiąt kilometrów stąd.

– Och, Chryste. – Fergal zacisnął pięści. – Aye, budujecie to z płyty od kotła. Budujecie wszystko, od surowej atomistyki do nawet, kurwa, *silników fuzji laserowej* umiejętnościami przekazywanymi od mistrza do ucznia. W porównaniu, ze starożytnymi, wy jesteście całkowitymi barbarzyńcami. W porównaniu z tym, czym moglibyście być...

Westchnął, wstał, zaczął chodzić po pokoju jak bestia w klatce.

– Moglibyście mieć świat, gdzie nikt nie musi wykonywać pracy,

która nie jest zabawą, gdzie prawie każda choroba lub rana może być wyleczona, gdzie nikt nie musi umierać, gdzie żyjemy jak bogowie i wypełniamy niebiosy naszymi wnukami. Zamiast tego mamy to. – Uderzył w dłoń pięścią i rozejrzał się dookoła z obrzydzeniem.

– A kto pracowałby w tym raj? – spytałem, może bardziej agresywnie niż zamierzałem.

– Maszyny, oczywiście. Każda praca na świecie może być wykonana przez maszyny, połączone i skoordynowane.

– Och, prawda – powiedziałem rozczarowany. – Ścieżka mocy.

– Nie musi tak być, następnym razem. . .

– *Następnym razem?*

Fergal pochylił się nad stołem oparty na pięściach, na sposób jednocześnie onieśmielający i poufny.

– Po to właśnie istnieje Międzynarodówka: po następny raz. Następna szansa, by ludzkość wyrwała się z tego więzienia. Nasz czas nadejdzie, znowu. A następnym razem, będziemy gotowi.

Pokręciłem głową.

– Nie rozumiem.

Spojrzał na mnie z jakimś żalem, potem wyprostował się i wrócił na krzesło.

– Nie ma sensu próbowanie wytłumaczenia tego ci teraz – powiedział. – Jest tyle rzeczy, które musisz wiedzieć, żeby zrozumieć, nie ma sposobu, żebyś. . .

Uderzenia w drzwi przerwały mu.

– Kto tam? – krzyknął.

– To ja. . . Merrial! Fergal, musisz. . .

– Poczekaj tam!

Jego wykrzyczana komenda dotarła zbyt późno. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i Merrial wparowała. Pognęła obok mnie, położyła coś na stole, a potem wyrwała ręce do tyłu od tego, jakby to

był zbyt gorący talerz. To była aparatura kryształu widzenia, kamień w środku jarzył się kolorem i życiem ruchem, formując małe sceny pod kopułą, bańka życia zaskakująca w jej rzeczywistości wirtualnej.

Sceną była polana w lesie, na której mężczyzna siedział niczym elf na skale. Patrzył na nas, całkiem spokojny i niesamowity. Przemówił, a jego głos dobiegł z głośnika z boku otaczającego aparatu. Poziom głosu był zbyt niski, żeby zrozumieć, co mówił, zdecydowanie nie powyżej krzyków Merrial.

– Nigdy nie mówiłeś mi, że jest w tym diabeł!

Fergal zerwał się i patrzył się intensywnie na kamień. Podniósł dłoń, bez odrywania wzroku.

– Uspokój się Merrial – powiedział miękko. – To nie diabeł. Tego właśnie szukamy.

– Co to, do cholery, jest? – spytałem. Również wstałem, patrząc w transie na piękną, niesamowitą rzecz.

– To sztuczna inteligencja – powiedział majsterek, jego głos zachwycony z podziwu. Pochylił się nad kryształem widzenia, przyłożył ucho do głośników i słuchał. Merrial wydawała się zauważyć mnie, dopiero gdy przemówiłem.

– Co Ty tutaj robisz? – spytała. Jej oczy były zaczerwienione, jej policzki blade od zmęczenia. Wyglądała na przestraszoną i zdziwioną.

– Przyszedłem tutaj dla Ciebie – powiedziałem. – Miałem nadzieję, że może będziesz chciała wrócić.

– Ale ja myślałam... .

– Wy dwoje, proszę wyjść – powiedział Fergal. Nawet na nas nie spojrzął. Machnął dłonią w roztargnieniu na stronę. – Zabierz swoje bronie i narzędzia, Clovis, zabierz tę kobietę, jeżeli chcesz i wynoś się, kurwa, stąd ze swoim przyjacielem, korporacyjnym szpiegiem.

Merrial odwróciła się i spojrzała na Fergala.

– Chcesz, żebym poszła? – Brzmiała urażona, ale również pełna nadziei.

– Tak, tak – powiedział Fergal, niecierpliwie racząc spojrzeć na nią. – Wykonałaś swoją pracę i do tego bardzo dobrze. Twoje umiejętności nie będą potrzebne w . . . kolejnej fazie. Och, Clovis, zabierz te cholerne papierowe teczki, skoro już przy tym jesteśmy. Też już ich nie będziemy potrzebować.

Merrial patrzyła się krzywo na Fergala przez chwilę i chwyciła moją dłoń.

– Clovis, co się dzieje?

– Myślę, że powinniśmy zrobić, tak jak nam mówi. – powiedziałem.

Puściłem jej dłoń i okrążyłem stół, wziąłem karabin i rzeczy z mojego pasa. Przypiąłem je z powrotem, wsunąłem sztylet w but i wziąłem dłoń Merrial w lewą dłoń, trzymając karabin prawą. Razem wycofaliśmy się z pokoju. Fergal nie patrzył, jak wychodziliśmy, lub nawet – o ile mogłem zobaczyć – zauważył. Rozmawiał cicho z duchem w kamieniu. Zamknąłem drzwi pchnięciem stopy.

– Czy chcesz iść ze mną?

Merrial mrugnęła.

– Oczywiście, że tak.

Przytuliłem ją (raczej dziwnie z karabinem w dłoni, ale nie miałem zamiaru go znowu wypuścić) i potem powiedziałem:

– Lepiej stąd ruszajmy, zanim ten gnojek zmieni zdanie.

– Lub coś gorszego się wydarzy. Tak, chodźmy.

Wielka przestrzeń warsztatowa ciągle była zajęta, ze światłami dochodzącymi stąd i stamtąd, gdy wieczorne cienie się wydłużały – godzina, gdy zaskoczony zauważyłem, była tylko dziesiąta wieczor-

rem – i otaczające światło poczerwieniało. Kilka ludzi na chodnikach ponad nami spojrzało na nas z ciekawością, ale to było wszystko.

Pokój, w którym Druin był trzymany, był tylko kilka kroków dalej. Otworzyłem drzwi i wszedłem, Merrial blisko za mną. Ten pokój miał tylko krzesło na środku, z bardzo jasnym światłem nad nim. Druin siedział w tym krześle ze znudzoną, ponurą i upartą miną, podczas gdy dwóch majsterków, którzy towarzyszyli Fergalowi, stało, jeden przed nim, drugi za nim. Ich podniesione głosy ucichły, gdy weszliśmy. Ich karabiny, i Druina, były oparte o dalszą ścianę, mój był skierowany prosto przed siebie. Ciągłe nie był naładowany, ale tego nie wiedzieli.

– Fergal mówi, żebyście go puścili – powiedział Merrial.

– Co oni ci robili? – spytałem.

Druin wstał i się rozciągnął.

– Och, nic, o czym warto mówić – powiedział. – Zaledwie zanu-dzali mnie opisem moich grzechów. Nie odkryłem jednak w moim sercu chęci spowiedzi. – Zręcznie odebrał swoją broń i sprzęt. – Dziękuję za odeskortowanie nas na zewnątrz, panowie.

Jeden z majsterków odezwał się w końcu.

– Chcę to potwierdzić u Fergala.

– Zrób tak, jeżeli chcesz – powiedziała Merrial. – Ale ostrzegam, on nie jest w przyjaznym nastroju.

Majsterek otworzył usta i znowu je zamknął. Uśmiechnął się do Merrial w zadziwiająco współwiny sposób, że zacząłem podejrzewać, że on i Merrial mieli jakieś wspólne doświadczenia nastrojów Fergala.

– Och, dobrze, to Twoja odpowiedzialność – powiedział.

Wyszliśmy z pokoju.

– Poczekajcie chwilę – powiedziała Merrial.

Pobiegła po schodach i dalej chodnikiem, jej stopy dzwoniły po

metal. Czekaliśmy w niespokojnej ciszy, gdy wróciła, dwie teczki przyciśnięte do jej piersi.

– Tylko to – powiedziała. – Wszystko gotowe.

Dwóch mężczyzn szło przed nami wzdłuż długiego, centralnego przejścia przez warsztat do starych, zielonych, miedzianych drzwi budynku, potem odwrócili się ostro w lewo i wyprowadzili nas przez raczej mniej imponujące drewniane drzwi.

– Do widzenia – powiedział Druin złowrogo.

Majsterkowie go zignorowali.

– Wychodzisz? – jeden z nich zapytał się Merrial.

– Idę do domu – powiedziała. – Mam nadzieję, że jeszcze cię zobaczę.

Ciężarówka Druina była około kilometra dalej. Pośpieszyliśmy cichą drogą, późne słońce w nasze oczy. Druin szedł rażno przodem. Dłoń Merrial była zaciśnięta w mojej, palce splecione. Żadne z nas nie mówiło dużo, mieliśmy zbyt dużo do powiedzenia na raz.

W końcu dotarliśmy do ciężarówki. Druin zatrzymał się i spojrział na karabiny.

– Och, zapomniałem, mamy jakieś sarny do zabicia.

Roześmiał się na moją minę, wziął oba karabiny i położył je z tyłu ciężarówki. Obeszliśmy do kabiny i wspięliśmy się. Merrial dzieliła podwójne miejsce pasażerskie z mną. Było komfortowo zatłoczone. Przez minutę wszyscy siedzieliśmy z wdzięcznością. Podałem Merrial papierosa i zapaliłem dla nas obojga. Pociąg do Kyle zastukał, mijając.

– Wiesz – powiedział Druin refleksyjnie – nigdy wcześniej nie miałem broni wymierzonej we mnie, dzięki Opatrzności. Nie jest to doświadczenie, które chciałbym powtórzyć.

– Nie sądzę, żeby naprawdę chcieli kogośkolwiek z nas zabić – powiedziałem. – W końcu, to my wmaszerowaliśmy z karabinami.

– Aye – powiedział Druin z oburzeniem – wiele razy miałem karabin w Karonadzie i nikt tego źle nie przyjął.

– Inna sytuacja. . .

– Fergal mógłby was zabić! – przerwała Merrial. – Jeżeli byłyby w nastroju. Tylko możliwe konsekwencje go powstrzymały. Zrobiliście tam coś *głupio* niebezpiecznego.

– Cóż, poszliśmy tam dla Ciebie i żeby odzyskać te dokumenty, o które Clovis tak się awanturował. – Druin się uśmiechnął. – I z tym właśnie wyszliśmy.

– Co za czarujący sposób powiedzenia tego – powiedziała Merrial, nieobrażona. Pochyliłem się koło niej i spojrzałem na Druina, marszcząc brwi.

– Co z Tobą? Fergal powiedział, że pracujesz dla bezpieczeństwa projektu, szpiegując związki i majsterków. I że żądałeś mojego zwolnienia. Czy to prawda?

– Nie *szpieguje* nikogo – powiedział Druin. – To sposób przedstawiania tego przez majsterków, przynajmniej tych trzech, którzy nas złapali. Diabeł będzie musiał za to zapłacić, wiesz!

– Jak? – Zaprzeczenia Druina nie ominęły mnie, ale to było ważniejsze.

Druin włączył silnik i zaczął kierować ciężarówkę na drogę na zachód.

– Bezprawne pozbawienie wolności! – powiedział. – I napad z bronią w rękę, czym jest grożenie komuś bronią. Ty i ja, Clovis, moglibyśmy pozwać gnojków. – Spojrzał na mnie z boku ostro. – Nie wiesz może, przypadkiem, dlaczego nas zatrzymali w pierwszej kolejności i dlaczego puścili nas, kiedy to zrobili? Mam na myśli, przy mnie tylko gadali o tym, jakim jestem łamistrajkim. Co Ci Fergal powiedział? I, jeżeli o tym pomyśleć, co oboje kombinuje-



cie? Wiem, że coś kombinujecie i że to dotyczy Statku. Co oznacza, dotyczy mnie.

Objąłem ramieniem ramiona Merrial. Uśmiechnęła się do mnie, potem spojrzała prosto.

– Powiedz mu – powiedziała. – Powiedz mu wszystko.

Więc tak zrobiłem, gdy zjechaliśmy z Dark i jechaliśmy przy zachodzie słońca.

– Aye, cóż – powiedział Druin – powiedziałaś mi wszystko, co wiesz, Clovis. – Łyknął whisky i pstryknął komara. – Co za historia! Niemniej jednak nie słyszałem części Merrial i sądzę, że to więcej niż połowa tej historii.

Siedzieliśmy dookoła szorstko zrobionego, wygładzonego wiekiem, stołu w szerokiej, wyłożonej kamieniem kuchni w domu Druina, sami otoczeni półkami porcelany, błyszczącym elektrycznym piekarnikiem i zlewem z kapiącym kranem. Arrienne i dzieci już dawno poszły spać. Tylne drzwi były otwarte na ciepłą noc oraz na zapachy i dźwięki fiordu. Spodek na stole wypełniał się niedopałkami papierosów. Poza nim butelka whisky i dzbanek kawy opróżniały się szybko.

Merrial potarła brew, przebiegła palcami po szerokich połaciach włosów i odrzuciła je na ramiona. Nie rozwinęła żadnego punktu mojej historii, poza okazjonalnym potwierdzającym komentarzem lub skinięciem głową.

– Cóż, dobra – powiedziała. – Z mojej strony, cóż, część z tego wołałabym omówić z Clovisem, to naprawdę jest osobiste, naprawdę nie jest Twoją sprawą, Druin.

Druin przechylił głowę.

– Ok. A reszta?

– Ach, dobra, to sięga nieco wstecz, kiedy zaczęłam się mar-

twić ...historiami, które słyszałam, o tym, co stało się w trakcie Wyzwolenia. Praktycznie, to Wyzwolicielka, sama Myra Godwin, uruchomiła coś, co fizycznie zniszczyło kolonie i satelity, robiąc to, nie tylko zabiła, Bóg wie, ile osób, ale także stworzyła barierę dla czegokolwiek kiedykolwiek wyruszającego w kosmos. Każda platforma orbitująca, która była zniszczona, została rozbita na szybko poruszające się fragmenty, które w rezultacie zniszczyły inne, i tak dalej aż nie było nic, prócz pasa odłamków dookoła Ziemi, a cokolwiek, co się wzniesie teraz, skończy jako więcej odłamków! Fergal jest bardzo szanowanym majsterkiem, prócz jego bycia ...czołowym przedstawicielem Międzynarodówki. – Rzuciła na nas okiem. – Co nie jest tak złowieszcze, jak myślicie! Ale to przy okazji. Fergal kieruje majsterkami, którzy pracują przy Projekcie, choć sam nie pracuje na miejscu. Więc po zignorowaniu przez kierownictwo projektu, przedstawiłam to jemu i on powiedział, że powinniśmy spróbować zbadać to sami. To ja zasugerowałam, że moglibyśmy poszukać kogoś, kto mógłby mieć dostęp do czegokolwiek, co Wyzwolicielka zostawiła w Glasgow, i że, cóż, przez lato w Projekcie pracowali studenci, którzy mogliby. . .

– Zatem przyszłaś szukać mnie?

– Aye. – Uśmiechnęła się. – Ale nie wiedziałam, co znajdę. Mógł to być ktoś, tylko zainteresowany w stypendium, lub ktoś, kto nie zgodziłby się z pomysłem. Tak czy inaczej, miałam uszy otwarte i nie minęło długo, zanim usłyszałam o Tobie.

Druin się roześmiał, nie tyle moim zażenowaniem, ile jej opowieścią.

– Clovis nie był taki cichy o jego zainteresowaniach! Truń nam o Wyzwolicielce i historii całe cholerne lato. Jednak wracając do Fergala. Brzmi, jakby potraktował Twoje obawy poważnie.

– Och, pewnie – powiedziała Merrial. – Odniosłam wrażenie, że

całkiem sporo majsterków miało ten sam pomysł i ... przynajmniej niektórzy ludzie w Międzynarodówce mieli poważniejsze powody, żeby tak myśleć.

Druin wziął nagle rozrzutny łyk jego dobrej whisky.

– Dlaczego majsterkowie, lub ta Międzynarodówka, chciałyby to utrzymać w tajemnicy?

Merrial gapiła się na niego.

– Z powodu reputacji Wyzwolicielki oraz jej ostatniej wiadomości do świata, która chroni majsterków! Jeżeli zwykli ludzie, Obcy, bez urazy, zaczną myśleć, że była jakimś masowym mordercą i potworem jak Stalin, to dlaczego mieliby się przejmować tym, co powiedziała?

Druin oparł brodę o dłonie i spojrzał na nią zagadkowo.

– Czy to jest coś, co myślisz, czy raczej to, co Fergal ci powiedział?

– To i to, ale, cóż, tak. Widzę, co masz na myśli.

– Więcej niż mogę powiedzieć – powiedziałem.

Merrial odwróciła się do mnie.

– Co on ma na myśli, to, to coś, co akceptowałam tak długo, jak pamiętam, bez myślenia o tym, ale kiedy mówisz to na głos i myślisz o tym, to po prostu nie wydaje się bardzo prawdopodobne.

– Dokładnie! – powiedział Druin. – To prawda do pewnego stopnia, ale właściwie nie wyjaśnia, dlaczego majsterkowie i reszta z nas radzi sobie całkiem dobrze przez większość czasu. Historia, że są dziećmi Wyzwolicielki, jak to się mówi, jest tylko symbolem, drogowskazem lub punktem zwrotnym, jak sama statua. Nie dogadujemy się z majsterkami, ponieważ szanujemy Wyzwolicielkę, ale szanujemy Wyzwolicielkę i utrzymujemy jej posągi, ponieważ dogadujemy się z majsterkami. A dzieje się tak, ponieważ potrzebujemy majsterków, a oni nas.

Spojrzałem na niego, zdumiony. Przez wszystkie lata moich studiów, nigdy nie czytałem lub słyszałem wypowiedzi czegokolwiek jak to. Zdecydowanie nigdy samemu nie doszedłem do takiej myśli. To coś tak oczywisty prawdziwego, kiedy wypowiedziane, jednak tak nieoczywistego i przeciwnego naturze tego, co Gantry nazwałby „prostackim żargonem” wypowiedziane przez robotnika, a nie uczonego było jakimś szokiem mojej oceny naukowości, nie wspominając o sobie.

Nie było sposobu, żebym powiedział to wszystkiego bez zaobrzmienia protekcjonalnie, więc powiedziałem tylko:

– Druin, to genialne. Nigdy o tym nie pomyślałem.

Uśmiechnął się do mnie lekko, ze zmrużonymi oczami, jakby znał moje niewypowiedziane myśli.

– Aye – powiedział – genialne, czy nie, jestem całkiem pewny, że myśl taka pojawiła się u naszego kolegi Fergala. Więc jego dyskrecja ma inne cele niż to. Jeżeli Ty, Clovis, opublikowałbyś swoją wielką pracę o Wyzwolicielce, kiedy byłbyś starszy i mądrzejszy, w której udowodniłbyś poza cieniem wątpliwości, że była najdziwniejszą osobą, która chodziła po Ziemi, myślisz, że ludzie zaczęliby rzucać kamienia w majsterków? – Roześmiał się. – Nie, rzucaliby kamienie w Ciebie!

– Gdzie to nas prowadzi? – spytałem, nieco obronnie.

– Prowadzi nas do tego – powiedział Druin wolno, stukając w stół stępionym paznokciem. – Jak mówiłem, pragnienie dyskrecji Fergal w tej kwestii nie jest z powodu, o którym myśleliście Ty i Merrial. W rzeczywistości, ze sposobu, jak mówisz, zachowywał się, gdy Merrial znalazła człowieczka w kamieniu, powiedziałbym, że odnalezienie tej rzeczy, czymkolwiek jest, cały czas było jego celem. To po to wysłał was oboje na poszukiwania w Glaschu. Teraz gdy to znaleźliście, nic go nie obchodzą jakieś możliwe śmieci ko-

smiczne. I nie zapominaj, Merrial, że przedstawiłaś sprawę Projektowi i jedynym powodem, dla którego zostałaś tak mocno skarcona jest to, że *oczywiście* projektanci pomyśleli o tym, czy to było winą Wyzwolicielki czy nie, rzeczy, które były na orbicie w przeszłości, gdzieś musiały trafić! W starych zapisach, takie jak są, można było je zauważyć jak poruszające się gwiazdy nagim okiem, czyż nie tak, Clovis? – Kiwnąłem głową.

– Cóż, nie ma ich tam teraz, a nasze najlepsze teleskopy, co niedużo mówi, przyznaję, w porównaniu z tymi, którymi starożytni obserwowali narodziny Wszechświata, ale jednak, nie widzą żadnej plamki. I teraz nie ma więcej spadających gwiazd niż w starożytności, wiemy o tym na pewno, ponieważ te zapisy były na papierze i przetrwały. Więc prawdopodobnie nie ma chmury odłamków nad Ziemią, choć jeżeli Wyzwolicielka zrobiła, tak jak mówisz, mogą być jakieś materiały na wysokich orbitach. Ale nawet to jest mało prawdopodobne. Jest powiedziane, że w czasach niespokojnych, niebo spadło, a najlepsi naukowcy sądzą, że to był sposób naszych przodków powiedzenia, co zobaczyli, kiedy wielkie kosmiczne miasta, dawno opuszczone lub wypełnione zmarłymi, były w końcu sprowadzone na Ziemię przez lekki opór powietrza w górze i upadały na Ziemię z własnej woli.

W tym czasie, nie byłem zaskoczony przez Druina. Jego słowa były kolejnymi gwoździami w trumnie mojej pychy.

– Czy znalazłaś cokolwiek o tym w plikach komputerowych? – spytałem Merrial.

Potrząsnęła głową.

– Nie, nie było nic, co się dzieje po dacie samego Wyzwolenia. To wtedy, gdy szukałam przez niego, otworzyłam plik, który uwolnił coś, co Fergal nazwał „sztuczną inteligencją”. – Jej oczy

rozszerzyły się na wspomnienie. – Z początku myślałam, że to była jedna z tych twarzy, które pojawiają się w kamieniach.

– Przy okazji, czym one są? – spytał Druin.

Merrial machnęła dłonią.

– Nie wiemy. Znaleźliśmy odniesienia do rzeczy nazywanych programami Pomoc i wydaje się, że właśnie tym są, tak czy inaczej, wszystkie wypowiadają słowo „pomoc”! Myślę, że to jakieś stare rzeczy, które zostały odziedziczone. Jednak ta rzecz w ogóle nie była jedną z nich. Patrzyła prosto na mnie i przemówiła.

– Co powiedziała?

– „Cześć” – powiedziała, nienaturalnie głębokim głosem.

Wszyscy się roześmialiśmy.

Zadrzała przesadnie.

– Moją następną myślą, kiedy minął mi trochę szok, było to, że jest to demon bezpieczeństwa, jak ten, na którego natrafiliśmy w Glasgow. Ale to też nie było to. Nie odstraszało mnie, zapraszało mnie. To wtedy pobiegłam z tym do Fergala.

– Który, zdaje się, zaakceptował zaproszenie – powiedziałem. – Stracił zainteresowanie we wszystkim innym, gdy tylko to zobaczył.

– Hmm – powiedział Druin. Wstał, wyszedł przez drzwi, może, żeby uciec od naszego dymu. Niebo, godzina po północy, było ciągle jasne, lub znowu jaśniejsze, za nim. – Co raczej sugeruje mi, że to było jego celem cały czas. Jak w, dlaczego by nie miało być?

– Odwrócił się do nas, jego oczy błyszczały. – Kto nie chciałby porozmawiać ze sztuczną inteligencją? Starożytnie je mieli i nawet majsterkowie je stracili, mam rację, Merrial?

– Och, pewnie – powiedziała. – Nigdy nie widziałam, ani nie słyszałam, posiadania czegoś takiego i myślę... myślę, że usłyszałabym.

– Wiesz – powiedział Druin – to naprawdę ulga. Dobra, oboje

zostaliście użyci przez Fergala, może posłani przez nieprzyjemności i udręki, ale nie wyszła z tego duża szkoda. I nie, Clovis, nie zaliczam Twoich drobnych trudności do wielkiej szkody, będziesz miał większe kłopoty niż to, zanim będziesz w moim wieku.

– Dobra – powiedziałem, powstrzymując pewną irytację – widzę, jak to może nie być dla Ciebie ważne. Jednak Fergal dostał tę rzecz i co mnie martwi to, co zamierza z tym zrobić.

– Co zamierza z tym zrobić – powiedział Druin – zależy od tego, co to jest. Jakies pomysły tutaj, Merrial?

– Nie – powiedziała. – To było w plikach Myry Godwin, a my wiemy, że niektórzy ludzie mieli wtedy te rzeczy, to mógł być doradca lub konsultant jakiegoś rodzaju. Może Fergal wie, co to jest, ale nie ja.

– Nienawidzę myśli, co Fergal mógłby zrobić z doradcą, który ma dostęp do wiedzy z przeszłości – powiedziałem. Druin pokręcił głową.

– Więc co jeśli Fergal znalazł nową zabawkę, lub nowego przyjaciela, z tego, co wiem. To nie jest nasz cholerny interes i zdecydowanie nie jest mój, to nie ma nic wspólnego z bezpieczeństwem Statku, prawda?

– Cholernie szybko poradziłeś sobie z irytacją z bycia przetrzymwanym i rozbrojonym – powiedziałem kwaśno.

– Ach! – powiedział Druin. – Gorące słowa. Zapomnij. Zresztą, kto pozwałby majsterka?

Na to, Merrial i ja się roześmialiśmy. Bezowocność „pozwania majsterka przed sąd” była przysłowiowa.

– Jednak to wcale nie rozwiązuje problemu – powiedziała Merrial.

– Jakiego problemu?

– Problemem nie jest sama rzecz w sobie. Fergal jest proble-

mem. – Zmarszczyła brwi, najwyraźniej zmartwiona. – Nie jest zły, jego intencje są dobre, w pewien sposób, i może być bardzo... czarującym mężczyzną, na poziomie osobistym, ale jest bardzo... prostolinijny, wiecie? Ma tendencję do skupiania się na jednej rzeczy w danych czasie i traktowania wszystkiego i wszystkich innych.

Druin parsknął.

– Ha! Nie znam Fergala, ale znam ten typ. Bardziej przez sławę niż doświadczenie, dzięki Opatrzności. – Zachichotał. – Ale jeżeli kiedykolwiek trafię na takiego kierownika, to będzie miał krótką karierę. Przynajmniej jako kierownik. – Wszedł i znowu usiadł. – Ale jednak, to problem dla waszej grupy, nie mojej. Ciągłe uważam, że najlepiej byłoby to zostawić. Projekt jest strasznie blisko zakończenia, jesteśmy właściwie szybciej niż harmonogram, nadchodzą duże nagrody za wyprowadzenie platformy przed końcem Sierpnia, co jest różnicą pomiędzy wyprowadzeniem jej przed zimą a czekaniem na wiosnę. To nie mała rzecz, a problemy z majsterkami są jedną z rzeczy, które mogłyby to zepsuć.

– Co martwi mnie w Fergalu – powiedziałem – to nie jego osobowość, a jego przekonania. Wiem, że nie jesteś taką osobą, Merrial, ale komunizm jest notorycznie podatny na postaci, które są... które mogą określić to w rację do zrobienia czego, co chcieliby i tak zrobić, czym jest życie poza przymierzem.

– Co masz na myśli, mówiąc „przymierze”? – spytał Druin.

– Och, to, co Ty powiedziałeś, kiedy Fergal wydawał się grozić zabiciem Ciebie. Krew za krew, śmierć za śmierć, to jest przymierze, skała. Lub to, co powiedziałeś o nas i majsterkach, muszących żyć razem, ta sama rzecz, po stronie żyjących.

– Fergal czasem mówi takie rzeczy jak ta. – Nagle wtrąciła się Merrial. – Że, ten i ten powinni być zastrzeleni, czy cokolwiek. Nie



mówi tego na poważnie, to tylko słowa na gorąco, jak powiedział Druin.

Druin pojednawczo machnął dłonią.

– To, co oboje mówicie, może być wystarczająco prawdziwe – powiedział łagodnie. – Przymierze jest w naszych czasach silne, z powodów, och, wszyscy znamy powody! Zatem ludzie jak Fergal mogą gadać i bredzić, ale nie mogą wyrządzić krzywdy. Jak wielu majsterków poszłoby za jego przykładem, w przeciwieństwie do, powiedzmy, szanowania go jako człowieka i inżyniera?

– Niewielu – powiedziała Merrial ostrożnie.

Druin oparł się i wziął łyk whisky, potem dolał nam kawy.

– Cóż, proszę bardzo – powiedział zrelaksowanym i wylewnym tonem. – Jak mówiłem, to nie moje sprawy. – Pochylił się do przodu, bardziej skoncentrowana mina, patrząc na nas oboje. – A co do moich interesów, Fergal i jego dwaj pomocnicy mieli rację w jednej sprawie, mam miejsce w Komitecie bezpieczeństwa Stoczni. Nie jestem szpiegiem, zostałem tam powołany przez Związek, do cholery! I naciskałem na odwołanie Twoich uprawnień, Clovis. Co jeszcze mógłbym zrobić, na podstawie informacji, które miałem? Ale mogę równie dobrze naciskać na ich przywrócenie i będę. Wrócisz do pracy w ciągu dnia lub dwóch, jeżeli tego chcesz, cokolwiek Uniwersytet zdecyduje w Twojej sprawie.

– To... – pokręciłem głową – ... to wspaniale, tego właśnie chciałem. Dzięki.

– Ale zanim zwrócisz te teczki do Uniwersytetu, przejrzyj je, spróbuj dowiedzieć się, czy *jest* tam coś o tym, co zdarzyło się w Wyzwoleniu. Lub cokolwiek o tej sztucznej inteligencji. Powiesz mi, co odkryjesz, nawet jeżeli to nic, tylko dla spokoju umysłu. Wykorzystaj dobrze te kilka dni, Ty i Merrial. – Uśmiechnął się chytrze. – Nie muszę wam mówić, że dotyczy to także nocy. A skoro

o tym mowa, idę spać. A w międzyczasie, nikomu ani słowa o tym. Zachowajmy pokój z majsterkami i uda nam się ruszyć w drogę.

– Droga do gwiazd – powiedziałem, cytując Fergala.

– Tak. Wszyscy zadowoleni?

Szliśmy do domu Merrial i w drodze rozmawialiśmy.

– Myślałam – powiedziała – że byłeś zbyt zaangażowany w Twoją historię, badania i stare dokumenty, żeby chcieć zostać ze mną. O to się zdenerwowałam, a nie Twoimi pytaniami.

– Ach. – powiedziałem. – A ja myślałem, że jesteś zbyt zaangażowana w tajniki Twojego społeczeństwa, żeby mi zaufać.

– Ach. – powiedzieliśmy oboje jednocześnie.

Powiedziałem jej, co Druin mówił, o metodach rekrutacji majsterków.

Roześmiała się, wieszając się na moim ramieniu i kołysząc się na nim, patrząc na mnie i odwracając wzrok, chichocząc.

– To prawda! – powiedziała. – To nie to, co planowałam.

– Więc Ty...

– Zakochałam się i miałam nadzieję, że dołączysz, tak.

– Ha ha ha! Zostać majsterkiem!

– Dobra, dlaczego nie?

Obróciła się dookoła, złapała oba moje łokcie i spojrzała mi prosto w oczy.

– Dlaczego nie? – powtórzyła.

Pomyślałem o tym, co widziałem, poczułem – i wahałem – w bibliotece, kiedy poszedłem tam z Merrial i pomyślałem o tym, co widziałem w starej elektrowni. To była historia, to była prawdziwa sprawa, nie martwa, a żyjąca, ciągłość z przeszłością i zadatek przyszłości, rzeczywiście droga do gwiazd. Jednak kto powiedziałby, że to rozważania zaważyły, a nie widok Merrial pod gwiazdami,

w drodze do łóżka, które mógłbym z nią dzielić przez wszystkie noce mojego życia?

Nie ja, na pewno.

– Dlaczego nie – powiedziałem. – Tak.

## Rozdział 12

# Ciemna Wyspa

Taksówka wynajęta przez kazachstański konsul, żeby zabrać Myrę z Portu Lotniczego w Glasgow, nadjeżdżając z zachodu na M8, została ostrzelana małokalibrowym ogniem, gdy właśnie zjeżdżała z wiaduktu w Kinning Park.

Myra ujrzała białe, gwiazdziste znaki dziobiące przydymione, pancerne szkło *tk-tk-tk*, usłyszała opony *liii* przyśpieszenia. Jej dłoń odruchowo ruszyła się do kabury pod pachą pod płaszczem i została złapana pasami bezpieczeństwa. Przez chwilę, gdy patrzyła w dół na jej ostatnio, znów gładką i nagle białą dłoń, myślała, że śmierć ją w końcu odnalazła, że umrze staro i zostawi dobrze wyglądający trup.

Potem byli poza tym, gładko dalej, zakręcając w górę i na Kingston Bridge nad Clyde. Myra obróciła się i spojrzała do tyłu i na lewo, gdzie standardowa taktyka zasłony dymnej z palonych opon wznosiła się gdzieś pomiędzy biurwcami i wieżowcami w jasnoniebieskie poranne niebo późnego maja. Helikopter zaryczał nisko i szybko nad autostradą, kołyszając wielkim samochodem i poleciał prosto na jeden z wysokich budynków. Przekątna smuga dziurkowanych kwadratowych dziur nagle przeszła po lustrzanym szkłe na fasadzie budynku. Helikopter zatrzymał się, unosząc. Samochód zanurkował pod nawisem mostu i scena zniknęła z widoku.

– Jezu – powiedziała, wstrząśnięta. – O co chodziło?

Głośnik w części za siedzeniem kierowcy się włączył.

– Zieloni – powiedział mężczyzna. – Czasem strzelają do ruchu z lotniska. – Zobaczyła jego zmarszczone brwi w odbiciu, drżenie głowy. Nie nosił spiczastej czapki. Nosił hełm. Samochód zwolnił, gdy ruch się zagęścił.

– Przepraszam za to.

– Zdaje się, że nie da się nic zrobić – powiedziała Myra. – Ale... – wykorzystała swój najlepszy, amerykański ton ignorantki – myślałam, że wy macie to wszystko pod kontrolą. W każdym razie w miastach.

Nie, żeby to nazywała miastem, na litość boską, w *Kapicy* były wyższe budynki. Nawet ze wzgórzami, Glasgow wyglądał na płaski. Mogła dojrzeć białą wieżę Uniwersytetu ponad krępymi biurkami. Miejsce zmieniło się znacznie od lat siedemdziesiątych, ale nie tyle, ile oczekiwała, biorąc pod uwagę, przez co przeszło: Republika 2015-2025, Trzecia Wojna Światowa i Proces Pokojowy, potem Restauracja i wojna guerilla przeciwko Reżimowi Hanowerskiemu, Jesienna Rewolucja i Nowa Republika, teraz miasto w czternastym roku (jak zostało to nieuchronnie nazwane) walką z terroryzmem. Niebieska, biała i zielona trzykolorowa flaga Zjednoczonej Republiki i Saltire<sup>1</sup> Państwa Szkockiego powiewały z wszystkich rządowych lub ważnych budynków.

– Nie, obawiam się, że nic nie jest w ogóle pod kontrolą – mówił kierowca. – Teraz są już w miastach i nic nie możemy z tym zrobić. Prócz bombardowania przedmieść i jeszcze nie jest tak źle.

– Tylko wystarczająco źle, żeby ostrzeliwać wieżowce?

– Tak.

---

<sup>1</sup> flaga Szkocji w kształcie białego krzyża na niebieskim tle, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Flaga\\_Szkocji](https://pl.wikipedia.org/wiki/Flaga_Szkocji) – przyp.tłum.

Myra zadrżała i poprawiła się w siedzeniu. Jej niezbyt produktywna misja w Nowym Jorku zabrała mniej czasu, niż planowano, zostawiając jej kilka dni przed jej wpisanymi spotkaniami z kimś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych Zjednoczonej Republiki. Zaczynała żałować, że nostalgia – i pragnienie osobistego uporządkowania rozdysponowaniem swoim archiwum – nie pozwoliła jej zdecydować spędzić tej soboty i niedzieli w Glasgow.

Zjednoczona Republika, choć nie jej pierwszy wybór dostępnych sojuszników, była ciągle najlepszym wyborem po Stanach Zjednoczonych. Była politycznie przeciwna postępom Szinosowym, ale nigdy nie zrobiła dużo, żeby je zatrzymać, ponieważ miała zdrową niechęć do wikłania się z Byłym Związkiem. Z drugiej strony, dzięki dzielnym interesom w Spratlejach<sup>2</sup> miała silnego wojskowego i handlowego partnera w Wietnamie, który dość dobrze się przeciwstawiał Khmer Vertes, którzy... po tym to stawało się skomplikowane, ale Parvus znał szczegóły tej historii. Wynikiem było to, że przy obecnym stanie przy ofercie jako stabilny sojusznik, Republika mogła być zainteresowana umową, z atomówkami lub bez.

Taksówka zjechała z autostrady i wykonała kilka ostrych skrętów, by dojechać na południowy koniec St Vincent Street, zwalniając tuż naprzeciwko New Britain Hotel, gdzie miała rezerwację pokoju.

– Mały problem... – powiedział kierowca.

Tłum kilkuset osób był na zewnątrz hotelu, prawie blokując chodnik i wylewając się na ulicę. Składał się z kilku małych i najwyraźniej rywalizujących demonstracji, trzy oddzielne przemowy przez megafony odbywały się z niebezpiecznych miejsc na porę-

---

<sup>2</sup> grupa około 100 małych obiektów fizjogeograficznych (wysepek, skał, łach i raf) położonych na Morzu Południowochińskim, zob. <https://pl.wikipedia.org/wiki/Spratly> – przyp.tłum.

czach i stopniach budynków obok. Linie Straży Republikańskiej oddzielały grupy. Tylne strony afiszy poruszały się nad kołyszącymi się głowami.

– Ach, żaden kłopot – powiedziała Myra. – Tylko demo lewicy.

Prawdopodobnie protestujące obecności przedstawiciela jakiegoś opresyjnego reżimu lub prawdopodobnie niepopularnemu ministrowi rządu przebywającemu w New Brit. Gdy wielki samochód wykonał ładne i nielegalne zawrócenie i podjechał, żeby się zatrzymać kilka metrów z lewej strony demonstracji, Myra bezczynnie zastanawiała, z jakim przedstawicielem sławy lub hańby będzie dzielić miejsce pobytu.

Kierowca wysiadł – ze złej strony, jak przez chwilę pomyślała – obszedł z tyłu, otwierając po drodze bagażnik i otworzył drzwi dla niej. Dała mu dobry widok na długie nogi, gdy je wysuwała i pojawiła się, wysokie buty, krótka spódnica, czapka uszanka i płaszcz. Odmłodzenie zdecydowanie sprawiało, że jej nogi były znowu warte oglądania. Powinna przemyśleć swoją garderobę...

Kierowca podniósł jej dwie wielkie walizki z bagażnika, czekała na moment, gdy postawił je i zamknął drzwi z boku, potem poszła ku wejściu hotelu, patrząc z ciekawością na demo, gdy śpieszyła się koło niego. Było jakieś trzy metry przerwy pomiędzy wystawami sklepów i kilkoma Strażnikami Republiki rozstawionymi na chodniku, żeby oddzielić przód demonstracji. Za Strażnikami tłum skakała, krzyczał i śpiewał.

Spojrzała na afisz, który machał ponad nią i zobaczyła w jego centrum rozmazane, powiększone zdjęcie jej własnej twarzy z wiadomości. Nagle rywalizujące zawołania stały się jasne, jak oddzielne rozmowy na imprezie.

– Zwycięstwo ZCRu<sup>3</sup>!

Ten okrzyk walczył na głośność z:

– Szinosowy ręce precz! Viva Kazachstan!

Ponad nimi, nie śpiewany, ale wykrzykiwany wielokrotnie przez jeden z megafonów:

– Wspieraj polityczną rewolucję w MRRNT!

Konkurujący megafon przedstawiał w bardziej liberalnym, edukowanym i edukacyjnym tonie zbrodnie reżimu Myry Godwin. Mijając, usłyszała słowa „jądrowi najemnicy” i „haniebnny wyzysk”.

Na chwilę Myra się zatrzymała, po prostu stała tam, zbyt zszokowana, żeby iść. Jej wzrok przesunął się po odbijających przesłonach strażników, by nawiązać kontakt wzrokowy z młodą dziewczyną w szaliku z tartana. Śpiew dziewczyny zatrzymał się w połowie i Myra nie mogła się odwrócić od jej niedowierzającej twarzy z otwartymi ustami. Potem dziewczyna sięgnęła ponad ramieniem strażnika i wskazała drżącym palcem na Myrę.

– To ona! – zapiszczała. – Jest tutaj!

Myra uśmiechnęła się do dziewczyny, rozejrzała się i spokojnie ruszyła ku stopniom do drzwi hotelu, teraz tylko dziesięć metrów dalej. Kierowca sapął koło niej. Śpiew trwał, wydawało się, że uchodzi jej na sucho.

A potem rozpostarła się cisza, tylko nieco wolniej niż dźwięk, od dziewczyny, która ją rozpoznała. Śpiewy zamarły, mowy z megafonów zostały przerwane. Tłum rzucił się przez szerokie przerwy pomiędzy strażnikami, blokując chodnik. Młody mężczyzna, nie tak wysoki jak Myra, ale ciężiej zbudowany stanął przed nią, krzycząc niezrozumiale w twarz.

Jej stare zrozumienie akcentu Glasgow wróciło z pamięci.

---

<sup>3</sup> Związku Chińsko-Radzieckiego, w oryg. SSU – Sino Soviet Union – przyp.tłum.



– Gardza tobom! – krzyczał mężczyzna. – Godałaś, iż je żeś trockistką, a je żeś gorszo aniżeli jebani staliniści! Przedowanie groźb nuklearnych, a potom przedowanie roboty niywolników. A teraz walczysz przeciwko Szinosowym! Som nadziejom świata, a ty walczysz z nimi dło jebanych Jankesów! Ty jebano zdrajczyni, ty jebano kapitalistyczno dziwko!

Pochylił się jeszcze bardziej groźnie, gdy mówił. Jego dłonie się zacisnęły, przygotowywał się, żeby zamierzyć się na nią. Trzy metry za nim ktoś trzymający afisz „Brońmy MRRNT!” pchał się przez naciskające ciała. Myra zrobiła krok do tyłu, uderzając w jedną z walizek, kierowca ciągle je trzymał, ciągle za nią. Dobrze.

Wsunęła prawą rękę w płaszcz. Wrzask krzyczącego mężczyzny i rozpęd się zatrzymały. Kolejna cisza rozszerzała się dookoła nich. Myra sięgnęła do kieszeni nad bijącym sercem i wyciągnęła jej paszport dyplomatyczny Kazachstanu. Otworzyła go i podniosła wysoko, potem pomachała przed twarzą najbliższego strażnika.

– Oficerze – powiedziała bez odwracania – proszę odprowadzić mojego kierowcę do hotelu.

– Oczywiście, proszę pani.

– Dziękuję!

Kierowca minął ją po lewej otoczony przez mundury. Myra wykorzystała towarzyszącemu poruszenie rozproszenia uwagi, żeby zanurkować koło mężczyzny, który na nią krzyczał i przepchać się do małej grupki demonstracji pro-MRRNT. Spojrzała szybko na pięć zszokowanych, ale przyjaznych twarzy, zauważając emaliowe przypinki z uśmiechem rozpoznania i dumy, stary symbol „młot, sierp i czwórka”, przypinka kampanii solidarnościowej z podpisem znaku radioaktywności MRRNT, naklejki „słońce i orzeł”...

– Towarzysze – powiedziała – wejdźmy do środka.

Towarzysze stłoczyli się dookoła niej i razem weszli na chodnik.

Gniewny mężczyzna był ograniczany przez jego własnych towarzyszy, ale ciągle potępiał Myrę z całych sił. Grupa Myry wmaszerowała po schodach i przez wielkie drzwi obrotowe hotelu w zatłoczone foyer. Biała, marmurowa podłoga, żelaza pomalowane na czarno, żłobkowany mahoń na recepcji i schodach, dużo kwiatów i witraży. Milicjanci i kierowca stali po jednej stronie, jakiś facet z kierownictwa hotelu śpieszył z uprzejmie zatroskaną miną i telefonem komórkowym i, patrząc wstecz, zobaczyła, że wszyscy są w środku, schody są puste, a drzwi są zabezpieczone.

– Chryste – powiedziała. Teraz była całkowicie wstrząśnięta. Sięgnęła znowu do płaszcza. Wszyscy zamarli.

Zatrzymała dłoń i rozejrzała się dookoła, uśmiechnęła się ponuro.

– Ktoś jeszcze chce papierosa?

Żelazne drzwi ewakuacyjne miały sprężynę i brzęknęłyby, gdyby je puściła, więc zamknęła je powoli, puszczając je przy brzegu w ostatniej chwili.

Zabrzęczały.

Myra spojrzała w górę i w dół wyjścia pożarowego i dookoła podwórza hotelu. Ciekące rury, stukające kanały wentylacyjne, wilgotne kartony, mchy, porosty i bruk. Zeszła w dół po schodach, prawie cicha w jej zniszczonych trampkach, starych džinsach, swetrze i ocieplanej kurtce. Na dole przesunęła opaskę pod szczyt czapki, pod którą zebrała swoje ciągle szare włosy, wbiła pięści w głębokie kieszenie, czując zapewnienie od paszportu i broni, i przeszła przez podwórze, kolejną bramę w jednym kierunku, wzdłuż alei do Pitt Street, potem w Sauchiehall.

Zobaczyła swoje odbicie w witrynie i parsknęła, że wyglądała na studentkę. Nie było to doskonałe odbicie, więc również wyglą-

dała pochlebnie młodo, jakby wyglądała za miesiąc lub dwa, miała taką nadzieję. I już widziała prezencję, mogła ją dojrzeć, gdy spojrziała z boku na odbicie jej kroku, żwawe i pewne. Jej stawy nie bolały, jej stopy nie zgrzytały, i miała tyle energii, że czuła jakby chciała pobiegać, poskakać lub poskakać, tylko żeby jej trochę spalić. Nie potrafiła przypomnieć sobie, żeby czuła się tak dobrze, kiedy naprawdę była młoda.

I rzeczy wracały, wspomnienia jej wcześniejszej osoby, wczesnych taktyk osobowych przykładowo, zanim się odmłodziła, gdyby została złapana w taką sytuację jak przed hotelem, zwróciłaby się do Straży po ochronę, jakby odruchowo, i bez wątpienia wywołała tam zamieszki. Nie teraz, to była błyskawiczna kalkulacja, że demonstrować, choć wrodozy wobec siebie i milicji, nie zaatakowaliby drobnego służącego jak kierowca i nie zaatakowaliby jej, gdy była osłonięta towarzyszami. Bez przemocy w ruchu pracowników, bez wrogów na lewicy, nie zawsze to działało, ale ogólnie rozejm był honorowany. Wzajemnie gwarantowane odstraszenie, może, ale jednak, co nie było?

Sauchiehall, główna ulica handlowa Glasgow, została pozbawiona pieszych, od ostatniego razu, gdy tu była i brzęczała ruchem, elektrycznym w większości, ale z kilkoma kaszlącymi, starymi silnikami wewnętrznego spalania, pędzącymi rowerzystami i, Jezu, tak, pomiędzy nimi galopującymi końmi. Myra przebiegła czerwone światło na końcu ulicy, utrzymała tempo, gdy przechodziła kładkę dla pieszych ponad wyjącem skrzyżowaniem ponad M8 i potem w Woodlands Road. Tam zwolniła i zaczęła iść, rozkoszując się starą częścią, znajomym terytorium, nostalgia klująca w oczy. (Boże, oblepiła ulotkami ten właśnie słup tego wiaduktu na seminarium *Critique* w 1976!).

Jednak rejon był teraz szykowny, pełen Sikhów w garniturach –

bankierów, prawników i doktorów – oraz kobiet w sari z towarzyszącymi dziećmi i często szkockimi nianiami. Chodniki były zatłoczone drogimi, ciężkimi malajskimi samochodami. Nie jak w starszych czasach, ani trochę, prócz sporadycznego zapachu curry, poczucia wiatru i widoku uciekających chmur ponad nimi.

Rozmawianie z towarzyszami w Nowej Brytanii, *to* było jak stare czasy. To było jak kurwa *podróż w czasie* i znacznie bardziej jak powrót do domu niż jakiegokolwiek spotkanie, które miała w Nowym Jorku. Gdy podziękowała oficerom milicji, kategorycznie odmówiła na zarzuty prasy, nalegała na duży napiwek dla kierowcy, oddaliła się do hotelowej kawiarni na kawę i papierosa z pięcioma młodymi osobami, które ją eskortowały: Day, Alison, Mike, Sandra i Rashid, wszyscy dumni członkowie oddziału Glasgow w Partii Władzy Robotniczej, organizacji, która mocno cofnęła się od znaku popularności w latach dwudziestych XXI wieku w czasach starej Republiki, ale ciągle walczyła, ciągle rekrutowała i ciągle była brytyjską sekcją Czwartej Międzynarodówki.

A oni naprawdę byli młodzi, nie-odmłodzeni starcy jak ona. Z trudem mogła to zrozumieć, ponieważ myślała o Międzynarodówce, już od lat, jako klubie starzejących się weteranów. Jednak wtedy pomyślała, jak bardzo formujące i ekscytującym doświadczeniem ich dzieciństwa była rewolucja – tak! brytyjska część Jesiennej Rewolucji – i jak to mogło dać im idee, jak prawdziwa (czyli idealna, nigdy naprawdę nie zaistniała) Rewolucja mogłaby wyglądać.

Szanowali ją, oczywiście, jako starą towarzyszkę, weterana rewolucjonistkę, która rzeczywiście robiła rewolucję i rzeczywiście kierowała państwem robotników. Ale wkrótce stracili rezerwę, może nieświadomie wprowadzenie w błąd (jak marzyła) jej coraz bardziej wiarygodną młodością. Powiedzieli jej więcej szczegółów, niż potrzebowała wiedzieć o nieuniknionych zawziętych rywalizacjach,

które stawiały ich naprzeciw siebie, i reszcie lokalnej lewicy, liberalnych krytykach jej reżimu lub wrogach komunistów sinosowieckich.

Była wdzięczna za ich wsparcie, oczywiście, i powiedziała im to, ale pomyślała o ich zakorzenionej mocno lewicowej frakcyjności, która ich oślepiła aż do prawdziwej nienawiści i moralnej obrazy, którą wzbudzała i oczywiście do uzasadniania tego. Nie było nic w diatrybie wściekłego mężczyzny, czego sama by sobie od czasu do czasu nie powiedziała.

*Ty jebana zdrajczyń, ty jebana kapitalistyczna dziwko.* Tak, towarzyszu, macie rację. Coś może być w tym, co mówicie.

W tym samym czasie, odkryła, że towarzysze są nadmiernie troskliwi, pewni, że byłaby zagrożona, gdyby chodziła sama po Glasgow. Nalegali, żeby skontaktowała się z konsulem i podróżowała oficjalnie. Myra zakwestionowała to, wskazując, że było dokładnie to, przez co wpadła na początku w kłopoty. Nie powiedziała im, co zamierza robić, jednak *ktos* musiał donieść prasie o jej wcześniejszym niezapowiedzianym przyjeździe, i nie miała powodu podejrzewać, że to nie było któreś z nich.

Minęła stary kościół, St Jude, który ciągle wyglądał na zbyt okazały, zbyt *katolicki* na małą denominację, której służył, i naprzeciwko Halt Bar, gdzie piła z Davidem Reidem i Jonem Wilde'm, oddzielnie i razem, podczas i po krótkich, intensywnych romansach, które pchnęły ich życia na ich specyficzne ścieżki.

A tym samym, życia i śmierci niezliczonych innych. Jon wirtualnie rozpoczął Ruch Kosmiczny i założył Kosmicznych Kupców. Reid zbudował Ochronę Wzajemną, a Myra – MRRNT. Wszystko z małych początków, nieistotnych wtedy, wszystkie w końcu wpływające na historię w skali zwykle przypisywanych Wielkim Ludziom.

Może gdyby nie oni, pojawiłby się jakiś inny Korsykańczyk. . . ale nie. Chaos panował, tutaj jak wszędzie.

Na zielonym moście ponad Kelvin zatrzymała się, patrząc w dół na brązowe wody i białe wiry. Jak trywialne były przyczyny ruchów każdej cząsteczki, każdego bąbla, który płynął. Nie, to było dziksze niż to, ponieważ woda przynajmniej była ograniczona brzegami. To było bardziej, jak cały bieg rzeki mógł być odchyłony kamykiem, ziarnkiem piasku, łodygą trawy, przy źródle, gdzie wielkie siły grawitacji, erozji i cała reszta walczyły w małym stopniu, ale chwilowo z napięciem powierzchniowym każdej kropli. Historia była rzeką, gdzie każda kropla była potencjalnie nowym źródłem, fontanną przyszłych Amazonii.

Poszła dalej, koło fontanny Kelvingrove Park na lewo, a potem po stromym stoku Gibson Street, skręciła w prawo wzdłuż ocienionej drzewami alei do Instytutu. Zadzwoiła, uśmiechając się krzywo na wypolerowany mosiądz tabliczki. Kiedyś Instytut Studiów Sowieckich i Wschodnioeuropejskich, potem Instytut Studiów Rosyjskich i Wschodnioeuropejskich, potem . . .

Instytut Badań nad Społeczeństwami Post-Cywilizacji, jak teraz go nazywali.

Kobieta, która otworzyła drzwi, wyglądała bardzo wschodnioeuropejsko, w rozmiarze (drobna) i minie (podejrzliwa). Jej ciemne oczy lekko się rozszerzyły.

– Och, to Ty – powiedziała. – Godwin.

– Tak, dzień dobry. – Myra wyciągnęła dłoń. Kobieta potrząsnęła ją, z krótkim oporem, wciągając Myra do środka i zamykając drzwi w tym samym czasie.

– To miejsce jest obserwowane – powiedziała. Miała krótkie czarne włosy, jej wiek trudno było określić. Jej ubrania były tak

zużyte, jak Myry: niebieska, dzinsowa bluza, czarne dzinsy, szare na kolanach.

– Nazywam się Irina Guzulescu. Miło mi cię poznać.

Stały, patrząc na siebie w wąskim przejściu. Linoleum instytucjonalne, szara farba, zielony pas, czarne schody. Miejsce pachniało starym papierem i dymem papierosowym. Plakaty – błyszczące odbitki lub wyblakłe oryginały – ze Związku Radzieckiego i Byłego Związku: Lenin, Stalin, Gorbaczow, Antonow, poważni, i Gagarin, uśmiechnięty. Oblężenie Jecyngradu: bohaterские dzieci celujące Stingerami w Sterowce „Pamyat”. Budynek był kompletnie cichy i nikogo nie było w pobliżu.

– Raczej spodziewałam się więcej osób tutaj – powiedziała Myra.  
– Zostawiłam wiadomość.

– Jak mówiłam.

– Och. – Myra poczuła się zbita z tropu i zirytowana.

– Twoje skrzynie przyjechały bezpiecznie – powiedziała Irina, jakby łagodząc. Poprowadziła ją wąskimi, czarnymi schodami z balustradą do biblioteki. Wykładzina na schodach była postrzępiona w stopniu kryminalnego zaniedbania. Sama biblioteka była ciasna, labirynt regałów, przez które trzeba była się poruszać bokiem. Kilka pokoleń technologii informatycznych było ostrożnie złożonych ponad stołem do czytania. Skrzynie Myry były ustawione z boku.

– Zostawiam Cię temu – powiedziała Irina.

– Dzięki.

Myra, sama, zsunęła opaskę, poprawiła parametry, rozejrzała się po skrzyniach i westchnęła. Ciągłe były zabezpieczone metalową taśmą. Wysunęła starego Leathermana z kieszeni i zaczęła otwierać skrzynie, zwijając zdradliwie ostre pasy ostrożnie do kosza na papier. Potem musiała wyciągnąć gwoździe jak zęby. W końcu była w stanie wyciągnąć teczki.

Posortowała papierowe dokumenty w stosy: jej osobiste rzeczy – pamiętniki, listy i tak dalej – i polityczne posortowane według czasu i organizacji, sięgające od lat MRRNT przez wewnętrzne dokumenty faksji aż do nowojorskiego oddziału Socjalistycznej Partii Robotników<sup>4</sup> w latach siedemdziesiątych. Te ostatnie ciągle wywoływały uśmiech: czy naprawdę był ktoś dostatecznie zwariowany, żeby wybrać jako jego *nomme de guerre*<sup>5</sup> na debatę o walce zbrojnej jak „dr Ahmed Estraguel”?

Przepracowała podobnie formaty i konwersje z Hipokryty przez Drzwi do Linuxa do Windowsa do DOSa i przez nośniki pamięci od dysków optycznych, wafli bąbelkowej pamięci<sup>6</sup> i CD-RW („CD ścier”, jak były nazywane) do dyskietek, prawie zrywając się z siedzenia na dźwięk starego PC, kiedy zaczął odczytywać pierwszą z nich. W cichym budynku, brzmiało to jak pralka na wirowaniu.

Po około półtora godzinie, która minęła jak w jakimś transie, wszystkie jej optyczne i elektroniczne pliki były skopiowane do elektronicznego archiwum Instytutu. Wymrugła menu w opasce i wywołała Parvusa.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć – powiedział.

Czuła się prawie niezręcznie.

– Masz coś przeciwko zrobieniu kopii z Ciebie i ściągnięciu jej?

Byt roześmiał się.

---

<sup>4</sup> ang. Socialist Workers Party, SWP – amerykańska komunistyczna partia polityczna, SWP publikuje tygodnik *The Militant*, którego początki sięgają 1928, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Socjalistyczna\\_Partia\\_Robotnicza](https://pl.wikipedia.org/wiki/Socjalistyczna_Partia_Robotnicza) – przyp.tłum.

<sup>5</sup> fr. imię wojenne – przydomek, przybrane nazwisko artysty, zob. [https://pl.wikisource.org/wiki/M.\\_Arcta\\_S%C5%82owniczek\\_wyraz%C3%B3w\\_obcych/Nom\\_de\\_guerre](https://pl.wikisource.org/wiki/M._Arcta_S%C5%82owniczek_wyraz%C3%B3w_obcych/Nom_de_guerre) – przyp.tłum.

<sup>6</sup> zob. [https://en.wikipedia.org/wiki/Bubble\\_memory](https://en.wikipedia.org/wiki/Bubble_memory) – przyp.tłum.



– Przeciwno? Oczywiście, że nie! Dlaczego miałbym mieć coś przeciwno?

– Ok – powiedziała Myra. Rozwinęła kabel światłowodu z portu terminala i wpięła go w opaskę. – Chcę, żeby Twoja kopia strzegła zbioru plików ... – przesunęła podświetlającym palcem po nich – ... i cokolwiek, co masz ze sobą teraz, stosując rodzaj uznaniowych kryteriów dostępu, na które pozwalają Twoje obecne parametry. Skala półtrwania, hm, pięćdziesiąt lat. Zrozumiałeś?

– Tak. – Parvus uśmiechnął się, zdublował się, potem jeden z nich dramatycznie zniknął jak animowany dżin z powrotem do butelki.

– Zrobione – powiedział. Zabrało jej to więcej niż zakładała. Musiała mieć więcej plików na osobistym nośniku danych niż sądziła.

– Dziękuję – powiedziała Myra. – Przy okazji, cokolwiek do zgłoszenia?

Parvus ekspansywnie wzruszył ramionami.

– Nic, co nie może poczekać. Prócz tego, że Lotnisko w Glasgow jest zamknięte.

– Co?

Na pewno nie zamach stanu, nie tutaj...

– Walki na perymetrze. Zniszczenia pasów. Tylko partyzanci Zielonych, nic poważnego, ale nie ma szansy, żebyś dostała się na samolot w poniedziałek.

– O gówno. Zarezerwuj mi pociąg. Na jutro, dobra? Do zobaczenia później.

Odłączyła przewód i pozwoliła mu się zwinąć. Potem wróciła do pracy opisywania stosów, datowania teczek i robienia notatek dla archiwistów Instytutu.

Ktoś zbiegł po schodach, wszedł do biblioteki i włączył świa-

tło. Myra odwróciła się ostro i napotkała zaskoczony wzrok dziewczyny, która ją zidentyfikowała na demonstracji.

– Och! – powiedziała dziewczyna. Powoli zsunęła jej tartanowy szal z szyi i zarzuciła długimi, gęstymi, czarnymi włosami spod kołnierza jej dzinsowej kurtki. – Co, co tutaj robisz?

Myra się wyprostowała, czując się nieracjonalnie zadowolona, że była marginalnie wyższa niż młodsza kobieta.

– Miałam zadać ci to samo pytanie – powiedziała.

– Pracuję tutaj! Jestem doktorantką.

Powiedziała to tak zmieszana, tak rozszerzające się wielkie brązowe oczy, że Myra nie mogła się opanować i się uśmiechnęła.

– I rozumiem też aktywistką polityczną.

Dziewczyna skinęła stanowczo głową.

– Tak. – Komentarz wydawał się umożliwić jej odzyskanie pewności siebie. Przeszła do krzesła i usiadła, prostując nogi i opierając buty o wózek do książek. Myra obserwowała to wymyślnie zwyczajne zachowanie niezaangażowana i ubawiona.

– Sama byłam aktywistką, kiedy tutaj studiowałam – powiedziała Myra, siadając na brzegu stołu.

– Wiem – powiedziała zimno dziewczyna. – Czytałam Twoją pracę magisterską. *Odprężenie i kryzys ekonomii sowieckiej*.

Myra się uśmiechnęła.

– To ciągle jest całkiem dobre ujęcie, chyba.

– Ta. Jednak nie mogę tego samego powiedzieć o Twojej polityce. – Zmarszczyła brwi, zsuwając stopy na podłogę i pochylając się do przodu. – W pewnym sensie, to nic... osobistego, rozumiesz? Mam na myśli, czytałam, co napisałaś, lubię osobę, która to napisała. Czego nie mogę zrobić to pogodzić się z tym, kim się stałaś.

To było nieowijanie w bawełnę! Myra poczuła ból i winę.

– Też nie wiem, czy potrafię – powiedziała. – Zmieniłam się.

Prawdziwa polityka jest bardziej skomplikowana niż, ach pieprzyć to. Dobra... hm, jak się nazywasz?

– Merrial MacClafferty.

– Ok, Merrial. Prawda jest taka, Rewolucja Rosyjska została pokonana i nigdy nie została powtórzona, może dlatego, że porażka była tak niszczycielska, że kolejne próby stały się niemożliwe. – Roześmiała się cierpko. – I jak Człowiek powiedział, to będzie albo socjalizm albo barbarzyństwo.<sup>7</sup> Socjalizm został zniszczony, był martwy, zanim się urodziłam. Zatem barbarzyństwo. Mamy przejebane.

Merrial kręciła głową.

– Nie, nic nie jest nieuniknione. Sami tworzymy naszą historię, przyszłość nie jest spisana. „Chodzi o to, aby go zmienić”<sup>8</sup>. Spójrz na Szinosowy, budują demokrację prawdziwych robotników, udowodnili, że jest to ciągle możliwe, a Ty co robisz? Zwalczasz ich! Po stronie Jankesów i kazachstańskich kapitalistów.

– Jak powiedziałam – westchnęła Myra. – Prawdziwa polityka jest skomplikowana. Prawdziwe życia, moje i tych ludzi, za których jestem odpowiedzialna. Przyszłość może nie została napisana, ale przeszłość cholernie tak, nie pozostawia mi wielu możliwości.

– Czyli, nie opuściłaś *siebie*...

– Powiem Ci coś – powiedziała Myra, nagle zirytowana. Pomachała na stos tektury i papieru dookoła niej. – Oto moje życie. Jest więcej na komputerze. – Pokazała kciukiem nad ramieniem. – Hasło to „Luksemburg i Parvus” dla łatwych rzeczy. Zapraszam do tego. Trudne sprawy, naprawdę brudne sekrety, nałożyłam stuletnie em-

---

<sup>7</sup> cyt. Róża Luksemburg przypisująca Engelsowi, zob. <https://mronline.org/2014/10/22/angus221014-html-2/> – przyp.tłum.

<sup>8</sup> część cytatu „Filozofowie rozmaicie tylko interpretowali świat; idzie jednak o to, aby go zmienić”, z „Tezy o Feuerbachu” K. Marksa, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Tezy\\_o\\_Feuerbachu](https://pl.wikipedia.org/wiki/Tezy_o_Feuerbachu) – przyp.tłum.

bargo, a nawet potem będzie to diabelska robota, żeby to zhakować. Jeżeli będziesz gdzieś w pobliżu za kilka wieków, rzuć okiem.

– To właśnie robisz? – spytała Merrial. – Przekazujesz archiwa Instytutowi? Dlaczego?

Myra czuła, że jej usta rozciągają się strasznym uśmiechu.

– Ponieważ tutaj mają nieco większe szanse przetrwania następnych kilku tygodni, nie mówiąc już o wiekach. Chcesz mojej rady, dzieciaku, przestań się martwić socjalizmem i zacznij przygotowywać się na barbarzyństwo, ponieważ to właśnie nadchodzi, w ten lub inny sposób.

Merrial wstała i spiorunowała wzrokiem Myrę.

– Może Ty się poddałeś, ale ja się nie poddam!

– Dobra, powodzenia – powiedziała Myra. – Naprawdę.

Młoda kobieta patrzyła na nią z nieczytelną miną.

– I Tobie też, jak mniemam – powiedziała nieuprzejmie, odwróciła się na pięcie i wymaszerowała. Czy automatycznie, czy specjalnie, wyłączyła światła przy wyjściu. Myra mrugnęła, poprawiła opaskę i wróciła do pracy.

– Wszystko w porządku? – Irina Guzulescu była podświetlona światłem w drzwiach biblioteki.

Myra wyprostowała się i otrzepała dłonie.

– Tak, radzę sobie, dzięki. – Roześmiała się. – Przepraszam za ciemność, używałam opaski do patrzenia, zamiast włączyć światła.

– Pewnie tak samo dobrze – powiedziała drobna kobieta. Weszła ostrożnie do pokoju, obok otwartych skrzyń i opisanych stosów archiwum Myry. – Niektóre z książek tutaj są tak delikatne, boję się, że czasem jeden foton mógłby... – Uśmiechnęła się i podała Myrze kubek kawy.

– Och, dziękuję. – Było zimno w stałym, zatepłym powietrzu

biblioteki. Objęła dłońmi ciepło porcelany. – Czy mogę tu gdzieś zapalić? – spytała.

– Och, jasne, zejdź do piwnicy.

Piwnica wydawała się niezmienną. Wielki stół, który zajmował większość pokoju, sprowadzał wspomnienia, długich dyskusji i kłótni dookoła niego, planowanych tutaj przygód, popołudni, gdy rozmawiała z Jonem i Davem i wychodziła z Jonem.

Po drodze, Irina zabrała własny kubek z kącika kuchennego. Usiadła naprzeciwko Myry i przesunęła popielniczkę po stole. W niewybaczalnym świetle, wyglądała starzej. Oczywiście miała terapie, ale waga lat ciągle była widoczna na twarzy. Nie była obwisła, ale pokazywała napięcie.

– Cóż – powiedziała Myra, zapalając – hm, ta sprawa, o której mówiłaś? Że miejsce jest obserwowane? Dlaczego?

Irina poruszyła dłonią, jakby strzepywała popiół. -

- Mentalność policji – powiedziała. – Oczywiście skoro badamy post-cywilizację, potencjalnie jesteśmy ich sympatykami i wrogami wewnętrznymi.

– Co?

– Zieloni. – Irina się roześmiała. – Była Unia i Zieloni, to jak było ze Związkiem Radzieckim i Czerwonymi. W starych dobrych czasach Zimnej Wojny, bycie zainteresowanym drugą stroną było podejrzane, niezależnie jak mogło to być użyteczne. I oczywiście to samo po drugiej stronie. – Uśmiechnęła się. – Pracowałam w Instytucie Studiów Amerykańskich w Bukareszcie. *Securitate* cały czas w moim przypadku.

– Jezu. Musisz być niemal tak stara jak ja. – Myra pomyślała o niedyskrecji uwagi, gdy tylko to powiedziała, ale Irina pyszniła się tym.

– Starsza – powiedziała dumnie. – Mam sto dziesięć lat.

– O! Ja sto pięć lat. Miałam wczesne terapie, oczywiście, ale teraz dostałam nano-lek.

– Ach, to dobrze, nie będziesz żałować. – Uśmiechnęła się z zadumą. – Wiesz, Myro Godwin, jesteś częścią historii. Tego Instytutu i społeczeństw, które miał badać. Nadzorowałam studentów kilka lat temu piszących doktoraty o MRRNT.

– Nigdy nie myślałam, że skończę, rządząc moim własnym zniekształconym państwem robotniczym. – Mroczny chichot. – Nie żebym kiedykolwiek wierzyła, że to było to, lub jest. – Myra pośpieszyła dodać. – Lub, że taka rzecz mogłaby istnieć. Ticktin<sup>9</sup> wyleczył mnie z iluzji *dawno* temu.

– Hmm – powiedziała Irina. – Dla mnie to był Mises i Hayek, właściwie. Ticktin nie cenił ich wysoko. Lub mnie. – Roześmiała się. – Zwykł o mnie mówić „ostatnia ofiara Ceausescu”.

– Cóż, tak – powiedziała Myra. – Szczerze mówiąc, nigdy nie uważałam liberałów za strasznie przekonujących. Pytanie, które mi ciągle przychodziło do głowy, to „Gdzie jest chyża konnica?”

Irina pokręciła głową.

– Przepraszam?

– Och, to było coś, co powiedział Mises. Jeżeli Europa kiedykolwiek stanie się socjalistyczna, upadnie, i wrócą barbarzyńcy, biegnąc po stepie na chyżych koniach. Cóż, pół Europy była, nie socjalistyczna, jakbyś to postrzegała, ale dla Misesa była, zatem gdzie jest chyża konnica?

Irina patrzyła na nią. Jakby nieświadoma tego, co robi – odruchy nawyku, który myślała, że pokonała, wracały – sięgnęła nad stołem po papierosy Myry i zapaliła jednego.

---

<sup>9</sup> teoretyk marksistowski wykładający w Glasgow w latach 1965-2002, zob. [https://en.wikipedia.org/wiki/Hillel\\_Ticktin](https://en.wikipedia.org/wiki/Hillel_Ticktin) – przyp.tłum.

– Och, Myro Godwin-Dawidowa, jesteś tak ślepa. W rzeczy samej, gdzie jest chyża konnica. – Przerwała, mrużąc oczy od strumienia dymu. – Jaki sposób produkcji według Ciebie istnieje w Byłym Związku Radzieckim?

– Sposób po-cywilizacji?

– Eufemizm. – Machnęła dymem. – Jak Twój Engels nazwałby społeczeństwo, gdzie miasta są tylko rynkami i obozami, gdzie większość ludzi je to, co wyhoduje i upoluje dla siebie, gdzie prawie cały przemysł jest na poziomie wioski, gdzie nie istnieje pojęcie narodu?

– Cóż, ok, to staromodny termin – powiedziała Myra z uśmiechem – ale mniemam, że technicznie mogłabyś to nazwać barbarzyństwem. Technologicznie zaawansowanym barbarzyństwem, ale tak, tak właśnie jest.

– Dokładnie – powiedziała Irina. Spojrzała na papierosa ze zdziwionym niesmakiem i go zgasiła. – Oto Twoja chyża konnica. Spójrz poza nasze miasta, na Zielonych. Faktycznie spójrz w nasze miasta. Oto Twoja chyża konnica!

Myra naprawdę nigdy tak nie myślała.

– Jedyłą chyżą konnicą, którą się martwię – powiedziała gorzko – to przekłęci Szinosowy.

Ku jej zdziwieniu i przerażeniu, Irina zaczęła płakać. Wyciągnęła brudną chusteczkę z kieszeni, płakała i pociągała nosem w nią przez minutę. Nagłym impulsem, Myra sięgnęła ponad stołem i chwyciła jej dłoń.

– Och, Boże – powiedziała w końcu Irina. – Przepraszam. – Pociągnęła mocno nosem i wyrzuciła chusteczkę, zaakceptowała ofertę papierosa od Myry.

– Nie, to *ja* przepraszam – powiedziała Myra. – Wydaje się, że powiedziałam coś, co cię zdenerwowało.

Irina mrugnęła kilka razy.

– Nie, nie. To moja wina. Och, Boże, gdybyś tylko wiedziała. Zostałam, żeby się z Tobą spotkać, nie tylko wpuścić. – Czubek papierosa żarzył się w stożek, zaciągała się tak mocno. – Nikt inny nie chciał przyjść rano i spotkać się z Tobą. Myśla, że jesteś straszną osobą, potworem, kryminalistką. Ja nie. – Mrugnęła znowu, ożywając się. – Wróć tam, wiesz. Do Rumunii, i... innych krajów „post-cywilizowanych”. Dobra, do byłego Związku. I wiesz co? Ludzie są tam szczęśliwi, na farmach, w warsztatach, z ich lokalnymi armiami i drobnymi lojalnościami. Biurokraci odeszli, dla mafii nie ma zakazów, na których mogłyby się wzbogacić, więc też odeszły. Prowincje mają swoje małe wojny i waśnie, ale... – Uśmiechnęła się teraz, smutno – ...zabrzmię jak feministka, jeżeli je pamiętasz, ale faktem jest, to sprawa testosteronu. Młodzi mężczyźni będą się wzajemnie zabijać, tak to już jest. Dla kobiet Moskwa, cholera, każde postsowieckie, prowincjonalne miasto, jest bezpieczniejsze niż Glasgow.

Och, nie kolejna, pomyślała Myra. Zielony podróżnik, polityczny pielgrzym. Widziałam przeszłość i to działa.

– A kiedy widzę coś takiego jak *powracający* komunizm – Irina kontynuowała – kiedy widzę przeklętych Szinosowietów na czołgach, znowu kolektywizujących, wchłaniających te wszystkie małe społeczności, chcę ich zatrzymać.

Spojrzała prosto w oczy Myry.

– Możesz to zrobić, możesz ich zatrzymać. Musisz walczyć, Myro. Jesteś naszą jedyną nadzieją.

Myra sama miała ochotę płakać.

Brytole nie tylko *robią* pociągi.

Oni je wynaleźli. Mieli kilka wieków doświadczeń. Mieli więcej faktycznych entuzjastów pociągów na głowę mieszkańca niż kto-



kolwiek inny. Wynaleźli *trainspotting*<sup>10</sup>. I ciągle wydawało się, że nie potrafią wymyślić jak sprawić, by pociągi *przyjeżdżały o czasie*.

Zatem jechali w jasny, zimny niedzielny poranek, gdzieś na południe Penrith, ciągnięci przez jeden, elektryczny silnik, który brzmiał, jakby pochodził z takiego sprzętu, którego używałbyś w domu. Załesione wzgórza powoli się przesuwały. Przynajmniej miała miejsce w pierwszej klasie. Straż pociągu tylko chodziła po sąsiedniej drugiej klasie, gdzie były wszystkie krzyczące dzieci, a wózek z napojami toczył się za nim.

Myra zapaliła papierosa i wyrzała. Czuła się stosunkowo zadowolona, nawet z powodu długiej podróży przed nią, jeszcze dłuższej dzięki cholernej, typowej niewydolności Brytoli. Miała mnóstwo czytania, tam w opasce. Parvus przygotował jej wybór ostatnich polityk zagranicznych Brytanii, ostatnim razem, gdy ściągnęła. Około stu kilobajtów, nie licząc hiperłączy i załączników. Stosy v-maili do nadrobienia.

Nie mówiąc o wiadomościach. Teraz to był regularny program CNN, na kanale informacyjnym specjalistów światowej polityki, dotyczący MRRNT. Demonstracje sprzeciwiające się federacji z Kazachstanem wzrosły do codziennych zgromadzeń około dwóch tysięcy osób, z kilkoma setkami odważnych ludzi spędzających chłodne noce w namiotach na Placu Rewolucji. Niektóre z ich transparenty były tymi, które Myra spodziewałaby się po ich lokalnej ultralewicy, rodzaj ludzi, których łączyłaby z zewnętrznymi Nowymi Brytyjczykami. Inne były liberalne, pro-ONZ lub libertariańskie z wydzwieniem pro-kosmicznym, pro-Zewnętrznym.

---

<sup>10</sup> hobby polegające na wyczekiwaniu i rejestrowaniu numerów lokomotywy (czasami także numerów wagonów) pociągów przyjeżdżających i odjeżdżających z danej (bądź wielu) stacji kolejowej oraz czasu ich zjawienia się, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Trainspotting\\_\(hobby\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Trainspotting_(hobby)) – przyp.tłum.

Nikt na ulicy, lub w sieci, nie odkrył jeszcze nic o atomówkach. Drobną łaską, ale Myra podejrzewała, że przynajmniej niektórzy z tych za różnymi demonstrantami wiedzieli o nich. Reid, na przykład, zdecydowanie wiedział i myślała o możliwości, czy on sięga po nie przez bojowców Ruchu Kosmicznego wyhodowanych lokalnie w MRRNT.

Spędziła mniej więcej pierwszą godzinę podróży przy wirtualnej klawiaturze, odpisując na raporty, instrukcje, rady dla jej komisarza, szczególnie Denisa Gubanowa. Chciała, żeby każdy czekista, którego mógł poświęcić, zajął się infiltrowaniem i śledzeniem tych demonstracji.

Drzwi działowe syknęły i zabuczały, otwierając się. Strażnik wszedł, wysoki, pochylony mężczyzna w mundurze z pistoletem w kaburze na biodrze.

– Bilety z Carlisle, proszę. – Miał lekko zniewieściały głos, delikatny i miły. Uśmiechnął się, sprawdził bilety dyrektora siedzącego naprzeciwko Myry.

– Przepraszam – powiedział śpiewnie kelner zza niego. Kelner był drobnym, chudym młodzieńcem w białej koszuli, muszce w kolorach tartana i spodniami. Kolczaste czarne włosy.

Wózek zagrzechotał i zabrzączał w przedziale. Strażnik przesuwał się, żeby przepuścić. Gdy to robił, pociąg lekko szarpnął, wprawiając zawartość wózka w dzwonienie, a hamulce zaczęły piszczeć, gdy pociąg zaczął się zatrzymywać.

Nadeszło trzeszczące ogłoszenie, z którego Myra mogła tylko zrozumieć słowa „drzewa na torach”.

Fala kpin przebiegła po wagonie. Myra dołączyła się z gwizdem i wyjrzała przez okna. Koło torów były drzewa, na prawo, ale były około stu metrów dalej za połacią łąki. Po drugiej stronie, ostry stok z drzewami ponad osypiskiem.

Usłyszała sapanie kelnera i rodzaj kasznięcia strażnika. Duża ilość jakiegoś czerwonego płynu rozprysnęła się na stole, przy którym siedziała, a część przelała się ponad krawędzią na spódnicę na jej kolanach. Myra wzdrygnęła się, patrząc do góry z chwilowym błyskiem cywilizowanej zirytowania, jej pierwsze wrażenie było takie, że jakoś kelner rozlał na niej butelkę czerwonego wina.

Strażnik upadł bokiem na stół z szokującym uderzeniem. Jego gardło rozchyłało się i trzepotało jak skrzela, ciągle pompując. Mogła dojrzeć krawędź przerwanej tchawicy, białej, jak zepsuty plastik. Jego usta też były otwarte, język drżał, ślina kapała. Jego oczy szeroko otwarte. Podniósł dłoń i spojrział, jakby próbował coś jej powiedzieć. Potem przestał próbować. Jego głowa uderzyła w stół z drugim stuknięciem, *diminuendo*<sup>11</sup>.

Kelner ciągle stał, trzymając w jednej dłoni krótki nóż i pistolet, najwidoczniej strażnika, w drugiej. Jego mankiety miały krew na nich tak jak przód koszuli. Wyglądało, jakby miał krwotok z nosa, który próbował zatamować rękawem. Było zaskakujące jak rzadką cieczą była krew, kiedy była świeżo rozlana, ciągle chlapiąca, ciemnowinnym strumień.

Kelner przesunął językiem po ustach. Pomachał pistoletem w sposób, który sugerował, że nie był do końca zaznajomiony z jego użyciem. Potem, ruchem jak sztuczka magika, przełożył nóż i pistolet w dłoniach i przesunął zamek. Zablockowany i załadowany. Dobra, wiedział, jak go używać.

– Nie ruszać się, kurwa – powiedział.

Myra się nie ruszyła. Wsadziła mały awaryjny pistolet w cholewę buta, kiedy zdejmowała kaburę z Glockiem, który teraz leżał

---

<sup>11</sup> muz. stopniowy spadek dynamiki, przy opisie dynamiki utworu muzycznego, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Dynamika\\_\(muzyka\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Dynamika_(muzyka)) – przyp.tłum.

pod jej kurtką na półce na bagaże powyżej. Nie mogłaby sięgnąć po żadną broń na czas. Ani nie mogła wymrucać menu komunikacyjnego w opasce, jej telefon też był w jej kurtce. Drugi pasażer, który siedział naprzeciw i plecami do kierunku jazdy, też się nie poruszał. Ktoś, nie dziecko, w przedziale drugiej klasy krzyczał. Kelner był obrócony plecami do tego przedziału i przynajmniej kilka osób tam musiało być świadomych, co się wydarzyło. Bez poruszania głową, lub nawet jej oczami, Myra mogła zobaczyć białe twarze, okrągłe oczy i usta przez szklaną przegrodę.

Myślała, *dlaczego ktoś nie strzeli temu chujkowi w plecy*. Potem, kątem oka, zobaczyła ruch na zewnątrz, po obu stronach pociągu. Mężczyźni i kobiety na koniach. Długie włosy, pióra i kapelusze, skórzane kaftany i kamizelki, karabiny i kusze potrząsane lub zawieszane. Jak kowboje i Indianie. Zieloni partyzanci. Barbarzyńcy.

Daleko za nią, blisko końca pociągu, jak się domyślała, była krótka wymiana ognia i odległy, cienki krzyk. Trwał i trwał jak alarm samochodowy.

Każde drzwi w pociągu, wewnętrzne i zewnętrzne, trzasnęły przy otwieraniu. Ok, zatem ktoś dostał się do sterowania. Myra poczuła zimny przeciąg na ciepłym i teraz lepkiem płynie na jej kolanach. Kolory odpłynęły ze świata. Myra zrozumiała, że miała właśnie wpaść w szok i zaczęła oddychać mocno i głęboko.

Niektórzy z jeźdźców wskoczyli do pociągu. Na końcu każdego wagonu, para z nich patrzyła w przeciwne strony, mierząc do pasażerów z karabinów. Mężczyzna, który wylądował twarzą w twarz z Myrą, wypełnił drzwi do przedziału. „Barbarzyńca” nie było epitetem stosownym wobec niego. Był wysoki i szeroki, miał brode i kucyk błyszczący od tłuszczu, jego kurtka i czapsy były wyłożone gładkimi, nieregularnie ukształtowanymi płytkami metalu przyłą-

czonymi do skóry przy pomocy metalowych pierścieni, surowy i częściowy pancerz.

– Ręce na głowę! Wszyscy na zewnątrz! Na tory!

Myra położyła ręce na głowie, wstała i przesunęła się bokiem w przejście. Kelner-punk, który zamordował strażnika, ciągle ją obserwował i wycofywał się koło wielkiego faceta, którego najwidoczniej znał. Biznesmen, stojąc, miał ciekawie intensywną minę. Myra domyśliła się natychmiast, że miał zamiar zrobić z siebie bohatera i w przypadkowej chwili kontaktu wzrokowego, potrząsnęła głową. Jego ramiona lekko opadły, nawet z rękami w powietrzu. Ale podporządkował się wykrzywanej komendzie i nikle pokazanej sugestii, wyskakując na prawo i lądując w trwały sposób na nogach i rękach, potem zbierając się i idąc wzdłuż przylegających torów do niskiego stoku z płotem przy łące.

Myra uniosła ręce i przekroczyła ugięte nogi strażnika, minęła barbarzyńcę i kelnera i wyskoczyła. Wylądowała lekko, uderzenie wstrząsające jej pistoletem niewygodnie, ale uspokajająco wciskająca głębiej w bok jej buta i poszła wzdłuż torów, w górę stoku, potem odwróciła się do pociągu.

Wszyscy ludzie robili, to co robiła, lub pomagali dzieciom – teraz cichym – aż do pokruszonych kamieni. Zieloni kroczyli, stali lub jeździli wzdłuż, krzycząc, cały czas celując karabinami w pasażerów. Po obu stronach pociągu była pewna liczba atakujących, pewnie więcej. Około setki osób, pasażerów i załogi, wyszło z pociągu. Ktoś ciągle był w pociągu i ciągle krzyczał.

Myra stała z rękami na głowie i drżała. Widok tak wielu osób z rękoma w górze wywoływał w niej mdłości. Barbarzyńcy prawdopodobnie zamierzali ograbić pociąg, musieli wiedzieć, że przynajmniej niektórzy pasażerowie będą mieć ukrytą broń, ale jak dotąd nie przejmowali się jej szukaniem. Nadzieja, że mogliby być

oszczędzeni była wystarczająca, żeby wstrzymać prawie każdego od nieuniknionej, skazanej na porażkę, próby walki. Mogło ich powstrzymać, aż było zbyt późno. Jeżeli Zieloni planowali masakrę, zrobiliby to, tego była pewna, wtedy, gdy była najmniej spodziewana. Zieloni manewrowaliby niepozornie, tak, że byłiby poza swoimi liniami ognia i wtedy rozpoczęłaby się strzelanina. Potem odrobina gwałtów i rabunku i kilka ostatnich kończących strzałów w głowę dla rannych, jeżeli mieli szczęście.

Jeden wysoki mężczyzna w futrzanym płaszczu i bawełnianych legginsach wzmacnianych skórą przechodził od jednej grupy pasażerów do kolejnej, przyglądając się i rozmawiając z każdą młodą, lub młodo wyglądającą kobietą. Kiedy dotarł do Myry, zatrzymał się na stoku poniżej jej, oparł dłoń na kolanie i spojrzął do góry, uśmiechając się. Był gładko ogolony, z długimi, wypłowiałymi od słońca, czerwonymi włosami związanymi dookoła jego czoła rzemieniem z tyłu. Na kolejnym rzemieniu, dookoła szyi, wisiał gwizdek. Pod futrzanym płaszczem miał zblakły, zielony podkoszulek z napisanym motto Sił Specjalnych ONZ: „ROZDZIELMY ICH – NIECH BÓG ICH POZABIJA”.

– Ach – powiedział – *musisz* być Myrą Godwin!

Mówił z londyńskim akcentem i ogólnym nastawieniem świetnej zabawy. Myra zmierzyła go okiem, wstrząśnięta z bycia wyróżnioną. Rozpoznał ją i miała niepokojące uczucie, że widziała go gdzieś wcześniej.

– Tak – odparła. – Co Ci do tego?

– Masz jakiś dowód tego?

– Paszport dyplomatyczny, kieszeń kurtki, nad miejscem, gdzie siedziałam.

– Sprawdź – ostrzegł, mrużąc oczy.

– Och, i przynieś też mi mojego cholernego Glocka. Masz Pan poważne problemy.

– Przekonamy się o tym – powiedział. Odwróciła się i krzyknął do wielkiego faceta, który opróżniał jej wagon. Ciągle stał w drzwiach, karabin skierowany w górę.

– Jo! Fix! Przynieś rzeczy tej pani. Znad jej siedzenia.

Nie spuścił jej z oka, gdy wielki facet podawał mu złożoną kurtkę, a on ją przeszukiwał. Jeden szybki rzut oka na otwarty paszport i włożył gwizdek do ust, gwizdnął głośno, trelując, dwa razy.

– Dobra, Fix, przekaż dalej – powiedział. – Mamy ją. Opodatkuj tamtych i jedziemy. Wyośmy się stąd, zanim nadlecą śmigłowce.

Drugi mężczyzna odbiegł, krzycząc rozkazy. Po chwili, kątem oka, Myra mogła zobaczyć organizowanie podatku: ludzie z pociągu byli zagonieni w jedną grupę, a mężczyzna ze strzelbą i kobieta z workiem szli dookoła, zabierając pieniądze, biżuterię, drobny sprzęt i broń osobistą. Ludzie przekazywali swoje rzeczy z obrzydliwie chętną uległością.

– Chcesz swoją kurtkę?

Myra skinęła głową. Rzucił jej, ciągle złożoną, zostawił sobie automat w kaburze, paszport i telefon.

– Dostaniesz je później – powiedział.

Włożyła kurtkę. To była cienka kurtka i niedużo robiła, żeby ochronić przed chłodem.

– Co to znaczy, „później”? – spytała.

Roześmiał się z niej.

– Jedziesz z nami. Wkrótce Cię wypuścimy.

Wiatr stał się chłodniejszy.

Myra wskazała na jej bluzkę popryskaną krwią i przesiąkniętą krwią spódnice. – Przepraszam, jeżeli wam nie wierzę.

– Wojna to piekło, co? – zgodził się pogodnie. Poruszył dłonią, jakby odrzucał coś lekkiego. – Zresztą strażnik był szpiegiem.

Myra nic nie powiedziała.

– Ok, wy tam! – krzyczał jakiś facet na koniu. – Wracajcie do pociągu i tam zostańcie. Nie próbujcie nas gonić, nie próbujcie do nas strzelać. Bo jak będziecie, to wrócimy i zabijemy was wszystkich. I też nie opuszczajcie pociągu, jak odjedziemy albo helikoptery wystrzelają was na polach.

Grupa weszła rzędem do pociągu przez jedne z drzwi. Myra widziała ich rozpraszających się po wagonach.

– To wszystko, co zamierzacie zrobić?

Rudy mężczyzna skinął głową.

– Tym razem. – Pokazał kciukiem nad ramieniem. – Znaczą, szkoda mi tych ludzi, ale nie na tyle, żeby ich zabić. I nie zamierzam tracić czasu na przeszukiwanie pociągu za kosztownościami. Nie ma powodu być chciwym, w przeciwnym przypadku, pociągi po prostu przestałyby przejeżdżać. Tylko trochę podatku, żeby opłacić operację, wiesz.

– Jaką operację?

Popatrzył na nią.

– Dotarcia do Ciebie.

Och, gównie. Pomyślała, że to było, do czego zmierzał. Mru-gnęła nagle, zapisując jego obraz i uruchamiając protokół przeszukiwania w opasce, żeby zobaczyć, czy ten znający się na rzeczy bandyta sam był znany.

– Zrobiliście to wszystko, żeby mnie dopaść? – Uśmiechnęła się kwaśno, szcękając zębami. – Skąd wiedzieliście, że będę w pociągu?

Mężczyzna spojrzał na nią z pogardą.



– To nie było trudne – powiedział. Machnął szeroko ręką, ale wymijająco. – Jesteśmy wszędzie.

– Wydaje się trochę przesadne.

– Pewnych rzeczy lepiej nie mówić przez telefon – powiedział leniwie. Potem poruszył się, wyprostował, uśmiechając. – Poza tym najazd jest taki fajny. – Wciągnął długi wdech świeżego powietrza, jakby wdychał narkotyk. – To sprawa stylu życia.

Smukła, ciemnoskóra kobieta z kręconymi, falującymi blond włosami aż do talii podjechała na czarnym, wielkim koniu, prowadząc podobnego konia i siwą klacz. Uśmiechnęła się do wysokiego mężczyzny i odwróciła się z chłodnym uśmiechem do Myry.

– Wiesz jak jeździć?

Momentalnie wszyscy byli w siodłach. Myra podciągnęła jej zakrwawioną spódnicę, gdy usadawiała się w siodle. Wysoki mężczyzna machnął i zagwizdał trzy razy. Nagle Zieloni rozpraszali się od pociągu, ukośnie na stoku z osypiskiem do drzew lub, jak ci wokół Myry, prosto przez wilgotną łąkę. Myra galopował na złamanie karku za Fixem, z blond kobietą i rudym mężczyzną po obu stronach. Nad żywopłotem, ścieżką, w wąską, zalesioną dolinę.

Gdzieś daleko, dźwięk śmigłowca. Potem krótkie serie z broni maszynowej, choć w kogo były wymierzone, Myra nie miała ochoty zgadywać.

Myra jechała cicho jak inni, ale w widmowym towarzystwie Parvusa. AI mamrotała w jej słuchawkę opartą na przewodnictwie przez kość i błyskając ekranami Groliera przed oczami. Nic bardziej aktualnego nie było dostępne bez łącza w telefonie. Tymczasowo zidentyfikował mężczyznę, który ją porwał, ale nie było to bardzo oświecające, ostatnie obrazy były sprzed dwunastu lat i wtedy nie był lądowym piratem. Był komentatorem w sieci, a – przed tym – drobnym agitatorom w Jesiennej Rewolucji. Fragmenty telewizyjne

jego tyrad wyjaśniały, dlaczego wyglądał niejasno znajomo, oglądała brytyjską, narodową, demokratyczną rewolucję w czasie, która mogła poświęcić od śledzenia natarcia Syberyjskiego Frontu Ludowego na Władywostok.

Dolinka otwarła się na większą dolinę, mocno zasiedloną. Stare kamienne domy, kopuły geodezyjne, plecione chaty, kryte strzechą budynki, kilka konstrukcji z nanoprodukowanych powłok węglowych. Dużo bydła i owiec na polach, dzieciaki wszędzie biegające. Ścieżka stała się żwirową drogą, która poszerzyła się, w centrum głównej ulicy, do małego, brukowanego placu. W centrum, koło grynszpanowej, miedzianej statui żołnierza z bagnetem, pomnik ofiarom trzech wojen światowych, była przestarzała, ale ciągle skuteczna bateria rakiet przeciwlotniczych. Nie wyższa niż sam pomnik, posiadała stojak z tuzinem rakiet metrowej długości. Myra mogła przeczytać drobny druk tego, czym były uzbrojone: taktyczne atomówki z zapalnikiem laserowym.

Ludzie tłoczyli się dookoła, witając powracających łupieżców. Wołali na rudego jakoś, co myślała, z początku jako „Czerwony”, co miało sens, potem zrozumiała, że to było „Wielebny”, co w ogóle nie miało sensu. Zdecydowanie nie było to nazwisko, które jej kwerenda zwróciła. Dzieciaki wiwatowały i wykonywały zuluski taniec wojenny zwany *toyi-toyi*, wysokie kroki, wysokie skoki.

Fix poprowadził konia do dużego, kamiennego budynku, który miał nisko frontowym pokój otwarty na ulicę: kawiarnia. Myra podążyła za nim, zsiadła i została poprowadzona do tylnego pokoju z kominkiem i wysokimi, skórzanymi fotelami dookoła stołu. Pokój pachniał dymem drzewnym, alkoholem, niemytymi ludźmi i wilgotnymi psami.

– Usiądź.

Myra usiadła, a dwóch mężczyzn i kobieta usiedli naprzeciw

niej. Patrzyli na nią przez chwilę w ciszy. Zdecydowała się zaryzykować domniemaniem Groliera.

– Jordan Brown – powiedziała. – A Ty musisz być Cat Duvalier. – To nazwisko było w rekordzie uzupełnione drobnym drukiem jako żona Jordana Browna.

– Bardzo dobrze – powiedział mężczyzna, niewzruszony. – Ładną maszynkę tam masz.

Myra przesunęła opaskę do góry.

– Tak. Zatem proszę mi powiedzieć, panie Brown, czego chcesz.

– To *Wielebny* Brown – powiedział. – Pierwszy kapłan Ostatniego Kościoła Nieznanego Boga. – Uśmiechnął się. – Ale proszę, mów mi Jordan. – Spojrzał nad ramieniem i krzyknął zamówienie. – Piwo i brandy!

Zawiesił swój płaszcz na fotelu, bez niego, pochylając się nad stołem w podkoszulku i dzikimi włosami, wyglądał jakoś bardziej oneśmielająco. Jakaś nieobecność w jego wzroku przypominała Myrze weteranów *specnazu*, lub starych Afgańczyków. Slogan Błękitnych Beretów na jego koszulce mógł nie być ironiczny, pomyślała. Chłopak wszedł, niosąc szklanki i butelki.

– Wszystko co mamy w tej chwili – powiedziała kobieta nazywana Cat. – Co chcesz?

– Poproszę piwo.

Przyjęła drink bez dziękowania i zapaliła papierosa bez pytania o pozwolenie lub zaoferowaniem innym. Cholera, jeżeli będzie się zachowywać jakby cieszyła się ich gościnnością.

– Mówiłeś, *Wielebny*.

Jordan Brown rozłożył dłonie.

– Tylko żeby przegadać rzeczy.

– Poświęciłeś dużo, żeby to zrobić.

– Z pewnością – powiedział. – Zaryzykowałem życia moich wo-

jowników, ujawniłem jednego z moich agentów, kazałem zamordować człowieka jak świnie, którą był, ale to nie ma nic wspólnego z Tobą, i spowodowałem postrzelenie innego strażnika w brzuch tylko za próbę wykonywania pracy. Całkiem możliwe, że niektórzy z pasażerów polegli w pomyłkowym ostrzale. – Wzruszył ramionami. – I zabiłbym więcej, gdybym musiał. Chodzi o to, że ujdzie mi to na sucho. – Machnął ręką nad głową. – Wszystkim nam. Helikoptery są najgorszym, co Brytyjczycy mogą wysłać przeciwko nam.

Myra spojrzała prosto na niego.

– Jakby mi zależało. Może Ci to nie ujdzie tak lekko, kiedy to wróci do Republiki Kazachstanu.

Jordan pokiwał trzeźwo głową.

– Bez wątpienia depczę po wszystkich dyplomatycznych uprzejmościach. Ale to Ty przybyłaś do Brytanii po pomoc, a nie na odwrot. Więc wybacz mi, że nie będę się zbytnio martwił.

– Ha!

– Tak czy inaczej – kontynuował Jordan – nie mam ochoty startować w konkursie sikania na odległość. Mam coś ważnego ci do powiedzenia. Zatem. Czy chcesz poważnie porozmawiać?

Myra wzruszył ramionami, rozglądając się dookoła teatralnie.

– Dlaczego nie? Nie widzę lepszych rozrywek. – Nalała brandy, znowu bez fałszywej uprzejmości.

Jordan Brown oparł się na gołych przedramionach, wziął łyk brandy i zaczął mówić.

– Przybyłaś do Wielkiej Brytanii po pomoc wojskową przeciwko Szinosowym. Możesz nawet ją otrzymać. Chcę ci powiedzieć dwie rzeczy. Pierwsza, nie rób tego. Nic ci to nie da. Nie możesz zwalczyć komunizmu imperializmem. To jak wrzucanie napalmu w ogień.

Myra obdarzyła go spojrzeniem, które mówiło, że słyszała to już wcześniej.

– Jeżeli tak mówisz. A co jeszcze chcesz mi powiedzieć? Może spróbuj powiedzieć coś, co jest nowością, co?

– Masz większe kłopoty, niż ci się wydaje – powiedział Jordan.  
– Byt, który nazywasz Generałem, pracuje dla Szinosowów.

Myra prawie zakrztusiła się łykiem brandy. Przez chwilę kaszlała ogniem. Poczwała się kompletnie zdezorientowana.

– Co? I skąd możesz wiedzieć?

– Precyzyjnie mówiąc – powiedział Jordan Brown – Szinosowy pracują dla *tego*. A co do skąd wiem. . .

Wyciągnął rękę do Cat. Pochyliła się do przodu, gdy Jordan oparł się.

– Myra – powiedziała szczerze – mogę być teraz dzikuską, ale byłam taka jak Ty. Byłam w Międzynarodówce.

– Och, Jezu! – wybuchła Myra. – Połowa jebanego świata jest kierowana przez eks-trockistów! Powiedz mi coś, czego nie wiem, na przykład skąd dowiedziałaś się o organizacji bojowej Czwartej, o Generale.

– Zmierzałam do tego – powiedziała Cat, wystarczająco łagodnie, ale Myra mogła czytać na twarzy młodszej kobiety jak na ekranie komputerowym, mogła wyczytać chwilowy spazm niecierpliwej wściekłości. Ta kobieta barbarzyńca była kimś, kto niebezpiecznie przyzwyczaił się, że jej nie przerywają. Cat wymusiła uśmiech. – Ciągłe słyszę plotki.

– Plotki? To na tym się opierasz?

– Wygląda na to, że właśnie jedną potwierdziłaś – powiedział Jordan, sucho.

Myra uznała, że tak. Jednak wyglądało to na sytuację, gdzie blokowanie byłoby mniej produktywnie niż przyznanie, że Generał ist-

nieje i spróbowanie odkrycia, skąd pojawiła się plotka. Parvus nie napotkał niczego jak to...

– Wzięliście to z sieci, czy co?

Jordan spojrzała na Fixa i Cat, a potem wszyscy troje się roześmiali. Dla Myry brzmiało to jak szyderczy śmiech.

– Boże, wy ludzie – powiedział Jordan. Jego ton zmienił się, gdy kontynuował, stając się wezwaniem lub przekleństwem. – Cały czas macie ekran pomiędzy sobą a światem. My mamy ludzki świat i świat natury. Mamy cały świat, który nazywacie marginesem, rozproszone społeczeństwo wolnej ludzkości. Mamy szept na rynku, gest na drodze, znak kredą na chodniku. Skręt liścia, obrót gałązki. Mamy zapach niesiony wiatrem. Mamy nocne niebo i nazwy wszystkich stałych, poruszających i spadających gwiazd. Mamy naszych przyjaciół we wszystkich waszych miastach, obozach i armiach. Mamy odbiorniki kryształkowe<sup>12</sup>, które odbierają, i nadajniki iskrowe<sup>13</sup>, które wysyłają w kodach już dawno zapomnianych na długościach fal, których już nie monitorujecie, w językach, którymi wzgardziliście.

Przechylił głowę i zaczął naśladować kod Morse’a,  
*pi-pi-piii-pi-piii-pipipiiipipiiii...*

Cat i Fix przechylili głowy, słuchając, a po minucie uśmiechając się i rechocząc.

Jordan wyglądał nieco arogancko po tej demonstracji.

– Widzisz, nawet mogę żartować w językach. Mamy nasz wła-

---

<sup>12</sup> wczesna odmiana diody z prostującym złączem metal-półprzewodnik, używana w radioodbiornikach, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Detektor\\_kryszta%C5%82kowy](https://pl.wikipedia.org/wiki/Detektor_kryszta%C5%82kowy) – przyp.tłum.

<sup>13</sup> rodzaj nadajnika służącego wytwarzaniu fal radiowych używanego w pierwszych dwóch dekadach rozwoju radia, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Nadajnik\\_iskrowy](https://pl.wikipedia.org/wiki/Nadajnik_iskrowy) – przyp.tłum.

sny Internet, i naszą własną Międzynarodówkę. Nie zajmuj się szukaniem przecieków od waszej.

– Poza tym – powiedział Fix, zabierając głos po raz pierwszy – wiemy te rzeczy z dawna. Jordan i Cat walczyli w rewolucji, tak samo jak to. Było wtedy nazywane Czarnym Planem i było wykorzystane przez, lub wykorzystano, Armię Nowej Republiki. Wszyscy się z tym spotkaliliśmy i wiemy, gdzie się udało. Na New View, waszą komunistyczną komunę w kosmosie.

– I wiemy jak to myśli – powiedziała Cat. – Widzimy jego wpływ na to, co robią Szinosowy, w taktyce i w ich strategii. To nie jest niezycliwe, ale jest . . . ambitne.

– Zatem? – Myra wzruszyła ramionami, próbując zachować spokój i potwierdzić wpływ na rozmowę. – My, to jest mój kraj, Kazachstan. . . – proszę, powiedziała to i słowa *mój kraj, Kazachstan* nie mogły być cofnięte – . . . my nie opieramy się na tej rzeczy. Nie przyjmujemy od niej rozkazów, nie od, cóż, powiedzmy, że nastąpiło mi na odcisk. Nie mówię, że wierzę wam na temat tego stojącego stronie Szinosowów, ale powiedzmy, nie zostawiłabym tego. Jeżeli jesteście tak tym przejęci, dlaczego sprzeciwicie się moim poszukiwań pomocy, żeby to zatrzymać?

– Ponieważ – powiedział Jordan, podkreślając każde słowo ruchem dłoni – *to nie może być zatrzymane*. Nie walką. Jeżeli stwierdzi, że jest po stronie przegrywającej, zmieni strony, lub zacznie pracować dla obu stron i wygra. Jej jedynymi prawdziwymi wrogami są rywalizujące AI, takie jak te Ruchu Kosmicznego i te dziwne duchy geniuszy, w które niektórzy Przestrzeniowcy<sup>14</sup> próbują się

---

<sup>14</sup> oryg. spacer – tu i dalej mowa o założycielach kolonii kosmicznych, jednocześnie nie tylko kolonistów, ale także sił polityczne spierające się z ziemskimi mocarstwami, stąd korzystam z tłumaczenia „Pozytonowy Detektyw” Isaka Asimova, 1953, gdzie „spacer” jest przetłumaczone jako przestrzeniowiec – przyp.tłum.

zmienić. To pokona je lub je zabsorbuje i wtedy będzie zadowolone w swoim. . . osobliwej boskości, rozprzestrzeniając się z ludzkością na wszystkie przysze światy. Będzie dbać o nasze najlepsze interesy, czy tego chcemy, czy nie.

– Ha, no weź, nie możesz tego wiedzieć.

Jordan rozsiadł się i spojrzął na nią ironicznie.

– Och, tak, mogą, ale nazwijmy to hipotezą, jeżeli poczujesz się lepiej. Jeżeli Republika Brytyjska stanie po Twojej stronie, jestem pewny, że będą zachwyceni odzyskaniem swojego starego systemu planistycznego. Rzuca się na każdą ofertę, jaką to przedstawi. Lub przyjmą podobne greckie dary od AI Ruchu Kosmicznego. Więc ktokolwiek wygrywa, mocarstwa zachodnie, Ruch Kosmiczny czy Szinosowy, ludzkość będzie żyła w tej lub innej maszynie, na zawsze.

– Czy byłoby to takie złe?

– Nie – powiedział Jordan. – Tego właśnie się boję.

Zerwał się.

– Ale co tam. Zrobisz to, co najlepsze. Jeżeli nadal będziesz chciała sojuszu z Brytyjczykami, kiedy dotrzesz do Londynu, śmiało. Dużo ci to pomoże.

Dopił pozostałą brandy i rozejrzał się po innych, potem spojrzął na Myrę.

– Chodź – powiedział. – Zabiorę Cię do drogi.

Jechała koło rudego mężczyzny, zmartwiona, ale nieprzekonana jego dziwnymi tyradami. Mokre gałęzie buku i brzozy ocierały się o nich, sprawiając, że schylała się i mrugała. Kamienna ścieżka prowadziła na stok wzgórza ponad osadą. Myra spojrzała do tyłu na nią, zanim zniknęła z widoku.

– Jak wy żyjecie? – spytała. – Nie możecie żyć tylko z najaz-



dów, a pewnego dnia wkrótce, według Ciebie, nie zostanie nic do rabowania. Na przykład, kto płaci za te rakiety przeciwlotnicze?

– My wszyscy – powiedział Jordan. – Nie mamy podatków, to byłyby śmiech. My, nie tylko ta wioska, wszyscy wolni ludzie, mamy kilka prostych zasad ekonomicznych, które były stosowane w społecznościach jak to przez teraz prawie sto lat. Jedna z nich mówi, że nie mamy czynszu, ale ziemia nie jest darmo, Bóg nie robi jej więcej, ale w dalszym ciągu robimy więcej ludzi. Zatem stosujemy równoważnik czynszu na potrzeby społeczności, jak obrona. Inna jest taka, że dowolna osoba, każda grupa, może wypuszczać własną walutę, popierając ją na własne ryzyko. Żadnych właścicieli ziemi, lichwiarzy i urzędników.

– Och wspaniale – powiedziała Myra. – Chłopska idea utopii. Jeden podatek i zabawne pieniądze! Teraz już widziała wszystko!

– To działa – powiedział Jordan. – My, jak widzisz, rozkwitamy. Jesteśmy przyszłością.

– Jordan – powiedziała – wiesz, że znalazłam dane o Tobie w moje encyklopedii? Cóż, na ich podstawie nigdy bym nie przewidziała, że przejdiesz do Zielonego Szlamu. Lub że zostaniesz kaznodzieją, jeżeli o tym pomyśleć.

Jordan się roześmiał, nieobrażony.

– Świat przypadnie albo barbarzyńcom albo maszynom. Wybrałem barbarzyńców i wybrałem upowszechnianie oświecenia pośród nich. Stąd kaznodziejstwo, które było, na początku, rodzajem racjonalizmu. Mogę uczciwie powiedzieć, że wyprowadziłem wielu z moich ludzi z mroku, pogańskiego kultu Gai, czarów i przesądów. Jednak również odkryłem, jak wielu innych misjonarzy, że wolę ich sposób życia wobec tego, z którego pochodzę. I razem z kochającą naturą, zacząłem kochać naturę Boga.

– Byłeś ateistą.

– Tak uważałem. Potem zrozumiałem, że byłem agnostykiem. *Wojującym* agnostykiem, jeżeli wolisz. Teologia to bałwochwalstwo, pisma to apokryfy. Wszystko, co możemy powiedzieć, to Bóg jest Jednością. Bóg obejmuje świat, nie ma nic poza nim, i nic przeciwko niemu. Jak mogłoby być? Zatem Bóg przyzwala na wszystko, co się zdarza, ponieważ wszystko, co się wydarza, jest jego wolą. Bóg kocha ten świat, wszystko na nim, od Hubble’a do Plancka, od Wybuchu do Kolapsu. Bóg jest w jastrzębiu unoszącym się tam w górze i w myszy, która czai się przed jego szponami na tamtym polu. Bóg jest w Sierpie i w Snopku zboża, Młocie i rozpalonym Żelazie, Mieczu i Ranie. Bóg jest w Ogniu, w Słońcu i Holokauście. Bóg był w szpiegu, którego dzisiaj zabiłem i w mężczyźnie, który go zabił.

Antynomizm<sup>15</sup> był, Myra wiedziała, dość powszechną herezją w okresach rewolucji i załamań społecznych. Cztery lata temu, te same słowa mogły być deklamowane dalej na tych samych wzgórzach. Nie było nic nowego w tym, co Jordan mówił, ale Myra była pewna, że wskazanie na to wcale by mu nie przeszkodziło. Prawdopodobnie sam czytał Winstanleya i Christopher Hilla.

– Zdaje się, wiesz dużo o tym niepoznawalnym Twoim Bogu.

– Prawda.

– Czy Bóg jest w maszynach, w AI, których się obawiasz?

– Tam też, tak.

– Jaka różnica pomiędzy Bogiem, który nie robi różnicy i nie przyjmuje strony, a brakiem Boga?

Dotarli do szczytu wzgórza. Jordan zatrzymał konia. Myra też

---

<sup>15</sup> pogląd, który odrzuca prawa lub legalizm i argumentuje przeciwko normom moralnym, religijnym lub społecznym, więcej <https://en.wikipedia.org/wiki/Antinomianism> – przyp.tlum.

się zatrzymała, spojrzała w dół wzgórza na szarą wstążkę autostrady i białe bloki stacji obsługi.

Tak blisko, cały czas.

– Możesz stąd iść na piechotę – powiedział Jordan sucho. Wziął lejce konia, gdy Myra zsiadała. Trzeźwo oddał jej broń z kaburą, paszport i telefon.

– Och, a odpowiadając na Twoje pytanie. Nie ma różnicy, w pewnym sensie. Jednak wiara, że Bóg jest wszędzie, po Twojej stronie niezależnie co robisz i co się wydarzy, daje ci olbrzymią energię. – Uśmiechnął się do niej z góry. – Lub tak odkryłem.

I z tym, agnostyczny fanatyk odjechał, szybko na koniu.

Myra przebrnęła wzgórze do punktu obsługi pasażerów, umyła się, wykonała kilka telefonów, gdy jadła na stołówce i wynajęła samochód, żeby zabrał ją do Londynu.

Dotarła, przez wszystkie przeszkody rzucone małymi bitwami po drodze, wieczorem kolejnego dnia. Już dawno minęło jej spotkanie z Ministerstwem, powiedziała im o tym z góry, a oni poprosili o telefon, gdy dotrze, w sprawie kolejnego.

Jednak, po tym wszystkim, co widziała po drodze, czego nie widziała – jak dowody, że ludzie jak banda Jordan i gorsi, działali z taką bezkarnością i bezczelnością, plus minus dziwny atak śmiągłowca – wydawało się, że nie ma to jakiegokolwiek cholernego sensu.

## Rozdział 13

# Morski Orzeł

Deszcz bębnił po dachu domu Merrial. Widok na zewnątrz był ponury. Wyglądałem za okno wcześniej, aż do jeziora i fiordu. Rzędy chmur maszerowały znad morza i jedna po drugiej zrzuciły swój ładunek na wzgórze. Wewnątrz, było ciepło: siedzieliśmy skuleni razem, oparci o naskładane poduszki, sącząc gorącą, czarną kawę.

– Dzięki Opatrzności, dziś bez pracy – powiedziałem.

– W każdym razie nie w Stoczni – powiedziała Merrial. Machnęła dłonią w kierunku lutownicy, kryształów widzenia i bałaganowi w rogu pokoju. – Tutaj zaczniesz się uczyć innej pracy.

– Wspaniale – powiedziałem.

– Tak czy inaczej, co to za Opatrzność, o której mówisz? – spytała.

– Hm. – Popatrzyłem na powolne wirowanie kawy. – To... pomocna część Przyrody, można tak powiedzieć. Kiedy rzeczy układają się tak, jakbyś chciała, bez widocznej przyczyny. – Spojrzałem na nią.

– Musisz to wiedzieć.

– Ale to tylko koincydencja – powiedziała. – Wszystko pochodzi z Przyrody.

– Niektóre rzeczy są więcej niż zbiegiem okoliczności, a Natura to więcej niż... – Chciałem powiedzieć, że „więcej niż natura”, ale

przerwałem i się roześmiałem. – Naprawdę nic nie wiesz Teologii Naturalnej?

– Nie – odparła wesoło. – Zawsze przyjmowałam to za pewnik, że Obcy mają dziwne wierzenia. Nigdy nie zagłębiałam się w szczegóły. – Odstawiła pusty kubek po swojej stronie łóżka i przytuliła się do mnie. – No dalej. Opowiedz mi szczegóły.

– Och, Boże. Dobra. Cóż, zwykle początek jest tutaj. – Dotknąłem delikatnie jej czoła. – Tam w środku. Z zewnątrz widzimy substancję szarą, ale od środka myślimy i czujemy. Wiemy, że są tam miliardy komórek, przetwarzających informacje. Zatem myślenie i czucie, świadomość, to coś, co robi informacja. Tym jest informacja, od środka, z subiektywnej strony. Gdzie jest informacja, tam jest świadomość.

– Ale informacja jest wszędzie – powiedziała. – Kiedykolwiek, cokolwiek wpływa na cokolwiek innego, to informacja. Deszcz jest informacją.

– Dokładnie! – Objąłem ją ramieniem. – Złapałaś.

– Co? Och. – Przesunęła się trochę i spojrzała prosto w oczy. – Masz na myśli, że świadomość jest wszędzie?

– Tak! Właśnie tak!

– Ale, ale... – Rozejrzała się dookoła. – Chcesz powiedzieć, że myślisz, że ten zegar, na przykład, ma *myśli*?

Tykanie brzmiało głośno w pokoju, gdy nad tym myślałem.

– Co najmniej jedną – powiedziałem ostrożnie.

– A jak ona by brzmiała?

– „Jest później... jest później... jest później...”

Roześmiała się.

– Ale cały wszechświat...

– Jest nieskończoną maszyną, która implikuje nieskończony umysł.  
– Położyłem dłonie na jej głowie, gniazdo zawierające jej skoń-

czony umysł. – „A to wszyscy ludzie nazywają Bogiem” – zakończyłem z zadowoleniem.

Merrial uderzyła mnie.

– A komputery, mniemam, że powiedziałbyś, że są też świadome?

– Aye, oczywiście – powiedziałem.

– Co za potworna myśl.

– Mogą nie być świadome z tego, co widzimy na zewnątrz – powiedziałem. – Mogą myśleć zupełnie inne myśli.

Merrial popatrzyła roztargniona za okno.

– Jakie ma myśli deszcz?

– Nie słyszysz? – spytałem. – Myśli „sssssuper”.

– Hmm – powiedziała. – A *to* jest zbieg okoliczności. . .

Wykorzystaliśmy kilka dni przed moim przywróceniem do pracy w Stoczni na rozpoczęcie edukacji w lutowaniu precyzyjnym i programowaniu, ten drugi przedmiot będący jednocześnie fascynującym i irytującym. Pracowicie także przejrzelismy dokumenty Wyzwolicielki, co kontynuowaliśmy – po tym, jak zwróciłem oryginały Gantry’emu i powróciłem do pracy w Stoczni – na fotokopiach, ale te nie zawierały żadnej informacji ważnej dla misji Statku. Teczka z lat pięćdziesiątych dwudziestego pierwszego wieku wzmocniła, bardziej swoimi zwyczajnymi odniesieniami i założeniami niż wyraźnymi stwierdzeniami, pogląd o oszałamiającym zakresie aktywności orbitalnej ludzkości z czasów przed-Wyzwoleniem. Jednak nie zawierała wskazówki co do samego Wyzwolenia.

Była chwila, kiedy myślałem, że zdobyłem prawdziwy, historyczny wgląd, aczkolwiek mało istotny wobec naszych bezpośrednich obaw.

Spojrzałem ponad stosem papierów na szerokim stole Merrial.

Każdego wieczoru po pracy, powoli przesiewałem je, jak teraz, w późnym słońcu.

– Merrial? – spytałem. Odwróciła się od aparatury kryształu widzenia, na którym pracowała i odłożyła lutownicę.

– Znalazłeś coś?

– Nie, tylko... coś zrozumiałem. Ci Zieloni, o których pisze w niektórych artykułach, ludzie marginesu, którzy żyli poza miastami. Pokazuje tutaj, że znali znacznie więcej praktycznych umiejętności niż ludzie im przypisywali, że nie byli tylko prostackimi barbarzyńcami, ale rolnikami, rzemieślnikami, elektrykami i tak dalej.

– Tak – powiedziała z tajemniczym uśmiechem. – To prawda.

– Dobra! Ci ludzie, Zieloni, musieli być przodkami majsterków!

– Proszę – powiedziała, podając mi papierosa. – Będziesz tego potrzebował.

– Dlaczego? – spytałem, zapalając.

– Ponieważ, och *Dhia*, jak ci to powiedzieć delikatnie? Zrozumiałeś to zupełnie na opak. Jak myślisz, dlaczego nazywamy osiadłych ludzi „Obcymi”?

– Co?

– Aye, Zieloni, barbarzyńcy, to nie są nasi przodkowie, Clovis. Oni są, miałam powiedzieć, że Twoimi, ale nie mogę tego już powiedzieć, *mo gràidh*, teraz jesteś jednym z nas. Oni są przodkami Obcych! My jesteśmy niedobitkami, potomkami mieszkańców miast!

– Więc jak to jest, że my, mam na myśli Obcy, żyjemy teraz w miastach?

Wstała wtedy, chodząc dookoła małego pokoju jak wykładowca, gestykulując papierosem.

– Och, ale Twoja mina to obraz, *colha Gree*! Teraz oni żyją

w miastach, ponieważ je najechali, wprowadzili się przy Wyzwoleniu, kiedy stara cywilizacja i życie miejskie się załamały. A teraz ciągle są tutaj, błogosławić ich, błędząc dookoła jak barbarzyńcy, którymi są, w pożyczonych kostiumach przeszłości. Wszyscy ci uczeni, których chciałeś naśladować, tylko grzebią w ruinach, czytając książki, które tak źle rozumieją, że to nawet nie jest śmieszne. Jesteś już poza tym, moja miłości, nauczysz się z nami w ciągu roku więcej niż przez całe życie na Uniwersytecie!

W rzeczy samej.

Podniosły się wielkie wiwaty, prawie zagłuszając wściekły ryk wody, gdy wrota zostały otwarte. Woda wlewała się nad krawędzią suchego doku w słonej Niagarze, która trwała i trwała, aż wydawało się, że sam fiord obniży się, nim głęboki zbiornik zostanie napełniony. Szybciej niż przypływ, woda wkradała się na nogi i pontony Platformy.

Dłoń Merrial ścisnęła moją, gdy przedzieraliśmy się przez tłum, pchając się do przodu jak dzieci. Wszystkie dostępne części klifu dookoła doku były wypełnione ludźmi. Wszyscy, którzy pracowali w Stoczni, na Platformie lub Statku, na pewno tu byli, razem z przypadkowymi gośćmi z otaczających miast, zapalonymi turystami z każdego miejsca w Highlands i kompletnymi entuzjastami z dalszych terenów. Kilkaset metrów dookoła klifu i dalej, przedstawiciele Międzynarodowego Towarzystwa Naukowego, kierownicy projektu i zwozowi robotnicy wygłaszali mowy z drewnianej sceny z podwyższonym podium i pod płóciennym dachem. Nikt dalej niż pięćdziesiąt metrów, na zewnątrz, nie potrafił zrozumieć słowa, co mówili ci dygnitarze, szczególnie nie z głośników rozwieszonych jak bajkowe światła na łańcuchach kabli wszędzie. Skrzeki, trzaski i jęki warte stacji kolejowej odbijały się echem dookoła zboczy klifu.



Schyliłem się pomiędzy kilkoma robotnikami z przodu, którzy nieostrożnie pozwolili na ćwierć metrową przerwę pomiędzy nimi. Merrial podążyła za mną, bez wątpliwości, uśmiech do nich obu, który sprawił, że poczuli, jakby wyrządzali przysługę.

I oto tam byliśmy, metr lub dwa od kruszącej, sfatygowanej krawędzi. Platforma i Statek wyłaniały się zaskakująco blisko. W tym momencie podniósł się kolejny wiwat, jakby oklaskując nasze przybycie i zauważyłem, że kapsuła na szczycie sondy, delikatnie, ale zauważalnie, się kołysała. Platforma pływała.

– Huu-raaa! – krzyknąłem, dołączając entuzjastycznie do aplauzu. Merrial krzyknęła coś prawie zbyt wysoko do usłyszenia, ledwo co mogłem siebie usłyszeć. Pomimo mniej widowiskowej chwili niż zatopienie doku, niosło to znacznie większe znaczenie: początek podróży *Morskiego Orła/Iolair*, która zakończy się w kosmosie.

To był dziwny pojazd startowy, jednocześnie bardziej prymitywny i bardziej zaawansowany niż cokolwiek wysłane w kosmos w pierwszym wieku eksploracji kosmosu. Starożytni mogliby, bez wątpienia, zbudować statek z termonuklearnym palnikiem<sup>1</sup>, ale nie zbudowali. Przeszli od masywnych rakiet na paliwo ciekłe do nanodiamentowych statków dni ostatnich. W naszych czasach, przy dość drogich paliwach chemicznych i nanotechnologii (prócz komputerów majsterków) poza naszym zasięgiem i nadal posiadany sekret kontrolowanej syntezy, termonuklearny palnik był logicznym wyborem.

Jednak, jak wskazywał Fergal, zbudowanie tego z płyty kotła było nieco nieeleganckie. Z drugiej strony, umiejętności istniały, lokalnie dostępne przy budowie statków. I waga, przy ogromnej mocy

---

<sup>1</sup> w oryg. torch-ship, prawdopodobnie rodzaj wymyślonego napędu, por. <https://en.wikipedia.org/wiki/Torchship> i [http://www.projectrho.com/public\\_html/rocket/torchships.php](http://www.projectrho.com/public_html/rocket/torchships.php) – przyp.tłum.

silników, była nieznaczącym ograniczeniem. I mówcie co chcecie o miniowanej<sup>2</sup> stalowej płycie, ale jest solidnie odporna na morską wodę. Oczywiście nie było wątpliwości, że start takiego potwora nie odbędzie się z ziemi, która była mniej wybacząca – wobec silnego ciepła, wysokoenergetycznych cząsteczek i niestabilnych izotopów – niż morze.

Misja, również, była prymitywna, lub przynajmniej prosta: wysłać na orbitę eksperymentalnego satelitę komunikacyjnego i obserwacyjnego. Ten ładunek wymagał współpracy naukowców i inżynierów (majsterków lub innych), szlifierzy szkła, fotografów z całego cywilizowanego świata. Systemy elektroniczne i elektryczne błądziły podejrzliwie blisko ścieżki mocy, nawet wdrażając, jeżeli chciałbyś być dziwny, system prawie jak telewizja. Jednak po głębokim zastanowieniu i złości, większość najbardziej szanowanych praktyków Teologii Naturalnej, z pewnym ociąganiem, skinęła długowłosymi głowami. Telewizja, jak podkreślili groźnie, była destrukcyjna tylko jako środek masowego przekazu. Przeciwwstawiać się jej jako metodzie komunikacji od satelity do stacji naziemnej byłoby, jak zaręczali, tępym zabobonem, niewartym tego oświeconego wieku.

Nie trzeba dodawać, mniejszość ich równie szanowanych, choć (musi to być powiedziane) zwykle starszych kolegów nalegała, że był to pierwszy krok na równi pochyłej na końcu, którego czekała populacja zredukowana do biernie gnijącej masy wraków fizycznych i psychicznych. Z równą nieuchronnością, biorąc pod uwagę naturę Teologii Naturalnej, znacznie mniejsza (i tak, młodsza) frakcja wskazywała, że ten rodzaj nikczemnego niewolnictwa opisy-

---

<sup>2</sup> tetratlenek triolowiu – nieorganiczny związek chemiczny z grupy tlenków mieszanych, minia stosowana jest jako pigment rdzo-ochronny (antykorozyjny) w farbach podkładowych, zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Tetratlenek\\_trio%C5%82owiu-przyp.tlum](https://pl.wikipedia.org/wiki/Tetratlenek_trio%C5%82owiu-przyp.tlum).

wany i potępiany przez ich konserwatywnych kolegów byli w istocie ludźmi, lepiej znanymi jak *starożytni*, którzy wytrwale oglądali telewizję i dokonali jednej lub dwóch rzeczy, zanim upadli. Czemu, oczywiście... , ale dalsze iteracje dyskusji byłyby nudne w opracowaniu.

Merrial znacznie odważniej niż ja poszła do przodu i usiadła wesoło na samej krawędzi klifu, nogi zwisające ponad i jej spódnica elegancko rozpostarta na wrzosie po obu jej stronach. Usiadłem koło niej i próbowałem nie patrzeć w dół na spadek do morza, bezpośredni i pionowy prócz tego, gdzie były interesująco urozmaicone wystającymi skałami. Patrzyliśmy z punktu lekko z przodu Platformy, pomiędzy jej głównymi rozszerzeniami a otwartymi słuzami doku.

Krzyki i wiwaty już nie trwały, zastąpione szumem konwersacji, ciągłym napływem wznoszącego się morza i głębokim wyciem turbin platformy, gdy pracowały, żeby poruszyć gigantyczną strukturę. Bardzo wolno, kołysanie się statku połączyło się z powolnym ruchem do przodu. Powoli jak to bywa, to wytworzyło zauważalną falę dziobową z przodu, zderzającą i pryskającą wobec napływających fal. Złożone wzorce interferencji uformowały się, gdy fale odbijały się od boków doku i samej Platformy, a słońce, już po zenicie i zmierzające na zachód, dodawało widma w rozpryskach.

Nawet przy pięciu kilometrach na godzinę, nie zabrało dużo platformie minięcie nas, z dźwiękiem dalszych wiwatów i machania od i do załogi operacyjnej na pokładzie. Kolejny znaczący moment, należycie podkreślony kolejną falą braw, nadszedł, gdy platforma minęła wrota i wyszła na otwarte morze, lub w każdym razie na fiord Loch Kishorn. Po tym, nie było nic do oglądania, prócz wolnego odchodzenia platformy i ludzie zaczęli się rozchodzić. Plat-

forma miała długą podróż przed sobą, z Loch, i w Inner Sound<sup>3</sup>, skąd minęłyby by przyczółki Rona i Skye przed wyjściem na Atlantyk. Wyjąwszy poważne nieszczęście – a prognoza pogody była optymistyczna – podążałaby jeszcze przez siedem dni, zanim byłaby dostatecznie daleko w oceanie, by utrzymać pozycję przy starcie samej rakiety. Załoga na pokładzie przeniosłaby się do jednostki eskortującej i odsunęłaby się na horyzont, uruchamiając start przy pomocy sterowania radiowego, kiedy naukowcy i inżynierowie określiliby, że warunki były poprawne. Zakładając krzepkość *Morskiego Orła* i moc jego silnika, nic mniej niż mocny sztorm nie mogłoby stanąć na jego drodze. Tylko platforma była, teoretycznie, podatna na wiatr i fale, zatem ryzykowna część całego przedsięwzięcia, część, która dosłownie mogła być utopiona, właśnie się zaczęła.

Póki obawy Merrial o śmieciach na orbicie nie zostałyby potwierdzone. Nic więcej nie było usłyszane na ten temat od Fergal lub innego majsterka, według Druina, a jemu można było zaufać w tej kwestii, według Merrial. Choć jej własna umowa przy Projekcie dobiegła końca, ci z innych majsterków, którzy pracowali przy systemach krytycznych dla misji (jak opisywał to żargon), nie przestali, i ciągle była dobrze poinformowana o ostatnich plotkach majsterków, jak również narastająco ja.

W ciągu tygodni pomiędzy naszym pojednaniem a pływającą platformą, spędziliśmy interesująco czas w trakcie, którego nasza radość z drugiej osoby była kontrowana – choć się w żaden sposób nie zmniejszyła – reakcjami innych osób na nią. W Stoczni, codzienne wytrzymywałem bezlitosne drwiny, które moi koledzy wydawali się uważać, że są całkowicie kompatybilne z ciągle przyjacielskimi relacjami w innych kwestiach. W większych okoliczno-

---

<sup>3</sup> cieśnina w Szkocji, oddzielająca wyspę Skye oraz Raasay od lądu Wielkiej Brytanii – przyp.tłum.

ściach moich wcześniejszych doświadczeń – dzieciństwo, szkoła, Uniwersytet – niektóre z ich zniewag i nadużyć spowodowały długoletnią, tłącą wrogość, jeżeli nie natychmiastową przemoc fizyczną. Tutaj przechodziły jako lekkie przekomarzanie i raczej ich ignorowanie niż zemsta było uznawane za oznakę męskiego honoru.

Nieprzystępne nastawienie majsterków w obozie ciężiej było znieść, ale Merrial ciągle zapewniała mnie, że to był podobny test, siły mojego zaangażowania w ich metody i wobec niej. Gdy dni i tygodnie mijały, ich reakcje wobec mnie stopniowo ociepliły się do punktu lodowatej, kolczastej uprzejmości.

Merrial i ja byliśmy, według zwyczajów majsterków, związkiem, próbując doświadczenia wspólnego życia, zanim dokonamy publicznego ogłoszenia. Cieszyłem się z tego eksperymentu i byłem tak zaangażowany, jak kiedykolwiek mógłbym sobie wyobrazić, i taka była Merrial, ale żadne z nas nie śpieszyło się rozwinąć naszą relację na bardziej formalnych gruntach. Małżeństwo majsterków jest poważną sprawą, angażującą oprócz innych przerażających wydatków – krawcowe, kucharze, muzykantki – także utrzymanie setek ludzi pijanych przez tydzień.

Merrial spojrzała na mnie.

– Idziemy?

– Tak.

Wstaliśmy i przeszliśmy do tyłu, łatwiej teraz, przez przerzedzający się tłum. Z oczywistych powodów, alkohol był ściśle zakazany w Stoczni i na wydarzeniu tego dnia. Wszyscy kierowali się do miast, zaczynając od najbliższego, Courthill. Koniec projektu i ostateczne wypłaty i nagrody były świętowane przez osuszenie zapasów pubów w trakcie popołudnia i wieczoru.

Wędrowaliśmy wzdłuż ścieżki do głównej drogi, co jakiś czas witając ludzi, których znaleźliśmy. Scena, na której odbywały się prze-

mówienia, stała pusta i już była demontowana. Różni dygnitarze ruszali ścieżką w zwartej grupce i przyśpieszyłem nieco, żeby ich wyprzedzić trawą, skory bliższego obejrzenia znanych kobiet i mężczyzn, którzy podróżowali z daleka, by uhonorować nasze dokonanie. Merrial obserwowała to zachowanie z ironiczną tolerancją.

Wskazywałem słynnego rosyjskiego astronoma i angielskiego inżyniera statków kosmicznych Merrial, gdy oboje zauważyliśmy Fergala na końcu pochodu, idącego samotnie pomiędzy nimi wszystkimi. Byłem zaskoczony jego widokiem, potem pomyślałem, że nie powinienem, w końcu był kierownikiem projektu dla systemu naprowadzania. W tej samej chwili, zauważył nas. Skinął na nas.

Merrial spojrzała na mnie. Wzruszyłem ramionami. Podeszliśmy i dołączyliśmy do niego, ja upewniając się, że idę pomiędzy nim a Merrial. Czułem się niespokojnie, że nie byliśmy na swoim miejscu, ale reszta dygnitarzy uprzejmie nie zwracała na nas uwagi, do tego stopnia, że w ogóle nas nie zauważyli, będąc po prostu zatopionymi w ich własnych rozmowach.

Spojrzał na nas z boku, bez wrogości. Nasza konfrontacja równie dobrze mogła nigdy nie nastąpić, mimo wszystko nie pokazywał znaku urazy. Dla mnie było inaczej.

– Jak sobie radzicie? – spytał. Najwidoczniej słyszał o naszym związku.

– Och, dobrze. Wspaniale!

Merrial chwyciła moją dłoń i ją zamachała.

– Ten już nie jest już więcej obcym, tyle ci powiem.

– Dobrze. – Uśmiechnął się i zmienił temat. – To wielki dzień dla nas wszystkich.

– Ta – powiedziałem. – Ale nie będę pewny tego, póki statek nie będzie na orbicie.

– Och, nie martwiłbym się o to – powiedział. Jego wzrok przeskoczył na oczy Merrial. – Statek jest bezpieczny.

– Jak *sobie* poradziliście? – spytałem śmiało. – Z naszym nowym przyjacielem?

– Kim, och SI!

– Co?

– Sztuczna Inteligencja – Fergal i Merrial wypowiedzieli to w tej samej chwili. Spojrzałem z jednego na drugie i się roześmiałem.

– Kiedyś muszę się nauczyć rzeczy tego rodzaju.

– Rzeczywiście musisz – powiedział Fergal wyrozumiale. – Jednak, masz kilka wieków przed sobą do nauki.

– Cóż, myślę, że dwa to dużo – odpowiedziałem, zaskoczony tą dziwną uwagą.

Fergal się zatrzymał, potem przyśpieszył, gdy inni nastąpili na nas.

– Nie powiedziała ci?

Merrial patrzyła na niego i na mnie z milczącym apelem, co jakoś wydawało się znaczyć co innego dla każdego z nas. Fergal stanowczo pokręcił głową.

– Dobra, cholernie powinna.

– Nie chciałam. . . – zaczęła Merrial.

– Niewłaściwie zachęcać? Lub wystraszyć? – Fergal uśmiechnął się kwaśno. – Czy to lubisz czy nie, Merrial MacClafferty, trochę późno na to, nie sądzisz?

– Och, nie jestem pewna, czy jest gotowy. . .

– Czy oboje – powiedziałem – przestaniecie rozmawiać, jakby mnie tutaj nie było?

Fergal spojrzął nad ramieniem, spojrzął do przodu, potem spojrzął na ziemię i powiedział cicho.

– Wiesz, dlaczego ludzie dzisiaj żyją dłużej, niż żyli aż do jakiegoś czasu przed Wyzwoleniem?

– Ta – powiedziałem. – Znalazłem odniesienia do tego w dokumentach Wyzwolicielki. Terapie przedłużające życie. Mniemam, że w pewien sposób efekty musiały wytrwać i stały się dziedziczne.

– Wystarczająco blisko – powiedział, wyraźnie powstrzymując się od poprawiania. – Cóż, ludzie, którzy byli przodkami majsterków, mieli lepsze terapie.

Moje serce waliło.

– Jak lepsze?

Rozejrzał się dookoła. Kilka metrów oddzielało nas od innych na ścieżce, przed nami i za nami.

– O tyle lepsze, że nie wiemy, jak lepsze są.

Spojrzałem na Merrial, czując, jak krew odpływa mi z twarzy, a potem wraca. Ścisnąłem jej dłoń.

– Dobra, jeżeli będziesz mnie chciała, nie dbam, czy mnie przeżyjesz i zostaniesz młoda, gdy ja będę się starzał. – Łatwo to powiedzieć, gdy masz dwadzieścia dwa lata i nie wierzysz, że starzenie lub śmierć ma w ogóle jakiegokolwiek osobiste zastosowanie. Jednak ku mojemu zaskoczeniu, Merrial się roześmiała.

– Te nie są genetyczne, nie bardziej niż inne – powiedziała. – To...

– Zaraźliwe – powiedział Fergal. – Czy to zakaźne? Nigdy nie pamiętam.

– Nieważne – powiedziała Merrial. – To jest, hm, przenoszone drogą płciową.

Brzmiała prawie zażenowanie.

Fergal, jak się zdawało, ciągle był mile widziany w Karonadzie i nawet Druin, gdy mijął go przy barze, był wobec niego uprzejmy.



Domyślałem się, sam, po trzecim litrze i szóstej whisky, że majsterk z Międzynarodówki nie chciał pokazać nam przyjaznej strony. Pozostałem nieprzekonany tym, ale zdecydowałem wykorzystać większość z tego, póki trwało. Ciągłe nie przyswoiłem wiadomości, że mógłbym żyć dłużej, niż kiedykolwiek oczekiwałem i zajęłoby mi to wystarczająco długo.

– A zatem – spytałem go, w rogu stołu bezpieczny przy ochryplych dźwiękach dookoła nas – czym była ta rzecz, którą Merrial odkryła? AI?

– To... planista – powiedział. – Umysł, który może koordynować całą ekonomię. Coś, co będziemy potrzebować, pewnego dnia.

– Po waszej wspaniałej rewolucji?

– Tak, a może wcześniej. To samo w sobie jest rewolucyjne.

– Więc co zamierzacie z tym zrobić? – spytałem.

Fergal potrafił, jak powiedziała Jeanna, wytrzymać swoje picie. Mógł równie dobrze nie robić lub mówić niczego bez skalkulowania wpływu tego na wektory jego celów. Jednak jestem pewien, że był to lekkomyślny impuls, który sprawił, że powiedział, co powiedział.

– To jest na Statku. Dobra, tak czy inaczej, kopia tego.

Patrzył na mnie, nie na Merrial, gdy mówił. Nie widział tego, co ja zobaczyłem: chwilowego błysku triumfu i rozkoszy na twarzy Merrial. To przelotne spojrzenie, tak jak jego słowa, musiały wyssać kolory z mojej twarzy. I wtedy – widziałem jej obłudę – gdy Fergal spojrział na nią, wyglądała na bardziej zszokowaną niż ja.

– Dlaczego, do cholery, to zrobiłeś? – spytała.

Fergal pochylił się i ściszył głos.

– Dowiedziałem się kilku rzeczy od AI – powiedział. – Jego wspomnienia pochodzą z kilku dni przed Wyzwoleniem. Nie wie nic o tym, co się zdarzyło, ale wie, że Wyzwolicielka kontrolowała broń jądrowe i inne w kosmosie. Zatem możliwość, że, wiesz,

czego się obawialiśmy, jest prawdziwa, była zbyt duża, żeby ignorować. Jednak na tym etapie, cholera, gdyby misja została przerwana lub statek zniszczony Bóg wie, ile czasu minęłoby, zanim powstałby następny. Był tylko jeden sposób, żeby to zrobić, a to oznaczało skopiowanie i wpuszczenie do kryształu widzenia systemu sterowania Statku. Z czystego pragnienia zachowania siebie, kopia byłaby zmuszona przejąć rodzaj szybkoreagującej kontroli nad silnikiem statku, co umożliwiłoby uniknięcie śmieci, które mogłyby tam być.

– Czy to by zadziałało? – spytałem Merrial, która patrzyła na Fergala, jakby go nie widząc.

– Och, tak – powiedziała, bez rozglądania – nie moglibyśmy sami tego zrobić, ale AI miałyby, chyba, szansę. Ale co się wydarzy, kiedy już tam będzie?

Fergal uśmiechnął się.

– Będzie siedzieć w centrum nowej sieci komunikacyjnej, to wszystko. Pożyteczna rzecz.

– Cholernie niebezpieczna, raczej! – powiedziałem.

– Nie martw się – powiedział Fergal, rozumiejąc, że posunął się za daleko. – To nie będzie mieszać w satelicie. Tylko... zbierać informacje. Dla przyszłości.

– O Boże! – wykrzyknęła Merrial. – Zwariowałeś! Ta rzecz to diabeł! Zaprowadzi świat do nowego Posiadania, zanim się obejrzysz!

– To będzie nasze Posiadanie – powiedział Fergal.

– Masz na myśli Twoje!

Fergal wyprostował nogi.

– A co z tym byłoby złego?

Spojrzał na nasze zbulwersowane twarze i wybuchnął śmiechem.

– Nie bądźcie głupi – powiedział. – Nie ma sposobu, żeby to zrobiło cokolwiek bez ludzi, z którymi może współpracować, a jesz-

cze nie istnieją tacy ludzie. – Położył kciuk na brodzie Merrial na chwilę. – Jak doskonale wiesz.

Odrząciła jego dłoń, niezbyt delikatnie.

– To nie było śmieszne – powiedziała. Wstała z chwiejną godnością. – Idę się wysikać.

Fergal obserwował mnie obserwującego ją przedzierającą się przez tłum. Jeżeli wykrył zamęt w moich myślach, nie dał żadnego znaku.

– Nie ma szansy na przekonanie Ciebie, Clovis?

– Nie ma mowy – powiedziałem, ciągle rozkojarzony. Jego niezobowiązujące przekomarzanie nie oszukało mnie ani na sekundę. To był człowiek, który chciał władzy, Posiadanie w istocie, a jego obecny plan z AI nie byłby jego ostatnim. Był człowiekiem, które musiałbym obserwować, a może pewnego dnia zabić.

– Och, dobrze – powiedział. – Nasz dzień nadejdzie i Ty go zobaczysz.

Miałem to zakwestionować, gdy poczułem dłoń na ramieniu.

– Och, witaj, Catherine.

Moja była gospodyni uśmiechnęła się do mnie. Jak każdy tutaj, już była lekko pijana. Skinęła głową Fergalowi i spojrzała na mnie.

– Cześć, Clovis. Mam nadzieję, że lubisz swoje nowe mieszkanie.

– Och, tak.

Sięgnęła do torby na biodrze.

– Mam coś dla Ciebie – powiedziała. – List, który przybył kilka dni temu, nie przyjechałam. . .

– W porządku – powiedziałem, zabierając wypchaną kopertę. – Dzięki.

Fergal, może stonowany odmową, ponuro studiował drinka lub taktownie szanował moją prywatność, gdy otwierałem paczkę. Z ręcz-

nie wypisanego adresu, wiedziałem, że była od Gantry'ego. Zawierała list i grubą broszurę. List był ładnie wypisany. Przejrzałem przewidywalne załamывanie rąk nad moim wydaleniem z Uniwersytetu (rozprawa była farsą, nie żebym dbał) i o moim wyborze kariery jako majsterek. Potem przeszedłem do kolejnej strony.

*Jednakże, Clovis, jako tylko drobna pamiątka radości badań historycznych, może przypominasz sobie, że wyglądałem nieco dziwny, gdy przedstawiłeś swoją dziewczynę, Merrial? Powodem było to, że myślałem, że skądś ją rozpoznałem. Właściwie, oczywiście, nie rozpoznałem, ale napotkałem zdjęcie kogoś, kto może być jej przodkiem o tym samym imieniu, w jednym ze starych roczników instytutu, w istocie z 2058 roku. Mogłeś go nawet sam kiedyś przeglądać. Spójrz na stronę 35, podobieństwo jest całkiem uderzające. (Nie muszę dodawać, że oczekuję zwrotu...)*

Prawie upuściłem dokumenty, gdy niezdarnie otwierałem broszurę i szukałem strony. Pokazywała, w ostrzejszym szczególe i lepszym kolorze niż współczesne fotografie, jakąś imprezę towarzyską. Ludzie siedzieli, elegancko ubrani, przy długich stołach, klaszcząc, gdy inni w ich towarzystwie tańczyli. Na pierwszym planie była dziewczyna, uchwycona w pół obrotu, jej gęste czarne włosy poruszające się za jej głową, jedną dłonią kołysząc jej długą spódnicą na bok, jej białe stopy lekko, precyzyjnie ustawione. Świetna tancerka. Merrial.

Nawet była opisana, małym drukiem w podpisie.

To mógł być przodek, próbowałem sobie powiedzieć, jak myślał Gantry. Jednak wiedziałem, że tak nie jest. Jeżeli ktokolwiek mógł być zidentyfikowany z fotografii, to tylko Merrial. Wyglądała na zdjęciu nie inaczej niż dzisiaj.

Myślałem o niej, od pierwszego momentu, kiedy ją ujrzałem, jako młodszej, bardziej ognistej, świeższej niż ja i przypisywałem

jej sporadyczne ironie i niegodziwie inteligentne uwagi jej własnemu rozumowi, który szczęśliwy uważałem za większy niż mój własny. Było szokiem zrozumienie, że była to mądrość wieku. Dobry Boże, ile lat miała? Żyła od czasów Wyzwolicielki! Ta myśl była wystarczająca, żeby zakręciło mi się w głowie.

Gantry miał rację co do jednej rzeczy, widziałem to zdjęcie wcześniej, przy leniwym przeglądaniu archiwów PR Instytutu. I, tak jak przewidywałem, wspomnienie wróciło. Była to kilku sekundowa pauza, gdy przewracałem strony, kilka lat wcześniej, moja uwaga na chwilę złapana tym pięknym obrazem z przeszłości.

Głos Fergala wpadł w moje przerażone myśli.

– Złe wieści z domu?

Potrząsnąłem głową, składając list dookoła broszury, wkładając kartki do koperty i wsuwając je do kieszeni.

– Nie, nie – powiedziałem, wymuszając uśmiech. – Nic z tych rzeczy. To tylko, czuję się słaby, myślę, że za dużo wypilem na pusty żołądek, wiesz?

Zasłoniłem dłonią usta.

– O Boże. – Przełknąłem. Sceptyczne, ironiczne oczy majsterka oceniały mnie. Zrozumiałem, że jeszcze muszę zdecydować co zrobić z drugą szokującą wiadomością, przekazaną kilka minut temu: że on, zapewne zgodnie z oczekiwaniami Merrial, wprowadził AI na Statek. Wszystko to, co odsłoniłoby go, i rozwalilo jakiegokolwiek plany, jakie on lub oboje mieli, było słowo do Druina. . .

– Jesteś pewny, że wszystko w porządku?

– Tak, będzie dobrze. Po prostu potrzebuję świeżego powietrza. Wychodzę. Czy mógłbyś powiedzieć Merrial, żeby też wyszła?

– Jasne – powiedział, już przyglądając się tłumowi za innym towarzystwem. – Gdzie będziesz?

– Na placu – powiedziałem. – Pod pomnikiem.

## Rozdział 14

# Końcowa Analiza

Zatem do Ałma-Aty, kwitnące jabłonie na ulicach, dym w powietrzu i góry Tien-szan w oddali, tak wysokie, tak bliskie, że dla oka wydawały się nieprawdopodobne, jak księżyc na horyzoncie. Myra prawie podskakiwała z ulgi powrotu do Kazachstanu.

Biuro prezydenta Chingiz Sulejmanowa było znacznie większe niż Myry. Czują niepokój, gdy mijała żołnierza, który trzymał dla niej drzwi. Dziesięciometrowy pas czerwonego dywanu na polerowanym parkiecie na końcu, którego było małe krzesło przed wielkim biurkiem. Krzesło było plastikowe. Biurko było mahoniowe, wyłożone zieloną skórą, puste prócz złotego pióra Mont Blanc i dzieviczej, wykańczanej czerwoną skórą suszki. Przeszkłone regały na książki po obu stronach pokoju zbiegały się ku szerokiemu oknu z widokiem na góry. Centralny żyrandol pokoju, niezapalony w tym momencie, wyglądał jak lądownik starożytnej i imponującej cywilizacji właśnie się przedstawiającej.

Prezydent wstał, gdy się zbliżała i obszedł onieśmielające biurko. Powitali się uściskiem dłoni. Sulejmanow był niskim, dobrze zbudowanym Kazachem z twarzą, którą troskliwie utrzymywał jako dobrodusznie wyglądający pięćdziesięciolatek. Obecnie miała pięćdziesiąt osiem lat, dziecko wieku, jak okazjonalnie wspominał, co oznaczało, że dorastał, gdy Chwalebna Kontrewolucja 1991 roku

przeszła do historii. Zjednoczenie Kazachstan w Jesiennej Rewolucji było jego najwspanialszym okresem i zawsze nazywał siebie Kazachstańczykiem, nie Kazachem: tożsamość narodowa, a nie etniczna. Nie posiadał żadnych z dwudziestowiecznych lewicowych blokad jak Myra. Nigdy nie miał najmniejszej aspiracji bycia socjalistą jakiegokolwiek rodzaju. Jednak, podążał za sowiecką tradycją noszenia najładniejszego i najbardziej konwencjonalnego garnituru, jaki mógł dostać za dolary.

– Dzień dobry, obywatelko Dawidowa – powiedział po rosyjsku. Odpowiedziała podobnie, a potem gestem wskazał jej krzesło i zajął swoje. Żołnierz zamknął drzwi.

– Ach, Myra, mój przyjacielu – powiedział Sulejmanow, tym razem angielskim jak w BBC World Service – porzućmy formalności. Czytałem Twoje raporty o Misji. – Wskazał dłońmi, jakby pozwalając książce się otworzyć. – Co za bałagan. Choć muszę powiedzieć, że wyglądasz dobrze.

– Przepraszam, że nie odniosłam sukcesu, prezydencie Sulejmanow... .

– Chingiz, proszę. I nie ma powodu do przeproszania. – Ścisnął mostek nosa, zamykając na chwilą oczy. Wyglądał na zmęczonego. – Nie widzę, jak ktokolwiek mógłby zrobić to lepiej. Twoje opuszczenie Wielkiej Brytanii było może ... porywcze, ale nawet z perspektywy czasu prawdopodobnie okaże się, że to było najlepsze rozwiązanie. Jak nisko upadli, ci Anglicy. Co do Amerykanów, cóż, co mogę powiedzieć? – Zachichotał z pewną *schadenfreude* i spojrzął w górę na kryształowy statek obcych. – Piętnaście lat temu wyciskali swoją wolę na całej planecie, a teraz trochę broni atomowej jest dla nich zbyt kłopotliwe. W czasach mojego ojca, byli skłonni rozważać przyjęcie wielu uderzeń nuklearnych. – Spojrzął na Myrę, wracając ze wspomnienia. – Przepraszam – powiedział,

nagle zawstydzony – nie zamierzałem obrazić. Zapominam czasem, że byłaś, *jesteś*, Amerykanką.

– Bez obrazy – powiedziała Myra. – Całkowicie się zgadzam z Twoją oceną. Jaką kupą gówna stało się to miejsce! Co za żałośni ludzie! Szansa na długie życie tylko sprawiła, że bardziej boją się śmierci niż kiedykolwiek.

Krzaczaste brwi Prezydenta się poruszyły.

– Nie stało się tak dla Ciebie?

Myra potrząsnęła głową.

– Widzę racjonalność tego, ludzie myślą, że mają dłuższe życie do straty, skoro mogą oczekiwać długiego, ale myślę, że jest to fałszywa logika. Ostatecznie, długie życie ucisku lub wstydu jest gorsze niż krótkie życie.

Przerwała i spojrzała na niego zagadkowo. Uśmiechnął się.

– Prawda, nie jesteśmy tutaj, by rozmawiać o filozofii – powiedział. – Niemniej jednak, cieszę się, że myślisz, że lepiej umrzeć wolnym niż żyć jako niewolnik. Możemy mieć szansę pewnego dnia, ale spróbujmy trochę opóźnić nasze, heroiczne śmierci, co?

– Tak, rzeczywiście. – Chciała mocno zapalić, ale Prezydent był za czystym życiem.

– Bardzo dobrze – powiedział Chingiz. – Coś, czego Ci wcześniej nie powiedziałem... zorganizowałem aktyw z podobnie istotnymi doświadczeniami, żeby spróbowali podobnych podejść do rządów Francji, Turcji, Brazylii i Guangdong<sup>1</sup>. Natrafili na podobny brak zainteresowania. Zatem musimy stawić czoła Szinosowym na własną rękę. Nie muszę Ci mówić, że nie mamy szans na dłuższą metę.

---

<sup>1</sup> obecnie południowo-wschodnia prowincja Chińskiej Republiki Ludowej. Jest najliczniej zaludnioną prowincją w Chinach. Jej przestarzała nazwa pochodzi z transkrypcji francuskiej brzmi Prowincja Kanton, por. <https://pl.wikipedia.org/wiki/Guangdong> – przyp.tłum.



– Mam sugestię – powiedziała Myra. – Jeżeli Zachód nie chce nam pomóc, to do diabła z nimi. Dogadajmy się z Sinosowietami! To, co chcemy, to naszej terytorialnej całości, ich wycofania z Se-meju i dostępu do rynków, szlaków handlowych i zasobów Byłego Związku. To, co oni chcą, przypuszczalnie, jest przejście przez lub północ Kazachstanu, jak będą kierować się na zachód ku Ukrainie, który jest najbliższym miękkim celem, ale ciągle takim, którego wchłonięcie zajmie wiele lat, może dekad. Nie sądzę, żeby byli gotowi zabrać się za Moskwę lub Turcję. Wydaje mi się, że te cele nie są niezgodne.

– Tak, tak – powiedział Chingiz – opcja naszej zmiany stron przysłała mi do głowy, a także Ministrowi spraw zagranicznych. Problem jest taki, że nikt nigdy nie „dogadał się” z Sinosowietami. Nie mają przywódcy lub nawet kierownictwa, przynajmniej nikt, kto jest znany światu. Są w rzeczy samej hordą, bez Wielkiego Khana jak mój imiennik. To sprawia, że trudno się z nimi ugodzić, w każdym sensie.

– Ach, no weź – powiedziała Myra, czując się odważniej. – Nawet anarchiści mieli swoich Machno. Nie wierzę, że horda bez kierownictwa mogłaby osiągnąć to, co oni, nawet w warunkach wojskowych. Stosowanie taktyk guerilli na poziomie strategii i konfrontacji głównych sił to nowość, ale wymaga precyzyjnej koordynacji. Nie dzieje się tutaj nic losowego.

Chingiz na chwilę zacisnął usta. Pokręcił głową.

– System bez centrum może osiągnąć więcej niż intuicyjnie oczekujemy, Myro. To w końcu jest lekcją dwudziestego wieku, tak? Działa w ekonomii, przyrodzie i też do pewnego stopnia w sprawach wojskowych.

– Słuszna uwaga – powiedziała Myra. Nie chciała mówić o obłąkanej plotce Zielonych o Generale na tym poziomie konwersacji.

– Założmy, że nie mają kierownictwa. Aby zachować współpracę, którą pokazują, muszą posiadać łączność horyzontalną pomiędzy jednostkami i jakąś metodę dochodzenia do wspólnej odpowiedzi ... nawet jeżeli jest to tylko jakiś społeczny równoważnik pobudzenia i hamowania sieci neuronowych. W tym przypadku jakakolwiek oferta złożona dostatecznie dużej jednostce zostałyby upowszechniona wśród innych tak jak odpowiedź. Ciągłe byłoby to warte zachodu skontaktowanie się z nimi.

– Hmm – powiedział Chingiz. Splótł palce. – Co proponujesz? Wyjść im naprzeciw, aż zauważą, potem rozmowa z pierwszą osobą zdolną do zrozumienia Ciebie?

– O to chodzi.

– Brzmi niebezpiecznie, poza wszystkim innym.

– Właściwie, proponuję wcześniej ogłosić moje intencje, przez jakiegokolwiek kanały, jakie mamy, potem udać się do Semeju.

– Proszę, proszę – powiedział Chingiz. – Nie jest tak źle, jeszcze. Możesz ciągle tam polecieć, bezpośrednio.

– I wylecieć?

– Och, tak. Kontrola ruchu lotniczego ciągle działa. Tak jak radio i telewizja, na wybranych kanałach. To tylko interfejsy komputerowe są blokowane albo przez fizyczne przecinanie linii telefonicznych albo zagłuszanie elektromagnetyczne. To niesamowicie różnicowane rzeczy, bardzo bystre. Nie moglibyśmy tego zrobić.

Popatrzyła na jego spokojną twarz.

– Jakie dostajemy raporty?

– O życiu pod Szinosowami? Ha. Pod niektórymi względami życie toczy się normalnie. Nie ma działań ludobójczych. Są to, co Szinosoweci nazywają *reformami*. Demokracja w pracy i tak dalej. W tym zakresie są bardzo natarczywi. Wiele przedsiębiorstw zależnych od sieci upada albo przeorientowuje się na system wewnętrz-

nej komunikacji Szinosowów, czymkolwiek to jest, albo zabierają zabawki i idą albo są wywłaszczani na podstawie zaniechania. – Potarł dłoń. – Nie trzeba dodawać, to daje naszej republice chwilowy napływ ludzi, kapitału, sprzętu komunikacyjnego i komputerów. Niektórzy uchodzący są w nędzy, ale niewielu.

– Ktoś chce dołączyć do walki?

– Muszę powiedzieć, że nie ma masowego zaciągu do naszych sił zbrojnych. Zwykle *emigranckie* dywersje, czyli planowanie, błaganie, przygotowywanie ekspedycji sabotażu, dyskretny terrorizm. Nie popieramy tego. – Potarł palcem bok nosa. – Oczywiście, próbujemy zapobiegać... według naszych możliwości, ale nasze zasoby są całkiem nieodpowiednie do takiego zadania.

– Ależ oczywiście. – Myra się uśmiechnęła. – Mógłbyś mi załatwić *mudżahedinów*? Dwóch lub trzech dobrych ludzi, nie fanatyków, nie samobójców, ale gotowych podjąć ryzyko i polec, jeżeli trzeba. Jestem ciągle głęboko niechętna lotowi do Semeja. Zbyt dużo możliwości na dogodną awarię mechaniczną, szczerze, staje się trochę paranoiczna o wszystko, co jest kontrolowane przez komputer, po obu stronach. Więc jeżeli mogę, chciałabym pojechać z ochroniarzami.

Chingiz uniósł brwi.

– Całą drogę?

– Nie, nie. Polecieć do Karagandy, ogłosić, co robię, potem pojechać do Semeja, omijając MRRNT.

– Ach, tak. – Poprawił niektóre włosy na kosmatej brwi. – Drobną lokalną trudność. – Brzmiał pełen wyrzutu.

– Sytuacja jest pod kontrolą – powiedziała Myra.

– Być może. Jednak, w sumie, chciałbym zasugerować, żebyś tam nie wracała, lub omijała dżipem przez Poligon. Znacznie bardziej niebezpieczne niż lot. – Podniósł dłoń, uspokajając jej początk-

kowy protest. – Wiem, co masz na myśli o komputerach i kontroli lotu. Również o tym myślałem. Dostaniesz swoich ochroniarzy. Ogłosisz zamiary, polecisz do Semeja, potem powłóczysz się, aż ktoś się skontaktuje, co, jak mówisz, na pewno się wydarzy. Przekazesz propozycję i poczekaasz na rozwój wydarzeń. Potem polecisz z Semeja do Kapicy i albo ogłosisz, że konflikt jest załatwiony lub zmobilizujesz swoich ludzi do wspólnej obrony. – Uśmiechnął się lekko. – Tak czy inaczej, Twoje wewnętrzne problemy polityczne się skończą. Zewnętrznie, jednak, może się okazać, że Sinosowiety nie są naszym bezpośrednim problemem. . .

– Ach, tak – powiedziała Myra. – Kolejny krok. Przypuszczalnie przynajmniej jeden z tych krajów, którym złożyliśmy ofertę, znacznie się martwić, co zrobimy z atomówkami i opcja rozbrojenia nas dość szybko pojawi się w porządku dziennym.

– Dokładnie – powiedział Chingiz. – Zespoły amerykańskich Przestrzeniowców są tymi, którymi prawdopodobnie powinniśmy się najbardziej martwić, jak Twój przyjaciel w Nowym Jorku powiedział, przemysłowcy i koloniści w kosmosie są zrozumiale nerwowi w tym zakresie.

– Teraz to Twoje atomówki – powiedziała Myra. – Zrobimy tak, jak powiesz. Przypuszczanie będziesz chciał je powstrzymać i przekazać kody operacyjne.

Chingiz uderzył pięścią w masywne biurko, aż Myra podskoczyła.

– *Nie!* – powiedział. – Nie będziemy pomiatani. Nie zamierzamy poddać naszych atomówek bez gwarancji pomocy wojskowej. I jesteśmy gotowi zagrozić nuklearnym atakiem wobec dowolnego ataku.

– Więc jesteś gotów pojechać po bandzie?

– Absolutnie – powiedział Chingiz. – Po bandzie. Jednak nie dalej.

– Dobrze – powiedziała Myra. – Poprzemy Cię. Zobaczmy, kto mrugnie pierwszy.

– Dziękuję – powiedział Chingiz. Jego twarz lekko się zrelaksowała. – Wiem, że to bardzo ryzykowna strategia. Jednak końcówka jest przed nami, a ja nie mam zamiaru wchodzić w nią bezbronny.

Myra skinęła głową.

– Najlepsze, co możesz zrobić – powiedziała – to działać jakbyś był gotów nas zostawić, MRRNT. Potępić i wyprzeć się nas, prywatnie oczywiście na gorącej linii, i przekonać ONZ, USA lub kogokolwiek do negocjowania bezpośrednio z nami. To powinno kupić nam trochę czasu.

– Tylko jeżeli będą wierzyć, że jesteś dostatecznie szalona, żeby to zrobić.

Myra odsłoniła zęby.

– Będą.

Semipałatyńsk, lub Semej, był dostatecznie przyjemnym miastem, którego położenie na stepie pozwoliło mu się rozłożyć tak bardzo, że nawet jego wysokie budynki wyglądały na niskie, nawet węższe ulice były szerokie. Na tych szerokich ulicach było miejsce na drzewa, których zakurzone liście były przedmiotem monitorowania licznikiem Geigera w trakcie jej pierwszej wizyty, w późnych latach osiemdziesiątych. Dobre dawne czasy Stowarzyszenia Nevada-Semipałatyńsk przeciwko testom nuklearnym. Z wszystkich zdrad, które popełniła przeciwko jej młodości, ta bolała najbardziej. Marksizm, trockizm i socjalizm mogły pójść precz. To był nieubłagany, naiwny, humanistyczny internacjonalizm tego protestu, jego niepodważalne medyczne i statystyczne podstawy, jego

czysty, cholerny skandal zakorzeniony w biologii raczej niż w ideologii, które był jej najczystszy, najokrutniejszym płomieniem. Uważała broń jądrową za najpodlejsze dzieło człowieka, których samo posiadanie skaziło i których samo testowanie było mordercze.

Nurup Kerbajew i Mustafa Ałtynsarin, jej dumnie kontrrewolucyjni ochroniarze, szli uprzejmy krok lub dwa za nią, brody i bandolierzy najeżone, Kałasznikowy zawieszony na ramieniu. Nurup etnicznie był kazachskim Rosjaninem. Mustafa wyglądał bardziej po azjatycku, prawie jak Chińczyk Han. Z ich AK, workowatymi spodniami, zdartymi butami i wypchanymi kurtkami, wyglądali prawie jak kontrrewolucjonistyczni bandyci. Wyglądali także jak żołdacy Szinosowów lub tubylcy, których Szinosowy zachęcały do noszenia broni jako odstraszenia kontrrewolucyjnego bandytyzmu.

Szli wzdłuż ulic i przez place całkiem niekwestionowani, choć jeden czy drugi spoglądał na Myrę z zaciekawieniem, jakby rozpoznawał ją z jej wystąpień telewizyjnych poprzedniego wieczoru. Oprócz zaparkowanych czołgów na rogach ulic, dookoła których ciekawski tłum, w większości dzieci i młodych ludzi, bratał się ze zrelaksowaną załogą, miasto nie pokazywało oznak złapania przez społeczną rewolucję. To dziwne maszyny walczące były niepokojące. Chodziły majestatycznie i przechylały się jak marsjańscy najeźdźcy, ale tubylcy traktowali je ze zwykłą zażyłością, jak ruch drogowy czy małą architekturę. Może, myślała krzywo Myra, brak palących promieni i wijących się metalowych macek to załatwiał.

Jak również te drony bitewne, wielkie niezdarne maszyny liczące były instalowane, w wystawach sklepów, wewnątrz fabryk, na zewnątrz na placach. Kółka, zęby, sfery kryształowe, tworzyły szalone planetaria alternatywnych systemów słonecznych, kopernikańskich z ptolemeuszowskimi epicyklami. Nanotech wyciekał i zastygał dookoła mosiądzu i stali, jak epoksyd, który nie wysechł do

końca. Koło południa Myra i jej towarzysze obserwowali jedno będące wyciągnięte z ciężarówki i ustawione ostrożnie na placu przy posągu kosmonauty.

– Kurwa, dziwne – powiedziała Myra, częściowo do siebie, gdy aktyw szinosowiecki wspiął się na posąg i zaczął wyjaśniającą przemową po uzbecku, w jednym z jej nieznanym języków.

– Tym będą mogli zastąpić rynek – zadrwił Nurup, pod nosem.  
– Boże, pomóż nam wszystkim.

Ożywiony rynek napoi bezalkoholowych i gorącego jedzenia już się tworzył dookoła dziwnego urządzenia. Nurup i Mustafa przynieśli jej kolę i kebaby, a sobie po hot dogu. Obaj rozmawiali ciszo z kramarzami. Zabierając jedzenie, usiedli na ławce i jedli.

– Jest dużo niezadowolonia – powiedział Mustafa skwapliwie.

– Bazarowe plotki – powiedział Nurup. – Straganiarze wszystko ci powiedzą. Powiedzą Szinosowym, że ich kochają.

Obaj mężczyźni kłócili się pośrednio, ale intensywnie przez kilka minut na temat prognoz działań terrorystycznych przeciwko Szinosowietom.

– Nie jesteście tutaj po to – przypomniała im Myra. Poczęstowała papierosami, potem razem wyszli z placu. Żaden z mężczyzn nie pytał o ich losowe chodzenie po ulicach, póki nie zakończyli na brzegu szerokiej rzeki Irtysz. Mieszkania na przeciwnym biegu, promenada po tej stronie. Mały parowiec sapał w dół rzeki, przeprowadzając maszynę kalkulacyjną na pokładzie widokowym.

Myra wychyliła się nad balustradą, patrząc w rzekę. Dwóch mężczyzn oparło się o barierkę, patrząc w innym kierunku. Ludzie ich mijali. Po kilku minutach tego, Mustafa zapytał co się dzieje.

– Nic – powiedziała Myra, nie odwracając się. – Lub może coś. Zakładam, że byliśmy śledzeni lub obserwowani. Jestem całkiem przygotowana czekać tutaj przez kolejną godzinę. Rozgośćcie się.

Jednak byli zbyt nerwowi, zbyt czujni, żeby tak robić. Jedynie zapalili po kolejnym jej Dunhillu. Myra zsunęła opaskę i od razu została trafiona poczuciem *deja vu*, gdy cała sceneria wokół niej zamgliała się, zaśnieżona szarymi pyłami. Po chwili zrozumiała źródło tego poczucia rozpoznania, przypomniało jej to gdy pierwszy raz widziała miasta takie jak to, w latach dziewięćdziesiątych: przez mgłę sowieckiego zanieczyszczeń przemysłowych. Mrugnęła, poruszyła opaską w górę i w dół, próbowała wykryć sieci. Nic, prócz szarego śniegu. Nawet Parvus, wezwany z pamięci, wyglądał na sparaliżowanego.

Zagłuszanie szinosowieckie. Gównno.

Właśnie miała skończyć ten eksperyment, kiedy usłyszała swoje imię. Odwróciła się. Shin Se-Ha i Kim Nok-Yung szli koło siebie chodnikiem, machając do niej.

– W porządku – powiedziała nagle spiętym ochroniarzom. – Znam tych ludzi.

Przywitała się, uśmiechając, z Koreańczykiem i Japończykiem, przedstawiła im Kazachstańczyków. Dyskretne komplementy o jej odmłodzonym wyglądzie zostały wymienione za jej podziw dla ich teraz zdrowszej powierzchowności. Nawet ich relatywnie ludzkie uwięzienie naznaczyło ich, przyciskając ich z czymś, co ich nowa wolność, jeżeli to była wolność, umożliwiła im zrzucić. Szli wyżsi. Nie speszyl się spotkaniem z kazachstańskimi *emigrantami*.

– Zatem, jesteście *Szinosowami* – powiedział Mustafa, zdeglustowany.

– Oduść sobie – powiedziała Myra. – Oni są ok. Musimy pogadać.

– Tak – powiedział Nok-Yung. – Musimy pogadać.

Był to łagodny dzień jak na tę porę roku. Nie pogoda na krótki rękaw, ale przyjemna, jeżeli ubierzesz się ciepło tak jak oni. Myra



wskazała półkrąg ławek w wybetonowanym rejonie piknikowym nieco dalej na brzegu. Obaj ekswięźniowie wzruszyli ramionami, potem skinęli.

Nok-Yung i Se-Ha usiedli po jej obu stronach, dwaj ochroniarze na oddzielnych ławkach kilka metrów dalej. Dzieci, ciasno owinięte w pikowanych kurtkach i watowanych spodniach, podskakiwały i krzyczały, niepomne dorosłych.

– Zatem jak sobie radzicie, w tym nowym wspaniałym świecie? – spytała Myra.

– W porządku – powiedział Nok-Yung, jego towarzysz kiwając wyraźnie głową. – Nasze rodziny wkrótce do nas dołączą, a w międzyczasie mamy dużo do zrobienia.

– Jesteście zatrudnieni? – Myra się uśmiechnęła.

– Nie ma *zatrudnienia* – powiedział wyszukanie Se-Ha. – Jest praca. Zostaliśmy... dokooptowani i zostaliśmy wysłani porozmawiać z Tobą.

– Cóż, domyśliłam się, że nie jest to przypadek – powiedziała Myra. – Ale nie oczekiwałam, że ujrzę was już jako aktyw Szinosowów.

– To otwarty system – powiedział Nok-Yung. – Interesujące zadania są szybko podejmowane, wzmacniane, dyskutowane.

– Zatem przeciwieństwo sieci – powiedziała Myra. Roześmiali się.

– I przeciwieństwo systemu leninowskiego – powiedział Nok-Yung poważnie. – Kiedy się dostaniesz, to się *dostałeś*, nie ma... praktyki? Żadnego kandydowania, wspinania się na szczyty. Przeszłe doświadczenie – dodał raczej zadowolony – *się liczy*.

Myra spojrzała spod oka. Bez wątpienia bojowi i marksistowscy matematycy szybko znaleźli swoje nisze.

– Jestem pewna, że to jest fascynujące – powiedziała. – Ale je-

stem tutaj, aby przedstawić dyplomatyczną ofertę Związkowi Chińsko-Radzieckiemu jako całości. Czy mogę, tylko rozmawiając z Wami?

– Tak.

– Doskonale. – Przedstawiła ją im, prosto: umowa, korytarze eksterytorialne. Niech rewolucyjna horda opłynie Kazachstan, jak powódź skałę i potem zatopi resztę świata, jakby ją to nie obchodziło. (Mogłoby rozpaść się na kawałki, tego nie powiedziała, ale tego oczekiwała).

Słuchali uprzejmie, co jakiś czas pytając o uszczegółowienie, notując, rysując mapy na łupkach trzymanyh w dłoni – choć oczywiste urządzenia przetwarzające informacje – wyglądały jakby były zrobione z... łupków. Se-Ha wstał.

– Muszę skonsultować – powiedział, kiwnął głową i rażno odszedł. Nok-Yung przyjął papierosa, odchylił się bujnie, rozwalając się z łokciami na ławce. Obserwowała Myrę przez zmrużone oczy i wirujący dym.

– Dlaczego opierasz się Związkowi, Myro? – spytał łagodnie. – To tylko demokracja. To tylko socjalizm. Środek, i cel, zgodne w końcu, po wszystkich katastrofach i zbrodniach popełnionych w imię obu. – Rozłożył dłonie. – Tutaj nie ma tajemnic, nie ma oszustw. Kiedy byłaś tak młoda, jak wyglądasz – uśmiechnął się – myślałabyś o tej rewolucji, tym wyzwoleniu cudowniejszym niż najdziksze sny.

– Nie pozwól usłyszeć tego moim przyjaciółom *mudżahedinom!* – ostrzegła, częściowo żartem. Spojrzała na Nurupa Kerbajewa. Uśmiechnął się, oczy i zęby błysnęły jak noże.

– Ale masz rację – kontynuowała. – Powiedzmy... mogę znów wyglądać młodo, ale miałam długie, długie życie w międzyczasie. Zaczęłam wierzyć w siebie i w... mój kraj, Kazachstan. I nie będę wchłonięta ani my nie będziemy. – Machnęła dłonią dookoła. – Ci

ludzie, mogą wydawać się... szczęśliwi, by poczekać i zobaczyć. Jednak głęboko w środku, nie, tuż pod powierzchnią, wrą od podejrzeń. Nie są waszymi Mongołami czy Syberyjczykami, którzy Bóg wie, że mieli źle za Stalina, ale odkryli, że wszystko potem było gorsze. Dla Kazachów socjalizm znaczy „tragedia” lat trzydziestych dwudziestego wieku: przymusowe osiedlanie, głód. Oznacza testy jądrowe, raki, wady wrodzone. Nie chcą być przedmiotem kolejnych eksperymentów. A jeżeli chcecie wskazać na MRRNT jako kontrprzykład, to był wyjątek. Samo wybrana malutka mniejszość. Nasz socjalizm zawsze był żartem, bardziej czarnym humorem niż czerwonym. Trockizm w jednym kraju, śmiech na sali!

Gdy się roześmiała, sama się przestraszyła. Jedno z biegających dzieci bawiących się dookoła zatrzymało się, włożyło kciuk do ust i uciekło.

– Kierujemy łagodnym kapitalizmem państwowym, nic więcej – kontynuowała. – W waszym przypadku, mój przyjacielu, to nawet nie jest to. Boże, czuję się zdegustowana sobą za to, co zrobiliśmy, że kiedykolwiek pozwoliliśmy być klientami przeklętych, prywatnych Gułagów Reida.

Nok-Yung patrzył przez chwilę w niebo.

– Nie wiem, co powiedzieć, Myro – powiedział w końcu. – Twój żal co do obozów Ochrony Wzajemnej jest ...dobrze odebrany. Jednak co do innych kwestii, musisz z pewnością wiedzieć, że nic z tego, co mówiłaś, ZSRR i tak dalej, nie jest socjalizmem takim, jak my go rozumiemy i jak Ty go rozumiesz. Zatem przestań mieszać wątki.

– Och, jestem doskonale świadoma, że jesteście inni. Że może być oryginalnym artykułem: Marks i Engels, Posiadacze. I wiesz co? Nie dbam o to. Nie chcę tego ani dla siebie, ani dla nikogo.

– Dlaczego nie? – Nok-Yung brzmiał bardziej zdziwiony niż obrażony.

Myra wskazała ponad rzeką na owadzi kształt maszyny bojowej, patrolującej brzeg wody krokami niczym czapla.

– Z powodu tych cholernych rzeczy – powiedziała. – I maszyn obliczeniowych.

– Co! – Oczy Nok-Yung zmarszczyły się z zabawy. – Luddyzm<sup>2</sup> nie jest Twoją prawdziwą ideologią, Myro. Nie wierzę w to. Te maszyny są jednym z najcudowniejszych osiągnięć Szinosowów, alternatywna nanotechnologia, opracowana całkiem niezależnie od Zachodu. Czy wiesz, że te maszyny są skalowane, aż do poziomu molekularnego, i wszystkie są mechaniczne, chemiczne i optyczne, bez potrzeby interfejsów elektronicznych? To ich, nasza, tajna broń, jawny sekret. System komputerowy, którego nieprzyjaciel nie może spenetrować, ale każdy może zrozumieć i mieć dostęp. Dopiero zacząłem go używać i, powiem ci, że ma najbardziej intuicyjny interfejs, na jaki się natknąłem. Kapitałiści zabiliby za niego. Lub raczej, zabiliby, żeby go zmonopolizować. Ale jest za darmo, więc nie mogą.

– Wiem o waszych dziwnych maszynach – powiedziała Myra. – CIA powiedziało mi o nich. – Dotknęła skroni, uśmiechając się ironicznie. – „Mam szczegółowe dane”.

Nok-Yung złapał aluzję.

– Wiesz, to nie jest *Terminator*! A nie, jak to było nazwane w filmach?, Skynet. To nie jest... nieprzyjazne.

---

<sup>2</sup> angielski radykalny ruch społeczny z początkowego okresu rewolucji przemysłowej (1811–1813), którego przedstawiciele składali się głównie z wolnych chałupników, rzemieślników i tkaczy. Luddyści protestowali przeciwko zmianom sposobu ich życia i nowej etyce pracy, zob. <https://pl.wikipedia.org/wiki/Luddyzm> – przyp.tlum.

– Może nie teraz. Jednak co, jeśli jest, kiedy to, lub wy, pokryjecie cały świat, jak figowiec?

Nok-Yung sapnął powietrzem i dymem.

– Więcej luddyzmu! Maszyny stworzą zycziwe ludzkie środowisko, drugą naturę, w obrębie, której ludzka natura może zakwitnąć, naprawdę, po raz pierwszy. – Pochylił się do przodu, mówiąc poufnie. – Powiem ci, co zrobiliśmy, coś, czego nie ośmieliły się żaden inny system. Wyprodukowaliśmy nanowirusowo rozposzechnianą, genetycznie naprawialną wersję terapii przeciwko starzeniu. Rozprzestrzenia się przed naszą migracją jak łagodna plaga. Sama możesz być już zainfekowana. Dar.

– Boże, to jest *tak* nieodpowiedzialne! – Myra był wstrząśnięta. – Wirusy *mutują*, cholera, gdybyś nie słyszał!

Nok-Yung przesunął dłoń poziomo.

– Nie ten. Ma wbudowane samonaprawianie. Był przetestowany na stabilność w milionie wirtualnych pokoleń.

– *Wirtualne* pokolenia, tak! Człowieku, zaprojektowałeś tyle rzeczy w obozie, żeby wiedzieć, ile jest *to* warte w rzeczywistości!

– Inny system, inna filozofia projektowania – powiedział z irytującym zadowoleniem. – Nasze zestawy testujące są same *częścią* rzeczywistości. To jak różnica pomiędzy działającym modelem w skali a symulacją. Po prostu nie ma porównania. A zasoby obliczeniowe są olbrzymie, większe nawet od tego, co zbudowali Przestrzeniowcy.

Myra poczuła, że zatapia się w bezdennym basenie ich pewności siebie. To było naprawdę przerażające, to było, zrozumiała, to, czego najbardziej się bała w sobie, być tak pewną. Być całkowicie pewną, że się ma rację, o ile była zaniepokojona, byłoby jej końcem. Wątpliwości były jej jedyną nadzieją, jej pocieszeniem i towarzyszem od dzieciństwa, jej sceptycyzm jedynym zabezpieczeniem.

Shin Se-Ha wrócił i usiadł, nie zauważając ich zamrożonej chwili

wzajemnego nieporozumienia. Spojrzał na Myrę, poważnie, i pokręcił głową.

– Żadnej umowy, niestety.

Myra ledwie mogła w to uwierzyć.

– Dlaczego nie? Alternatywą jest wywalczenie drogi przez Kazachstan! Wszystko, co mieliście zrobić w zamian to nie walczyć z nami! Czego można więcej chcieć?

Se-Ha pokręcił głową smutno.

– To nie tak, Myro – powiedział. – To nie agresja ani uraza. To po prostu imperatyw naszego sposobu produkcji. Albo będzie globalny albo niczym, jak Twój Trocki zwykł mawiać. Musimy działać lub upaść, póki nie spotkamy się po drugiej stronie świata.

Zrozumiał, że to nigdzie nie prowadzi.

– Konkretniej – kontynuował – nie możemy mieć... niewchłoniętych obszarów wewnątrz Unii. To byłaby zbyt duża okazja dla naszych wrogów. I nie możemy się zatrzymać na długo, ponieważ to zmusiłoby nas do zaangażowania w wewnętrzną walkę klas, zwłaszcza z właścicielami drobnej własności, której nie chcemy. – Uśmiechnął się. – Delikatnie ujmując! Na razie mogliśmy uniknąć tego całego scenariusza dyktatury proletariatu poprzez zwykłe poniesienie razem z nami pozostałych drobnych i wielkich biznesów. Ekonomia wspólnej własności opartej na maszynach rozwija się, a oni rozwijają się w jej szczelinach. Mogą żyć jak gnidy w naszych włosach, tak długo jak się poruszamy. Jeżeli się zatrzymamy, swędzenie będzie nieznośne. Moglibyśmy się *podrapać*.

– Och, przestań – powiedziała Myra. – Możesz prowadzić mieszaną gospodarkę w nieskończoność. Robimy tak w Kapicy od lat.

– Mieszkankę państwowego i prywatnego kapitalizmu, tak – powiedział Nok-Yung – jak sama wspomniałaś. Mieszanka prawdziwej, bez towarowej gospodarki i rynku byłaby znacznie bardziej

niestabilna. Konflikty pojawiają się bardzo szybko, jeżeli obie byłyby ograniczone do tej samej przestrzeni gospodarki.

Niestabilny system, który musi się rozprzestrzeniać z właściwą prędkością, żeby powstrzymać upadek. Nie za wolno, nie za *szybko*. . . istniało wiele naturalnych, sztucznych, społecznych analogii tego. Myra prawie zachichotała na myśl, co by się im przytrafiło, gdyby Kazachstan się po prostu poddał, gdyby okazało się, że Szinosowy otwierają otwarte drzwi i potykają się na progu na ich kolektywnych nogach.

Jednak to nie była opcja. Rozejrzała się dookoła, sprawdzając, że jej strażnicy ciągle byli znudzeni i czujni, potem obu nowych rekrutów Szinosowów. Absurdalność sytuacji uderzyła ją, prowadziła dyplomację poprzez rozmawianie z dwoma osobami na ulicy. Z tego, co wiedziała, oni mogli być omamieni jako kontakt UFO, a nie prawdziwi ambasadorzy inteligencji obcych. Znowu poczuła impuls do zachichotania, to była kolejna głupia idea, czuła się lekko, kapryśnie, jakby jej problem mógł być rozwiązany. Nie *widziała* żadnego rozwiązania. Wpadła w większe kłopoty niż kiedykolwiek, ale ciągle czuła ulgę.

– Jest to pilna sprawa – mówił Se-Ha, trochę przepraszająco. – Fakcje zielonych eksperymentują z wektorami zarazy. Grupy kolonistów w kosmosie, Zewnętrzni, mają radykalnie post-ludzka wizję. Pomiędzy nimi, grożą ludzkości wyginięciem. Nasz postęp jest w istocie obronny. . .

Spojrzała ostro na niego.

– Powiedz mi, Se-Ha – powiedziała – tam, właściwie z kim się konsultowałeś.

Wyglądał na zakłopotanego.

– To była. . . decyzja rozproszona. Konsensus.

– *Bzdury!* – pękła. – Nie mów mi tego. Nie widziałam przepro-

wadzonego głosowania na tych ulicach dookoła. A Ty? Zatem musi być gdzieś przywództwo, rada. Chcę z tym rozmawiać.

– Rozmawiasz z tym – powiedział – kiedy rozmawiasz z nami. W stopniu, w jakim istnieje. Parametry polityki rzeczywiście zostały ustalone demokratycznie, ale implementacja, . . . decyzje administracyjne, są przeprowadzane. . . – Przygryzł dolną wargę. – Trudno to powiedzieć – skończył kulawo.

– Niech zgadnę – powiedziała Myra, wstając. – System ekspercki. AI.

Se-Ha spojrział na nią, oczy ciemne i bez wyrazu pod cienkimi, czarnymi brwiami.

– Tak, to jest możliwe.

Myra wyprostowała się i westchnęła. Była przekonana, może paranoicznie, że szalony kaznodzieja Jordan miał rację: Generał, Plan, był w środku tego wszystkiego, wdrożył się w ekologię maszyn Szinosowów i był w trakcie przejmowania całego świata. Bez wątplenia z najlepszymi intencjami.

– Boże, tak, macie rację – powiedziała. – Czyli albo wy albo Zewnętrzni. Obie strony są jak jebany Borg. „Zostaniesz zasymilowana”, czy nie to właśnie mi mówicie?

Nok-Yung wzruszył ramionami.

– To nie jest coś złowieszczonego. Wszyscy żyjemy w światowej maszynie. Dlaczego nie żyć w maszynie, która jest po naszej stronie?

Myra musiała się uśmiechnąć.

– Chcecie, żebym wyobraziła sobie przyszłość – powiedziała – jako socjalizm z ludzką twarzą, na zawsze?

– Tak! – powiedzieli obaj, zadowoleni, że w końcu zrozumiała.

Naprawdę będzie ciężko zakończyć tę rozmowę uprzejmie, ale próbuje.



– Zabiorę waszą wiadomość do Prezydenta Sulejmanowa – powiedziała. – Bez wątplenia będziecie oczekiwać na naszą odpowiedź.

Se-Ha i Nok-Yung wstali i uroczyście się pożegnali.

– Do widzenia – powiedziała.

– Do widzenia – odpowiedzieli obaj.

Se-Ha uśmiechnął się psotnie.

– Mam nadzieję, że jeszcze cię zobaczę.

Wynajęli samolot, odrzutowiec biznesowy, który pamiętał lepsze czasy, w Ałma-Acie. Myra nie mogła znieść usunięcia pasażerów z lotów z Semeja, gdzie były tylko miejsca stojące i ograniczony bagaż.

Gdy tylko byli poza sinosowiecką przestrzenią powietrzną, i zagłuszaniem Szinosowów, Parvus priorytetowo przejął kontrolę i wysunął wirtualną głowę zza tylnego siedzenia przed nią.

– Przepraszam za to, Myro – wymamrotała AI. – Pilne wiadomości.

– Prześlij je – powiedziała.

Kolejka wiadomości zawierała połączenia od Sulejmanowa, Walentyny Kozłowej i kogoś z anonimowym kodem identyfikującym. Odpowiadała na nie jedno po drugim.

Gdy tylko mrugnęła na identyfikator Prezydenta, połączył się, na żywo z jego biura. Różni doradcy i ministrowie unosili się na skraju ujęcia.

– Cześć – powiedział. – Wyniki?

Myra skrzywiła się.

– Są nieugięci, żeby tego nie zaakceptować. Byłam tak zaskoczona jak Ty. W rzeczywistości, byłam zszokowana. Miałam podej-

zenie, że tajemnicą ich wojskowej i ekonomicznej koordynacji jest wojskowa AI i że to... dyktuje warunki.

Chingiz przyjął to z nieoczekiwanym spokojem.

– Warto było spróbować – powiedział. Machnął dłonią, w dół.  
– Jednak Szinosowy nie są już dłużej naszym najpoważniejszym problemem.

– Co się stało?

Uśmiechnął się krzywo.

– Tak jak oczekiwaliśmy. Wszystko zostało upublicznione, wszyscy wiedzą o atomówkach. Nasza hojna oferta złożona Stanom Zjednoczonymi, i innych krajom, została skierowana aż do ONZ, i przekierowana do Rady Bezpieczeństwa, w celu natychmiastowej akcji. Mamy przekazać posiadane bronie jądrowe siłom lojalnym ONZ w ciągu dwudziestu czterech godzin, teraz dwudziestu trzech i pół, lub stawić czoło atakom lotniczym i kosmicznym. Konkretnie, wobec Kapicy, którą poprawnie zidentyfikowali jako ognisko problemu. Po Kapicy, Ałma-Ata.

Myra myślała przez chwilę, że widok wirtualny stał się czarno-biały i że samolot zawrócił. Potem wszystko znowu było normalne.

– Jeżeli chcą zrealizować groźby wobec Kapicy, cóż, mam nadzieję na wsparcie lotnicze. – Uśmiechnęła się blado. – Ale proszę, Chingiz. Nie pozwól im zrujnować Ałma-Aty.

– Nie planuję pozwolić im tego zrobić – powiedział. – Sugeruję, żebyś wróciła do Kapicy. Masz własne problemy. Jeżeli możesz, ewakuuj miasto. Niech uderzą w pustą skorupę. Wyślemy transport i kawalerię.

– Kawalerię?

– Dla... bezpieczeństwa wewnętrznego. Pat wokół budynków rządowych jest bardzo napięty. – Spojrzał w bok. – Twój własny

minister obrony próbuje się z Tobą połączyć. Może Ci wyjaśnić sytuację lepiej niż ja. Do zobaczenia na razie.

– Do widzenia, Chingiz.

Zanim odebrała kolejne połączenie, Myra odwróciła się do Nurupa i Mustafy.

– Lecimy do Kapicy – powiedziała. – Mogą mieć do czynienia z bardzo zmienną sytuacją. Przynajmniej przemoc uliczna. Oraz możliwe bombardowanie, aż do poziomu nuklearnego. To nie jest to, do czego was wynajęłam. Mogą was zostawić w Karagandzie, jeżeli chcecie.

Obaj *mudżahedini* wyglądali na głęboko urażonych.

– Naszą pracą jest zachowanie Twojego bezpieczeństwa, aż wrócisz do Ałma-Aty lub aż powiesz nam, żebyśmy poszli – powiedział Nurup.

– Ok – powiedziała. – Zatem mówię wam, żebyście poszli.

Sięgnęła do przełącznika interkomu. Mustafa w mgnieniu oka wstał i położył dłoń na przełączniku. Jego mina i ton były przepraszające.

– Zostaniemy – powiedział. – To wola Boga.

I też kwestia honoru, domyślała się.

– Zatem do Kapicy – powiedziała.

Obaj mężczyźni rozpromienili się jakby *ona* wyświadczyła *im* przysługę. Może tak było. Prawdopodobnie wierzyli, że właśnie zapewniła im dwa darmowe bilety do nieba. Były czasy, gdy zazdrościła im pobożności.

Gdy samolot zakręcał, odebrała telefon od Walentyny. Ten był v-mailem, zarejestrowanym w jednym z biur budynku rządowego. Za Walentyną, mężczyźni z AK czaili się przy oknach. Biurokraci zamienili biurka w prowizoryczne barykady. Ktoś obsługiwał nisz-

czarkę bajtów, czyszcząc pamięci komputerowe, tworząc zadymkę interferencji.

– Cześć, Myra, mam nadzieję, że to dotrze. Jezu, słyszałaś, że ta sprawa z atomówkami jest we wszystkich mediach? Mamy zbieraczy wiadomości, żywych i zdalnych, pojawiających się cały czas, a demonstranci zachowują się dla nich, jakby chcieli się zobaczyć jako bohaterowie w CNN. Jebane wycie sprzężenia zwrotnego klasycznych mediów. Wielu z nich oszalało przez te atomówki, we wszystkich falcjach, lewicowe przygłupy, typki pro-ONZ i pieprzeni Przestrzeniowcy. Nie wspominając naszych własnych patriotów. Nasi agenci w tłumie, cholera, nawet reporterzy, zbierają informacje o szturmie na budynek. Chcemy, żebyś wróciła tak szybko, jak możesz. Będziemy mieć kierowcę z milicji w pogotowiu na lotnisku.

Wiadomość miała znacznik czasu o 13:35, a teraz była 14:50. Myra mrugnęła podzielony ekran kanałów wiadomości telewizyjnych, gdy odbierała trzeci telefon. Pojawił się sygnał zapięcia pasów. Samolot rozpoczął swoje zejście do Kapicy. Dzięki Bogu za ultradokładne dostrojenie radia, Myra pamiętała czasy, gdy nie można było rozmawiać na trakcie lotu. Głos pilota był lekko podniesiony, gdy klócił się z kontrolą lotu o pierwszeństwo, rzucając uwagami dyplomatycznymi na równi z kazachskimi przekleństwami. Myra wyjrzała przez okno. Więcej samolotów niż zwykle – pilnie wynajęte odrzutowce, jak się domyślała – było zaparkowanych koło pasów startowych. Cyrk medialny był w mieście.

Jej anonimowy rozmówca pojawił się na wizji.

– Jason!

Agent CIA uśmiechnął się z napięciem, ale ciepłem w oczach.

– Witaj, Myro. Dobrze Cię widzieć. Oj, wyglądasz niesamowicie. Na czas na globalne gwiazdorstwo, co?

– Ha!

– Prawie tyle emocji co przy zamachu. Tak czy inaczej... dzwonię, żeby powiedzieć Ci, że gdzieś doszliśmy ze śledztwem.

Podwozie wysunięte, uderzenie.

– Co, och Georgi...

– Tak. Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, Myro, ale, cholera, dostaliśmy to z tajnych laboratoriów, to supernowoczesne rzeczy. Zrobiliśmy autopsję cholernej *próbki komórek*, nie pytaj, jak ją dostaliśmy.

Wstrząs, bujnięcie do przodu, kolejny wstrząs i powolne zwalnianie.

– Krótko mówiąc, Myro, odkryliśmy ślady bardzo szczególnej, bardzo subtelnej nanotechnologii. To nie jest do końca trucizna, to jest właśnie sprytne. Buduje małe maszyny, potem rozpada się, kiedy wykona swoje zadanie. Znaleźliśmy kilka przekładni zębatych, ale to było wystarczające.

Samolot się zatrzymał i światło pasów bezpieczeństwa zostało wyłączone. Drzwi otworzyły się z uderzeniem i stopnie wysunęły się w dół. Myra wstała i przesunęła się do przodu, za Nurupem i przed Mustafą, ciągle mówiąc i słuchając. Machnęła roztargniona na pilota, zostawiła mu garść złotych monet jako bonus. Myślała z wyprzedzeniem.

– Wystarczające do czego?

– Wystarczające do zidentyfikowania. To był zamach Przestrzeniowców. Zatrzymywacz serca.

„Zatrzymywacz serca”. Tak. To było to.

Odmrugnęła unoszący się obraz Jasona, żeby skoncentrować się na jej otoczeniu. Żadnych znaków bieżącego ostrzału. Podążyła za Nurupem do budynku terminala, około sto metrów dalej. Głos Jasona w jej głowie kontynuował.

– Zatem nie ma już wątpliwości, to było morderstwo. Nie ma

dowodu, że Ruch Kosmiczny maczał w tym palce, poza dostarczeniem broni, ale dowody poszlakowe są raczej silne.

– Można tak powiedzieć – zgodziła się Myra, świadomie wysilając się, żeby rozluźnić szczękę. Potwierdzenie jej własnych podejrzeń po całym tym czasie oddawania się im, a potem odrzucenia, było szokiem.

*Jebany atak serca...*

– Oni raczej nie rozdają tego rodzaju sprzętu – dumiała głośno. – Zbyt łatwo od odtworzenie, z jednej strony. Ale dlaczego mieliby to zrobić?

Długim korytarzem, pozwalając Nurupowi i Mustafie się rozejrzeć. Kątem oka mogła zobaczyć przyległy, wychodzący korytarz wypakowany od końca do końca wolno poruszającą się kolejką.

– Cóż, oczywistym motywem byłoby zatrzymanie go przed rozmowami z Kazachstańczykami.

– A skąd Ty wiesz o tym?

– Hm, to tajne.

Myra musiała się rozeźmiać.

– Ale jak oni dowiedzieliby się o tym, znaczy wcześniej...?

– Ty mi powiedz.

Dotarli do hali dworcowej. Nie było tak zatłoczona i oszalała, jak podejrzewała. Większość z tych, którzy chcieli wyjść, musieli już ją opuścić lub przynajmniej być w kolejce do wyjścia. Ku jej uldze, jeszcze nie napotkała żadnych dziennikarzy czy reporterów, choć zidentyfikowała jednego lub dwóch dzięki kamizelkom kuloodpornym, wrzawie łączności i niejasno znajomym twarzom. Przeszukując tłum, ujrzała mężczyznę w mundurze Milicji Robotniczej, który złapał spojrzenie, zasalutował i zaczął przepychać się w jej kierunku.

– To była taka sama niespodzianka dla wszystkich w rządzie

jak dla mnie – powiedziała. – Domyśliliśmy się, że to był własny pomysł Georgiego, który nam przedstawił, gdy otrzymał... och!

Mustafa wpadł na nią.

Jason machał do niej, nad głowami.

– Nigdy nie powiedziałeś, że jesteś *tutaj!*

– Ta, cóż... pomyślałem, że cię zaskoczę.

To było dziwne widzieć, jak poruszają się jego usta i słyszeć słowa, poza zasięgiem głosu. Jak czytanie z ust, jak telepatia.

– Kim jest ten facet? – spytał Nurup podejrzliwie.

– Jest ok – powiedziała Myra. Nie była pewna, czy przedstawianie Jasona jako agenta CIA byłoby dobrym pomysłem.

A potem się spotkali i ku zaskoczeniu wszystkich, ona i Jason objęli się na długo.

– Jezu, człowieku!

Uwolniła się i odwróciła do kierowcy Milicji.

– Dziękuję za przybycie. Miejsce dla tych trzech facetów?

Kierowca skinął głową.

– Tędy proszę.

Poprowadził ich do drzwi dla obsługi, o których Myra wiedziała, że musiała minąć setki razy i nigdy nie zauważyć. Ich postępek był mniej niepozorny, obaj *mudżahedini* nie byli jedynymi uzbrojonymi pasażerami, ale byli najbardziej zauważalni. Gdy kierowca grzebał przy zamku drążka, Myra zauważyła ruch głów i małe brzęczenie kamkopterów spadających z krokwi hali.

Śpieszyli się przejściem z falistej blachy i surowych, pełnych zadziarów belek, i pojawili się przy dźwie w małej zatoce parkingu.

– Ach, to rozsądny transport – powiedziała Myra, gdy wsiadali. Dżip Milicji miał zamontowany lekki karabin maszynowy na belce. Mustafa zajął tę pozycję. Nurup usiadł z przodu z kierowcą, karabin podparty na rękę, skierowany do góry. Myra i Jason usiedli z tyłu,

z nogami Mustafy i taśmą nabożową pomiędzy nimi. Gdy dżip pognął przez parking i skręcił na główną drogę do miasta, Jason pochylił się i powiedział, głośno ponad hałasem i hukiem powietrza:

– Mówiłaś?

– Tak, o wielkim planie Georgiego. O ile możemy powiedzieć, nigdy nie powiedział o nim nikomu, nawet Walentynie. To było w jego stylu, był patriotą kazachstańskim i *ciągle* miał tendencję do działania, jakby całe to miejsce było jego osobistym lennem. Którym kiedyś było!

Dżip jechał szybko, większość ruchu było w przeciwnym kierunku, ku lotnisku, lub, na podstawie bagażów i artykułów domowych ułożonych na samochodach i ciężarówkach, w kierunku Karagandy. Jej ulga z powodu ewakuacji już w trakcie została stłumiona przez wspomnienia innych dróg, innych kolumn pojazdów: droga do Basry, droga z Warszawy, granice Atlanty. . .

Ale nie, nie tutaj! Mieli własną osłonę powietrzną, elitarne siły powietrzne Kazachstanu na pewno osłonią tych uchodźców. Pomyślała krótko o zorganizowaniu rozmowy konferencyjnej z Walentyną i Chingizem, ale zdecydowała inaczej. Rozmowa z Jasonem była najważniejszą z tych, które mogłaby mieć teraz, z powodów, które bardziej niż osobiste.

– Ok – mówił Jason – co do motywu, racja, czy ktokolwiek *inny* proponował ci podobną lub tego rodzaju umowę, po śmierci Georgiego, ale przed zamachem stanu?

– Tylko jebany Ruch Kosmiczny! – Przełknęła głośno. – Sam David Reid, na pogrzebie Georgiego.

– Jezu, to jakby wskazuje na niego, co nie?

Myra stwierdziła, że wkurza ją pytanie *кто wiedział o tym*.

– Cóż, jest z tym problem – powiedziała. – Ktokolwiek zabił Georgiego, lub kazał go zabić, *musiał* wiedzieć, że podejrzewaliby-



śmy Przestrzeniowców. Mam na myśli, nawet zanim znalazłeś dowód, trzymałam ich w kadrze. A trochę trudno to zrekonstruować, wiesz, jak to jest, ale kiedy odmówiłam Dave'owi gwarancji neutralności, nie mówiąc już o... aktywnym wsparciu, cóż, to podejrzanie musiało być wzięte pod uwagę. Może nawet ich sprowokowało.

Mustafa krzyknął coś i przesunął karabin maszynowy dookoła do tyłu. Myra przesunęła rozsądnie nogi z drogi taśmy i obróciła głowę. Pięćset metrów za nimi była mała, lecąca grupę samochodów i dżipów, przed chmurą pyłu i poniżej kręgu kamkopterów. Uderzyła w udo Mustafy.

– Zostaw ich! – krzyknęła.

Odpowiedział jakimś uzbeckim przekleństwem, ale odstąpił, unosząc lufę karabinu znowu do góry.

– Zatem mówisz, że zabicie Georgiego było przeciwne do zamierzonego dla Przestrzeniowców?

– Cholerna racja!

– Ok. – Jason rozparł się w ciasnym siedzeniu i zamknął oczy na chwilę. – *Cui bono?* Kto skorzystał?

– Och, cholera – powiedziała Myra, zdając sobie sprawę, właśnie gdy dżip wyjechał zza rogu na Plac Rewolucji i się zatrzymał. Myra złapała pałąk i się podciągnęła. Długa praktyka w ocenie wielkości demonstracji sama się uruchomiła jak software opaski.

Około dziesięciu tysięcy.

– Och, Jezus – powiedziała.

Nie było to szczególnie bojowy czy gniewny tłum, w tej chwili. Namioty, kramy i szałaszy były ustawiane i wiele transparentów było opartych o nie lub uliczną architekturę, lub wepchnięte w łaty teraz zdeptanej trawy, lub kwietniki, które kratkowały plac. Ludzie stali lub siedzieli, w małych grupach, rozmawiając, pijąc kawę, czytając wiadomości z gazety, opasek lub ręcznych czytników, słuchając

przemów i pieśni, kłócąc się ze sobą lub rozszanymi pojedynczymi czy dwójkami Milicji Robotniczej. Niektórzy byli ubrani zwyczajnie, inni w najlepszych ubraniach, narodowych strojach lub kombinonach radiacyjnych ulicznych teatrów.

– Wygląda całkiem niebezpiecznie – powiedział Jason.

Skinęła mu głowę, doceniając ...

– Tak, to jest *masowa* demonstracja, jeżeli kiedykolwiek jakąś widziałam. Nie wspominając o dużym ułamku pozostałej populacji. Gównno.

Dzieciaki w Glasgow miały rację: jej małe państwo miało wielką, polityczną rewolucję. Obaj *mudżahedini* patrzyli groźnie niezrozumiale na wymierzane sztandary Kazachstanu, MRRNT, starego Związku Radzieckiego, Międzynarodówki, czerwone i czarne flagi.

Schyliła się i położyła rękę na ramieniu Nurupa.

– Wstań – kazała. – Wyglądaj wesoło. Machaj karabinem nad głowę. Mustafa, na litość boską, *uśmiechnij się*, człowieku, machaj ramiona i ręce z dala od tego LKM-u. *Nieważne co*, rozumiesz?

Do kierowcy:

– Dookoła wewnętrznej krawędzi tłumu, w kierunku wejścia. Wolno i ostrożnie.

Podniosła się, przesunęła się i oparła o belkę, stopy na oparciu siedzenia Nurupa. Kierowca włączył pierwszy bieg, potem drugi. Dżip potoczył się ku rogowi frontu budynku. Minął około pięćdziesięciu metrów, potem kolejne pięćdziesiąt, kiedy musiałyby skrócić w prawo i skierować się do wejścia. Jechali niezauważeni przez około pół minuty. Potem ludzie schodzący im z drogi zaczęli wołać i wskazywać palcami. Chwilę później ścigający reporterzy nadrobili i wszystkie szanse na dyskrecje zniknęły.

Mogła zobaczyć, jak wiadomości o jej przybyciu, rozprzestrzeniają się przez tłum, jak podmuch wiatru na polu. Kamkoptery krą-

żyły w bezpiecznej odległości, zbliżając na nią i jej kadry reakcje ludzi patrzących na nią. Ich jedyną szansą, zdecydowała, było wyglądać pewnie i triumfująco. Uśmiechnęła się i pomachała, w międzyczasie mrugając połączenie do Walentyny.

– Widzisz nas?

– Tak, osłaniamy was. Otworzymy drzwi dla was, gdy będziecie w zasięgu.

Wiwaty i szyderstwa odbijały się echem od szklanych i betonowych ścian budynku rządowego. Żadnego zorganizowania wołania lub spójnego nastroju jeszcze, ludzie ciągle byli niepewni, jak zareagować na jej powrót. Uśmiechała się desperacko do każdej jednostkowej twarzy, która się pojawiała, i całkiem sporo uśmiechnęło się w odpowiedzi. Unoszące się kamery miały jej kierunkowe mikrofony wycelowane w nią, ale nie chciała mówić do, lub dla, nich.

– W porządku, ludzie, towarzysze, jesteśmy w trakcie załatwiania tego wszystkiego, mamy silny sojusz z Kazachstanem, negocjujemy z ONZ i powstrzymamy Szinosowów, będę do was przemawiać wkrótce, gdy tylko będę miała szansa się skonsultować. . .

Dżip delikatnie zatrzymał się przy głównych drzwiach. Myra spojrzała w bok, zobaczyła kilku milicjantów trzymających je, gotowych do otwarcia, karabiny w rękach.

– Wejdźcie, chłopaki, wszyscy, będę mówić.

Zawahali się.

– Już już już!

Jeden po drugim wbiegali po schodach i znikali w środku. Myra zeszła z siedzenia na deskę rozdzielczą, nad szybą i na maskę, potem zeskoczyła do tyłu na stopień, cały czas na widoku. Cofnęła się po schodach, uśmiechając się i machając, potem przed drzwi.

Ramiona Jason otoczyły ją z tyłu.

– Bardzo dobrze.

Oparła się o niego na chwilę, przechylając głowę na jego ramieniu, potem wyprostowała się i odsunęła, uśmiechając się.

– To było przerażające. – Roześmiała się. – To dziwne uczucie bycia *celem* demonstracji, czuję, że powinnam tam być, pomagając ją zorganizować.

Oczy Jasona się zwężyły.

– To – powiedział – może stać się opcją.

– Och, odpiardol się, ty makiaweliczny szpionie! – Złapała jego dłoń, otoczyła ramieniem Nurupa i Mustafę. – Chodźcie chłopcy, ogarnijmy ten bałagan.

Prowadzili nadzwyczajne spotkanie w biurze Myry, której szerokie okna wyglądały na plac. Denis Gubanow zasugerował wykorzystanie pokoju SowNarKomu, ale Myra odrzuciła pomysł bezpiecznika. Nie ma mowy, żeby chciała być w pokoju bez okien.

Wszyscy siedzieli lub rozwalali się na niewłaściwych meblach, biurkach, szafkach na dokumenty i węzłach łączności. Myra usadowiła się na najwyższej wygodnej powierzchni, na szczycie regału pełnego nieprzeczytanych, żółknących wydruków. Położyła Glocka pomiędzy udami. Jakoś siedzenie w fotelu wydawało się lekkomyślne. Dwóch milicjantów stało czujnie po bokach okien, używając opasek do próbkowania informacji z serwisów wiadomości. Andriej Muchartow, Walentyna Kozłowa i Denis Gubanow wyglądali na bezsennych i zaniedbanych: mężczyźni nieogoleni, kołnierzyk i krawat Wali połużniony, jej mundur wygnieciony.

Myra przedstawiła dwóch *mudżahedinów* i Jasona. Denis uniósł brwi, ale nie skomentował. Myra dyskretnie upewniła się, że jej trzej mężczyźni są na pozycji, żeby ją chronić, nie była w ogóle pewna, kto, jeżeli ktokolwiek, z obecnych miał opuścić pokój żywy, niezależnie od tego, czy pokój zostałby zaatakowany przez rozgniewany

tłum. Kiedyś rozmawiała z nieskruszonym starym stalinistą, który był w biurach Partii w Budapeszcie w październiku 1956 roku<sup>3</sup> ...

– Dobra, towarzysze – zaczęła. – Pierwsze sprawy. Wiecie, że zachodnie mocarstwa odrzuciły naszą ofertę. Właśnie dzisiaj byłam na najkrótszej misji dyplomatycznej *kiedykolwiek* i mogę wam powiedzieć, że Szinosowy też nie są zainteresowane dogadaniem się. Zatem to tylko kwestia czasu, zanim zaczną się toczyć drogą z Semeja. Jednak to tylko tło. Mamy ważniejsze kwestie do przedyskutowania.

– Zamierzam zacząć od czegoś, co może nie wydawać się najważniejszym punktem programu, ale cierpliwości. – Machnęła dłonią w kierunku okna. – Ci ludzie mogą poczekać. Chodzi o śmierć Georgiego. Jason Nikolaides tutaj powiedział mi o wynikach śledztwa CIA, morderstwo, z użyciem broni nanotechnicznej Ruchu Kosmicznego. Trudno wykryć ślady, ale Jason mówi, że im się udało, a ja mu wierzę. To, w co nie wierzę, że to zrobiły te zaziemskie gnojki. Ktokolwiek to zrobił, chciał dwie rzeczy, jedna, że oferta Georgiego nie dotrze do Kazachstanu *przed* zamachem stanu. Dwa, że nie będziemy współpracować z Ruchem Kosmicznym w trakcie zamachu. Widząc, że nikt, prócz Georgiego, nie wiedział, że planował przedstawić ofertę, nasz zakres podejrzanych jest ograniczony. Praktycznie, to musi być ktoś, komu Georgi przedstawiłby pomysł, ktoś spoza obiegu rządowych informacji, może w SowNarKomie, może nie.

Spojrzała w dół, bawiąc się zamkiem Glocka przez chwilę, potem spojrzała na nich. Myślała na głos, nie miała czasu przejrzeć wszystkich możliwości.

– *Wala!* – krzyknęła. Wszyscy podskoczyli. – Jeżeli myślała-

---

<sup>3</sup> zob. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Powstanie\\_w%C4%99gierskie\\_1956](https://pl.wikipedia.org/wiki/Powstanie_w%C4%99gierskie_1956) – przyp.tłum.

bym, że to Ty, rozbiłabym Tobą ścianę, aż Twoje zęby wystukałyby prawdę z Ciebie. Ty i Georgi byliście w Partii, w odróżnieniu od wszystkich pozostałych tutaj.

Uśmiechnęła się, zadowolona, że jej koledzy zostali wytrąceni z równowagi.

– Ale tak bywa, że ci ufam. Tak samo Andriej, który i tak nigdy nie był w tego rodzaju gównie. Denis, co...

Tajny policjant spojrział na nią i zwilżył wargi.

– Przysięgam, Myro...

– W porządku – wtrącił Jason. – Firma go sprawdziła. Jest czysty. – Spojrział na Myrę, potem uśmiechnął się do Denisa Gubanova. – Kawał komuszego skurwysyna, ale jest po Twojej stronie.

– Dobrze – powiedziała Myra, improwizując. – Przechodzę przez to, żeby *potwierdzić*, że nikt tutaj nie jest podejrzanym. To pozostawia jedną możliwość. Georgi musiał się podzielić pomysłem z kimś, a to może być tylko organizacja bojowa Czwartej Międzynarodówki. Generał.

Pozwoliła im to przemyśleć, podczas gdy wyjaśniała Jasonowi, Nurupowi i Mustafie sprawy atomówek i AI.

– To ma swój własny program – podsumowała, znowu zwracając się do wszystkich. – I działa przez Szinosowiety. Chce tych atomówek, poważnie. Tak samo Przestrzeniowcy. Czy wykorzystali się wzajemnie, informacja w jedną stronę, broń w drugą, świadomie, czy nie, morderstwo Georgiego było ruchem w tej rywalizacji. Ktokolwiek władza tą bronią trzyma pistolet przy głowie wszystkich i wszystkiego na orbicie Ziemi i w punktach Lagrange'a, które razem składają się na dziewięćdziesiąt pięć procent obecności człowieka w kosmosie. A ja chciałabym wam przypomnieć, dzięki zamachowi i kontr-zamachowi, Generał kontroluje większość stacji orbitalnych Obrony Kosmicznej. To musimy mieć na uwadze wo-

bec tego, co zrobimy z ultimatum ONZ. Które jest... – uśmiechnęła się dziko – ...*drugim* punktem programu.

– Przepraszam – powiedział Jason, wstając. – Właściwie kto w tej chwili kontroluje te atomówki?

– My – powiedziały Walentyna i Myra, w tym samym momencie.

Myra uśmiechnęła się szczególnie ciepło do Wali, mając nadzieję, że jej oczywiste – i częściowo paranoicznie prawdziwe – wcześniejsze podejrzenie nie zraniło śmiertelnie ich przyjaźni.

– To podwójny klucz – wyjaśniła Walentyna. – Minister Obrony i Premier muszą udać się do przestrzeni roboczej centrum dowodzenia w tym samym czasie.

– I, cóż, to nie jest zapisane na sztywno, ale teraz oczywiście mamy zobowiązanie traktatowe, żeby Prezydent Kazachstan miał ostatnie słowo – dodała Myra. – A jego strategią, teraz, jest blokowanie, aż do ostatniej chwili i próbowanie pozyskania ustępstw w pomocy zbrojnej mocarstw zachodnich lub ONZ przeciwko Szirosowietom.

– Zatem ostatecznie zamierza je przekazać? – spytał Jason.

Myra się zawahała.

– Ok – powiedziała w końcu. – To nie wychodzi z tego pokoju i to dotyczy wszystkich tutaj. Wy przy oknach też, wojskowa dyscyplina, kara śmierci na podstawie Prawa o Wolności Informacji, jeżeli wypowiecie słowo o tym. Wszyscy rozumieją?

Wszyscy rozumieli.

– Dobra, zatem, tak, zamierza przekazać je, w końcu. Co jeszcze możemy zrobić?

– Możemy użyć broni – powiedział Denis. – W kosmosie.

Usta Wali zacisnęły się w cienką kreskę. Myra potrząsnęła głową.

– Masakra – powiedziała. – Nie zrobię tego, chyba że jako ostateczność.

– Wszyscy pomijacie jedną sprawę – powiedział Jason. Rozejrzał się dookoła po nich wszystkich, jak gdyby niepewny, czy ma prawo mówić.

– Dawaj – powiedziała Myra.

– Ok – powiedział Jason – mówię tylko za siebie, nie za CIA czy Wschodnie Stany. Nie wiem, czy kiedykolwiek wrócę do któregoś z nich. Tak czy inaczej... sprawa, którą wszyscy pomijacie to: *komu* zamierzacie poddać waszą broń? Formalnie, bez wątplenia, to będzie ONZ. Jednak fizycznie, ktoś będzie musiał się do nich zadokować, sprowadzić je, rozbroić. Obrona Kosmiczna i może niektórzy z osadników w kosmosie mają sprzęt i doświadczenie. Muszą być sposoby ominięcia software'u waszego sterowania, zawsze są. Uwierzcie mi, nie ma już kodów nie do złamania. Wasza współpraca byłaby użyteczna, ale nie jest kluczowa.

Myra zapaliła papierosa.

– Ok – powiedziała. – Więc?

Jason przeszedł do okna, wyjrzał.

– Ciągłe cicho – powiedział. Spojrzał na zegarek. – Jesteśmy tutaj, ile? Pół godziny? Wkrótce trzeba będzie przemówić do ludu, Myro.

– To fajnie – powiedział Denis. – Mamy agitatorów tam, podtrzymują ludzi mniej więcej w temacie. Linia jest taka, że Prezydent negocjuje.

– Jestem pewien, że tak – powiedział Jason. – Ale co obie strony muszą negocjować? Obie strony dotarły do dna zbiornika. Nie macie nic do zaoferowania i Zachód nic nie może wam zaoferować. Nie uratują was przed Szinosowami. Zatem gdybym był dowolnym innym graczem, w szczególności Przestrzeniowcami i Twoją



organizacją Czwartej, dziką AI lub nie, działałbym bardzo szybko w kierunku dwóch celów. Jeden to fizyczne wyłączenie was i waszego cudownego dwukluczowego centrum dowodzenia. Drugi to ustawienie spotkania z atomówkami w kosmosie. Możecie się założyć, że podczas gdy myślicie, że jesteście bystrzy, oszukując ich, oni oszukują was i zmierzają do tych samych rzeczy.

Rozejrzał się dookoła, teraz bardziej pewny siebie.

– To jest końcówka. Nie tylko dla nas, ale dla nich. Jedna strona lub druga, albo Zachód łamane Przestrzeniowcy łamane Zewnętrzni, albo Wschód łamane Generał łamane przez Sinosowiety, zamierza przechwycić tę broń i użyć jej, raczej wcześniej niż później.

– Ale... – krzyknęła Wala, zszokowana. – Syndrom Kesslera!

– To nie problem dla żadnej ze stron, na poziomie, o którym mówimy. Horyzont Sinosowów jest ściśle przyziemny, na następne kilka wieków. A ich komputery są niewrażliwe na ataki elektromagnetyczne, są mechaniczne, a nie elektroniczne. Co do Przestrzeniowców i organizacji wojskowej, żadnemu z nich nie zależy na powrocie na Ziemię, lub na czymkolwiek innym uciekającym z niej. A każda jednostka tych sił prawdopodobnie oblicza, że mogą odejść i wejść na wyższą orbitę lub Lagrange. Oczywiście, woleliby uniknąć tego, ale jeżeli będą musieli, przyjmą to na klatę.

– Zatem moja rada dla was wszystkich – podsumował – i tych ludzi tam na zewnątrz to wynosić się stąd. I ostrzec wszystkich, że na pierwszy znak zadzierania z wami lub Kazachstanem lub atomówkami, wysadzicie je wszystkie w diabły. Użycie atomówek przeciwko stacjom orbitalnym lub zdetonujecie na miejscu, w każdym przypadku uruchomicie kaskadę Kesslera.

– Chryste – powiedziała Myra, wstrząśnięta. – To znaczy koniec kierowania satelitarnego, globalnego pozycjonowania, komunikacji, sieci, wszystkiego! To jakby świat oślepl!

– Tak – powiedział ponuro Jason. – Oraz każda armia na świecie. Są tak zależni od łączności satelitarnej i symulacji, że będą rozjebani. Prócz marginesu, Zielonych, barbarzyńców i Szinosowów. – Roześmiał się. – Jeżeli to ich nie wystraszy, to nic nie przestraszy.

Strażnicy przy oknie przesuwali się z boku na środek, wyglądając z kompletnym brakiem troski o osłonę. Jeden z nich się odwrócił.

– Przybyła kawaleria – powiedział.

Przez chwilę Myra myślała, że miał na myśli Szinosowów. Potem zrozumiała, że Chingiz dotrzymał swojej obietnicy i że kawaleria była ich własną.

Step w nocy był poruszającą się masą pojazdów i koni. O ile Myra wiedziała, każda osoba w Kapicy się wynosiła. Jechała gdzieś blisko przodu. Próbowwała jechać na przodzie, ale ciągle była wyprzedzana przez ludzi w pojazdach szybszych niż jej czarna kłacz. Kadłub SowNarKomu, Jason i jej *mudżahedini* jechali w dżipach koło niej. Przy jej wzmacniaczach obrazu w opasce na pełnej mocy, widziała kawalerię Kazachstanu – konno i zmotoryzowaną – prześcigającą po obu bokach ewakuacji, lub migracji. Obraz był biblijny, exodus i apokalipsa w jednym. Plakaty i flagi z demonstracji na Placu Rewolucji unosiły się ponad tłumem, użyte jako punkty zbiórki i ruchome punkty orientacyjne. Zdalni i realni reporterzy wiadomości podążali proces w rodzaju oszołomionym podziwie, niezdecydowanie czy opisywać *Drogę Ludu* (uchodźcy, wzruszająco) czy *Kazachskie Róże* (zagrożenie, fanatycy).

Coś podobnego, jeszcze nie tak drastycznego, działo się w Ałma-Acie i innych miastach w wielkiej Republice. Chingiz Sulejmanow przedstawił wezwanie do ewakuacji jako ostateczny marsz protestacyjny, przeciwko groźbom i odmowie pomocy Zachodu przeciwko Szino-

sowom. Jeżeli mieli być porzuceni na rzecz komunistów, nie mieli nic do stracenia, uciekając wcześniej do miejsca, które twierdziło, że będzie bronione. Zagrożenie zamiany tej lawiny w niepowstrzymaną migrację już siało panikę w Zachodniej Europie. Na północy, w byłym Związku, regionalni i lokalni przywódcy naradzali się w swoich fragmentarycznych sieciach, gadając podburzająco o dołączeniu.

– Dalej, dalej, gnojki – mamrotała Myra. Jechała w halucynacyjnej atmosferze wirtualnych obrazów, niektórych ściągniętych z CNN i innych serwisów, innych włączonych z centrum dowodzenia, którego hardware rozebrali z biur i prowizorycznie wbudowali w tył dżipa SowNarKomu. Mogła zobaczyć widok satelitarny jej samej z góry, mogła pomachać i po sekundowym opóźnieniu widziała jedną z kropek na ziemi odmachującą. (Uspokajające było to, że to była zła kropka, sobowtór hologramowy jej i jej otoczenia bezbłędnie włączony w obrazy odległe o kilka kilometrów). Mogła zobaczyć swoją twarz, przekazywaną na ekrany na całym świecie przez kamkopter unoszący się kilka metrów przed nią.

Teraz próbował skontaktować się z Loganem. Szczątkowa lojalność do jej byłych towarzyszy w kosmosie pobudziła ją do ostrzeżenia ich przed prawdopodobnie nadchodzącą katastrofą. Przeszukiwanie grupy w Lagrange nie odnajdywało New View. W końcu, sfrustrowana, przełączyła się na szerszy zakres i ku jej zdziwieniu niemal natychmiast się połączyła.

– Jezu, kurwa, Myra – powiedział Logan bez wstępnych uprzejmości. – To Twój największy rozpiardol od Trzeciej Wojny Światowej. – Nie brzmiało to w jego ustach jak oskarżenie.

– Dzięki za przypomnienie, towarzyszu – warknęła Myra. – Mówiąc ci to, działam wbrew mojemu lepszemu osądowi, ale pokłóciłam się z Twoim Generałem. Ten mały elektryczny gnojek wpadł na

bystry pomysł własnej licytacji na światową rewolucją i nie zamierzam czekać, żeby zobaczyć, jak to wyjdzie w praktyce, dziękuję uprzejmie.

– Tak, słyszałem – powiedział Logan ciężko. Opóźnienie wydawało się dłuższe niż zwykle. Myra domyślała się, ponieważ była nerwowa, biegnąc w przeciągniętym czasie. – Zadzwoiłaś mi to powiedzieć? – Brzmiał rozkojarzony. Bardzo piękna czarna dziewczyna, która wyglądała na dziesięć lat, wsadziła twarz koło niego, robiąc miny do kamery, wypełniając pole jej koroną kędzierzawych włosów w mikrograwitacji. Logan popchnął ją.

– Och, uciekaj, Ellen May – powiedział, nie nieuprzejmie. – Idź i pomóż mamę, ok? Lub Janis. Na pewno coś ci da do roboty.

Dziewczyna wystawiła język, potem odleciała jak ryba.

– Dzieci. – Logan się uśmiechnął, pobłażliwy wbrew sobie.

– Tak, są wspaniałe – powiedziała Myra z bólem. – Dzwonię właściwie w tej sprawie. Jeżeli to dziecko ma mieć przyszłość, to lepiej zabierajcie dupę w troki z Lagrange’a.

– Zabieramy – powiedział Logan, pięć sekund później. – Przyspieszyliśmy przygotowania po Zamachu. Nie mamy tyle sprzętu, ile chcielibyśmy, ale górnicy asteroidów zamierzają skoczyć i dołączyć do nas tam. Skończyliśmy ciąg dwanaście godzin temu. – Rozejrzał się. – Poważnie nabałaganiło rzeczami, których nie miałem czasu przywiązać – dodał smutno.

– Jesteście w drodze na *Marsa*?

– Tak, w końcu. – Jego uśmiech wypełnił ekran. – W końcu wolni!

– Co Generał myśli o tym?

– Ach – powiedział Logan. – Kiedy odkryłem, że liczył na użycie Twoich orbitalnych atomówek w zamachu, domyśliłem się tego samego co Ty. Niebezpiecznie trzymać się w pobliżu. Pamiętasz,

co powiedziałem, że musielibyśmy zostawić kilkaset ton? Cóż, jest pośród nich, ciągle w śmietniku na Lagrange. Zostawiliśmy gnojka. – Jego triumfujący uśmiech zbladł do posępnego zamysłonego spojżenia. – Mam nadzieję.

– Czy ciągle kontroluję organizację bojową?

– Chyba tak. Nie mogliśmy nic z tym zrobić, poza rozebraniem sekcji, w której był hardware. Jego software to inna sprawa, dostanie się wszędzie, ale, cholera. . .

– Co masz na myśli „dostaje się wszędzie”? Podejrzewałam, że załadował się do tych dziwnych, sinosowieckich silników Babbage’a, ale. . .

Logan kiwnął głową.

– Ta, i prawdopodobnie skopiował swoje pliki na wszystko Twoje, co miało z nim kontakt, jak telefon, ale to tylko kod źródłowy, nie może zrobić krzywdy tak długo, jak nie otworzysz pliku. . .

W tym momencie połączenie się skończyło.

Myra wyjęła telefon z kieszeni i miała wyrwać wtyczkę z opaski, na wszelki wypadek, kiedy zrozumiała, że środek ostrożności był nieracjonalny. Jeżeli gnojek właściwie działał na jej telefonie, to już byli skazani na zagładę. Myślała o sytuacji, gdy Generał pojawił się dokładnie w jej centrum dowodzenia i miała nadzieję, że Logan miał rację, że to był tylko kod źródłowy, a nie jego program, który tam był pozostawiony. A w innych miejscach. . .

Pewnego dnia, ktoś otworzy plik zachowany w Instytucie w Glasgow i odkryje Parvusa, a za nim Generała. Życzyła tej osobie szczęścia. Potem przypomniała sobie Merrial MacClafferty i zrozumiała, że musi zrobić więcej.

Właśnie skończyła wstukiwać ważną wiadomość, kiedy usłyszała tępy, odległy huk za nią i się odwróciła. Przez noktowizor

opaski zobaczyła na horyzoncie rozszerzające się, zielone światło pierwszych rakiet manewrujących uderzających w Kapicę.

Ta nie była ostatnią.

Godziny później, o północy, minus dwadzieścia stopni, kiedy większość migracji obozowała dookoła ogni z paliwa, Myra siedziała z Jasonem przed przenośnym elektrycznym piecykiem, w schronie drzemiących koni. Jednocześnie była w centrum dowodzenia z innymi oraz z Chingizem. ONZ i USA nigdy nie miały zamiaru negocjować i nawet pozory zostały porzucone.

Kazachstańskie Siły Powietrzne traciły rakiety, samoloty i życia ponad Ałma-Atą. Centrum dowodzenia ściągało obrazy ruchów w kosmosie ze stacji orbitalnych. Małe, załogowe sondy łowiecko-zbierackie szły ostrym ciągiem, dopasowując orbity i prędkości do kryjówek broni atomowych. Miały eskortę myśliwców i one były oczywiście z przeciwnej koalicji, ich wymiana ognia już była powtórzona przez CNN, teraz kiedy bombardowanie Kapicy zostało przerwane z powodu braku kolejnych celów.

– ... bez wyboru – mówił Chingiz. – Naszą pierwszą odpowiedzialnością jest bronić naszych ludzi, ludzi, wobec których podjęliśmy obowiązek ochrony, nawet jeżeli to oznacza zabicie większej liczby niewinnych osób po drugiej stronie, niż zginęłyby po naszej, gdybyśmy nie działali.

To przemowa, myślała Myra, to jest sposób patrzenia, to jest dobre. Pieprzyć największe dobro dla jak największej liczby osób. Lub może nie.

– To koniec świata – powiedziała Walentyna.

– I tak to jest koniec – powiedziała Myra. Spojrzała znad ognia. – To moja ostateczna analiza! Możemy nawet uratować życia w długim czasie, jeżeli oślepiemy i okaleczymy siły, które przygotowują

się do ostatniej wojny. – Zaśmiała się gorzko. – W obu znaczeniach tej frazy.

Oficer znalazł się w kadrze dookoła Chingiza i powiedział pilnie do jego ucha. Chingiz skinął głową, raz, potem uniósł dłonie.

– To jest to – powiedział. – Niektóre z diamentowych statków osadników kosmosu właśnie weszły w atmosferę. Kierują się na ...

Połączenie utracono.

Myra zerwała się i ku jej całkowitemu horrorowi i zdumieniu, zobaczyła je, trzeszczące i drgające przez niebo ku jej. Ich sygnatura promieniowania podczerwonego była arogancko oczywista, nie przejmowały się osłanianiem, inaczej niż myśliwce stealth, które przypominały. W jednej chwili były kropkami na horyzoncie, w następnej dyskami nad głowami, nurkując nad nimi na tysiącu metrów. Ich laserowe włócznie cięły ogromny obóz i sekundy za późno odpowiadała im daremna strzelanina karabinów maszynowych. Wtedy były po drugiej stronie horyzontu i ...

...zawracały po drugie przejście...

...krzyki ludzi i zwierząt w nocy, umierających pod promieniami laserowymi i brzęczącego deszczu ich własnego, niecelnego, spadającego ...

*Ziemię versus Latające Spodki! Odlotowo!*

Myra otrząsnęła się z tej szalonej myśli i sięgnęła do sterowania centrum dowodzenia jakby przez gęsty muł. Oczy Walentyny świeciły się przez moment w świetle ognia i Myra ujrzała w nich odbicie jej własnej decyzji. Potem ona i Walentyna pochyliły się razem nad ich zadaniem. Gdy Myra wystukiwała kody, czekała na gorący język lasera na karku.

Diamentowe statki były zbyt szybkie na sterowanie przez ludzi lub nawet przez ich wzmocnionych, superludzkich użytkowników. Ich główne systemy naprowadzania były łączami w czasie rzeczy-

wistym do stacji kosmicznych, którą kilka dobrych eksplozji mogło zakłócić.

Niebo stało się białe, a czarne dyski opadły jak liście.

Kaskada Kesslera nie zdarzyła się na raz. Lagrange poszedł do wieczności natychmiast, w jednej, przerażającej kuli piekielnie gorącej syntezy termojądrowej, ale orbita Ziemi była inną sprawą. Godziny, może dni, minęłyby, zanim ostatni produkt ludzkiej pomyślności i przemysłu został starty z nieba. Mimo tego satelity komunikacyjne zawiodły pierwsze. Większość, oczywiście, została zdjeta przez same impulsy elektromagnetyczne. Jadąc w pierwszy świt nowego świata, Myra wiedziała, że mały kamkopter tańczący kilka metrów przed nią mógł równie dobrze przekazywać ostatnie wiadomości telewizyjne, jakie większość widzów kiedykolwiek zobaczy.

Za nią, w powolnej grupie, która kończyło się karetkami i noszami rannych i umierających, migracja kazachska rozciągała się aż do horyzontu. Słońce wznosiło się za nią, rzucając cienie ich rozproszonych, obszarpanych plakatów. Teraz była tylko jedna widownia, do której warto było przemawiać: spadkobiercy.

– Nic nie jest zapisane – powiedziała. – Przyszłość należy do nas. Kiedy zajmiemy Miasta, oszczędźmy naukowców i inżynierów. Cokolwiek zrobili w przeszłości, potrzebujemy ich w przyszłości. Zróbmy to lepiej.

Kamkopter zawirował, wzbił się w powietrze, dziko śmignął i zanurkował w ziemię. Kopyta koni, zużyte opony pojazdów, zniszczyły go w sekundy. Myra nie zmartwiła się, widziała swój własny obraz, z sekundowym opóźnieniem, pojawiający się w rogu jej opaski, gdzie CNN ciągle trajkotało. Reszta pola widzenia była wypełniona dziwnymi halucynacjami, doświadczeniem śmierci internetu.

Bóg wypełnił horyzont, większy niż wschód słońca.



## Rozdział 15

# Żniwa Młota

Siedziałem na cokole pomnika Wyzwolicielki i paliłem papierosa, żeby zwalczyć nudności. Stopniowo mój umysł i moje ciało wróciło do pewnej równowagi. Zgiełk obchodów startu, światła domów i pubów, stały się znowu czymś, na co mogłem spoglądać bez niesmaku i słyszeć bez przerażenia. Wstałem, a ziemia była stabilna pod moimi stopami. Spojrzałem w górę, a niebo było ciemne i gwiazdziste nad głową.

Przeszedłem kilka kroków od pomnika i się odwróciłem. Wyzwolicielka na koniu wznosiła się nade mną. Merrial powiedziała mi, kilka tygodni temu, powód, dlaczego wygląd Wyzwolicielki różnił się na wszystkich pomnikach, jakie widziałem. Była mitem, mnogością. Jej hordy nigdy nie przejechały od dalekiego Kazachstanu do starożytnych brzegów Lizbony, jak mówią pieśni i historie. Nigdy nie zmiotły niczego przed sobą. Zamiast tego, każde miasto i miasteczko zostało najechane przez hordę podniesioną bliżej domu, w jej własnej głębi kraju. Jak wiele setek, jak wiele tysięcy miast napotkało nowy porządek w formie dzikiej kobiety na koniu, jadącej na czele obdartej armii, by ogłosić, że internet jest zniszczony, niebo upadło, a świat jest wolny?

To była ta ostatnia wiadomość, ostatnia wypowiedziana z sieci i ekranów, która utożsamiała ich z tą szczególną kobietą, Wyzwoli-

cielką. Pochyliłem się do przodu, przeczytać słowa wyryta na cokole takie, jak na każdym z nich, od dalekiego Kazachstanu do starożytnych brzegów Lizbony:

NIC NIE JEST ZAPISANE.  
PRZYSZŁOŚĆ NALEŻY DO NAS.  
KIEDY ZAJMIEMY MIASTA,  
OSZCZĘDZMY NAUKOWCÓW I INŻYNIERÓW.  
COKOLWIEK ZROBILI W PRZESZŁOŚCI,  
POTRZEBUJEMY ICH W PRZYSZŁOŚCI.  
ZRÓBMY TO LEPIEJ.

Ostatnie słowa Starego Świata i pierwsze Nowego.

Pomyślałem o Merrial i zrobiłem kolejny krok do tyłu, ciągle zaciągając się papierosem. Była starsza niż kiedykolwiek sobie wyobrażałem jako możliwe. Jednak była również, jak zrozumiałem, ciągle tak młoda, jak wydawała się, gdy ją pierwszy raz ujrzałem. Nic się nie zmieniło, nic nie mogło zmienić tej kochanej, chętnej, otwartej osobowości. Nie była stara, jedynie pozostała. . . młoda.

Tak jak ja zostałbym.

Na co miałem się skarżyć?

Zaśmiałem się z siebie, z młodzieńczych szaleństw. W długim okresie historii, w obietnicy długie życia, różnice w naszym wieku chronologicznym, choć duże, mogły być tylko nieistotne.

Krok, świst, zapach. Jej ciepłe, suche dłonie schwyciły moją.

– Wszystko w porządku, Clovis?

Odwrociłem się, spojrzałem na nią i zaciągnąłem ją ku pomnikowi. Usiedliśmy.

– Merrial – powiedziałem – wiem, kim jesteś.

– Och – powiedziała. – A kim jestem?

Podąłem jej broszurę, otwartą na stronie.

Siedziała przez dłuższą chwilę, patrząc w dół na nią, z lekkim uśmiechem i powoli zbierającą się łzą.

– Och, kurwa – powiedziała. – Wszyscy inni tam dawno nie żyją, o ile wiem. Jednak może nie wiedziałabym tak, jak oni nie wiedzieliby o mnie. – Pociągnęła nosem i oddała mi album. – Zatem teraz już wiesz. Nigdy nie chciałam być tym, co ludzie by oczekiwali po mnie, gdyby wiedzieli.

– Ale jesteś – powiedziałem. – Wiedziałaś o AI i oczekiwałaś, że Fergal zrobi to, co zrobił. Widziałem Twoją minę, kiedy powiedział i to było, jakbyś właśnie poradziła sobie z przypadkiem białej logiki.

– Lub czarnej! Tak, wiedziałam. Wyzwolicielka sama mi o tym powiedziała, tuż przed końcem. Ostrzegła mnie, że to niebezpieczna rzecz, choć łagodna w świetle reflektorów. Jak Fergal!

– Ale *dlaczego* mu to dałaś?

Merial oparła się i spojrzała w górę.

– Ponieważ śmiertelne śmieci są tam, w górze, colha Gree. *Wiem*, co zdarzyło się w Wyzwoleniu, ponieważ je przeżyłam. Widziałam błyski. Byłam tam, kiedy upadło niebo. Wiedziałam, że statek nigdy nie przedostanie się bez znacznie lepszego systemu naprowadzania niż ten, nad którym pracowałam, cóż, wiedziałam, kiedy skończyłam testy, co nie było tak dawno temu. Potrzebowałam kogoś do odnalezienia AI pod przykrywką szukania czegoś innego i potrzebowałam kogoś, kto umieści ją na statku, z dobrych lub złych powodów.

Opuściła wzrok i się uśmiechnęła.

– I oto jesteśmy. A teraz to Ty musisz zdecydować, *mo gràidh*. Sukces tego statku pobudzi kolejne, jak również z innych krajów, orientalnych i południowych. Rywalizacja pomiędzy przedsiębiorstwami i kontynentami, nadejście wielkich rewolucji i droga do gwiazd

przed nami. Gdyby nie wystartował, lub jego nowy umysł wyrwał się i by spadł, lub w istocie AI nie była tak inteligentna, żeby ochronić, to minęłoby dużo czasu, zanim znowu by próbowano. A następna próba mogłaby nie być tak życzliwa jak Międzynarodowe Towarzystwo Naukowe. To mogła być armia lub imperium.

Złapała mnie za ramiona i wpatrzyła się we mnie.

– Jeżeli wejdiesz tam, powiesz Druinowi i chłopcom, to ciągle może się wydarzyć.

Zamknąłem oczy.

– Wyobrażam sobie – powiedziałem – ale jestem bardziej zatroskany władzą, jaką Fergal, lub ktoś jak on, mógłby mieć.

– Otwórz oczy – powiedziała Merrial.

Patrzyła na mnie bardzo poważnie.

– Ta rzecz, AI, strateg, może tylko robić to, co ludzie pozwolą sobie nakazać przez nią. Fergal powiedział, że nie ma już takich ludzi. Powinien powiedzieć to, że nie ma już takich ludzi *więcej*. Twój lud, colha Gree, nie jest typem, który pozwoli sobie na przyjmowanie rozkazów od komunistów, ponieważ nigdy nikt wam nie rozkazywał!

– Ach! – powiedziałem, nagle rozumiejąc. – Z powodu Wyzwolenia i Wyzwolicielki!

Merrial się roześmiała.

– „Nie nam wyglądać zmiłowania Z wyroków bożych”<sup>1</sup> – powiedziała krzywo. – Twój lud sam się wyzwolił. To kolejna rzecz, którą widziałam i opowiem ci o niej pewnego dnia. Jeżeli ciągle będziesz ze mną.

– Och, tak – powiedziałem. – Ciągle będę z Tobą.

---

<sup>1</sup> cyt. z Międzynarodówki, zob. <https://pl.wikisource.org/wiki/Mi%C4%99dzynarod%C3%B3wka> – przyp.tłum.

– Dobrze – powiedziała. – Mamy dużo do zrobienia i dużo czasu na to.

Rozejrzała się dowcipnie. Plac podskakiwał.

– Więc, colha Gree, czy zamierzasz mnie zaprosić do tańca?

– Oczywiście – powiedziałem. – Czy uczynisz mi ten honor?

Przez sekundę za nim zawirowaliśmy, patrzyłem na scenę za mną, zapamiętując ją w pamięci. Zza pomnika wschodził Mars, niebiesko-zielona kropka na wschodzie. Cokolwiek stanie się ze Statkiem, czy wzbije się na bezpieczną orbitę, czy zostanie rozbity na drzazgi, inne statki jakoś by się tam dostały, na drogę ku gwiazdom.

Jakakolwiek byłyby prawda o Wyzwolicielce, pozostanie w moim umyśle, tak jak była przedstawiona na statui i wszystkich innych pomnikach i muralach, pieśniach i historiach, na czele jej własnej chyżej konnicy, z rosnącą migracją za nią i dekadencją, wrażliwym, bezbronnym kontynentem przed nią, a nad jej głową i ponad jej armią, dzielnie łopocze czarna flaga, na które nic nie jest zapisane.

## Posłowie od tłumacza

W związku z tym, że trzeci tom „Cassini Division” jako jedyna pozycja Kena MacLeoda, został wydany w Polsce jako „Dywidzja Cassini” przez Wydawnictwo Amber, zdecydowałem się odwrócić porządek wydawania i najpierw przybliżyć Polkom i Polakom „Drogę do Gwiazd” – czwarty tom w kolejności wydawania serii.

Z punktu widzenia narracji „Jesiennej Rewolucji”, przedmiotowy tom jest częścią alternatywnej przyszłości wobec tej opisanej w „Oddziale Cassini”, zatem nie naruszam wewnętrznej chronologii.

Autor przedstawia, po raz pierwszy w swojej karierze pisarskiej, jeden z później dominujących wątków swojej twórczości – powrót barbarzyńców, czyli upadek znanej nam cywilizacji. Tylko w jego wersji upadek cywilizacji nie jest tożsamy z apokalipsą.

Wątek barbarzyństwa pojawia się w literaturze socjalistycznej, etatystycznej od blisko 100 lat<sup>2</sup>, już w 1892 roku Karl Kautsky pisał:

*W obecnym stanie rzeczy cywilizacja kapitalistyczna nie może trwać dalej. Musimy albo iść naprzód w socjalizm, albo powrócić do barbarzyństwa.*

---

<sup>2</sup> por. [https://en.wikipedia.org/wiki/Barbarian#Marxist\\_use\\_of\\_%22Barbarism%22](https://en.wikipedia.org/wiki/Barbarian#Marxist_use_of_%22Barbarism%22)

Wtórowała mu Róża Luksemburg w 1916 roku:  
*Spółeczeństwo burżuazyjne stoi na rozdrożu, albo przejście do socjalizmu, albo cofnięcie do barbarzyństwa.*

Zatem wydaje się, że barbarzyństwo, powrót do barbarzyństwa byłoby zjawiskiem negatywnym, a jak to postrzega Ken MacLeod?

Według niego rewolucja barbarzyńska to nie upadek i koniec świata, ale obalenie porządku politycznego, zaproponowanie w jej miejsce „chłopskiej utopii”, między innymi rozproszenie ośrodków władzy i uwolnienie ludzi od przymusu państwa, a zatem usunięcie hierarchii i przymusu w imię szczęścia większości, a nie ambicji niewielu.

Idee takiego barbarzyństwa pozostawiam osobom czytającym do rozważenia.

Jestem przekonany, że uważna czytelniczka odnajdzie wiele błędów w tym tłumaczeniu. Ponoszę za to całkowitą odpowiedzialność.

Jacek Hummel

Warszawa, maj – lipiec 2021 roku.

## Chronologia „Jesiennej Rewolucji”

W trakcie tłumaczenia serii „Jesiennej Rewolucji”, udało mi się skompletować chronologię tej tetralogii, którą przedstawiam poniżej.

**1995** wydanie pierwsze „Gwiezdna Frakcja” (The Star Fraction)

**1996** wydanie pierwsze „Kamienny Kanał” (The Stone Canal)

**1998** wydanie pierwsze „Oddział Cassini” (The Cassini Division)

**1999** wydanie pierwsze „Droga do Gwiazd” (The Sky Road)

wydanie polskie „Dywizja Cassini”, Wydawnictwo Amber

**2015** powstanie Republiki

**2017** „Czwarta Międzynarodówka” zaczyna otrzymywać rady od AI znanej jako Zegarmistrz lub Generał

**2021** polskie tłumaczenie „Jesiennej Rewolucji”

**2025** upadek Republiki

Wojna niemiecko-polska znana też jako Trzecia Wojna Światowa

Powstanie USA/ONZ

**2026** powstanie Norlonto

**2028** Traktat o Restytucji i powstanie reżimu hanowerskiego



**2032** Moh Kohn zakłada „Spółdzielnię Robotników Obrony imienia Feliksa Dzierżyńskiego”

**2045** Jesienna Rewolucja

wydarzenia opisywane w „Gwiazdnej Frakcji”

**2057** stulecie wystrzelenia Sputnika,

**28 maja 2059** „Wyzwolenie” przez Myrę Godwin-Dawidową

1. Wersja przyszłości nr 1 — „Droga do Gwiazd” — dzieje się w bliżej nieokreślonej przyszłości co najmniej 200 lat, prawdopodobnie około 2300 roku, w zgodzie z wersją przyszłości nr 2.
  
2. Wersja przyszłości nr 2 — „Oddział Cassini”
  - 2080** Artykuł I.K. Malleya o tunelach czasoprzestrzennych
  - 3 marca 2093** przebudzenie się J. Wilde’a w robocie na orbicie Jowisza
  - 2093-2094** budowa Mili Malleya
  - 2094** przejście Statku z Ziemi na Nowy Mars
  - 2296** wydarzenia opisane w „Kamiennym Kanale”
    - powrót J.Wilde’a z córki wormhole’a do Układu Słonecznego
  - 2303** wydarzenia opisane w „Oddziale Cassini”

## Seria „Czarna Flaga”

W serii *Czarna Flaga* dotychczas opublikowano online:

1. Mężczyzna rodzaju żeńskiego, Joanna Russ
2. Engines of Light t. 1 – Wieża Kosmonauty, Ken MacLeod
3. Jesienna Rewolucja t. 1 – Gwiezdna Frakcja, Ken MacLeod
4. Jesienna Rewolucja t. 2 – Kamienny Kanał, Ken MacLeod
5. Jesienna Rewolucja t. 4 – Droga do Gwiazd, Ken MacLeod

W planach:

1. Jesienna Rewolucja t. 3 – Oddział Cassini<sup>3</sup>, Ken MacLeod
2. Radicalized<sup>4</sup>, Cory Doctorow
3. Walkaway<sup>5</sup>, Cory Doctorow
4. Dhalgren, Samuel R. Delany

---

<sup>3</sup> dostępna, jako „Dywizja Cassini”, w antykwariatach, bibliotekach lub w wersji ebook na stronach <https://doci.pl/> lub <https://docer.pl/>

<sup>4</sup> tytuł roboczy: Zradykalizowane

<sup>5</sup> tytuł roboczy: Odchodzący

Projekt jest przygotowywany dzięki Wolnemu Oprogramowaniu. Zestaw narzędzi składa się z:

- Ubuntu 20.04 Ogniskowa Fossa – system operacyjny
- OmegaT – narzędzie wspomagające tłumaczenie (CAT)
- translate-shell – narzędzie do tłumaczenia w Google Translate przez terminal
- Glosbe – największy słownik online
- LibreOffice – przetwarzanie dokumentów
- pandoc – uniwersalny konwerter dokumentów
- LaTeX – redakcja, skład i łamanie dokumentu
- sigil – przetwarzanie plików ebook
- calibre – konwersja plików ebook

# Spis treści

<b>Rozdział 1. Światło i Jarmark</b>	4
<b>Rozdział 2. Dawne Czasy</b>	27
<b>Rozdział 3. Szif w Stoczni</b>	55
<b>Rozdział 4. Papierowe Tygrysy</b>	81
<b>Rozdział 5. Kościół Człowieka</b>	107
<b>Rozdział 6. Lekkie Bronie</b>	139
<b>Rozdział 7. Bar u Roszczeniowca</b>	170
<b>Rozdział 8. Zachęty Zachodu</b>	200
<b>Rozdział 9. Śpiew Sierpu</b>	225
<b>Rozdział 10. Zapomnij o Babilonie</b>	246
<b>Rozdział 11. Przymierze Skały</b>	280
<b>Rozdział 12. Ciemna Wyspa</b>	308
<b>Rozdział 13. Morski Orzeł</b>	348
<b>Rozdział 14. Końcowa Analiza</b>	366
<b>Rozdział 15. Żniwa Młota</b>	409
<b>Posłowie od tłumacza</b>	414
<b>Chronologia „Jesiennej Rewolucji”</b>	416
<b>Seria „Czarna Flaga”</b>	418